



KLUB
SREBRNEGO
KLUKZA



BRAMA ZDRAJCÓW
Anne Perry

lesiojot



BRAMA ZDRAJCÓW
Anne Perry

lesiojot



BRAMA ZDRAJCÓW
Anne Perry

Tłumaczył
Tomasz Bieroń

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Donaldowi Maassowi

z podziękowaniami

Rozdział pierwszy

Thomas Pitt siedział na drewnianym krześle i z prawdziwą przyjemnością patrzył, jak zachodzące słońce ozłaca szorstką korę jabłoni na środku trawnika. Mieszkali w nowym domu zaledwie od kilku tygodni, ale już czuli się w nim tak swojsko, jakby do niego wrócili, a nie wprowadzili się po raz pierwszy. Zdecydowało o tym wiele drobnych rzeczy: plamy światła na kamiennym murku wokół ogrodu, kora drzew, zapach trawy w głębokim cieniu pod gałęziami.

Zapadał wieczór. Ćmy trzepotały we wczesnomajowym powietrzu, które z nadejściem zmierzchu już zrobiło się chłodniejsze. Charlotte była gdzieś w środku, zapewne kładła dzieci spać na górze. Miał nadzieję, że pomyślała również o kolacji. Był zaskakująco głodny, zważywszy, że przez cały dzień rozkoszował się jedną z nielicznych sobót spędzonych w domu. Była to jedna z dobrych stron awansu na nadkomisarza po przejściu Micah Drummonda w stan spoczynku: miał więcej czasu. Złe strony były takie, że ciążyła na nim większa odpowiedzialność oraz częściej, niżby sobie tego życzył, siedział za biurkiem przy Bow Street zamiast przeprowadzać czynności dochodzeniowe.

Założył nogę na nogę i uśmiechnął się bezwiednie. Miał na sobie lekkie ubranie, dobre do prac ogrodowych, których od czasu do czasu chwycił się w ciągu dnia.

Usłyszał za plecami dźwięk otwierania i zamykania drzwi balkonowych.

- Proszę pana nadkomisarza...

Była to Gracie, mikra pokojówka, którą ze sobą sprowadzili. Jej poczucie własnej ważności znacznie ostatnio wzrosło, bo przez pięć dni w tygodniu miała kobietę do szorowania podłóg i

prania, a przez trzy dni w tygodniu pomagał jej syn ogrodnika. Komenderowała zatem niemałym personelem. Awans Pitta był awansem również dla niej i napełniło ją to bezbrzeżną dumą.

- Tak, Gracie? - spytał bez odwracania się.

- Jest gość do pana nadkomisarza, pan Matthew Desmond...

Pitt osłupiał, po czym zerwał się na równe nogi.

- Matthew Desmond? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, panie nadkomisarzu. Nie trza go było wpuszcząć?

- Ależ skąd. Gdzie on jest?

- W salonie. Spytałam, czy zrobić mu herbaty, ale nie chciał.

Jakiś okropnie roztrzęsiony, panie nadkomisarzu.

- Tak - odparł z roztargnieniem i ruszył w stronę salonu.

Biało-zielone wyposażenie było skąpane w złotym świetle. -

Dziękuję - rzucił Gracie przez ramię.

Wszedł do holu. Serce biło mu szybciej i miał sucho w ustach.

Drepczyło go coś zbliżonego do wyrzutów sumienia.

Zawahał się na moment. Zalały go splątane wspomnienia

sięgające odległych czasów. Wychowywał się na wsi, w majątku

Desmondów, gdzie jego ojciec był gajowym. Pitt był

jedynakiem, podobnie jak o rok od niego młodszy syn sir

Arthura. Kiedy Matthew Desmond chciał się z kimś pobawić,

wybór sir Arthura dosyć naturalnie padał na syna gajowego.

Byli dobrymi kolegami, co później przeniosło się na wspólną

naukę. Sir Arthur chętnie dołożył nauczycielom drugie dziecko

i z zadowoleniem zauważył, że jego syn, który miał teraz z kim

rywalizować, bardziej przykłada się do nauki.

Nawet kiedy ojciec Pitta padł ofiarą fałszywego oskarżenia o

kłusownictwo (w lesie należącym do sąsiada sir Arthura),

rodzinie pozwolono nadal mieszkać na terenie majątku - w

czworakach dla służby - a sam Pitt wciąż pobierał nauki. Jego

matka pracowała w kuchni.

Od ostatniej wizyty Pitta w posiadłości Desmondów minęło

piętnaście lat, a od ostatniego kontaktu z sir Arthurem lub Matthew co najmniej dziesięć. Kiedy stał w holu z ręką na klamce, oprócz wyrzutów sumienia gnębiły go również złe przeczucia.

Otworzył drzwi i wszedł do salonu.

Matthew stał koło kominka. Niewiele się zmienił: wciąż był wysoki, szczupły, by nie rzec chudy, twarz pociągła, nieregularna, z reguły figlarna, ale teraz zgnębiona i śmiertelnie poważna.

- Witam, Thomasie - powiedział cicho, podszedł do Pitta i podał mu rękę.

Pitt przytrzymał ją w swojej i wpatrywał się badawczo w zatroskaną twarz Matthew.

- Co się stało? - spytał, chociaż ogarnęło go okropne uczucie, że już to wie.

- Ojciec nie żyje. Zmarł wczoraj.

Pitt był zupełnie nieprzygotowany na ten cios. Nie widział się z Arthurem Desmondem od ożenku. O tym ważnym wydarzeniu, jak również o narodzinach dzieci, informował go listownie. Teraz poczuł się taki samotny, jakby wyrwano mu korzenie. Wielka część przeszłości, w której znajdował psychiczne oparcie, nagle runęła. Od dawna nosił się z zamiarem, żeby tam pojechać. Z początku powstrzymywała go przed tym duma. Pojedzie, kiedy będzie mógł im pokazać, że syn gajowego do czegoś w życiu doszedł. A to oczywiście trwało znacznie dłużej, niż w swojej naiwności sądził. Lata mijały, a jemu coraz trudniej było się przemóc. Teraz nie było już takiej możliwości.

- Tak mi przykro - powiedział do Matthew. Ten próbował się uśmiechnąć, ale bez większego powodzenia.

- Dziękuję, że przyjechałeś mnie zawiadomić. To było bardzo zacne z twojej strony.

I Pitt na to nie zasługiwał, jak sobie ze wstydem uświadomił.

Matthew machnął ręką na znak, że nie ma o czym mówić.

- Zmarł w swoim klubie, tutaj, w Londynie – wyjaśnił.

Pitt chciał powtórzyć, że jest mu przykro, ale nie miało to sensu, więc milczał.

- Przedawkował laudanum - dodał Matthew i spojrzał na Pitta wzrokiem szukającym współczucia i zrozumienia.

- Laudanum? - powtórzył Pitt takim tonem, jakby chciał się upewnić, czy się nie przesłyszał. - Chorował? Na co...

- Nie! Nie był chory. Miał siedemdziesiąt lat, ale tryskał zdrowiem i dobrym samopoczuciem. Nic mu nie dolegało - powiedział z rozgniewaną miną.

- To dlaczego zażywał laudanum? - dociekał Pitt, w którym górę wzięła natura policjanta.

- Nie zażywał. W tym właśnie rzecz! Mówią, że na starość pomieszało mu się w głowie i przedawkował, bo nie wiedział, co robi.

Jego pałające oczy mówiły do Pitta: nawet nie próbuj wierzyć w te bzdury.

Przed oczyma Pitta stanął Arthur Desmond z dawnych lat:

wysoki, pełen wrodzonego wdzięku, wytworny, aczkolwiek

zawsze z jakimś źle dobranym elementem ubioru, bo mimo

najszczerzych wysiłków kamerdynera nieodmiennie udawało

mu się coś pomieszać. Ludzie tego jednak nie zauważali, a już

na pewno nikt nie ośmieliłby się krytykować tego mądrego,

wesołego i szlachetnego człowieka. Sir Arthur był

indywidualistą, niekiedy ekscentrycznym, ale zarazem tak

rozsądnym i tolerancyjnym wobec ludzkich słabości, że nikt by

go nie podejrzewał o potrzebę uciekania się do laudanum. Z

drugiej strony jeśli to robił, to był absolutnie zdolny do tego,

aby przez roztargnienie zażyć podwójną dawkę.

Ale przecież już pierwsza chyba by go uśpiła?

Przed trzydziestu laty, kiedy Pittowi zdarzało się nocować we dworze, sir Arthur miewał czasem kłopoty z zaśnięciem. Szedł wtedy do biblioteki, zasiadał z książką w starym skórzanym fotelu i zasypiał podczas lektury.

Matthew patrzył na Pitta z narastającym gniewem.

- Kto tak mówi? - spytał Pitt.

Matthew był skonsternowany, nie takiego pytania się spodziewał.

- No, lekarz, członkowie klubu...

- Jakiego klubu?

- Przepraszam, nie jestem zbyt składowy. Zmarł w Morton Club, późnym popołudniem.

- Po południu? Nie wieczorem? - zdziwił się Pitt.

- Nie! - odparł Matthew ze zniecierpliwieniem. - Mówią, że cierpiał na starcze otępienie. Nic dalszego od prawdy! Ojciec był zupełnie sprawny umysłowo. I nie pił brandy! A w każdym razie bardzo rzadko.

- Co ma do tego brandy?

Matthew zgarbił ramiona. Wyglądał na zmęczonego i zagubionego.

- Usiądź - polecił Pitt. - Widzę, że sprawa nie jest taka prosta, jak mi ją na początku przedstawiłeś. Jadłeś coś? Wyglądasz okropnie.

Matthew uśmiechnął się blado.

- Nie mam ochoty nic jeść. Nie rozczulaj się nade mną, tylko posłuchaj.

Pitt spoczął naprzeciwko Matthew, który siedział pochylony na skraju krzesła, nie umiejąc się uspokoić.

- Jak już mówiłem, ojciec zmarł wczoraj w klubie. Spędził tam prawie całe popołudnie. Znalazł go Garçon, który przyszedł zapytać, czy ma podać kolację, bo zrobiło się późno. - Skrzywił się. - Mówią, że wypił dużo brandy, toteż pomyśleli, że

po prostu upił się i zasnął. Dlatego nikt wcześniej mu nie przeszkadzał.

Pitt nie przerywał mu. Serce miał coraz cięższe od smutku.

- Garçon potrząsnął nim i wtedy się zorientował, że ojciec nie żyje - wykrztusił Matthew.

Po chwili milczenie stało się dla Pitta krępujące, ale nie bardzo wiedział, o co mógłby zapytać. To nie była zbrodnia, tylko nagła tragedia rodzinna. Ale przecież wszyscy musimy kiedyś umrzeć.

- Tak mi przykro - powiedział cicho.

- Nic nie rozumiesz! - Twarz Matthew znowu zapałała wściekłością. Spojrzał na Pitta niemal oskarżycielskim wzrokiem, po czym wciągnął głęboko powietrze i wypuścił z westchnieniem. - Widzisz, ojciec należał do jakiegoś stowarzyszenia. Mieli szlachetne cele, a w każdym razie on tak sądził. Wspierali rozmaite organizacje dobroczynne. Nie wiem dokładnie, czym się zajmowali, bo ojciec nigdy o tym nie mówił.

Pitta zmroził chłód. Wiedział, że to irracjonalne, ale poczuł się oszukany.

- Wewnętrzny Krąg - wycedził.

Matthew osłupiał.

- Jak to możliwe, że ty wiedziałeś, skoro ja nie miałem o tym pojęcia?

Najwyraźniej głęboko go to zraniło. Na górze rozległo się jakieś stuknięcie, a potem tupot nóg. Żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

- Zgaduję - odparł Pitt z uśmiechem, który przerodził się w grymas. - Trochę wiem o tej organizacji.

Matthew stężał na twarzy, z której zniknęły wcześniejsza ufność i szczerść.

- Jesteś członkiem Kręgu? Przepraszam, głupie pytanie.

Przecież i tak się nie przyznasz. Stąd wiedziałeś. Zapisaleś się przed laty razem z ojcem? Mnie nigdy nie zaprosił!

- Nie zapisałem się - odparł cierpko Pitt. - Dopiero niedawno dowiedziałem się o istnieniu tego stowarzyszenia. Natrafiłem na nie w związku ze swoją pracą. Ściagałem kilku jego członków za małwersacje, szantaże i zabójstwa. Przypuszczam, że wiem o nich znacznie więcej niż ty. Wiem na przykład, jak bardzo są niebezpieczni.

Na korytarzu Charlotte powiedziała coś do jednego z dzieci i tupot stóp ucichł.

Matthew milczał przez dłuższą chwilę. Emocje, które nim targały, znajdowały odbicie w jego oczach i zmęczonych rysach twarzy. Nadal był w szoku. Nie oswoił się jeszcze z myślą, że jego ojciec nie żyje. Trudno mu było opanować uczucia smutku, samotności, żalu, także wyrzutów sumienia - chociaż nie bardzo wiedział, o co miałyby się winić. Może o gesty, których nie wykonał, słowa, których nie wypowiedział. I był potwornie zmęczony, także na skutek gniewu, który zżerał go od środka. Najpierw poczuł się oszukany przez Pitta, a potem zdał sobie sprawę, że niesłusznie go oskarżył.

Pitt nie oczekiwał przeprosin w takiej chwili. Matthew był bliski załamania.

Gospodarz wyciągnął do niego rękę. Tamten uchwycił ją tak mocno, że aż zaboląo.

- Dlaczego wspomniałeś o Wewnętrznym Kręgu? - spytał po chwili Pitt.

Matthew wciąż siedział na samym brzegu krzesła, ale udało mu się zapanować nad głosem.

- Dawniej ojciec był zaangażowany wyłącznie w działalność dobroczynną. Dopiero przed paroma laty, kiedy awansował w hierarchii, dowiedział się czegoś więcej o stowarzyszeniu. - Zmarszczył brwi. - Zwłaszcza jeśli chodzi o Afrykę...

- Afrykę? - przerwał mu zaskoczony Pitt.

- Tak. Przede wszystkim o dorzecze Zambezi. Prowadzone są tam w tej chwili intensywne poszukiwania surowców naturalnych. To długa historia. Wiesz coś na ten temat?

- Nie, nic.

- W grę wchodzi ogromne pieniądze. Złoto, diamenty, no i oczywiście ziemia. Wszystko to jest powiązane z pracą misyjną, handlem, dyplomacją.

- A co Wewnętrzny Krąg ma z tym wspólnego?

Matthew skrzywił się posępnie.

- Władza. Zawsze chodzi o władzę, no i udział w zyskach. W każdym razie ojciec zaczął sobie uświadamiać, że członkowie Wewnętrznego Kręgu mają ogromny wpływ na politykę rządu i Kompanii Południowoafrykańskiej, nie dbając przy tym ani o dobro Afrykanów, ani o brytyjskie interesy. Bardzo go to zasmuciło i zaczął o tym mówić.

- Do innych członków stowarzyszenia?

- Nie, do każdego, kto chciał słuchać. - Matthew spojrzał na Pitta badawczo. Z jego twarzy wyczytał odpowiedź. - Myślę, że go zamordowali.

Zapadła tak głęboka cisza, że słyszeli tykanie orzechowego zegara na gzymsie kominka. Na ulicy ktoś krzyknął, a po chwili nadeszła bardziej oddalona odpowiedź.

Pitt nie odrzucił tej hipotezy. Wewnętrzny Krąg był najzupełniej zdolny do takiej zbrodni, gdyby uznał ją za konieczną. Ale dlaczego miałby ją za taką uznawać?

- Co dokładnie o nich mówił?

- Potrafisz w to uwierzyć? - spytał Matthew. - Nie bulwersuje cię podejrzenie, że szacowni brytyjscy arystokraci, przedstawiciele warstwy rządzącej, zacni ziemianie mieliby zamordować osobę, która ośmieliła się publicznie ich krytykować?

- Wstrząs i niedowierzanie przeżyłem wtedy, kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o Wewnętrznym Kręgu, jego celach i zasadach postępowania. Może jeszcze kiedyś się oburzę, ale w tym momencie usiłuję zrozumieć fakty. Co takiego mówił sir Arthur, że Wewnętrzny Krąg uznał za konieczne go zamordować?

Matthew po raz pierwszy usiadł normalnie i założył nogę na nogę.

- Krytykował ich za niemoralność ich postępowania - powiedział spokojniejszym głosem. - Za to, że potajemnie nawzajem się wspierają kosztem osób spoza Kręgu, czyli większości z nas. Idą sobie nawzajem na rękę w interesach, bankowości, polityce, a nawet w sprawach towarzyskich, chociaż tutaj jest trudniej - uśmiechnął się krzywo. - Istnieją niepisane prawa, które mówią, co jest dopuszczalne, a co nie, ale nie można ich nikomu narzucić. Można skłonić dżentelmena, żeby zachowywał się wobec ciebie kulturalnie, jeśli jest ci winien pieniądze, ale nie można go zmusić, żeby traktował cię jak jednego ze swoich.

Nie szukał słów, które by nazwały te nieuchwytnie cechy, pozwalające zakwalifikować kogoś jako dżentelmena. To nie miało nic wspólnego z inteligencją, zasługami, pieniędzmi czy tytułami. Można mieć to wszystko, a mimo to nie spełniać niepisanych kryteriów. Matthew urodził się z tym. Było to dla niego tak naturalne, jak dla innych jazda konna czy melodyjny śpiew.

- Jest tam zbyt wielu dżentelmenów - powiedział kwaśno Pitt, przypominając sobie śledztwa związane z Kręgiem.

- Z grubsza to samo mówił ojciec - zgodził się z nim Matthew.

- Konkretniej wyrażał się na temat ich afrykańskich interesów.

Kontrolują banki, finansujące poszukiwania kruszców i osadnictwo. Współpracują z politykami, którzy zdecydują, czy

będziemy dążyli do opanowania całego kontynentu od Przylądka aż po Kair, czy też skoncentrujemy się na obszarach południowych, a resztę oddamy Niemcom - wzruszył gniewnie ramionami.

- Minister spraw zagranicznych jak zwykle kręci się wokół tych spraw i mówi jedno, a myśli drugie. Pracuję w MSZ, ale nie umiem ocenić, do czego on dąży. Tam na miejscu jest mnóstwo misjonarzy, lekarzy, odkrywców, spekulantów, łowców grubego zwierzka i Niemców - zagryzł posępnie wargę. - Nie wspominając o rodzimych królach i książętach, do których należą te ziemie. Oczywiście do czasu, gdy podpiszą z nami traktat. Albo z Niemcami.

- A Wewnętrzny Krąg? - przypomniał mu Pitt.

- Knuje za kulisami. W sekrecie odwołuje się do dawnych lojalności, po cichu inwestuje i czerpie zyski. Tak mówił ojciec.

- Obniżył się w fotelu, jakby uszło z niego trochę napięcia, a może był za bardzo zmęczony, żeby siedzieć prosto. -

Najgłośniej protestował przeciwko temu, że wszystko jest tajne.

Działalność charytatywną oczywiście można prowadzić anonimowo, nie ma w tym nic zdrożnego. - Żaden z nich nie słyszał odgłosów dobiegających z korytarza. - Z początku ojciec sądził, że tym właśnie zajmuje się stowarzyszenie. Grupa ludzi zbiera informacje o tym, gdzie potrzebna jest pomoc, żeby móc jej udzielać w sposób skuteczny i zorganizowany. Sierocińce, szpitale dla ubogich, badania nad konkretnymi chorobami, przytułki dla starych żołnierzy. Niedawno odkrył, że ta działalność ma drugie dno. - Zagryzł wargę z jakby przeproszającą miną. - Ojciec był trochę naiwny. Ty czyja szybciej byśmy się zorientowali. Miał bardzo dobre zdanie o ludziach, którzy według mnie na to nie zasługują.

- Nie ostrzegli go, że nie będą tolerowali żadnej krytyki?

- Ostrzegli, ale dyskretnie i po dżentelmeńsku, toteż błędnie

to sobie zinterpretował. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że to może być poważna groźba.

Uniósł brwi z lekko ubawioną, choć zarazem smutną miną.

Pitt wyczuł u niego wielką determinację. Podejrzewał, że Matthew będzie chciał nie tylko oczyścić ojca z podejrzeń o zażywanie narkotyków, ale również go pomścić.

- Matthew...

- Jeśli chcesz mnie nakłonić, żebym zostawił tę sprawę w spokoju, to tracisz czas.

Gość doskonale odczytał intencje Pitta. Było to trochę deprymujące.

- Nawet nie wiesz, kim oni są - powiedział. - Przynajmniej dobrze się zastanów, zanim cokolwiek zrobisz.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Biedny Thomas, wieczny starszy brat - uśmiechnął się Matthew. - Nie jesteśmy dziećmi i rok różnicy wieku nie ma znaczenia. Oczywiście, że nie zamierzam podejmować żadnych pochopnych kroków. Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie ukatrupię Kręgu. Są jak hydra: utnij jeden łeb, a wyrosną dwa nowe. - Znowu spochmurniał. - Zamierzam jednak udowodnić, że ojciec nie był zniedołężniały, choćby mnie to miało kosztować życie. - Spojrzał na Pitta stanowczym wzrokiem. - Nie można im pozwolić, żeby w ten sposób uciszali takich ludzi jak ojciec, a potem jeszcze ich szkalowali. Jak by to o nas świadczyło? Czy moglibyśmy wciąż nazywać się ludźmi honoru?

- Nie. Ale sam honor nie wystarczy do zwycięstwa w tej bitwie. Będziemy potrzebowali dużych umiejętności taktycznych i być może paru ostrych narzędzi. A może lepiej się nada długa łyżka...

Matthew uniósł brwi.

- Żeby zjeść wieczerzę z diabłem, jak mówi przysłowie...

Jesteś gotów stanąć ze mną do walki?

- Oczywiście - odparł odruchowo.

Natychmiast osaczyły go myśli o odpowiedzialności i zagrożeniach, jakie się z tym wiązały, ale było już za późno. Zresztą nawet gdyby miał czas wszystko spokojnie przemyśleć, podjąłby taką samą decyzję. A tak przynajmniej oszczędził sobie zamartwiania się, z którego nic dobrego by nie wynikło. Matthew nareszcie rozluźnił się trochę i oparł głowę o zagłówek. Spojrzał na Pitta z uśmiechem. Nie miał już takiej zmęczonej i przegranej miny. Bardziej niż przedtem przypominał chłopca, z którym Pitt przyjaźnił się przed laty, z którym dzielił przygody i marzenia. Marzenia niekiedy dosyć zwariowane i nieziszczalne - wyprawa w górę Amazonki, odkrycie grobów faraonów - niekiedy bardziej przyziemne. Ich rozmowy toczyły się w dzieciennym jeszcze kręgu wyobrażeń na temat dobra i zła. Najcięższymi grzechami, z jakimi się spotykali, były kradzież i pobicie. Pojęcia korupcji, manipulacji, oszustwa czy zdrady zaufania nie były im znane. Z obecnej perspektywy wszystko to wydawało się bardzo niewinne.

- Były ostrzeżenia - powiedział nagle Matthew. - Dopiero teraz to widzę. Ojciec zawsze je bagatelizował.

- Na czym polegały?

- Co do pierwszego nie ma pewności. Ojciec chciał pojechać metrem. Zszedł na peron i czekał na pociąg. Byłeś kiedyś tam, pod ziemią?

- Tak, często jeżdżę metrem.

Pomyślał o długich tunelach, rozszerzających się na stacjach, o latarniach gazowych, o potwornym łośkocie kół i silnika. Pociąg wjeżdża, drzwi się otwierają i wylewają się pasażerowie, robiąc miejsce następnym.

- W takim razie nie muszę ci opowiadać, jaki tam jest hałas, jak ludzie się tłoczą i rozpychają - podjął Matthew. - Ojciec stał

blisko początku peronu. Kiedy usłyszał, że pociąg się zbliża, poczuł pchnięcie w plecy i poleciał w stronę torów. Gdyby spadł, to oczywiście zginąłby na miejscu, ale ktoś go złapał. Odwrócił się, żeby podziękować swojemu dobroczyńcy i spróbować zidentyfikować napastnika, ale wszyscy byli już zajęci wsiadaniem do pociągu i nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Ale był pewien, że go popchnięto?

- Całkiem pewien.

Matthew czekał, aż Pitt wyrazi powątpiewanie. Nadkomisarz skinął głową. Gdyby chodziło o kogoś innego, odniósłby się do tego stwierdzenia sceptycznie, ale Arthur Desmond był ostatnim człowiekiem na świecie, którego można by podejrzewać o manię prześladowczą. Wierzył, że wszyscy ludzie są z natury dobrzy, a kiedy rzeczywistość podważała to przekonanie, zawsze był wstrząśnięty i smutny, gotów uznać, że błędnie odczytuje sytuację.

- A drugie ostrzeżenie? - spytał Pitt.

- Szczegóły znam nie od ojca, tylko od koniuszego - odparł

Matthew. - Ojciec jechał konno przez wioskę, aż tu z

naprzeciwka wyskoczył jakiś wariat, który szalał po całej drodze, zupełnie nie panując nad swoim wierzchowcem.

Zepchnął ojca na murek wikarówki i zdzielił jego konia batem przez łeb. Spłoszone zwierzę stanęło dęba i ojciec spadł.

Oczywiście mógł to być wypadek z udziałem pijanego lub nieodpowiedzialnego człowieka, ale ojciec był innego zdania i ja je podzielałam.

- Ja też - odparł ponuro Pitt. - Był wyśmientym jeźdźcem i nie miał zwyczaju rzucać bezpodstawnych oskarżeń pod czyimkolwiek adresem.

Na twarzy Matthew wykwitł szeroki uśmiech, który odmłodził go o wiele lat.

- Od wielu tygodni nie słyszałem niczego tak sensownego!
Boże drogi, żeby jego koledzy cię usłyszeli. Wszyscy boją się go chwalić czy choćby przyznać, że był zdrowy na umyśle.

Thomasie, bo przecież był zdrowy na umyśle, prawda? Ze świecą szukać takiego rozsądnego, honorowego i z gruntu przyzwoitego człowieka.

- Tak, to prawda - odparł Pitt najzupełniej szczerze.

- Wiem, że Wewnętrzny Krąg karze nielojalnych członków. Już wcześniej się z tym spotkałem. Czasem doprowadzają delikwenta do ruiny finansowej albo go kompromitują. Kara zabójstwa jest rzadko stosowana. Nie mogli zrujnować go finansowo, bo nie hazardował się ani nie spekulował. Metoda kompromitacji nie byłaby dla niego zbyt dotkliwa, bo nie starał się o żadne urzędy i nie zależało mu na tym, czy będzie przyjmowany na dworze albo londyńskich salonach. Tam, gdzie mieszkał, jego pozycja była niepodważalna. A zatem jeśli chcieli go skutecznie uciszyć, pozostało im tylko zabójstwo.

- A teraz próbują zakwestionować wszystko, co mówił, pośmiertnie go oczerniając - jego oczy znowu zapalały gniewem i bólem. - Nie mogę tego znieść, Thomasie. I nie zamierzam puścić tego płazem!

Rozległo się pukanie do drzwi salonu. Pitt przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i dotarło do niego, że na zewnątrz jest już prawie ciemno. Nic nie jadł, a Charlotte z pewnością się zastanawia, kim jest jego gość, dlaczego zamknęli się w salonie, dlaczego nie przedstawił jej przybysza ani nie zaprosił go na kolację.

Matthew spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby nie miał pewności, jak powinien się zachować.

- Proszę! - zawołał Pitt.

Wstał i poszedł otworzyć drzwi. Charlotte stała na korytarzu z zaciekawioną i trochę zaniepokojoną miną. Skończyła czytać

dzieciom, a potem poszła do kuchni, co poznał po lekkim zarumienieniu policzków. Zapomniał, że jest głodny.

- Charlotte, to jest Matthew Desmond.

To idiotyczne, że nigdy wcześniej się nie spotkali. Pitt z nikim nie był tak blisko jak z Matthew, może poza matką, ale i to nie zawsze. A potem oczywiście z Charlotte. A przecież nigdy nie zabrał jej do Brackley, nigdy nie pokazał jej swojego domu ani ludzi, którzy przed jej pojawieniem się w jego życiu byli dla niego więcej niż rodziną. Jego matka zmarła, kiedy miał osiemnaście lat, ale to nie był powód, żeby zrywać stosunki.

- Witam, panie Desmond - powiedziała Charlotte spokojnym i pewnym siebie głosem osoby wysoko urodzonej, ale Pitt poznał po jej oczach, że wcale spokojna nie jest.

- Witam, pani Pitt - odparł Matthew. - Najmocniej przepraszam za najście. To było z mojej strony na wskroś egoistyczne. Przyszedłem powiedzieć Thomasowi o śmierci mego ojca i zapomniałem, że są na świecie jeszcze inni ludzie. Jeszcze raz przepraszam.

Charlotte zerknęła na Pitta ze zbulwersowaną i współczującą miną.

- Tak mi przykro, panie Desmond. Rozumiem, co pan czuje. Czy moglibyśmy panu jakoś pomóc? Chciałby pan, żeby Thomas pojechał z panem do Brackley?

- Poprosiłem Thomasa, żeby zbadał sprawę - odparł z uśmiechem Matthew - i uzyskałem już od niego taką obietnicę.

- Zjadłby pan z nami kolację, panie Desmond? Podejrzewam, że nie ma pan apetytu, ale jeśli pan czegoś nie zje, to poczuje się pan jeszcze gorzej.

- Ma pani absolutną słuszność.

Przyjrzała się jego udręczonej i zmęczonej twarzy i po krótkim namyśle podjęła decyzję.

- Chciałby pan zostać na noc, panie Desmond? Dla nas to nie

kłopot. Byłby pan naszym pierwszym gościem od przeprowadzki. Thomas pożyczycy panu wszystko, czego pan potrzebuje.

- Dziękuję - odparł Matthew bez zastanowienia. - Bardzo się cieszę, że nie będę musiał wracać do siebie.

- Thomas pokaże panu pokój, a Gracie wszystko przygotuje. Kolacja będzie za dziesięć minut.

Odwróciła się i wyszła do kuchni.

W holu Matthew zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Pitta.

Na jego twarzy malowały się różne myśli i uczucia: zaskoczenie, zrozumienie, wspomnienia z przeszłości, wspomnienia długich rozmów z dzieciństwa, z czasów snucia wspólnych marzeń.

Żadne wyjaśnienia nie były potrzebne.

Kolacja nie była obfita: pieczony kurczak na zimno z warzywami, a na deser sorbet owocowy. W takim momencie nie należało to do najważniejszych spraw, ale Thomas był zadowolony, że Matthew przyjechał po jego awansie, a nie w czasach, kiedy mogliby go poczęstować co najwyżej gulaszem baraniną z ziemniakami albo morszczukiem i chlebem z masłem.

Rozmawiali niewiele i tylko na takie niebudzące emocji tematy, jak plany ogrodowe: co zamierzają w przyszłości posadzić, czy wszystkie drzewa wydadzą owoce, które krzewy trzeba już poprzycinać i tak dalej. Chcieli w ten sposób uniknąć krępującego milczenia, a nie udawać, że wszystko jest w porządku. Charlotte wiedziała równie dobrze jak Thomas, że żałoby nie wolno w sobie tłumić, bo to tylko podsycy ból, podobnie jak pomniejszanie wagi tragedii.

Tuż po kolacji Matthew poszedł do swojego pokoju, a Charlotte i Thomas usiedli razem w jasnozielonym salonie, pokoju, który Charlotte urządziła, inspirując się salonem-ogrodem Miny Winthrop.

- O co mu chodziło? - spytała, jak tylko za Matthew zamknęły się drzwi na górze. - Dlaczego sprawa śmierci sir Arthura wymaga zbadania?

Mąż zrelacjonował jej całą rozmowę, co przyszło mu znacznie trudniej, niżby się spodziewał. Nie przerywała mu i cały czas patrzyła mu w oczy. Zastanawiał się, czy Charlotte dostrzega, że dręczą go wyrzuty sumienia. Nie był pewien, czy chce, żeby o tym wiedziała. Czuł się samotnie z tą tajemnicą, ale z drugiej strony nie chciał, żeby jego żona widziała w nim człowieka, którym się czuł: bezdusznego, zrywającego kontakt z ludźmi, od których zaznał tyle dobroci. Teraz nie pozostało nic innego, jak spłacić część długu, oczyszczając dobre imię sir Arthura. Jeśli zauważyła to wszystko, nie dała nic po sobie poznać. Charlotte potrafiła być potwornie nietaktowna, ale wobec osób, które kochała, umiała się powstrzymać od wydawania surowych ocen.

- To ostatni człowiek, który zażywałby laudanum - powiedział Thomas z pasją. - Ale nawet jeśli z jakichś powodów to robił, nie można pozwolić, żeby go szkalowali i nazywali zramolałym starcem.

- Oczywiście. - Wzięła go za rękę. - Rzadko o nim mówisz, ale wiem, że był ci bardzo bliski. Zresztą niezależnie od twoich uczuć nie można się godzić na taką niesprawiedliwość. - Zawahała się, bo nie była pewna, jak jej mąż zareaguje na jej następne słowa. - Ale Thomasie...

- Tak?

- Nie pozwól, żeby emocje... - celowo wyraziła się ogólnie, chociaż wiedziała, że chodzi o poczucie winy. - Nie pozwól, żeby emocje popchnęły cię do jakichś nieprzemyślanych działań. To nie są wrogowie, których można zlekceważyć. Nie znają pojęcia honoru. Nie będą się nad tobą litowali tylko dlatego, że jesteś pogrążony w żałobie czy że kieruje tobą

poczucie lojalności. Kiedy się zorientują, że jesteś na ich tropie, nie cofną się przed niczym. Śmierć sir Arthura pokazuje, jacy to bezwzględni ludzie. - Zadrżała na całym ciele, jakby jej własne słowa ją przeraziły. - A przecież sir Arthur był jednym z nich. Ty będziesz dla nich wrogiem.

Chciała coś jeszcze dodać, ale się rozmyśliła, bo wiedziała, że go nie przekona.

- Muszę - odparł cicho, odpowiadając na pytanie, którego na głos nie zadała. - Inaczej nie mógłbym spojrzeć w lustro.

Następnego dnia Matthew spał długo. Charlotte i Pitt jedli już śniadanie, kiedy pojawił się w jadalni. Jemina i Daniel poszli już do szkoły pod opieką Gracie. Ten nowy obowiązek pokojówka wzięła na siebie z ogromną satysfakcją. Wyprężała się na całą wysokość swego skromnego wzrostu (niecałe metr pięćdziesiąt) i uśmiechała się do ludzi, których znała albo chciałyby znać, bo na oko wydawali się jej tego warci. Charlotte podejrzewała, że za skwapliwością Gracie kryje się jeszcze inny powód: w drodze powrotnej zamieniała słówko z pomocnikiem rzeźnika. Ale że młodzieniec wyglądał na porządnego człowieka, Charlotte nie miała nic przeciwko temu. Parę razy odprowadziła dzieci sama, aby przy okazji ocenić, czy chłopak nadaje się na epuzera jej pokojówki.

Matthew wyglądał trochę lepiej, ale wciąż miał podkrążone oczy, a włosy uczesał niezbyt starannie.

Charlotte poczęstowała go jajkami na bekonie, nerkami i tostem z marmoladą. Zaczął od herbaty, która była jeszcze zbyt gorąca i sparzył się w usta. Kiedy Charlotte wyszła do kuchni, Matthew spojrzał na Pitta.

- Muszę z tobą o czymś pomówić - powiedział z pełnymi ustami.

- Tak?

- Chodzi o sprawy służbowe. - Znowu napił się herbaty, tym

razem ostrożniej. - Twoje i moje.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych? - zdziwił się Pitt.

- Tak. Afryka. Znasz się na brytyjskich traktatach? Nie za bardzo? To nie ma aż tak wielkiego znaczenia w kontekście naszej sprawy, ale cztery lata temu podpisaliśmy porozumienie z Niemcami, a w lecie tego roku podpiszemy następne.

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie, kiedy Bismarck stracił władzę na rzecz młodego kajzera. Jego ministrem jest niejaki Carl Peters, ostry jak nóż i podstępny jak stado małąp. A

Salisbury nie może się zdecydować, co nie ułatwia sprawy.

Część z nas sądzi, że Salisbury nadal chce, aby Wielka Brytania kontrolowała korytarz od Kolonii Przylądkowej po Kair. Druga część uważa, że wolałby zrezygnować z tego projektu jako zbyt drogiego i trudnego.

- Trudnego? - spytał zaskoczony Pitt.

- Tak - powiedział Matthew, biorąc następnego tosta. -

Odległość między naszymi posiadłościami na południu a Egiptem wynosi ponad trzy tysiące mil. Musielibyśmy zająć Sudan i Afrykę Równikową - gdzie obecnie rządzi szemrany osobnik Emin Pasza - czyli pas przylegający do Niemieckiej Afryki Wschodniej, co w obecnym klimacie nie byłoby łatwe. - Dla lepszego naświetlenia sytuacji zaczął rysować palcem po stole. - Cały obszar na północ od Transwalu, obejmujący dorzecze Zambezi i terytoria pomiędzy Angolą i Mozambikiem, znajduje się w rękach tubylczych wodzów.

- Rozumiem. A to drugie rozwiązanie?

- Od Kairu do Calabaru. Inaczej mówiąc, od Nigru do Nilu. Linia przebiegałaby przez jezioro Czad, potem na zachód prawie do Senegalu. Wymagałoby to odebrania Francuzom Dahomeju i Wybrzeża Kości Słoniowej.

- Wojna? - spytał Pitt z niedowierzaniem i przerażeniem.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Wymiana za Gambię.
- Rozumiem.
- Sądzę, że jeszcze nie rozumiesz. Pozostaje kwestia Niemieckiej Afryki Wschodniej, gdzie ciągle coś się dzieje: powstania, zabójstwa polityczne. Do tego dochodzi Helgoland...
- Słucham?
- Helgoland.
- Myślałem, że Helgoland leży na Morzu Północnym. Pamiętam, że pan Tarbet tak nas uczył.
- I miał rację. - Pan Tarbet był jednym z gubernatorów Matthew, a tym samym również Thomasa. - Znakomite miejsce na bazę marynarki wojennej, która blokowałaby wszystkie najważniejsze porty niemieckie nad Renem - wyjaśnił Matthew. - Moglibyśmy przehandlować Helgoland za niemieckie ziemie w Afryce. Jestem przekonany, że z radością pójdą na taką transakcję.
- Ale co te wszystkie nader skomplikowane sprawy mają wspólnego z policją? - spytał cierpko Pitt. - Nasza jurysdykcja nie obejmuje Afryki ani nawet Helgolandu.
- Za to Londyn tak. A w Londynie jest Ministerstwo Kolonii i ambasada Niemiec.
- Aha.
- Pitt miał obawy, że zaczyna się domyślać, o co chodzi.
- Jak również Imperialna Kompania Południowoafrykańska - podjął Matthew. - I różne banki, które finansują odkrywców i misjonarzy, nie wspominając o poszukiwaczach przygód, także finansowych.
- Tego nie neguję, ale co to ma do rzeczy?
- Na ustach Matthew zagrał uśmiech ubawienia, ale szybko zgasł.
- To ma do rzeczy, że z Ministerstwa Kolonii znikają

informacje i pojawiają się w ambasadzie niemieckiej.

Dowiadujemy się o tym podczas rokowań z Niemcami. Czasem wiedzą o różnych rzeczach wcześniej niż nasze ministerstwo.

Na razie nie przyniosło nam to poważniejszych szkód, ale może nam utrudnić wynegocjowanie korzystnego traktatu.

- Czyli ktoś z Ministerstwa Kolonii przekazuje informacje ambasadzie niemieckiej?

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Jakiego rodzaju informacje? Nie mogą pochodzić z innego źródła? Przecież oni z pewnością też mają swoich ludzi w Afryce Wschodniej.

- Gdybyś trochę więcej wiedział o sprawach afrykańskich, nie zadałbyś takiego pytania. - Matthew wzruszył ramionami. - Sytuacja w terenie podlega różnym interpretacjom i nie ma dwóch identycznych raportów wywiadowczych. Niemcy dostają wersję z Ministerstwa Kolonii.

- Czego dotyczą te informacje?

Matthew dopił herbatę.

- W tym momencie przede wszystkim złóż mineralnych i naszych negocjacji handlowych z tubylczymi wodzami.

Zwłaszcza z niejakim Lobengulą z dorzecza Zambezi. Bardzo zależało nam na tym, żeby Niemcy się nie dowiedzieli, jaki jest stopień zaawansowania tych rokowań.

- Ale się dowiedzieli?

- Nie mogę tego z całą pewnością stwierdzić, ale takie mam obawy.

Pitt dokończył herbatę, nalał sobie jeszcze jedną filiżankę i wziął następnego tosta. Uwielbiał domowej roboty marmoladę, od której Charlotte była specjalistką. Zauważył, że jego współbiednikowi też smakuje.

- Czyli w Ministerstwie Kolonii jest zdrajca. Kto jeszcze wie o tym, co mi przed chwilą powiedziałeś?

- Mój bezpośredni zwierzchnik i minister spraw zagranicznych lord Salisbury.

- Nikt więcej ?

- Wielkie nieba, oczywiście, że nie! Nie ma sensu o tym trąbić na lewo i prawo, bo inaczej szpieg się dowie, że wiemy. Musimy go szybko zneutralizować, zanim nam zaszkodzi, ale rozgłos jest niepożądany.

- Nie mogę działać bez upoważnienia.

Matthew zmarszczył brwi.

- To ci je wystawię. Ale przecież jesteś teraz nadkomisarzem.

Nie możesz samodzielnie podejmować śledztw?

- Do przesłuchiwania ludzi z Ministerstwa Kolonii potrzebuję zgody nadinspektora Farnswortha.

- A, ten...

- Chyba nie sądzisz, że ma jakiś związek z tą drugą sprawą?

Matthew zmarszczył brwi, bo w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi.

- Rany boskie, mam nadzieję, że nie! Wewnętrzny Krąg to banda nikczemników, ale o zdradę stanu ich nie podejrzewam. Z tego, co mówił mi ojciec, osłabianie pozycji Wielkiej Brytanii w Afryce nie leżałoby w ich interesie. Owszem, okradają nasze państwo, ale nie mieliby z tego żadnych korzyści, gdyby okradali je Niemcy. Dlaczego zadałeś takie pytanie? Sądzisz, że Wewnętrzny Krąg ma swoich ludzi w Ministerstwie Kolonii?

- Prawdopodobnie tak, a już na pewno w policji. Nie mam pojęcia, na jakim szczeblu.

- Nawet w randze nadinspektora?

Pitt wziął do ust ostatni kęs tosta z marmoladą.

- Być może, ale mnie chodziło o miejsce w hierarchii Wewnętrznego Kręgu. Nie ma związku między jednym a drugim i między innymi dlatego sytuacja jest tak potwornie niebezpieczna.

- Nie rozumiem cię.

- Ktoś wysoko postawiony w świecie finansów lub polityki w hierarchii Wewnętrznego Kręgu podlega osobie na zewnątrz zupełnie anonimowej. Nie mamy wtedy pojęcia, gdzie lokuje się rzeczywista władza.

- Masz rację, to rzeczywiście przerażające. Dobrze, że mi to uświadomiłeś. To tłumaczy, dlaczego ojciec czuł się taki bezsilny... - umilkł na dłuższą chwilę. - To jednak nie znaczy, że się poddam.

Pitt milczał.

- Przepraszam, co ja wygaduję, przecież nie mówiłeś mi tego po to, żeby mnie zniechęcić. To co, zajmiesz się tym szpiegiem w Ministerstwie Kolonii?

- Oczywiście. Jak tylko dotrę na Bow Street. Zakładam, że występujesz oficjalnie w imieniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i mogę się posłużyć twoim nazwiskiem.

- Tak, oczywiście - wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Pittowi.

- Tu masz pełnomocnictwo. I Thomasie... Dziękuję ci.

Pitt nie wiedział, jak powinien zareagować. Bagatelizujący gest zanegowałby ich przyjaźń i sprowadziłby ich rozmowę do wymiany uprzejmości.

- Co teraz zamierzasz?

Matthew wyglądał na psychicznie zmęczonego, jakby sen nie przyniósł mu ulgi (o ile rzeczywiście spał). Odłożył serwetkę i wstał.

- Muszę się wszystkim zająć - westchnął ciężko. - Pojutrze jest rozprawa u sędziego śledczego.

- Będę tam.

- Dziękuję ci.

- A... pogrzeb?

- Dwa dni później, szóstego. Oczywiście w Brackley.

Przyjedziesz, prawda? Pochowamy go w rodzinnym grobowcu.

- Naturalnie, że przyjadę. To znaczy, że wracasz teraz do Brackley?

- Nie, rozprawa odbędzie się w Londynie.

- Chcesz u nas nocować?

- Dziękuję ci, ale powinienem odwiedzić Harriet. Ostatnio się zaręczyłem.

- Gratuluję! - powiedział szczerze Pitt. Tego rodzaju wiadomość zawsze by go ucieszyła, a zwłaszcza w chwili, kiedy Matthew tak bardzo potrzebował oparcia. - Oczywiście, że powinieneś ją odwiedzić i wszystko jej opowiedzieć, zanim dowie się z gazety.

- Nie będzie czytała gazet, Thomasie!

Pitt zdał sobie sprawę, że popełnił gafę. Damy nie czytają gazet, nie licząc obwieszczeń dworu królewskiego i stron poświęconych modzie. Sam jednak pogodził się z tym, że Charlotte i jej siostra Emily po opuszczeniu domu swego ojca nie uznawały żadnych lekturowych restrykcji. Nawet lord Ashworth, pierwszy mąż Emily, nie narzucał jej tych powszechnie obowiązujących rygorów.

- Oczywiście należało powiedzieć, zanim dowie się od kogoś, kto przeczyta o tym w gazecie - przeprosił. - Jestem pewien, że znajdziesz w niej oparcie.

- Tak... Wydaje się takie bezduszne, abym czuł się pod jakimkolwiek względem szczęśliwy...

- Bzdura! - przerwał mu z pasją Pitt. - Sir Arthur na pewno życzyłby sobie, abyś był szczęśliwy. Zresztą nie muszę ci o tym mówić, bo znacznie lepiej ode mnie wiesz, jakim był szlachetnym człowiekiem.

Mówienie o sir Arthurze w czasie przeszłym napełniło ich obu bólem.

- Masz rację, ale jeszcze nie umiem sobie tego powiedzieć. Oczywiście pójdę do niej. To wspaniała kobieta, Thomasie.

Polubisz ją. Jest córką Ransleya Soamesa z Ministerstwa Finansów.

- Jeszcze raz gratulacje! - powiedział Pitt i odruchowo podał mu rękę.

Mathew uściskał ją z przelotnym uśmiechem.

- Lepiej już chodźmy - powiedział Pitt. - Ja na Bow Street, a potem do Ministerstwa Kolonii.

- Słusznie. Ale najpierw podziękuję pani Pitt za gościnę.

Szkoda... Szkoda, że nie przywiozłeś jej do Brackley, żeby przedstawić ją ojcu. Na pewno by ją polubił.

- Ja też żałuję. Obok wielu innych rzeczy.

Poszedł na górę poszukać Charlotte.

Pitt miał to szczęście, że zastał nadinspektora Gilesa Farnswortha w komisariacie przy Bow Street. Nadinspektor zaglądał tam rzadko, ponieważ podlegał mu spory rewir.

- A, dzień dobry, Pitt - przywitał go Farnsworth. Był przystojnym mężczyzną o nienagannych manierach, z prostymi jasnymi włosami, gładko ogoloną twarzą i przejrzystymi, spokojnymi, szaroniebieskimi oczami. - Zjawia się pan w samą porę. Wczoraj wieczorem było grubsze włamanie przy Great Wild Street, skradziono diamenty lady Warburton. Sir Robert do południa przygotowuje pełną listę. Wyjątkowo przykra historia. Zajmie się nią pan osobiście, dobrze? Obiecałem sir Robertowi, że wydeleguję do tej sprawy mojego najlepszego człowieka.

Nawet nie spojrzał na Pitta, żeby uzyskać potwierdzenie. To był rozkaz, nie sugestia.

Po przejściu w stan spoczynku Micah Drummond rekomendował Pitta na swojego następcę z takim entuzjazmem, że Farnsworth na to przystał, ale dosyć niechętnie. Pitt nie był dżentelmenem, w przeciwieństwie do Drummonda, i nie miał wcześniejszego doświadczenia w dowodzeniu ludźmi, znowu w

przeciwieństwie do Drummonda, który przed rozpoczęciem kariery w policji służył jako oficer w wojsku. Farnsworth był przyzwyczajony do tego, że na stanowisku nadkomisarza pracuje osoba z jego warstwy społecznej, bo z takim człowiekiem znacznie łatwiej było mu się porozumieć.

Pitt zdał sobie sprawę, że snobizm Farnswortha nie pozwoli im się ze sobą zaprzyjaźnić. Fakt, że Drummond traktował Pitta jak przyjaciela, należało potraktować jako jedną z tych gaf, które od czasu do czasu popełniają dżentelmeni. Z reguły jednak dotyczy to ludzi, którzy zasłużą się czymś wyjątkowym w oczach arystokraty, na przykład wyhodują konia, który wygra na wyścigach albo zaprojektują wymyślną fontannę w ogrodzie. Ale żeby się spoufalać z policyjnym podwładnym?

- Panie Farnsworth... - Pitt powstrzymał nadinspektora, który szykował się do wyjścia.

- Tak? - odparł zaskoczony Farnsworth.

Naturalnie zajmę się diamentami lady Warburton, jeśli pan sobie życzy, ale wolałbym posłać tam Tellmana, a sam udałbym się do Ministerstwa Kolonii, z którego, jak mnie poinformowano, podobno wyciekają strategiczne informacje na temat naszej polityki afrykańskiej.

- Co takiego?! - Farnsworth był przerażony. Odwrócił się i spojrzał na Pitta. - Nic o tym nie wiem! Dlaczego natychmiast mnie pan nie poinformował? Wczoraj i przedwczoraj bez problemu by mnie pan znalazł, gdyby się pan postarał. Istnieją telefony. Powinien pan sobie zainstalować takie urządzenie u siebie w domu. Trzeba iść z duchem czasu, Pitt. Nowoczesne wynalazki nie powinny służyć wyłącznie rozrywce tych, którzy mają więcej pieniędzy niż rozsądku. Jest pan za bardzo konserwatywny.

- Dowiedziałem się o tym pół godziny temu, tuż przed wyjściem z domu - odrzekł z satysfakcją Pitt. - Moim zdaniem

temat nie nadaje się do omawiania przez telefon, ale posiadam to urządzenie.

- Skoro temat nie nadaje się do omawiania przez telefon, to jak pan usłyszał o tej sprawie? - odszczeknął się Farnsworth, żartobliwie i z podobną satysfakcją. - Skoro chce pan być dyskretny, to należało najpierw iść do Ministerstwa Kolonii i wstępnie zbadać sprawę. Czy pan w ogóle ma świadomość powagi sytuacji?

- Pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych złożył mi osobistą wizytę - odparł z uśmiechem Pitt - z rozkazu lorda Salisbury'ego i oficjalnie zlecił mi zajęcie się tą sprawą. Informacja, o której mówimy, pojawiła się w ambasadzie niemieckiej. Stąd ministerstwo wie, że są przecieki. Niemcy częściowo znają nasze stanowisko negocjacyjne odnośnie do naszych posiadłości w Afryce Wschodniej i ewentualnej budowy brytyjskiego korytarza od Kairu po Kolonię Przylądkową. No ale diamenty lady Warburton...

- Do diabła z diamentami lady Warburton! Tellman się tym zajmie. Kiedy obiecałem lordowi mojego najlepszego człowieka, nie podałem jego nazwiska... - dodał ze złośliwym uśmiechem. - Niech pan nie popada w samouwielbienie. Natychmiast pójdzie pan do Ministerstwa Kolonii. Zostawi pan wszystko inne i skoncentruje się wyłącznie na tej sprawie. Rozumie pan? I, na litość boską, człowieku, niech pan będzie dyskretny!

- Tak, panie Farnsworth - odparł z uśmiechem Pitt. - Takie miałem zamiary, dopóki nie wyszła sprawa lady Warburton. Farnsworth zgromił go wzrokiem, ale nic już nie powiedział. Pitt otworzył Farnsworthowi drzwi, a potem wyszedł za nim i zawołał do dyżurnego, żeby posłał po inspektora Tellmana.

Rozdział drugi

Poszedł na Strand i tam złapał dorożkę. Kazał fiakrowi

zawieźć się do Ministerstwa Kolonii na rogu Whitehall i Downing Street. Dorożkarz był trochę zaskoczony, ale szarpnął za lejce i ruszyli w kierunku zachodnim.

Pitt rozmyślał o tym, co usłyszał od Matthew, i opracowywał strategię śledztwa. Informacje, które wyczytał w upoważnieniu, były dosyć zdawkowe.

Dorożka posuwała się ślimaczym tempem, bo wszystkim było spieszno i każdy uważał, że jemu należy się pierwszeństwo przejazdu. Fiakrzy krzyczeli na siebie nawzajem. Powóz jednokonny i karawan szepiły się kołami, co spowodowało zator. Dwaj młodzieńcy z platformy browarniczej udzielali woźnicom porad, a straganiarz kłócił się ze sprzedawcą pasztecików.

Upłynął kwadrans, zanim dorożka skręciła w Whitehall.

Kiedy stanęli przy Downing Street, podszedł do nich konstabl, aby spytać, czego sobie życzą.

- Nadkomisarz Pitt, do Ministerstwa Kolonii - odparł Pitt, pokazując mu legitymację służbową.

Zaintrygowany fiakier otworzył szerzej oczy.

- Tak jest, sir! - Konstabl zasalutował i przybrał bardziej regulaminową postawę zasadniczą.

Pitt zapłacił dorożkarzowi i ruszył po schodach do góry. Miał świadomość, że pod względem elegancji ubioru odstaje od wyfraczonych dyplomatów, którzy go mijali, wyposażonych w parasole, mimo że był pogodny majowy dzień.

- Czym mogę służyć, sir? - spytał go młody recepcjonista.

Pitt musiał znowu wyjąć legitymację, ponieważ jego wygląd zewnętrzny nie harmonizował z pełnionym przez niego stanowiskiem. Włosy jak zwykle za długie i sterczące niedbale spod kapelusza, marynarka wprawdzie dobrze skrojona, ale rozepchana przez rozmaite przedmioty noszone w kieszeniach, kołnierzyk niewykrochmalony, krawat źle dobrany.

- Mam poufną sprawę do omówienia z najwyższym urzędnikiem, który jest dostępny.

- Już pana umawiam, sir. Czy pojutrze panu odpowiada? Pan Aylmer będzie wtedy wolny i na pewno z radością pana przyjmie. To bezpośredni podwładny pana Chancellora i człowiek doskonale poinformowany...

Linus Chancellor, minister kolonii, był wschodzącą gwiazdą brytyjskiej polityki i wielu przepowiadało, że stanie kiedyś na czele rządu.

- Nie, nie odpowiada mi - odparł spokojnie, patrząc młodemu człowiekowi w oczy, w których zobaczył zdziwienie i oburzenie.

- Sprawa jest niecierpiąca zwłoki i ma charakter poufny, w związku z czym nie mogę zdradzić panu szczegółów.

Przybywam na prośbę Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeśli pan sobie życzy, proszę sprawdzić u lorda Salisbury'ego. Zaczekam na pana Chancellora.

Portier przełknął ślinę nie wiedząc, jak się zachować. Spojrzał na Pitta z niechęcią.

- Tak, sir, zawiadomię biuro pana Chancellora i przekażę jego odpowiedź.

Poszedł na górę i nie było go przez prawie kwadrans.

- Proszę za mną, sir - powiedział chłodnym tonem po powrocie.

Zaprowadził go na górę i zastukał do mahoniowych drzwi. Po chwili Pitt wszedł do środka.

Czterdziestoparoletni Linus Chancellor był energicznym, szczupłym, roslym i nienagannie ubranym mężczyzną z wysokim czołem, ciemnymi włosami, sterczącym nosem i szerokimi ustami, z których przebijało poczucie humoru i silna wola. Do jego licznych walorów zaliczały się wrodzony urok i niezwykła elokwencja.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu. - Wstał zza swojego

wspaniałego biurka i mocno uściskał Pittowi dłoń. - Słyszałem, że przychodzi pan z pilną i poufną sprawą. - Wskazał rozmówcy rzeźbione krzesło ze skórzanymi obiciami i sam ponownie usiadł. - Proszę mi wszystko wytłumaczyć. Niestety, mogę panu poświęcić tylko dziesięć minut. Jestem umówiony na spotkanie z panem premierem.

- Matthew Desmond z Ministerstwa Spraw Zagranicznych poinformował mnie dziś rano, że informacje dotyczące obecnych działań Ministerstwa Kolonii w Afryce, a zwłaszcza w dorzeczu Zambezi, przedostały się do ambasady niemieckiej. - Chancellor nie musiał już udawać uprzejmie zainteresowanego.

- Na razie wie o tym tylko pan Desmond i jego bezpośredni przełożony lord Salisbury. Pragnę poprosić pana o zgodę na podjęcie czynności...

- Oczywiście. Bezzwłocznie. Sprawa jest niezwykle poważna. Czy może mi pan powiedzieć, o jakiego rodzaju informacje chodzi? Czy pan Desmond przekazał to panu?

- Nie w szczegółach. Generalnie sprawa dotyczy koncesji górniczych i traktatów z tubylczymi wódzami.

- To może mieć bardzo poważne konsekwencje - odparł Chancellor z zatroskaną miną. - Od rozwoju osadnictwa w Afryce bardzo wiele zależy. Zresztą pan Desmond z pewnością to panu powiedział. Proszę mnie osobiście informować o przebiegu śledztwa, panie Pitt. Czy rozważył pan hipotezę, że informacje te pozyskali niemieccy agenci tam na miejscu? - spytał bez większej nadziei w głosie. - Mają w Afryce Wschodniej wielu odkrywców, poszukiwaczy przygód i żołnierzy, zwłaszcza na wybrzeżu Zanzibaru. Nie będę pana zanudzał szczegółami na temat ich traktatu z sułtanem Zanzibaru czy buntów i przemocy na tych terenach. Ograniczę się do stwierdzenia, że są tam silnie obecni.

- Sam nie zajmowałem się tym zagadnieniem, ale takie

właśnie było pierwsze pytanie, które zadałem panu Desmondowi - odparł Pitt. - Zapewnił mnie, że to niemożliwe, ponieważ informacje, o które chodzi, dokładnie odpowiadają naszej wersji wydarzeń, te zaś podlegają wielu interpretacjom.

- A... - Chancellor pokiwał głową. - Podejrzewa pan, że w naszych szeregach jest zdrajca. I to prawdopodobnie na wysokim szczeblu. Proszę mi powiedzieć, jakie kroki zamierza pan podjąć, panie Pitt.

- Prześwietlę wszystkie osoby, które miały dostęp do przekazanych informacji. Czy słusznie zakładam, że będzie to niewielka grupa?

- Z pewnością. Sprawami afrykańskimi kieruje u nas pan Thorne. Niech pan zacznie od niego. A teraz pozwoli pan, panie nadkomisarzu, że wezwę Fairbrassa, który zaprowadzi pana, gdzie trzeba. Mam wolną chwilę kwadrans po czwartej dziś po południu. Będę panu zobowiązany, jeśli mnie pan poinformuje o postępach dochodzenia.

- Tak, sir.

W drzwiach zjawił się jakiś młody człowiek, zapewne Fairbrass. Odebrawszy krótką instrukcję od Chancellora, okazałymi korytarzami zaprowadził Pitta do innego, ale bardzo podobnie urządzonego gabinetu. Na drzwiach widniała tabliczka „JEREMIAH THORNE”. Fairbrass uznał, że jest to osoba powszechnie znana i Pitt nie potrzebuje żadnych dodatkowych informacji na jej temat. Zapukał delikatnie, nacisnął klamkę i wsunął głowę do środka.

- Panie Thorne, na polecenie pana Chancellora przyprowadziłem panu nadkomisarza Pitta z Bow Street. Otworzył szerzej drzwi, żeby Pitt mógł się w nich zmieścić. Jeremiah Thorne z powierzchowności trochę przypominał swojego szefa. Od razu jednak wyczuwało się trudną do zdefiniowania różnicę w zachowaniu. Siedział wprawdzie za

biurkiem, ale również sprawiał wrażenie człowieka słusznego wzrostu. Oczywiście miał szeroko osadzone, włosy ciemne, gęste i gładkie, a usta szerokie. W odróżnieniu od Chancellora był urzędnikiem, a nie politykiem, co dawało mu tę przewagę, że nie musiał umizgiwać się do wyborców - Dzień dobry, panie nadkomisarzu - powiedział z zainteresowaniem w głosie.

- Proszę wejść. Czym mogę panu służyć? Jakieś przestępstwo na terenie kolonii? - uśmiechnął się. - Zapewne w Afryce, bo inaczej nie skierowano by pana do mnie.

- Nie, panie Thorne - Pitt wszedł do gabinetu i usiadł na wskazanym krześle. Zaczekał, aż za Fairbrassem zamkną się drzwi. - Obawiam się, że przestępstwo prawie na pewno miało swój początek w Ministerstwie Kolonii. Jeśli istotnie doszło do przestępstwa. Pan Chancellor upoważnił mnie do zbadania sprawy. Muszę zadać panu kilka pytań. Przepraszam, że zabieram panu czas, ale jest to niezbędne.

Thorne splótł ze sobą dłonie.

- W takim razie przejdźmy do rzeczy, panie nadkomisarzu.

Może mi pan powiedzieć, o jakie przestępstwo chodzi?

Pitt nie odpowiedział wprost. Jeremia Thorne miał dostęp do większości informacji, którymi dysponowało Ministerstwo Kolonii, a zatem należał do grona podejrzanych. Ponadto mógł ostrzec zdrajcę, nie wierząc w jego złe intencje, bądź też niechcący się wygadać z braku doświadczenia w takich sprawach.

- Wolałbym się z tym wstrzymać do czasu, kiedy uzyskam pewność, że istotnie doszło do przestępstwa - odparł wymijająco. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, komu składa pan raporty?

Thorne wyglądał na zaskoczonego, ale jeśli odczuwał też zaniepokojenie, to nie dał tego po sobie poznać.

- Garstonowi Aylmerowi, asystentowi pana Chancellora.

Niezwykłe kompetentny człowiek, wybitny umysł. Uzyskał dyplom *cum laude* w Cambridge. Ale podejrzewam, że pana interesują inne sprawy niż jego kwalifikacje akademickie. Przyszedł do Ministerstwa Kolonii prosto z uczelni. Czternaście albo piętnaście lat temu.

- Czyli ma około czterdziestu lat?

- Bodajże trzydzieści sześć. Jest naprawdę wybitny, panie nadkomisarzu, skończył studia w wieku dwudziestu trzech lat.

- Co studiował?

- Filologię klasyczną. Ale posiada też rozległą wiedzę z historii. Mieszka we własnym domu w Newington.

- Żonaty?

- Nie, kawaler.

Newington? Dziwne. Niby niedaleko od Whitehallu, ale mało prestiżowa dzielnica jak na człowieka na takim stanowisku, zapewne o niemałych ambicjach. Pitt podejrzewałby go raczej o wynajmowanie apartamentu w May fair, Belgravii lub Chelsea.

- Jakie są jego perspektywy zawodowe? - spytał Pitt.

- Czy może liczyć na awans?

- Z pewnością. Może z czasem objąć moją funkcję albo zostać szefem któregoś innego wydziału w Ministerstwie Kolonii. Z tego, co wiem, interesuje się Indiami i Dalekim Wschodem. Ale co to ma wspólnego z ewentualnym przestępstwem, które pan bada? Aylmer to człowiek na wskroś uczciwy i nienagannego prowadzenia się. O ile mi wiadomo, nawet nie pije alkoholu. Pitt mógł zadać jeszcze wiele pytań, na przykład o sytuację finansową asystenta pana Chancellora, ale nie chciał ich kierować do Thorne'a. Tak jak się spodziewał, sprawa była trudna i podejmował ją bez zapału. Ale Matthew Desmond nie formułowałby tak poważnego zarzutu, gdyby nie miał ku temu bardzo mocnych podstaw.

- Proszę mi opowiedzieć o innych osobach ze swojego

personelu, panie Thorne.

- Peter Arundell specjalizuje się w Egipcie i Sudanie.

Pitt pozwolił mu przedstawić szczegółowy profil jego pracownika. Postanowił nie pytać konkretnie o dorzecze Zambezi, bo choć chciałby zaufać panu Thorne'owi, to nie mógł sobie na to pozwolić.

Thorne przedstawiał kolejnych swoich pracowników, w tym Iana Hathawaya, który zajmował się Maszonalandem i Matabelelandem, czyli dorzeczem Zambezi.

- To jeden z najbardziej doświadczonych członków naszego personelu, aczkolwiek bardzo skromny - ciągnął Thorne. - Ma około pięćdziesięciu lat. Odkąd go znam, jest wdowcem. Jego żona zmarła młodo i nie ożenił się po raz drugi. Ma dwóch synów. Jeden pracuje w służbie kolonialnej w Sudanie, a drugi jest misjonarzem, niestety nie pamiętam, w którym kraju.

Ojciec Hathawaya był archidiakonem w Kościele anglikańskim. Pochodził z Somerset lub Dorset. Sam Hathaway mieszka w South Lambeth, tuż za mostem Vauxhall. Nic nie wiem na temat jego zasobów finansowych. To człowiek bardzo skryty, nie narzuca się ze swoją osobą, ale wszyscy go lubią, bo dla każdego ma uprzejme słowo.

- Rozumiem. Dziękuję panu.

Nie był to zbyt obiecujący początek, ale w tym stadium trudno było liczyć na jakiś przełom. Pitt zastanowił się, czy powinien zapytać o obieg informacji w urzędzie, czy też jeszcze nie wtajemniczać swego rozmówcy w charakter popełnionego przestępstwa i drążyć temat życia osobistego Aylmera, Hathawaya i samego Thorne'a, w nadziei, że natrafi na jakiś trop.

- To wszystko, panie nadkomisarzu - powiedział Thorne, przerywając milczenie. - Oprócz wymienionych osób są tylko biuraliści, gońcy i asystenci niższej rangi. Nie znając natury

przestępstwa, które pan bada, nie wiem, jak jeszcze mógłbym panu pomóc.

Nie był to zarzut, lecz stwierdzenie faktu.

- Pewne informacje przedostały się w niepowołane ręce -
odparł ogólnikowo Pitt. - Niewykluczone, że wyszły z tego
urzędu.

- Rozumiem. - Inaczej niż Chancellor, Thorne nie sprawiał
wrażenia przerażonego czy nawet szczególnie zaskoczonego. -
Chodzi zapewne o informacje natury finansowej lub takie, na
których można zarobić? Niestety, tam, gdzie w grę wchodzi
wielkie możliwości, tak jak teraz w Afryce, zawsze jest takie
ryzyko. Czarny Ląd - kiedy wypowiadał te słowa, kącki jego ust
unosły się nieznacznie - przyciąga wielu poszukiwaczy łatwych
zysków, ale także osadników, kolonizatorów, odkrywców,
myśliwych i misjonarzy, którzy pragną szerzyć chrześcijaństwo
i nieść zbawienie mieszkańcom tych nieszczęsnych krain, jak
również narzucić pogańskim plemionom brytyjskie prawo i
cywilizację.

Pitt nie wyprowadzał go z błędu.

- To nie zmienia faktu, że spekulację trzeba ukrócić -
powiedział poważnym tonem.

- Oczywiście - odparł Thorne. - Chętnie udzielę panu
wszelkiej możliwej pomocy, ale nie mam pojęcia, od czego
zacząć. Trudno mi uwierzyć, aby którykolwiek z wymienionych
przeze mnie ludzi zniżył się do czegoś takiego, ale może
skierują pana do potencjalnego winowajcy. Wydam im
odpowiednie polecenia. Dziękuję, że najpierw przyszedł pan do
mnie, nadkomisarzu, było to nadzwyczaj uprzejme z pana
strony.

- Nie ma za co. Zacznę od obiegu informacji, nie tylko
finansowych, i sprawdzę, kto ma dostęp do czego.

- Doskonale. - Thorne wstał na znak, że rozmowa skończona.

- Życzy pan sobie, aby ktoś pana wtajemniczył w zawilosci systemu, czy też woli pan zapoznać się z nim na własną rękę? Obawiam się, że policyjne procedury to dla mnie *terra incognita*.

- Gdyby dał mi pan kogoś do pomocy, oszczędziłoby mi to mnóstwo czasu.

- Naturalnie. - Pociągnął za sznurek dzwonka i po chwili w drzwiach sąsiedniego biura pojawił się jakiś młody człowiek. - Wainwright, to jest nadkomisarz Pitt z komisariatu przy Bow Street, który chciałby się dowiedzieć paru rzeczy. W tym stadium sprawa jest ściśle poufna. Oprowadzi pan go i pokaże mu, jakimi kanałami docierają do nas informacje z Afryki i na temat Afryki z innych źródeł. Najprawdopodobniej doszło do jakichś nieprawidłowości. Byłoby lepiej, gdyby nikogo pan nie uświadamiał, kim jest pan Pitt i czym się panowie zajmują.

- Tak, sir.

Wainwright sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale jak przystało na dobrego urzędnika Jej Królewskiej Mości, nie wygłosił żadnej uwagi ani nawet nie zasugerował wyrazem twarzy, jakie są jego odczucia.

- Witam, sir - powiedział do Pitta. - Proszę ze mną. Pokażę panu, jakiego rodzaju komunikaty otrzymujemy i jakie są ich dalsze losy.

Pitt jeszcze raz podziękował Thorne'owi i poszedł za Wainwrightem. Przez resztę dnia dowiadywał się, jakimi kanałami przychodzą informacje z różnych źródeł, kto je odbiera, gdzie są przechowywane, jak są przekazywane dalej i kto ma do nich dostęp. O wpół do czwartej doszedł do wniosku, że konkretne dane, które przytoczył mu Matthew Desmond, w fragmentach mogło znać wiele osób, ale w całości tylko kilka: Garston Aylmer, Ian Hathaway, Peter Arundell, niejaki Robert Leicester i Thorne.

Nie poinformował o tym jednak Chancellora, kiedy o umówionej godzinie - kwadrans po czwartej - udał się do jego biura. Powiedział tylko, że udzielono mu pomocy i że zdążył już wykluczyć kilka możliwości.

- A co pozostało? - spytał Chancellor wyraźnie spięty. - Nadal nie ma pan wątpliwości, że jest wśród nas zdrajca, który przekazuje informacje kajzerowi?

- To jest konstatacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale rzeczywiście wydaje się, że nie ma innego spójnego wytłumaczenia zaistniałych faktów.

- Nadzwyczaj przykre - zamyślił się ze ściągniętymi posępnie brwiami. - Mogę walczyć z wrogiem, który występuje z otwartą przyłbicą, ale nie ma nic gorszego, niż zdrada we własnych szeregach. Najbardziej ze wszystkiego na świecie nienawidzę zdrajców – rzucił Pittowi szybkie spojrzenie swoich przenikliwych niebieskich oczu. - Studiował pan literaturę klasyczną, panie Pitt?

Było to absurdałne pytanie, ale Pitt potraktował je jako komplement, także dla Arthura Desmonda, dzięki któremu Chancellor mógł się tak pomylić co do syna gajowego.

- Nie, sir. Znam Szekspira i najważniejszych poetów, ale nie Greków - odparł Pitt.

- Myślałem raczej o Dantem. W swoim obrazie kolejnych kręgów piekielnych dokonuje on gradacji grzechów. Zdrajców umieszcza w najniższym kręgu, znacznie niżej od rozbójników, złodziei, rozpustników i innych nikczemników. Uważa zdradę na najcięższy grzech, jaki może popełnić człowiek, jest to bowiem nadużycie darów rozumu i sumienia, które mamy od Boga. Zdrajcy są skazani na wiekuistą samotność, skuci lodem. Straszna kara, nie sądzi pan, panie Pitt? Ale stosowna do zbrodni.

- Tak - odparł Pitt, którego na chwilę trochę zmroziło. - Tak,

może istotnie jest to największa zbrodnia: nadużycie zaufania, a wieczne odosobnienie to nie tyle kara, ile naturalna konsekwencja obranego sposobu postępowania. Można powiedzieć, że jest to piekło na własne życzenie.

- Widzę, że wiele nas łączy, panie Pitt - stwierdził Chancellor ze szczerym, życzliwym uśmiechem. - A to ważne. Musimy się uporać z tą zatrważającą sprawą, która kładzie się cieniem na wszystkich naszych działaniach - zagryzł wargę i potrząsnął głową. - Najgorsze jest to, że dopóki nie wykryje się sprawcy, coś takiego zatruwa stosunki między wszystkimi. Żywimy krzywdzące podejrzenia wobec absolutnie niewinnych osób. Może się o to rozbić nawet najgłębsza przyjaźń. Przyznaję, że nie umiałbym patrzeć na kogoś takim samym okiem, gdyby okazał się zdolny podejrzewać mnie o zdradę. A przecież mam obowiązek traktować wszystkich jako potencjalnych podejrzanych. Co za obrzydliwa sprawa! - Na jego twarzy pojawił się autoironiczny uśmiech. - Widzi pan, nic konkretnego nie wiadomo, a już takie szkody psychiczne poczyniła. - Spoważniał i pochylił się nad biurkiem. - Nie ma potrzeby owijać w bawełnę, Pitt. Jest to dla mnie tragiczna świadomość, ale wiem, że to musi być ktoś wysoko postawiony, czyli Aylmer, Hathaway, Arundell, Leicester albo, uchochuj Boże, Thorne. Nie dowie się pan, o którego z nich chodzi, śledząc drogę świstków papieru... - bezwiednie bębnił palcami o blat biurka. - On jest na to zbyt inteligentny. Będzie pan musiał przeniknąć jego sposób myślenia, dowiedzieć się, jakie ma słabości, kaprysy. A to wymaga poznania jego życia prywatnego... Proszę nie robić takiej zaskoczony miny. Nie jestem idiotą!

Policzki Pitta zapłonęły. Wcale nie pomyślał w ten sposób o Chancellorze, ale nie spodziewał się z jego strony takiej bezpośredniości.

- Proszę wybaczyć - powiedział Chancellor z zakłopotanym uśmiechem. - To było zbyt emocjonalne. Ale nie wycofuję tego, co powiedziałem. Powinien pan spotkać się z nimi wszystkimi na gruncie towarzyskim. Może pan przyjść dzisiaj wieczorem na bankiet do księżnej Marlborough? Ze zdobyciem zaproszenia nie będzie problemu. Zdaję sobie sprawę, że bardzo późno panu to proponuję - dodał, widząc wahanie na twarzy Pitta - ale historia na nikogo nie czeka. Nasz traktat z Niemcami powinien zostać niedługo podpisany.

- Oczywiście przyjdę - powiedział Pitt. - To doskonały pomysł. Dziękuję za pomoc, sir.

- Razem z małżonką? Jest pan żonaty, jak tużę?

- Tak.

- Doskonale. Mój lokaj dostarczy zaproszenia do godziny szóstej. Pański adres?

Dobrze, że mieszkam już w nowym domu - pomyślał Pitt.

Szybko się pożegnał, bo do bankietu w Marlborough House pozostało tylko parę godzin, a było wiele do zrobienia.

Zwłaszcza dla Charlotte. Jej siostra Emily, od której z reguły pożyczowała suknie na bardziej uroczyste okazje, znowu wyjechała do Włoch. Jej mąż Jack był posłem, a ponieważ parlament latem nie obraduje, skorzystali z okazji i udali się w podróż. Charlotte nie miała zatem możliwości pożyczyć stroju od siostry. Pozostawała jej lady Vespasia Cumming-Gold, siostra matki jej teściowej z pierwszego małżeństwa, z lordem Ashworth.

- Co takiego? - zdumiała się Charlotte. - Dziś wieczorem? To niemożliwe! Jest już prawie piąta!

Stała w kuchni z naręczem talerzy.

- Wiem, że zostało niewiele czasu...

Dopiero teraz zaczęło mu świtać, na jakie szaleństwo się porwał.

- Niewiele czasu! - pisnęła histerycznie, odstawiając talerze. -
Potrzeba tygodnia, żeby się przygotować do takiej imprezy.
Chyba wiesz, kto to jest księżna Marlborough, Thomasie?
Mogą tam być członkowie rodziny królewskiej! A na pewno
będzie cała arystokratyczna śmietanka. - Oburzenie na jej
twarzy nagle ustąpiło miejsca ciekawości. - Jakim cudem
zdołałeś zaproszenie na bankiet u księżnej Marlborough? Są w
Londynie ludzie gotowi popełnić zbrodnię dla czegoś takiego. -
W kącikach jej ust zaigrało rozbawienie. - Tylko mi nie mów, że
ktoś popełnił.

Jej hipoteza była tak absurdalnie daleka od prawdy, że setnie
go to ubawiło. Czy powinien ją wtajemniczyć w tę ściśle tajną
sprawę? Miał do niej zaufanie, ale żadne z prowadzonych przez
niego dotychczas śledztw nie dotyczyło kwestii rangi
państwowej.

Zauważyła jego wahanie.

- Czyli zgadłam?

Wytrzeszczyła oczy i nie wiedziała, czy wypada się roześmiać.

- Nie, nie - odparł Pitt. - To jest znacznie poważniejsza
sprawa.

- Nie pracujesz nad śmiercią sir Arthura? - spytała. - To nie
może mieć nic wspólnego z księżną Marlborough. A nawet
gdyby miało, to nie dostałbyś zaproszenia tylko dlatego, że jest
ci potrzebne. Sądzę, że nawet ciocia Vespasia miałaby z tym
kłopoty.

A przecież ciocia Vespasia mogła prawie wszystko. W swoim
czasie Vespasia była piękną o klasycznych rysach, jak
również kobietą pełną wdzięku, dowcipu i werwy. Teraz, po
przekroczeniu osiemdziesiątki, wciąż zasługiwała na miano
pięknej. Dowcip jej się wyostrzył, ponieważ mniej dbała o to, co
ludzie o niej pomyślą. Kpiła sobie z konwenansów, popierała
różne radykalne idee, w swoich sympatiach i antypatiach

kierowała się wyłącznie swoim wewnętrznym przekonaniem i nie stroniła od niebezpiecznych rozrywek. Nie była jednak osobą na tyle wszechwładną, aby od ręki uzyskać zaproszenie na bankiet u księżnej Marlborough, i to dla kogoś innego.

- Tak, pracuję nad śmiercią sir Arthura - odparł Pitt, trochę naciągając prawdę. Ruszył po schodach za Charlotte, która gwałtownie się ożywiła. - Ale pracuję też nad inną sprawą, którą zlecił mi dzisiaj rano Matthew. Do księżnej Marlborough idziemy w związku z tym drugim śledztwem. Zaproszenia mamy od pana Linusa Chancellora z Ministerstwa Kolonii.

- Słyszałam o nim. Podobno niezwykle uroczy i inteligentny człowiek, który może kiedyś stanąć na czele rządu.

Uśmiechnął się, ale szybko zrobił poważną minę. Charlotte nie obracała się już w kręgach towarzyskich, w których osobiście znano polityków najwyższej rangi. Małżeństwo z policjantem zbulwersowało jej znajomych i znacznie pogorszyło jej sytuację finansową i towarzyską.

Pani Pitt sposepniała twarzy.

- Mam błędne informacje? Nie jest uroczy?

- Jest nadzwyczaj uroczy, jak również bardzo inteligentny. Od kogo o nim słyszałaś?

- Od Emily - odparła, otwierając szafę garderobianą.

- Jack spotkał się z nim kilka razy. Mama też. - Dopiero teraz dotarł do niej sens jego pytania. - Masz rację, to jest ocena zaledwie dwóch osób. Spotkałeś się z nim dzisiaj? Po co?

- Sprawa jest ściśle tajna. Wagi państwowej. Nie podaję szczegółów nawet tym, których przesłuchuję. Z Ministerstwa Kolonii wyciekają informacje do ludzi, którzy me powinni ich znać.

Charlotte okręciła się na pięcie.

- Chcesz powiedzieć, że w Ministerstwie Kolonii jest szpieg?

To straszne! Ale czemu tak kluczysz, Thomasie?

Zachowujesz się pretensjonalnie.

- No, ja... - zarzut ten bardzo go zabolął. Pitt nie znosił pompatyczności. - Masz coś odpowiedniego do włożenia na siebie?

Zamknęła drzwi szafy garderobianej.

- Nie wiem. Pozwól mi się zastanowić. Emily wyjechała, nie bardzo widzę, kto mógłby mi pomóc... Ciocia Vespasia! Zainstalowała sobie telefon. Spróbuję do niej zadzwonić i poradzić się.

Nie czekając na reakcję Pitta, zeszła do westybulu i podniosła słuchawkę. Jeszcze nie umiała posługiwać się tym urządzeniem i uzyskanie połączenia zajęło jej kilka minut. Odebrała pokojówka i kazała jej chwileczkę poczekać.

Ciocia Vespasia? - powiedziała przejęta Charlotte, kiedy starsza pani ją pozdrowiła. Przepraszam, że przeszkadzam, ale Thomasowi właśnie zlecono ważne śledztwo, na którego temat niewiele wiem, poza tym, że Thomas został zaproszony na przyjęcie u księżnej Marlborough dzisiaj wieczorem.

Na drugim końcu linii zapadła zdziwiona cisza, ale dobre wychowanie Vespasii nie pozwoliło jej zadawać pytań.

- W takim razie sprawa rzeczywiście musi być poważna... Do czego mogę ci się przydać, moja droga? Bo spodziewam się, że po to do mnie dzwonisz...

- Tak... Nie wiem, jak mam się ubrać. Nigdy nie byłam na uroczystości tej rangi. I oczywiście nie mam niczego odpowiedniego.

Vespasia była szczuplejsza od Charlotte, ale nie pierwszy raz pożyczowała jej suknie. Kiedy Pitt był tylko szeregowym oficerem śledczym, zarabiał zbyt mało, aby kupować swojej małżonce toalety na cały sezon. Z drugiej strony księżna Marlborough i tak by ich nie zaprosiła!

- Poszukam czegoś odpowiedniego i wyślę z nią do ciebie

lokaja - zdecydowała natychmiast starsza pani. - Nie przejmuj się późną porą. Nie jest w dobrym tonie przychodzić na przyjęcie o godzinie wskazanej na zaproszeniu. Wpół do jedenastej - to będzie idealna pora. Kolację podadzą koło północy. O ile dobrze sobie przypominam, na zaproszeniu podano godzinę dziesiątą.

- Nie wiem, jak ci dziękować, ciociu Vespasio!

Dopiero po odłożeniu słuchawki zdała sobie sprawę, że Vespasia też jest zaproszona, skoro wie, o której godzinie zaczyna się przyjęcie.

Suknia należała do najbardziej zachwycających, jakie Charlotte w życiu widziała, turkusowa, ozdobiona maleńkimi perełkami na wysokości dekoltu i ramion, z wąską turniurą i talią podkreśloną złotą kokardą. Vespasia nie zapomniała też o doskonale dobranych pantofelkach.

Zatkanwszy ostatnią szpilkę w koku, zeszła po schodach tak dostojnym i powolnym krokiem, jakby była królową. Gracie oniemiała, a dzieci patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami. Pitt, który przez cały ten czas niespokojnie przemierzał westybul, rozdziawił usta z zachwytem.

- Wyglą... - zaczął, ale potem uznał, że to nie jest moment na komplementy, choćby najbardziej zasłużone.

- Bardzo ci w tym do twarzy - dokończył, chociaż zamierzał powiedzieć coś niezmiernie bardziej czułego, by nie rzec namiętnego. Spojrzała na niego niepewnie, ale nie odezwała się ani słowem.

Pitt wynajął powóz. Na taką uroczystość nie jedzie się dorożką. Po pierwsze suknia Charlotte - a ściślej Vespasii - by się pomieściła, a po drugie, jeszcze istotniejsze, wyróżniałoby się jako członkowie niższej warstwy społecznej.

Na podjeździe, a nawet na ulicy było tłoczno od powozów, dziesiątki gości przybyły bowiem w porze, którą Vespasia

wskazała jako optymalną. Tłum bez mała porwał ich ze sobą do wielkiego holu. Zewsząd otaczały ich szeleszczące spódnice, nerwowe śmiechy i głosy ostentacyjnie skierowane go najbliższego otoczenia, ignorujące wszystkich innych. Światło żyrandoli odbijało się od tiar, broszek, naszyjników, kolczyków, bransolet i pierścieni. Na owiniętych szkarłatnymi i purpurowymi szarfami piersiach mężczyzn błyszczały orderery. W drzwiach sal bankietowych na górze kolejnych gości anonsował majordomus, na którego twarzy nie malowały się żadne emocje, niezależnie od nazwiska i rangi przedstawianej osoby. Jeśli nigdy wcześniej nie słyszał o państwie Pitt, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

Pitt był znacznie bardziej stremowany niż Charlotte, którą w dzieciństwie uczono, jak ma się zachować na tego rodzaju uroczystościach, nawet jeśli nie tej rangi. Pitt miał wrażenie, że sztywny kołnierzyk wbija mu się w podbródek i nie śmiał przekręcać głowy. Charlotte uparła się, że obetnie mu włosy, co mu uświadomiło, że od lat nie był u porządnego fryzjera. Buty miał *prima sort*, prezent od Jacka, ale czarny smoking odbiegał jakością od tych, które Pitt widział wokół siebie. Nie miał wątpliwości, że nie ujdzie to uwagi jego rozmówców.

Przez pierwszy kwadrans przechodzili od jednej grupki do drugiej, wygłaszali zdawkowe uwagi i mieli coraz większe poczucie, że tracą czas, który mogliby spędzić pożytecznie. W końcu jednak Pitt zobaczył Linusa Chancellora, a obok niego postawną kobietę, niemal dorównującą mu wzrostem.

- Kto to jest? - szepnęła Charlotte. - Wygląda bardzo ciekawie, zupełnie inaczej niż większość tych kobiet.

- Nie wiem, ale domyślam się, że to żona Chancellora - odparł ściszym głosem Pitt.

- A, czyli mężczyzna obok niej to Linus Chancellor!

Przystojny, prawda?

Pitt spojrzał na nią z zaciekawieniem. Szczerze powiedziawszy, w ogóle nie rozważał kwestii, czy Chancellor może się podobać kobietom. Zwrócił tylko uwagę, że z twarzy szefa Ministerstwa Kolonii przebija siła charakteru, wyobraźnia, stanowczość i pewność siebie. Postrzegał go jako polityka i próbował oszacować jego zdolność do oceny innych ludzi.

- Masz rację, przystojny - odparł z przekonaniem.

W tym momencie kobieta dyskretnie włożyła dłoń pod ramię Chancellora i przybliżyła się do niego. Gest ten wyrażał nie zaborczość, lecz dumę i czułość.

- Jeśli jest żonaty, ona musi być jego żoną, bo w przeciwnym razie nie zrobiłaby tego publicznie.

- Czego by nie zrobiła?

Charlotte uśmiechnęła się i powtórzyła gest wysokiej kobiety.

- Wciąż jest w nim zakochana - szepnęła.

Pitt trochę się zawstydził, że jego małżonka udzieliła mu lekcji detektywistycznej czujności.

Dalszą dyskusję na ten temat uniemożliwiło im nadejście mężczyzny, dla którego najlaskawszym określeniem byłoby „pocziwiec”. Trochę niższy od Charlotte - która, co trzeba uczciwie przyznać, była jednak dosyć wysoka jak na kobietę - krępy, z grubymi ramionami i liczną serią podbródków, które nadawały jego twarzy przedziwny kształt. Nie była to jednak twarz niesympatyczna, a kiedy się odezwał, głos miał piękny i całkiem oryginalny.

- Dobry wieczór, panie Pitt. Jak miło pana widzieć w tym towarzystwie.

Uprzejmie zaczekał, aż zostanie przedstawiony Charlotte.

- Dobry wieczór, panie Aylmer. Charlotte, pozwól, że ci przedstawię pana Garstona Aylmera z Ministerstwa Kolonii.

- Bardzo mi miło, pani Pitt - odparł Aylmer z pełnym gracji

ukłonem. - Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawiła, aczkolwiek te bale bywają nudne, jeśli ktoś zostanie za długo. Za każdym razem wszyscy mówią to samo, chociaż z reguły myślą co innego. Ale ponieważ my spotykamy się po raz pierwszy, to może powiemy sobie coś nowego i ciekawego.

- Byłabym zachwycona - odparła Charlotte. - Nie interesuje mnie pogoda ani plotki towarzyskie.

- Mnie również - zgodził się z nią Aylmer. - W takim razie na jaki temat podyskutujemy?

Pitt był zadowolony, że radzą sobie bez niego. Przeprosił ich i ruszył w stronę Linusa Chancellora i stojącej u jego boku kobiety.

- Taki, o którym nic nie wiem - odpowiedziała Charlotte Aylmerowi. - Wtedy będzie pan mógł zmyślać do woli, bo jako osoba niewtajemniczona nie będę mogła tego zweryfikować.

- Doskonały pomysł! - zareagował entuzjastycznie Aylmer. - A o czym pani nic nie wie, pani Pitt?

- Jest tego bez liku.

Aylmer podał jej ramię i poszli w stronę schodów na taras.

- Na przykład Afryka. Jako pracownik Ministerstwa Kolonii z pewnością wie pan na ten temat nieskończenie więcej ode mnie.

- Nie wątpię - odparł z szerokim uśmiechem. - Aczkolwiek ostrzegam panią, że często są to sprawy brutalne i tragiczne.

- Ale wszystko, o co ludzie walczą, jest coś warte - argumentowała. - Podejrzewam, że wygląda tam zupełnie inaczej niż w Anglii. Widziałam na zdjęciach i rycinach: dżungla, bezkresna sawanna, egzotyczne zwierzęta. I te dziwne drzewa, które wyglądają na odpłowane u góry.

- Akacje - sprecyzował Aylmer. - Tak, w Afryce z pewnością jest inaczej niż w Anglii. Ale przyznam się pani, chociaż przypuszczalnie stracę pani zainteresowanie, że nigdy tam nie

byłem. Bardzo dużo wiem, ale z drugiej ręki. Nudne, prawda?
Spojrzała na niego i oceniła, że jest to z jego strony czysta kokieteria. Przesadą byłoby stwierdzenie, że z nią flirtował, ale na pewno lubił towarzystwo kobiet.

- Nie ma chyba większej różnicy, czy zna się coś z drugiej czy z trzeciej ręki - odparła, kiedy mijali grupę ludzi pogrążonych w poważnej rozmowie. - Jak już mówiłam, nie zweryfikuję tego, co mi pan mówi, więc niech pan opowiada jak najbarwniej, nawet gdyby musiał pan zmyślać. Proszę mi opowiedzieć o dorzeczu Zambezi, o złocie i diamentach, o doktorze Livingstonie i panu Stanleyu, o Niemcach...

- Wielkie nieba, wszystko chce pani wiedzieć?

Podszedł do nich lokaj z kieliszkami szampana na srebrnej tacy - Zaczniemy od tego, że wszystkie złoża diamentów, o których wiemy, znajdują się w Afryce Południowej. - Wręczył jej kieliszek szampana, a potem wziął drugi dla siebie. -

Sądzymy jednak, że znajdziemy w dorzeczu Zambezi ogromne ilości złota. Są tam potężne ruiny cywilizacji, miasto, które nazywa się Zimbabwe. Dopiero zaczynamy szacować ogrom bogactwa, które jest tam zgromadzone. Naturalnie Niemcy również są tym zainteresowani. Podobnie jak wszyscy inni.

- Czy dorzecze Zambezi jest własnością Wielkiej Brytanii?

- Jeszcze nie.

- Ale będzie?

- To bardzo ważne pytanie, na które nie mam odpowiedzi.

- A gdyby pan miał, to byłaby ona ściśle tajna.

- Oczywiście.

Uśmiechnął się i zaczął jej opowiadać o Cecilu Rhodesie, o jego przygodach i wyczynach w Południowej Afryce, o Randzie i Johannesburgu, o odkryciu kopalni diamentów w Kimberley.

W pewnej chwili przerwał im serdeczny w obejściu młody człowiek z długim nosem, który przeprosił Charlotte i wziął

Aylmera na stronę, ku jego wyraźnemu niezadowoleniu. Skorzystała z okazji i rozejrzała się wokół siebie, aby sprawdzić, czy rozpozna kogoś znanego jej ze zdjęć w „London Illustrated News”. Zobaczyła rosnącego mężczyznę z bujnymi bokobrodami i kręconą brodą, łysą głową, w której odbijało się światło żyrandoli, i smutnymi oczami charta. Wydawało się jej, że jest to minister spraw zagranicznych lord Salisbury, ale nie miała całkowitej pewności, ponieważ szare fotografie dawałby tylko ogólne wyobrażenie.

Linus Chancellor rozmawiał z człowiekiem, który był doń trochę podobny z wyglądu, ale nie miał jego ambicji ani żywego temperamentu. Zatopieni w dyskusji nie zauważali tego, co się działo wokół nich. Obok rozmówcy Chancellora stała wątpliwej urody kobieta, od której biły jednak wyjątkowa inteligencja i pewność siebie. Nos miała tak wydatny, że zdawał się przedłużeniem czoła. Podbródek był trochę za krótki, a oczy szeroko osadzone, lekko skośne i za duże. W sumie oryginalna i trochę niepokojąca twarz. Kobieta była bardzo elegancko ubrana, ale jej pokraczna uroda odciągała od tego uwagę. Charlotte zamieniła kilka uprzejmych zdań z małżeństwem, które poczytywało sobie za obowiązek porozmawiać ze wszystkimi, a potem znowu była sama, co jej jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Miała świadomość, że Pitt jest tutaj służbowo.

Kilka metrów dalej stała blada kobieta mniej więcej w jej wieku, z wymyślną fryzurą i w pastelowej sukni wyszywanej perłami i paciorkami. Dyskretnie zerknęła na Charlotte znad wachlarza i powiedziała do stojącego obok niej przystojnego mężczyzny:

- Biedne stworzenie, przyjechała ze wsi.
- Znasz ją? - zdziwił się jej towarzysz.
- Oczywiście, że nie. Doprawdy, Geraldzie! Jak mogłabym

znać taką osobę? Po prostu poznaję po chłopskiej karnacji, że pochodzi ze wsi. Wygląda jak dojarka, choć oczywiście nie może być dojarką, bo nie znalazłaby się tutaj. Podejrzewam, że rumianą cerę zawdzięcza wyjazdom na polowania i tak dalej - zmarszczyła nieznacznie nos. - Wygląda jak hoża wiejska dziewczucha. Szczyt niestosowności. Sądzę jednak, że biedactwo nie zdaje sobie z tego sprawy. Na swoje szczęście.

- Twoje współczucie jest rozbijające, moja droga - powiedział Gerald ze ściągniętym kącikiem ust. - Wrażliwość na uczucia innych należy do twoich najbardziej uroczych cech. Spojrzała na niego dla sprawdzenia, czy sobie z niej nie żartuje, ale potem postanowiła wziąć jego słowa za dobrą monetę i ruszyła w stronę znajomej wicehrabiny. Gerald rzucił Charlotte spojrzenie pełne nieskrywanej admiracji i posłusznie poczłapał za partnerką.

Charlotte uśmiechnęła się do siebie i poszła poszukać Pitta. Po drugiej stronie sali zobaczyła lady Cumming-Gould, która wspaniale wyglądała w sukni ze stalowoszarej satyny. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Vespasia puściła do Charlotte oko, nie przerywając rozmowy.

Znalezienie Pitta zajęło Charlotte kilka minut. Jej mąż przeniósł się z głównej sali bankietowej do mniej gwarne go pomieszczenia, w którym rozmawiał z mężczyzną podobnym do Linusa Chancellora i jego oryginalnej urody towarzyszką. Charlotte zawahała się, nie chcąc im przeszkadzać, ale oczy kobiety natychmiast rozbłysły zainteresowaniem. Wzrok jej partnera, a później Pitta poszedł za jej spojrzeniem.

Charlotte podeszła do nich.

- Pan Jeremiah Thorne z Ministerstwa Kolonii i jego małżonka - powiedział Pitt. - Pozwolą państwo, że im przedstawię moją żonę.

- Witam, pani Pitt! - powiedziała pani Thorne

entuzjastycznym tonem. - Interesuje panią Afryka? Mam nadzieję, że nie. Ja jestem śmiertelnie znudzona tym tematem. Proszę, niech pani ze mną porozmawia o czymś innym. Wszystko jedno o czym, byle nie o Indiach, które z tej odległości niewiele się różnią od Afryki.

- Christabel... - powiedział Thorne karcącym tonem, ale Charlotte natomiast się zorientowała, że tylko udawał zaniepokojonego i że jest przyzwyczajony do takich zachowań małżonki.

- Tak, mój drogi - odparła Christabel - rozmawiam z panią Pitt. Znajdziemy sobie jakiś ciekawy temat, albo poważny i szlachetny, na przykład ratowanie dusz ludzkich od zguby, albo trywialny, taki jak stroje tu obecnych pań czy też matrymonialne plany starszych pań dla ich córek.

Thorne jednocześnie jęknął i uśmiechnął się czule, po czym wrócił do rozmowy z Pittem.

Charlotte poszła za Christabel, ostrząc sobie zęby na ciekawą rozmowę.

- Jeśli bywa pani na takich przyjęciach równie często jak ja, to z pewnością setnie się pani na nich nudzi - powiedziała z uśmiechem Christabel.

- To jest mój debiut na tym szczeblu - przyznała szczerze Charlotte, nie chcąc być złapana na pretensjonalności. - Od momentu zamążpójścia byłam tylko na kilku przyjęciach, na których...

Urwała, bo nie miała pewności, czy powinna przyznawać się do tego, że bierze udział w śledztwach swojego męża.

- Tak? - naciskała Christabel. - Co zamierzała pani powiedzieć?

Charlotte doszła do wniosku, że Christabel nie wybaczyłaby jej kłamstwa, a z pewnością wie od męża, jaki zawód wykonuje Pitt.

- Trochę pomagałam mężowi w prowadzeniu dochodzeń - dokończyła. - Są takie okazje...

- Coś wspaniałego! Ależ oczywiście! Nie musi się pani tłumaczyć, moja droga. Nie widzę w tym nic złego. Tym razem została pani zaproszona w związku z tą okropną historią z ginącymi informacjami na temat Afryki. Co też chciwość potrafi zrobić z ludźmi... - westchnęła. - Przynajmniej niektórymi. Niech się pani nie denerwuje, moja droga. Przed chwilą podsłuchałam mojego męża, który o tym mówił. Zawsze trzeba się liczyć z takim niebezpieczeństwem. Tam, gdzie można zbić fortunę, znajdują się ludzie, którzy nie cofną się przed przestępstwem. Nietypowe jest tylko to, że nasze władze zdecydowały się wciągnąć w sprawę policję. Mogę temu tylko przyklasnąć.

Zatrzymał się przy nich lokaj z kolejną tacą szampana.

Christabel podziękowała ruchem dłoni i Charlotte poszła w jej ślady.

- Jeśli chce pani poznać ciekawą osobę – podjęła Christabel - to chodźmy, przedstawię pani Nobby Gunne. Nie mam pojęcia, co ona tutaj robi. Niezwykła kobieta. Popłynęła dżubanką po rzece Kongo. A może Limpopo, w każdym razie wypuściła się na nieznane obszary Afryki.

- Powiedziała pani: Nobby Gunne? - spytała zaskoczona Charlotte.

- Dziwne imię, prawda? Myślę, że to jest zdrobnienie od Zenobia.

- Ależ ja ją znam! Około pięćdziesięcioletnia brunetka o nietypowej urodzie, bardzo oryginalnej, pełnej charakteru i w żadnym wypadku niemiłej.

Minęła je grupa młodych kobiet, które chichotały i spozierały znad wachlarzy.

- Cóż za trafny i sympatyczny opis! Widać, że ją pani lubi.

- Owszem.
- Przepraszam za impertynencję, ale w jaki sposób żona policjanta poznała badaczkę Afryki?
- Nobby Gunne jest przyjaciółką ciotecznej babki męża mojej siostry. Jestem bardzo przywiązana do ciotki Vespasii i odwiedzam ją, kiedy tylko mogę.
- Vespasii? - spytała Christabel, kiedy mijaly wielki wazon z kwiatami u stóp schodów. - Kolejne ciekawe imię. Nie chodzi przypadkiem o lady Vespasię Cumming-Gold?
- Tak, to ona. Znają pani?
- Niestety tylko ze słyszenia. Ale to wystarczy, żebym miała o niej jak najlepsze zdanie. - Nagle spoważniała. - Wiem, że brała udział w ważnych pracach reformatorskich z dziedziny pomocy dla ubogich i szkolnictwa.
- Tak, pamiętam. Moja siostra i ja pomagałyśmy jej w tym.
- Proszę mi nie mówić, że zrezygnowałyście!
- Powiedzmy, że zmieniłyśmy taktykę. Teraz mąż Emily został posłem do parlamentu, a ja wspieram mojego męża w śledztwach, które dotyczą różnego rodzaju niesprawiedliwości. Niestety, nie mogę ujawnić szczegółów.
- Była dostatecznie rozsądna, aby nie wspominać o Wewnętrznym Kręgu nawet tak sympatycznej osobie, jak Christabel. - A ciocia Vespasia też nie próżnuje, aczkolwiek nie wiem dokładnie, czym się teraz zajmuje.
- Nie chciałam pani urazić - przeprosiła ją Christabel.
- Sądzę jednak, że pani chciała - odparła Charlotte z uśmiechem. - Uznała pani, że zaangażowałam się w działalność społeczną, żeby poprawić sobie samopoczucie, a potem wycofałam się po pierwszej porażce.
- Ma pani rację - powiedziała Christabel, uśmiechając się rozbrajająco. - Jeremiah mi mówi, że podchodzę do spraw społecznych zbyt emocjonalnie i tracę poczucie miary. To co,

podejdziemy do Zenobii Gunne? Widzę ją na górze.

- Bardzo bym chciała - odparła Charlotte.

Powiodła za spojrzeniem Christabel i zobaczyła ciemnowłosą kobietę, która stała na galerii i przyglądała się całemu towarzystwu z umiarkowanym zainteresowaniem. Charlotte natychmiast ją poznała. Spotkały się w czasach, kiedy Florence Ivory walczyła o prawo kobiet do głosowania w wyborach. Nie miała zbyt wielkich szans na sukces, ale Charlotte gorąco z nią sympatyzowała.

- Walczyłyśmy o prawa wyborcze kobiet - dodała, idąc za Christabel po schodach.

- Wielkie nieba! - zawołała Christabel, zatrzymując się w pół drogi. - Awangardowe cele! I zupełnie nierealistyczne.

- A pani jakie stawia sobie cele? - zaatakowała ją Charlotte.

- Och, równie nierealistyczne. Spotkała się pani z określeniem „nowa kobieta”? - Charlotte pokręciła przecząco głową. - Chodzi o kobietę, która nie jest związana z mężczyzną, a zatem jest w pewnym sensie zbędna, ponieważ nie wypełnia spoczywającej na kobietach roli społecznej, czyli dogadzania mężczyznom. A co za tym idzie, nie ma się z czego utrzymać. Chciałabym, żeby „nowe kobiety” zdobywały wykształcenie, wykonywały jakiś zawód, zarabiały na utrzymanie i zajmowały poczesne miejsce w hierarchii społecznej.

- Wielkie nieba! - Charlotte była szczerze zdumiona jej odwagą, ale pomysł jej się spodobał. - Popieram tę ideę.

- Przeciętny mężczyzna nie jest ani trochę inteligentniejszy od przeciętnej kobiety, a już na pewno nie odważniejszy i silniejszy psychicznie - powiedziała z gniewną miną. - Chyba nie podziela pani poglądu, że kobieta nie może jednocześnie używać mózgu i macicy? Zaszczepili nam ją mężczyźni, którzy się boją, że odbierzemy im pracę. Kompletna bzdura! Nonsens! Charlotte była ubawiona, ale i przejęta.

- Jak pani zamierza do tego doprowadzić? - spytała, odsuwając się nieco na bok, aby przepuścić pokaźną panią.

- Edukacja odparła Christabel ze stanowczym żelaznym przekonaniem. - Trzeba kształcić kobiety, żeby zdobywały kompetencje i uwierzyły w siebie. I trzeba kształcić mężczyzn, żeby dawali kobietom możliwość wykorzystania tych kompetencji. To drugie zadanie będzie trudniejsze.

- Potrzeba na to ogromnych pieniędzy...

Urwała, bo były już blisko Zenobii Gunne, która je zauważyła.

Pojaśniała z radości na widok Christabel Thorne, a po chwili wahania rozpoznała również Charlotte. Po kolejnej chwili przypominała sobie z dosyć komiczną miną, że Charlotte czasem występuje incognito.

- Bardzo miło panią widzieć, pani Thorne - przywitała się Zenobia. Znam pani towarzyszkę, ale od naszego ostatniego spotkania minęło sporo czasu i muszę ze wstydem przyznać, że nie pamiętam jej nazwiska.

Charlotte uśmiechnęła się życzliwie, ubawiona tym konspiracyjnym posunięciem.

- Charlotte Pitt. Jak się pani miewa, panno Gunne? Świetnie pani wygląda.

- Dziękuję - odparła Nobby, która rzeczywiście wyglądała na szczęśliwszą i ani o dzień starszą niż przed laty.

Przez chwilę rozmawiały na różne tematy polityczne i społeczne. Przerwały, kiedy wysoki, gibki i mocno opalony mężczyzna niechcący wpadł plecami na Nobby, chcąc zejść z trasy rozchichotanej panny. Odwrócił się, żeby przeprosić za swoją niezdarność. Nie zasługiwał na miano przystojnego: nos krzywy, usta trochę za duże, włosy mocno przeredzone, były jednak od niego inteligencja i siła charakteru.

- Najmocniej przepraszam - powiedział. - Mam nadzieję, że nic pani nie zrobiłem.

- Ależ skąd - odparła Nobby z lekkim ubawieniem.
- Nie mam do pana pretensji, bo widziałam powód pańskiego pośpiechu.
- O, to było aż tak zauważalne?
- Tylko dla osób, które na pana miejscu postąpiłyby tak samo.
- Czyli coś nas ze sobą łączy - powiedział, ale ton jego głosu nie wskazywał, czy chce kontynuować rozmowę.
- Zenobia Gunne - przedstawiła się.

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Chyba nie Nobby Gunne?
- Przyjaciele mówią do mnie Nobby - odparła tonem sugerującym, że jego na razie nie zalicza do tego grona.
- Peter Kreisler - mężczyzna wyprężył się jak żołnierz przed oficerem. - Ja też spędziłem wiele czasu w Afryce i pokochałem ją. Teraz z kolei on wzbudził jej zainteresowanie. Przedstawiła mu Charlotte i Christabel, żeby nie uchybić wymogom grzeczności, a następnie podjęła rozmowę.
- W których regionach Afryki pan był?
- Zanzibar, Maszonaland, Matabeleland.
- A ja na zachodzie. Głównie w Kongo i okolicach. Chociaż wybrałam się też w górę Nigru.
- W takim razie miała pani do czynienia z belgijskim królem Leopoldem.

Jego mina nie wskazywała, w jakiej intencji to powiedział. Nobby również starannie kontrolowała swój wyraz twarzy - Tylko zdawkowo. Król potraktował mnie inaczej, niż gdybym była mężczyzną. Na przykład panem Stanleyem. Nawet Charlotte słyszała o triumfalnej procesji Henry'ego Mortona Stanleya przez Londyn: przed paroma zaledwie tygodniami, 26 kwietnia, przejechał konno z dworca Charing Cross na Picadilly Circus. Tłumy wiwatowały, aż echo niosło. Był najbardziej podziwianym podróżnikiem swojej epoki,

podwójnym medalistą Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, przyjacielem księcia Walii i gościem królowej.

- Ma to swoje dobre strony - powiedział Kreisler z cierpkim uśmiechem. - Przynajmniej nie każe pani stanąć na czele armii dwudziestu tysięcy kongijskich kanibali, żeby pokonać „Szalonego Mahdiego” i podbić Sudan dla Belgii!

Wszystkie trzy miały zbulwersowane miny, nie wierząc własnym uszom.

- Pan żartuje! - zawołała Nobby.

- Ja tak, ale Leopold wcale ponoć nie żartował. Usłyszał, że kongijscy kanibale są doskonałymi wojownikami i chciał zrobić coś takiego, żeby cały świat rozdziawił usta ze zdumienia.

- Z pewnością osiągnąby swój cel - stwierdziła Nobby. - Cóż to byłaby za wojna! Dwadzieścia tysięcy ludożerców przeciwko hordom „Szalonego Mahdiego”. Biedna Afryka! - dodała ze szczerym współczuciem.

Kreisler na razie nie zwracał uwagi na Christabel i Charlotte, zainteresowany wyłącznie Nobby.

- Nie na tym polega prawdziwa tragedia Afryki - powiedział. - Leopold to nie do końca zdrowy na umyśle wizjoner. Nie stanowi realnego zagrożenia. Przede wszystkim raczej nie przekona żadnego ludożercy do opuszczenia dżungli. Poza tym nie byłbym zdziwiony, gdyby Stanley został w Europie.

- Co takiego?! - osłupiała Nobby. - Spędził w Afryce ostatnie trzy lata i sądziłam, że tam wróci, jak tylko trochę odpocznie. Przecież Afryka to całe jego życie! A król Leopold potraktował go prawie jak brata, kiedy przyjął go w Brukseli.

- Święta prawda. Początkowo król odnosił się do niego bez entuzjazmu, ale teraz Stanley jest bohaterem dnia, obwieszonym orderami i fetowanym po królewsku. Wszyscy z przejęciem czekają na wieści z Afryki Środkowej i gdziekolwiek pojawi się Stanley, wiwatują do zachrypnięcia. A odbity blask

spływa na króla - dodał ironicznie.

- W takim razie dlaczego Stanley miałby nie wracać do Afryki? Wyjechał z Brukseli, więc raczej nie ma to nic wspólnego z belgijską polityką.

- Absolutnie nic. Zakochał się w Dolly Tennant.

- W Dolly Tennant? ! Nie wierzę własnym uszom. W tej malarce, która prowadzi dom otwarty?

- Też samej. Wygląda na to, że ostatnie triumfy Stanleja odmieniły jej stosunek do niego. Już się z niego nie śmieje, a nawet częściowo odwzajemnia jego uczucia. Ach, fortuna zmienną jest...

- W rzeczy samej.

Musieli przerwać te filozoficzne rozważania, bo podszedł do nich Linus Chancellor z kobietą, którą Charlotte wcześniej zauważyła. Widząc jej twarz z bliska, żona detektywa mogła sobie pozwolić na dokładniejszą analizę psychologiczną: szczerą, emocjonalną, pełną empatii, bez śladu kunktatorstwa. Dokonano prezentacji i potwierdziły się przypuszczenia Charlotte: istotnie była to żona Chancellora.

Chancellor i Kreisler najwyraźniej się znali, przynajmniej ze słyszenia.

- Wrócił pan niedawno z Afryki? - spytał uprzejmie Chancellor.

- Dwa miesiące temu. Przez Brukselę i Antwerpię.

- A, śladami czcigodnego pana Stanleja?

- Tak, ale najzupełniej przypadkowo.

Chancellor był widocznie ubawiony. Prawdopodobnie również słyszał o planach podboju Sudanu autorstwa króla Leopolda. Z pewnością miał źródła informacji równie bliskie całej sprawie jak Kreisler. A może to właśnie Kreisler jest jednym z tych źródeł - pomyślała Charlotte.

- Pan Kreisler powiedział nam, że lepiej są mu znane

wschodnie ziemie Afryki, zwłaszcza dorzecze Zambezi -
powiedziała Christabel Thorne. - Właśnie zaczął mówić, że
prawdziwa tragedia Afryki nie leży na zachodzie, nie jest
związana z Sudanem, ale nie dokończył tego wątku. Rozmowa
zeszła na osobiste plany pana Stanleya.

- Dotyczące Afryki? - włączyła się Susannah Chancellor. -
Słyszałam, że król Belgów buduje linię kolejową.

- Być może - odparła Christabel - ale nam chodziło o jego
życie uczuciowe.

- A! Dolly Tennant!

- W istocie.

- Nie uważam tego za tragedię dla Afryki, raczej za
dobrodziejstwo - mruknął Chancellor.

Czyli wie o kanibalach Leopolda - pomyślała Charlotte.

- Co pana zdaniem jest tragedią dla Afryki, panie Kreisler? -
spytała Susannah. - Ze słów panny Gunne wynika, że los tego
kontynentu leży panu na sercu.

- Owszem, pani Chancellor, ale niestety nie jestem władny
zapobiec tej katastrofie.

- Jakiej katastrofie?

- Cecil Rhodes i wozy z osadnikami przyjadą z Kolonii
Przyłądkowej do dorzecza Zambezi. I kolejni kacykowie
podpiszą traktaty, których nie będą rozumieli ani zamierzali
dotrzymać. Zasiedlimy ten kraj, podporządkujemy sobie
krajowców, a buntowników wyrzniemy. No, chyba że
wyprzedzą nas Niemcy, którzy pchają się na zachód z
Zanzibaru. A z dotychczasowych doświadczeń wynika, że byliby
jeszcze okrutniejsi.

- Bzdura! - powiedział Chancellor bez agresji w głosie. - Jeśli
zasiedlimy krainę Maszona i Matabele, to zaczniemy
eksploatować surowce naturalne i wszyscy na tym skorzystają,
biali i Afrykanie. Przywieziemy im lekarstwa, szkolnictwo,

handel, cywilizowane prawo i zasady społeczne, które chronią nie tylko silnych, ale i słabych. Widzę w tym wielką szansę dla Afryki, a nie tragedię.

- Dawniej nie mówiłeś takich rzeczy - powiedziała Susannah, na której słowa Kreislera zrobiły ogromne wrażenie.

- Człowiek z wiekiem mądrzeje i zmienia poglądy - wzruszył ramionami. - Wiem teraz o wiele więcej, niż przed kilku laty.

Reszta Europy skolonizuje Afrykę, nie oglądając się na nas.

Francja, Belgia, Niemcy, może jeszcze inni. Sułtan turecki jest formalnym zwierzchnikiem kedywa Egiptu, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla Nilu, Sudanu i Afryki Równikowej.

- Nie ma żadnych konsekwencji - stwierdził Kreisler trochę obcesowo. - Nil płynie na północ. Większość mieszkańców Afryki Równikowej w ogóle nie słyszała o Egipcie.

- Ja myślę o przyszłości, panie Kreisler, nie o przeszłości - odparł niewzruszony Chancellor. - Wielkie rzeki Afryki dołączą do grona najważniejszych szlaków handlowych świata. Przyjdą czasy, kiedy będziemy nimi transportowali złoto, diamenty, egzotyczne drewno, kość słoniową i skóry, tak jak teraz transportujemy węgiel i zboże Kanałem Manchesterskim.

- Albo Renem - dodała Susannah.

- Właśnie - zgodził się z nią Chancellor. - Albo Dunajem czy inną wielką rzeką.

- Ale w Europie ciągle toczą się wojny - zatroskała się Susannah. - O ziemię, o religię i dziesiątki innych rzeczy.

- W Afryce również - zareplikował z uśmiechem jej mąż. - Wodzowie plemienni bez ustanku ze sobą wojują. To jest jeden z powodów, dla których nasze próby wykorzenia niewolnictwa nie skutkują. Naprawdę korzyści są ogromne, a koszty stosunkowo niewielkie.

- Może dla nas - odparł kwaśno Kreisler - ale co z Afrykanami?

- Dla Afrykanów też - nie ustępował Chancellor. -

Wydobędziemy ich z mroków prahistorii i sprowadzimy do dziewiętnastego stulecia.

Susannah nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Takie gwałtowne przemiany muszą oznaczać zamęt i liczne dramaty. Może oni nie życzą sobie naszych obyczajów?

Narzucamy je całemu narodowi, nie licząc się z ich zdaniem.

Kreisler spojrział na nią z uznaniem.

- Przecież oni nie mogą wyrobić sobie zdania, bo nie mają pojęcia o tym, co im proponujemy! - polemizował Chancellor.

- Czyli decydujemy za nich - powiedziała jego żona.

- Naturalnie.

- Nie jestem pewna, czy mamy takie prawo.

Chancellor zrobił zaskoczoną i trochę kpiącą minę, ale taktownie zmilczał. Najwyraźniej nie chciał publicznie zawstydząć żony, nawet jeśli wyrażała ekscentryczne opinie.

- Słuchałam kiedyś odczytu sir Arthura Desmonda - powiedziała Susannah.

Charlotte mocno zacisnęła palce na kieliszku z szampanem.

- Desmonda? - Chancellor zmarszczył brwi.

- Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - wyjaśniła Susannah.

- W każdym razie dawniej tam pracował.

Martwiła go kwestia wyzysku Afrykanów. Uważał, że nie zachowujemy się jak przystało na cywilizowany naród.

Chancellor chwycił ją za rękę.

- Moja droga, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale sir Arthur Desmond zmarł kilka dni temu. Podobno odebrał sobie życie. Nie można się na niego powoływać jako na autorytet.

- To nie było samobójstwo! - wybuchła Charlotte, zanim zdążyła się zastanowić, czy to jest rozsądne. Przeważało wspomnienie o zrozpaczonej twarzy Matthew i świadomość, jak ważną osobą był sir Arthur dla jej męża.

- Przepraszam - odparł Chancellor. - Nie chciałem przesądzać, czy zrobił to umyślnie, ale nie ulega wątpliwości, że sam przyczynił się do własnej śmierci. Niestety, dawna sprawność umysłu go opuściła. Nie możemy patrzeć na Afrykanów jak na szlachetnych dzikusów - powiedział do swojej żony - i życzyć sobie, żeby nimi pozostali. Historia by nam nie wybaczyła takiego sentymentalizmu. Sir Arthur był człowiekiem bez wątpienia szlachetnym, ale naiwnym. Jeśli nie my, to ktoś inny przyniesie Afryce cywilizację. Zarówno dla Wielkiej Brytanii, jak i dla samej Afryki byłoby najlepiej, gdybyśmy my to zrobili.

- A może byłoby najlepiej dla Afryki, gdybyśmy podpisali traktaty chroniące Afrykę i pozwolili jej żyć tak jak dotychczas?

- spytał prowokacyjnie Kreisler.

- Zostawić ją w rękach poszukiwaczy przygód i myśliwych takich jak pan? - odparował Chancellor, unosząc brwi. -

Uczynić z Afryki plac zabaw dla takich ludzi, bez cywilizowanych praw, które by ich powściągały?

- Nie jestem poszukiwaczem przygód ani myśliwym, panie Chancellor. Nazwałbym się raczej odkrywcą. Niczego krajowcom nie narzucam. Pani Chancellor podniosła bardzo ważną kwestię moralną: czy mamy prawo decydować za inne narody?

- Mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek, panie Kreisler - stwierdził Chancellor z całkowitym przekonaniem - jeśli rzeczone narody tkwią w kleszczach ciemnoty i zacofania. Kreisler milczał. Wyraził już swój pogląd i nie było sensu ciągnąć tego sporu.

- Nie wiem, jak inni, ale ja dojrzałam już do kolacji - powiedziała Christabel dla rozładowania napięcia. - Ale jak zejdziemy po schodach, skoro pań jest dwa razy więcej niż panów? Panno Gunne, czy podzieli się pani ze mną panem

Kreislerem?

- Naturalnie - odparła Nobby z uroczym uśmiechem.

Kreisler podał obu paniom ramię i ruszyli na dół.

Linus Chancellor podobnie obsłużył Charlotte i Susannah. Na dole Charlotte zobaczyła Pitta, który rozmawiał z łysiuteńkim mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Pitt przedstawił go jako Iana Hathaway, pracownika Ministerstwa Kolonii. Charlotte podziękowała państwu Chancellorom za towarzystwo i wraz z dwoma mężczyznami podeszli do stołu, który ugiął się od przeróżnych pyszności: pasztecików, wędlin, ryb, dziczyzny, marynat w galarecie, warzyw i mięs w cieście, lodów, sorbetów, galaretek i kremów, jak również kwiatów, świec i srebrnej zastawy. Rozmowy natychmiast nabrały bardziej sporadycznego i już wyłącznie grzecznościowego charakteru. Następnego dnia Vespasia obudziła się w dobrym nastroju. Wystawny bankiet przywołał wspomnienia z czasów, kiedy obracały się za nią głowy wszystkich mężczyzn, kiedy tańczyła do późna, lecz mimo to wstawała wczesnym rankiem, szła pojeździć konno, a później z krwią tętniącą w żyłach uczestniczyła w dziesiątkach spotkań i intryg. Teraz siedziała jeszcze na łóżku i leniwie jadła śniadanie, kiedy pokojówka przyszła zaanonsować pana Eustace'a Marcha.

- Wielkie nieba! Która jest godzina?

- Za kwadrans dziesiąta, jaśnie pani.

- Co też sprowadza Eustace'a o takiej pogańskiej porze?

Czyżby zgubił zegarek?

Eustace March był zięciem Vespasii, wdowcem po jej córce Olivii, która urodziła mu sporą gromadkę dzieci i zmarła względnie młodo. Vespasia nie mogła zrozumieć, jak jej córka mogła sobie wybrać na męża tego człowieka, którego trudno jej było polubić, ale wszystko wskazywało na to, że Olivia była w

tym małżeństwie szczęśliwa.

- Kazać mu czekać, jaśnie pani, czy powiedzieć, żeby przyszedł innym razem?

- Jeśli może zaczekać, to powiedz mu, że zejdę za pół godziny.

Vespasia dopiła herbatę i odstawiła tacę. Po powrocie pokojówki wstała i przystąpiła do żmudnych przygotowań do rozpoczęcia dnia.

Eustace stał w salonie przy oknie i wyglądał do ogrodu. Był energicznym człowiekiem, żyjącym zgodnie z zasadą „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Odbywał długie spacery na świeżym powietrzu, otwierał okna przy każdej pogodzie, zdrowo się odżywiał, brał zimne kąpiele i uprawiał sporty. Usłyszawszy kroki Vespasii odwrócił się do niej z uśmiechem. Odniosła wrażenie, że jego cofające się nad czołem włosy trochę posiwiały, odkąd go ostatni raz widziała, ale jak zwykle miał rumianą cerę i rażne spojrzenie.

- Dzień dobry, mamó, jak się masz?

- Dzień dobry, Eustace. Dziękuję, mam się świetnie.

- Na pewno? Późno wstałaś. A kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Poranny spacer dobrze robi na krążenie.

- To już wolę, żeby mi krew stanęła - odparła cierpko. -

Wróciłam do domu o trzeciej nad ranem. Byłam na bankiecie u księżnej Marlborough. I doskonale się bawiłam. - Usiadła. -

Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, Eustace? Chyba nie przyszedłeś wyłącznie po to, by spytać mnie o zdrowie? To mogłeś załatwić listownie. Usiądź, proszę. Nie lubię, jak się tak wierzisz. Boję się, że uciekniesz, zanim zdążysz mi powiedzieć, co ci leży na sercu.

Eustace przycupnął na skraju krzesła, jakby pozycja siedząca bardziej go męczyła niż stojąca.

- Dawno u ciebie nie byłem, mamó, i chciałem przede wszystkim odrobić zaległości.

- Doby smalone. Widzę, że masz mi coś do powiedzenia.

- Nic konkretnego, zapewniam cię. Czy nadal jesteś zaangażowana w reformy społeczne?

Jego zachowanie irytowało Vespasię, ale może decydowały o tym wspomnienia. Jego nieznośny despotyzm i niewrażliwość przynajmniej częściowo przyczyniły się do tragedii, która spadła na całą rodzinę. Eustace przez jakiś czas odczuwał wyrzuty sumienia, ale szybko wróciło mu przekonanie, że we wszystkim ma rację. Jak wielu kipiących energią ludzi łatwo zapominał o przeszłości.

Vespasia z trudem jednak tolerowała jego protekcyjną postawę dobrodusznego mentora.

- Trochę się udzielam - odparła chłodnym tonem.

- Odnowiłam również niektóre stare znajomości. - Nie zamierzała mu jednak zdradzać, że chodziło przede wszystkim o Theloniusa Quade'a, młodszego od niej o dwadzieścia lat sędziego sądu okręgowego, który dawniej był jej wielbicielem. - Do tego dochodzą śledztwa Thomasa Pitta - dodała mimo świadomości, że Eustace'owi się to nie spodoba, jako niestosowne dla osoby z jej warstwy społecznej, jak również przywołujące bolesne dla niego wspomnienia.

- Nie powinnaś, mam - powiedział ze zmarszczonym srogo czołem. - Jest tyle szlachetniejszych zajęć. Nigdy w to nie ingerowałem, ale...

Urwał, bo Vespasia zgromiła go wzrokiem.

- Jakiż jesteś wyrozumiały - wycodziła.

- Chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi. Darujmy sobie tę rozmowę. Wiem, co chcesz powiedzieć, a ty wiesz, jaka będzie moja odpowiedź. Nie aprobujesz mojej przyjaźni z Thomasem i Charlotte, a tym bardziej tego, że czasem im pomagam. Nie mam zamiaru z tego rezygnować i przy tym pozostaniemy. Dobrze, to jakie szlachetne

zajęcie chciałeś mi zaproponować?

- Skoro już o tym mowa... - natychmiast zapalił się do tematu.

- Pozwolono mi ostatnio wstąpić do pewnej ekskluzywnej organizacji. Mówię „pozwolono”, ponieważ obowiązuje tam bardzo surowa procedura selekcyjna. Jest to oczywiście organizacja dobroczynna, której działalność zasługuje na najwyższe uznanie. - Założył nogę na nogę z zadowoloną z siebie miną. - Ponieważ wszyscy członkowie są ludźmi zamożnymi, a wielu z nich ma rozległe wpływy w świecie finansów i polityki, wiele można osiągnąć. Nawet zmienić prawo, gdyby zaszła taka potrzeba. Można zgromadzić wielkie pieniądze na pomoc dla ubogich, chorych, społecznie upośledzonych i ofiar niesprawiedliwości. Jestem do tego bardzo entuzjastycznie nastawiony, mam. Czuję się zaszczycony, że mogę należeć do tego stowarzyszenia.

- Gratulacje.

- Dziękuję.

- Chciałbyś, żebym ja też się zapisała?

Z ubawieniem obserwowała jego konsternację. Eustace nie był pewien, czy Vespasia nie żartuje sobie z niego. Zawsze miał z tym problemy.

- Chyba wiesz, mam, że żadne poważne stowarzyszenie nie przyjmuje kobiet.

- A dlaczego? Jestem bogata, nie mam obowiązków rodzinnych i na pewno mogłabym się przydać.

- Nie o to chodzi!

- W takim razie o co chodzi?

Eustace nie bardzo wiedział, jak ująć w słowa oczywistą i niepodlegającą dyskusji odpowiedź: tak już jest świat urządony. Na szczęście konieczność ta została mu oszczędzona, bo weszła służąca i zaanonsowała panią Pitt.

- Rany boskie, dziękuję ci, Effie - powiedziała Vespasia. - Nie

zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno. Charlotte idzie ze mną do księżnej Marlborough - wyjaśniła zięciowi.

- Charlotte do księżnej Marlborough? - Eustace osłupiał. -

Ależ to niedorzeczne, mamó! Bóg raczy wiedzieć, z czym ona może tam wyskoczyć. Jeszcze cię skompromituje. Nie mówisz tego poważnie.

- Mówię najzupełniej poważnie. Thomas dostał awans. Jest teraz nadkomisarzem.

- A niechby był szefem Scotland Yardu! Nie możesz zabierać Charlotte do księżnej Marlborough!

- Nie jedziemy w odwiedzin, tylko zostawimy bilety wizytowe, zgodnie z przyjętym obyczajem. Podziękujemy jej w ten sposób za wspaniałe przyjęcie.

- „Podziękujemy”? Ona też tam była?

- A i owszem.

Drzwi się otworzyły i weszła Charlotte. Na jej twarzy malowały się różne emocje: zaskoczenie, złość, skrzepowanie, ale przede wszystkim zaciekawienie. Sam Eustace March był wyłącznie zawstydzony. Wstał z płonącymi policzkami.

- Jakże miło znowu panią widzieć, pani Pitt! Jak zdrowie?

- Dzień dobry, panie March.

Vespasia domyślała się, jakie wydarzenie przypomniało się Charlotte: kuriozalny epizod pod łóżkiem. Sądząc po kolorze jego lica, Eustace myślał o tym samym.

- Na zdrowie nie narzekam i jestem przekonana, że pan również.

Była to zapewne aluzja do zawsze otwartych okien przy Cardington Crescent, nawet w pochmurne i wietrzne poranki, kiedy wszyscy z wyjątkiem Eustace'a dygotali nad owsianką.

- Ja nigdy nie narzekam na zdrowie, pani Pitt. Zaliczam się pod tym względem do wybrańców bożych.

- Eustace opowiadał mi o szlachetnym stowarzyszeniu, do

którego miał zaszczyt wstąpić - powiedziała Vespasia, wskazując Charlotte krzesło.

- Właśnie - wybąkał Eustace. - Organizacja charytatywna, działająca dla dobra społeczeństwa.

- Gratuluję - odparła szczerze Charlotte. - Ma pan wszelkie powody do dumy.

- Zgadza się z panią, pani Pitt. To wielka satysfakcja działać z innymi ludźmi dla dobra społeczeństwa, zwłaszcza że mamy naprawdę wielkie możliwości.

- Jak się nazywa stowarzyszenie? - spytała Charlotte.

- Proszę nie drążyć dalej, moja pani - pokręcił głową z protekcyjnym uśmiechem. - Chociaż nie mamy żadnych ukrytych celów, samo stowarzyszenie jest anonimowe.

- Czyli tajne?

- Ja bym tego tak nie nazwał. Słowo „tajne” kojarzy się z jakimiś spiskami. Pozostańmy przy określeniu „anonimowe”. Czy nie w ten sposób Pan nakazał nam czynić dobro? „Niech nie wie prawica, co czyni lewica”?

- Sądzi pan, że Bóg miał na myśli tajne stowarzyszenia? - spytała śmiertelnie poważnym tonem.

Eustace'a zatkło. Nie miał pewności, czy Charlotte kpi sobie z niego, czy jest mało rozgarnięta, ale skłaniał się raczej ku tej pierwszej odpowiedzi.

- W takim razie powiedzmy „dyskretne” - wykrztusił wreszcie. - Nie widzę nic zdrożnego w tym, aby grupa ludzi wspólnymi siłami pomagała osobom, którym mniej się w życiu poszczęściło. Uważam, że to bardzo rozsądne. Pan Bóg nigdy nie był zwolennikiem nieudolności, pani Pitt.

- Ma pan absolutną rację, panie March - odparła Charlotte z rozbijającym uśmiechem. - A domaganie się publicznego uznania za dobry uczynek pozbawia go wszelkiej wartości. W sumie chyba dobrze, iż wasz krąg funkcjonuje w warunkach

dyskrecji.

- Krag?

Rumieniec, na który Eustace mozolnie sobie zapracował wysiłkiem fizycznym na świeżym powietrzu, spełził z jego twarzy.

- Nie odpowiada panu to określenie?

- No, ja...

- Nieważne.

A zatem Eustace wstąpił do Wewnętrznego Kręgu, zapewne w dobrej wierze i w najlepszej intencji - tak samo jak Micah Drummond, sir Arthur Desmond i przypuszczalnie wielu innych. Micah Drummond wywikłał się z tego i przeżył, przynajmniej na razie. Arthur Desmond miał mniej szczęścia. Vespasia miała bardzo poważną minę. Wyciągnęła do zięcia rękę.

- Mam nadzieję, że zrobicie wiele dobrego, Eustace - powiedziała bez ironii. - Dziękuję, że przyszedłeś się z nami podzielić tą nowiną. Może zostaniesz na lunch? Charlotte i ja niedługo wrócimy.

- Dziękuję ci, mamo, ale jestem umówiony. - Wstał i ukłonił się obu paniom. - Bardzo się cieszę, że miałem okazję znowu panią spotkać, pani Pitt. Do widzenia.

Po jego wyjściu Charlotte i Vespasia patrzyły na siebie bez słowa.

Rozdział trzeci

Posiedzenie u sędziego śledczego w sprawie śmierci Arthura Desmonda odbyło się w Londynie, ponieważ tam zmarł.

Siedząc na sądowej galerii Pitt miał jednak ponurą świadomość, że jest także inny powód: żeby członkowie Wewnętrznego Kręgu mieli większą kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Gdyby rozprawę przeprowadzono w Brackley, gdzie ród sir Arthura od trzech stuleci cieszył się wielkim szacunkiem

i autorytetem, knowania stowarzyszenia mogłyby spełznąć na niczym.

Pitt siedział obok Matthew, który tego przedpołudnia wyglądał wyjątkowo marnie. Na sali panował gwar. Pitt brał już udział w dziesiątkach tego typu rozpraw, ale tej nie potrafił śledzić ze spokojem, kłębiło się w nim bowiem od emocji. Z przodu sali siedziało kilkunastu mężczyzn w żałobie, gotowych złożyć zeznania, kiedy zostaną wezwani. Większość z nich wyglądała na ludzi zamożnych i pewnych swojej pozycji społecznej. Pitt sądził, że są to biegli oraz członkowie klubu, którzy byli na miejscu tego tragicznego popołudnia. A ten zdenerwowany człowiek w mniej dostatnym ubraniu to zapewne Garçon, który podał sir Arthurowi brandy - pomyślał Pitt.

- Proszę o ciszę - powiedział sędzia śledczy, nadzwyczaj energiczny mężczyzna o rudych włosach, rumianej cerze i rozlewnych rysach. - Tragiczna historia. Na początek pragnę złożyć najserdeczniejsze kondolencje rodzinie zmarłego. - Po krótkiej chwili jego wzrok spoczął na Matthew. „Spotkał się z nim wcześniej czy umie na pierwszy rzut oka rozpoznać człowieka w żałobie?” - zastanawiał się Pitt.

- Przejdźmy do rzeczy. Proszę o wezwanie pierwszego świadka.

Woźny sądowy wywołał Garçona, którym zgodnie z intuicją Pitta okazał się człowiek w tanim płaszczu. Kiedy stanął za barierką dla świadków, jego roztrzęsienie sięgnęło zenitu.

- Nie ma się czego bać, człowieku - uspokajał sędzia śledczy. - Chyba nie ma pan nic na sumieniu? - spytał z uśmiechem. - Nie zabił pan tego biedaka?

Garçon struchlał. Przez ułamek sekundy myślał, że sędzia śledczy mówi poważnie.

- N-nie, wysoki sędzie!

- To świetnie. W takim razie niech się pan pozbiera do kupy i mówi prawdę, a krzywda się panu nie stanie. Proszę się przedstawić i powiedzieć nam wszystko, co pan wie o tej sprawie.

- N-nazywam się Horace Guyler, wysoki sędzie. Jestem Garçonem w Morton Club. To ja znalazłem biednego sir Arthura. To znaczy nie znalazłem, bo wszyscy wiedzieliśmy, gdzie jest, ale...

- To pan znalazł go martwego. Ale proszę zacząć od przyjścia sir Arthura do klubu. O której to było godzinie?

Jak wyglądał? Jak się zachowywał?

- No, przyszedł zaraz po lunchu, czyli gdzieś kwadrans po trzeciej, wysoki sędzie. Wtedy mi się widziało, że wyglądał zupełnie normalnie, ale teraz wiem, że musiało go coś strasznie gnębić.

- Proszę nam nie mówić, co pan wie teraz, tylko co pan zauważył wtedy, panie Guyler. Co sir Arthur do pana powiedział? Co robił? W jakim był humorze? Na pewno pan pamięta, to było zaledwie pięć dni temu.

- Wydaje mi się, że powiedział mi tylko „dzień dobry”, jak zawsze. Był bardzo uprzejmy, nie tak, jak niektórzy. Potem poszedł do zielonego pokoju, usiadł i czytał gazetę. Chyba „The Times”.

- Zamówił coś do picia, panie Guyler?

- Nie od razu. Będzie gdzieś pół godziny, jak zamówił dużą brandy. Chciał najlepszego Napoleona.

- No i zaniósł mu pan?

- No pewnie. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, że był strasznie roztrzęsiony, że nie był sobą. Mnie się wydawał zupełnie normalny. Czytał gazetę i mruczał coś pod nosem, jakby się z czymś nie zgadzał.

- Wyglądał na wściekłego albo przygnębionego?

- Nie, wysoki sędzie - Guyler pokręcił głową. - Po prostu czytał, jak wielu dżentelmenów. Oczywiście traktował to bardzo serio. Im ważniejszy dżentelmen, tym poważniej traktuje to, co przeczyta w gazecie. A sir Arthur był kiedyś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- A wie pan może, z którym konkretnym artykułem się nie zgadzał?

- Nie, wysoki sędzie. Obsługiwałem wielu dżentelmenów.

- Rozumiem. Czy sir Arthur wypił jedną brandy?

- Niestety nie, wysoki sędzie - odparł Guyler z nieszczęśliwą miną. - Nie pamiętam dokładnie, ale co najmniej sześć. Wyszło tego prawie pół małej butelki. Gdybym wiedział, że nie był tego dnia sobą, to bym mu nie podał!

Miał taką minę, jakby rzeczywiście czuł się odpowiedzialny za śmierć sir Arthura, chociaż nieobsłużenie członka klubu groziłoby mu zwolnieniem z pracy.

- Sir Arthur cały czas był w takim nastroju, jak zwykle? - spytał sędzia śledczy.

- Tak, wysoki sędzie, tak mi się wydawało.

- A pamięta pan, o której godzinie podał mu pan ostatnią brandy?

- O wpół do szóstej.

- Jest pan bardzo precyzyjny.

- Tak, wysoki sędzie, bo jeden dżentelmen kazał mi pójść do sir Arthura i przypomnieć mu, że jest umówiony na kolację.

- A kiedy następnym razem widział pan sir Arthura?

- Znaczący, minąłem go kilka razy, jak obsługiwałem innych, ale nie podszedłem, bo myślałem, że zasnął. Teraz żałuję, że czegoś nie zrobiłem...

Spuścił wzrok i zgarbił smętnie ramiona.

- Nie ponosi pan żadnej odpowiedzialności za to, co się stało - powiedział sędzia śledczy łagodnym tonem. - Nawet gdyby

natychmiast wezwał pan lekarza, prawdopodobnie nie zdążyłby go uratować.

Na sali zapanowało lekkie poruszenie. Matthew drgnął na swoim krześle.

- Był jednym z najsympatyczniejszych dżentelmenów - dodał Guyler.

- Nie wątpię - odparł sędzia śledczy neutralnym tonem. - O której godzinie odezwał się pan do sir Arthura i zdał pan sobie sprawę, że nie żyje?

- Znaczy, jak już mówiłem, najpierw myślałem, że śpi.

Dżentelmeni, którzy wypiją po południu dużo brandy, czasem zasypiają i ciężko jest się ich dobudzić.

- Wierzę panu. O której godzinie, panie Guyler?

- Koło wpół do ósmej. Pomyślałem, że jeśli chce zjeść kolację, to już czas zarezerwować mu stolik.

- I co pan zrobił?

- Zagadałem coś do niego, a on nie odpowiedział. To powtórzyłem głośniejszym głosem, a on się nie ruszył i zrozumiałem...

Westchnął głęboko i długo nie był w stanie wykrztusić słowa. Sędzia śledczy czekał cierpliwie. Emocje, jakie malowały się na twarzy Guylera, obserwował już wiele razy.

Pitt czuł się coraz bardziej przygnębiony. Nie mógł znieść tego, że sędzia mówi o śmierci sir Arthura takim rzeczowym tonem, chociaż oczywiście zdawał sobie sprawę z absurdalności swojego zarzutu. Najchętniej opuściłby salę, lecz nie pozwalały mu na to obowiązki służbowe i lojalność wobec Matthew.

- W końcu nim potrząsnąłem - podjął wreszcie Guyler. -

Znaczy, tak lekko. Był okropnie blady i nie słyszałem, żeby oddychał. Jak dżentelmen śpi po brandy, to głośno oddycha.

- Chodzi panu o to, że chrapie?

- Tak, wysoki sędzie.

Z ław dla publiczności dobiegł śmiech, który zaraz ucichł.

- Czemu nie przechodzi do ważnych spraw? - spytał Matthew.

- Zaraz przejdzie - odparł szeptem Pitt.

- Wtedy zrozumiałem, że coś jest nie tak - powiedział Guyler.

- Zrozumiał pan, że sir Arthur jest chory albo nie żyje? -

dociekał sędzia śledczy.

- Tak, wysoki sędzie. Posłałem po kierownika, a on wezwał lekarza.

- Dziękuję, panie Guyler, jest pan wolny. Dziękuję za stawienie się.

Miejsce Garçona za barierką zajął kierownik klubu, wysoki mężczyzna z sympatyczną twarzą, aczkolwiek zezowaty. Zeznał, że Garçon ściągnął go do zielonego pokoju. Tam zobaczył, że sir Arthur nie żyje i wezwał doktora, który na stałe współpracował z klubem. Kierownik wyjaśnił, że średnia wieku członków wynosi pięćdziesiąt pięć lat i niestety od czasu do czasu potrzebna jest interwencja lekarska. Doktor szybko stwierdził zgon.

Sędzia śledczy podziękował kierownikowi klubu.

- To wszystko nie ma sensu! - wycodził Matthew przez zęby. -

Już teraz można przewidzieć, jaki zapadnie werdykt: śmierć na skutek przypadkowego przedawkowania laudanum przez człowieka, który nie wiedział, co robi i mówi!

- A spodziewałeś się czegoś innego? - spytał Pitt najciszej, jak umiał.

- Nie - odparł Matthew zrezygnowanym tonem.

Pitt nie mógł patrzeć na cierpienie Matthew. Chciał go pocieszyć, ale nie wiedział jak.

Następnym świadkiem był lekarz, który zachowywał się profesjonalnie i rzeczowo, co jeszcze bardziej przygnębiło Matthew. Następnie sędzia śledczy wezwał przed swoje oblicze pierwszego spośród członków klubu, którzy byli tego popołudnia w tej samej sali. Generał Anstruther był sędziwym

mężczyzną z okazałymi bakami i łysą głową.

- Panie generale - zaczął sędzia śledczy - czy byłby pan łaskaw mi powiedzieć, co pan zauważył tego popołudnia? Interesuje mnie wszystko, co się wiąże ze stanem zdrowia i umysłu sir Arthura.

Matthew stęzał na twarzy, ale nic nie powiedział.

- Porządny człowiek - powiedział Anstruther - Ale lat mu nie ubywało, tak jak reszcie z nas. Z pamięcią coraz gorzej. Normalka.

- Interesuje nas tamto popołudnie, panie generale - przypomniał mu sędzia śledczy. - Jak się zachowywał? Czy sprawiał wrażenie... zatroskanego?

- Czy to jest naprawdę konieczne? - spytał ze złością Anstruther. - Do diabła, ten człowiek nie żyje! Trzeba go złożyć do grobu i zachować we wdzięcznej pamięci. To był dobry człowiek.

- Tego nikt nie kwestionuje, panie generale - powiedział sędzia śledczy - ale musimy dokładnie ustalić okoliczności jego śmierci. Prawo tego wymaga. Morton Club nie chce dopuścić do tego, aby ciążyły na nim podejrzenia o zaniedbanie czy jakieś nieprawidłowości.

- Chryste Panie! - prychnął Anstruther. - Któż sugeruje takie bzdury? Biedny Desmond był niezdrów i myśli mu się plątały. Zażył za dużo laudanum razem z brandy. Zwykły wypadek. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

Matthew zerwał się na nogi.

- To nieprawda, że myśli mu się plątały! - zawołał.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni i zażenowani.

Nie wolno okazywać po sobie takich emocji, zwłaszcza na sali sądowej. Nie uchodzi.

- Współczujemy panu, sir Matthew, ale proszę trzymać nerwy na wodzy - powiedział sędzia śledczy stanowczym tonem. - Nie

zgodzę się na żadne pozaproceduralne ingerencje. Panie generale, na czym opiera pan swoje stwierdzenie, że sir Arthurowi myśli się plątały? Proszę o konkrety.

- Sir Arthur... ee... tego... zapomniał, co mówił. Powtarzał się.

Fakty mu się myliły Wygadywał mnóstwo bzdur na temat Afryki. Nic nie rozumiał.

Zanim Pitt zdążył go powstrzymać, Matthew znowu wstał.

- Chce pan powiedzieć, że się z panem nie zgadzał?

- Sir Matthew! - skarcił go sędzia śledczy. - Proszę o przestrzeganie zasad obowiązujących na tej sali.

Widząc, że Matthew zamierza coś powiedzieć, prawdopodobnie przeprosić, powstrzymał go ruchem dłoni.

Matthew usiadł, ku wielkiej uldze Pitta.

- Panie generale - podjął sędzia śledczy - jeśli byłby pan łaskaw rozwinąć tę kwestię. Czy chodziło o coś więcej niż to, że sir Arthur nie zgadzał się z panem w pewnych sprawach? Skąd pańskie przekonanie, że miał kłopoty z myśleniem?

- Wygadywał mnóstwo bzdur o tajnych knowaniach ludzi, którzy rzekomo chcą zagarnąć dla siebie Afrykę Równikową i takie tam historie... - zerknął w stronę pierwszej ławy. - Ciągle kogoś oskarżał o niestworzone rzeczy. Kompletnie banialuki. I zaprzeczał sam sobie. To straszne, jak ktoś traci poczucie... no, lojalności, kiedy przestaje wiedzieć, komu ma ufać i z kim trzymać, kiedy zapomina, jakie wartości przez całe życie wyznawał.

- Chce pan powiedzieć, że sir Arthur w ostatnim czasie radykalnie się zmienił?

- Po co mnie pan zmusza do mówienia takich rzeczy? - zezłościł się Anstruther. - Pochowajmy go razem z tym nieszczęściem, które go ostatnio dotknęło. Zapomnijmy o tych bredniach, niech zostanie w naszej pamięci jako człowiek, którym był jeszcze rok temu.

- Dziękuję panu, generale - powiedział sędzia śledczy. -
Sądzę, że usłyszeliśmy dostatecznie wiele, aby wyrobić sobie
jakieś wyobrażenie.

Anstruther wyjął białą chusteczkę, hałaśliwie wytarł nos i
wyszedł, nie patrząc na boki.

Jako następny zeznawał lord William Osborne. Powiedział
mniej więcej to samo, co Anstruther, podając kilka przykładów
dziwnych i nieracjonalnych poglądów Arthura Desmonda, ale
nie wspomniał o Afryce. Zachowywał się w sposób znacznie
bardziej opanowany od generała i chociaż jego słowa wyrażały
smutek, z jego postawy nie przebijały żadne emocje.

Matthew patrzył na niego z narastającą niechęcią. Miał
podejrzenia, że zarówno Anstruther, jak i Osborne należą do
Wewnętrznego Kręgu. Pitt nie wykluczał jednak możliwości, że
Arthur Desmond istotnie głosił nie do końca racjonalne opinie,
zrodzone bardziej z emocji niż ze znajomości faktów. Zawsze
był indywidualistą, by nie rzec: ekscentrykiem. Może na starość
stracił kontakt z rzeczywistością?

Wezwano kolejnego członka klubu, który zeznał to samo, co
Osborne, czasami przy użyciu tych samych sformułowań.
Sędzia śledczy wysłuchał go bez przerywania, a następnie
ogłosił przerwę obiadową.

Pitt i Matthew bez słowa szli ulicą. Dopiero za rogiem
Matthew przerwał milczenie.

- Należało się tego spodziewać - powiedział.

Pitt złapał go za ramię i pokazał szyld „Buli Inn”
naprzeciwko.

- Nie jestem głodny - zniecierpliwił się Matthew.

- Chodź, chodź, trzeba coś zjeść.

Po drodze na drugą stronę Matthew wdepnął w końskie łajno
i zaklął siarczyście.

- Czy w tym mieście nikt już nie sprząta ulic? - powiedział,

wycierając buty o krawężnik. - Nie mogę tak wejść do środka.

- Ależ możesz. Tam sobie wyczyścisz.

W sieni Matthew usunął resztki łajna żelazną skrobaczką, po czym weszli do dusznej sali, w której unosiła się woń piwa, gorąca i potu.

- Co możemy zrobić? - spytał Matthew, kiedy stanął przed nimi zamówiony chleb z serem, pikle i cydr. - Kiedy powiedziałeś, że nie stoimy na przegranej pozycji, mówiłeś szczerze czy tylko próbowałeś mnie pocieszyć?

- Oczywiście, że mówiłem szczerze - odparł Pitt z pełnymi ustami. - Ale nie udowodnimy im kłamstwa, dopóki się nie dowiemy, co powiedzieli.

- A potem?

- A potem spróbujemy im udowodnić, że kłamią.

- Jak zawsze jesteś bardzo pragmatyczny - odparł Matthew z uśmiechem. - Twardo stąpasz po ziemi. Nic się nie zmieniłeś, prawda, Thomasie?

W milczeniu skończyli jeść i wrócili na salę sądową.

Jako pierwszy zeznawał lekarz z prosektorium. Mówił szczegółowo, ale na szczęście unikał bezdusznej terminologii naukowej. Arthur Desmond zmarł na skutek przedawkowania laudanum. Lekarz nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, czy dawka była dostatecznie duża, aby zmarły poczuł smak laudanum, gdyby mu je dodano bez jego wiedzy do brandy.

- Czy zauważył pan jakieś oznaki choroby lub zniedołężnienia?

- Jak na siedemdziesięciolatka był w znakomitej kondycji.

Sam chciałbym dożyć jego wieku w takim stanie zdrowia.

Żadnych oznak choroby nie zauważyłem.

- Dziękuję, panie doktorze.

Pitt był gotów się założyć, że lekarz z prosektorium nie należy do Wewnętrznego Kręgu.

Jako następny zeznawał inny przedstawiciel zawodu medycznego, a mianowicie osobisty lekarz Arthura Desmonda.

- Od ilu lat zajmował się pan sir Arthurem, doktorze Murray?

- Od czternastu, wysoki sędzie.

- W takim razie doskonale pan znał stan jego zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego?

- Naturalnie. Aczkolwiek muszę przyznać, że nie wiedziałem, iż nastąpiło aż tak wielkie pogorszenie, bo inaczej nie przepisałbym mu laudanum. Mam na myśli nastrój, stan psychiczny sir Arthura.

- Czy byłby pan łaskaw przybliżyć nam tę sprawę? Sir Arthur był przygnębiony, zmartwiony, zestresowany?

- Powiedział mi, że dręczą go koszmary senne. Nie chodziło jednak o zwykłe niespokojne sny, które wszystkich nachodzą po zbyt obfitym posiłku czy nieprzyjemnym doświadczeniu. Sir Arthur sprawiał wrażenie coraz bardziej zdezorientowanego i zrobił się podejrzliwy wobec ludzi, do których przez całe życie miał zaufanie. Złożyłem to wszystko na karb starczego zniedołężnienia. Niestety, zdarza się to nawet najbardziej wartościowym ludziom.

Matthew nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Skoczył na nogi.

- Kompletna bzdura! Ojciec zachował całkowitą jasność umysłu!

- Rozumiem, co pan czuje, sir Matthew - powiedział sędzia śledczy poważnym tonem - ale ostrzegam pana, że nie będę dłużej tolerował pańskich wybryków. Proszę mi pozwolić w spokoju dokończyć przesłuchanie. Czy może pan podać jakieś przykłady tego rodzaju zachowań, doktorze Murray? Jeśli były tak niepokojące, jak pan sugeruje, to dziwię się, że przepisał mu pan laudanum w ilości dostatecznej do spowodowania tragedii, która nas tutaj sprowadziła.

- Bardzo tego żałuję, wysoki sędzie - odparł Murray, który na przekór tym słowom nie sprawiał jednak wrażenia w najmniejszym stopniu skruszonego. - To przykre, że muszę publicznie mówić o słabościach dobrego człowieka, zwłaszcza nieżyjącego. Rozumiem jednak, dlaczego pan sędzia draży tę kwestię. Kiedy przepisywałem laudanum, nie wiedziałem o tych procesach, bo inaczej, jak pan mówi, byłoby to z mojej strony nieetyczne. Sir Arthur powiedział mi, że ma kłopoty ze snem i że dręczą go koszmary, w których pojawiają się dzikie zwierzęta, dżungla, ludożercy i inne groźne rzeczy. Odniosłem wrażenie, że również na jawie odczuwa lęk. W tym czasie nie wiedziałem o jego obsesji na punkcie Afryki. Przepisałem mu laudanum, żeby łatwiej mu się zasypiało i żeby odeszły go koszmary. Dopiero później dowiedziałem się od jego znajomych, jak bardzo szwankowała u niego pamięć i racjonalne myślenie.

- Kłamie! - syknął Matthew. - Ten bydlak kłamie, żeby chronić siebie samego, bo sędzia śledczy przyłapał go na niekonsekwencji.

- Też tak myślę, ale zachowajmy to dla siebie - odparł Pitt. - Tutaj niczego mu nie udowodnimy.

- Zamordowali go! A teraz przyszli tutaj i próbują go oczernić! Wmawiają wszystkim, że był starym ramolem, który do tego stopnia stracił rozum, że niechcący się zabił.

- Nic nie osiągniesz, rzucając mu to w twarz - wycedził Pitt przez zęby. Uświadomił sobie pewną nieprzyjemną okoliczność: nie mieli jak poznać, kto w tej sprawie jest ich przyjacielem, a kto wrogiem. - Trzymaj nerwy na wodzy.

- Tak, masz rację. Oni z pewnością do tego dążą: wytrącić mnie z równowagi, żebym nie był w stanie racjonalnie prowadzić śledztwa.

Za barierką stanął niejaki pan Danforth, sąsiad sir Arthura,

który zeznał ze smutkiem, że sir Arthur był ostatnio wyjątkowo roztargniony.

- Zupełnie inny człowiek. Niestety, naprawdę stracił kontakt z rzeczywistością.

- Czy można trochę konkretniej, panie Danforth? -

zasugerował sędzia śledczy.

- Na przykład trzy miesiące temu oszczeniła mu się najlepsza suka i obiecał mi, że będę sobie mógł wybrać parę piesków.

Poszedłem, obejrzałem i wybrałem dwie najpiękniejsze sztuki.

Sir Arthur pochwalił mnie za ten wybór i dobiliśmy targu.

Kiedy szczeniaczki były już odstawione od piersi, poszedłem je odebrać, ale okazało się, że sir Arthur wyjechał na tydzień do Londynu.

To wróciłem za tydzień, ale jego znowu gdzieś poniosło i usłyszałem, że psy zostały sprzedane majorowi Bridgesowi z Highfield.

Ogromnie mnie to zdenerwowało. Po

powrocie sir Arthura poszedłem do niego z pretensjami, a on

zmyślił jakąś bajeczkę, że niby powiedziano mu, jakoby się

rozmyślił. A potem zaczął wygadywać różne bzdury na temat

Afryki. Najgorsze, że on naprawdę wierzył w to, co mówił. Nie

mogę tego nazwać inaczej jak obsesją. Imaginował sobie, że

jest prześladowany przez jakieś tajne stowarzyszenie. Czułem

się bardzo zażenowany. - Trzej mężczyźni z pierwszego rzędu

pokiwali ze zrozumieniem głowami. - Arthur Desmond był z

gruntu przyzwoitym człowiekiem. Po co rozgrzebywać tę

smutną sprawę? Biedak przez pomyłkę dwa razy wziął

lekarstwo nasenne i pewnie serduszko tego nie wytrzymało.

Nie moglibyśmy na tym skończyć?

- Tak, dziękuję panu, panie Danforth - odparł sędzia śledczy

po chwili wahania. - Czy są jeszcze jacyś świadkowie? Czy ktoś

posiada informacje, które mogą być istotne z punktu widzenia

tej sprawy?

Podniósł się przysadzisty mężczyzna z pierwszego rzędu.

- Wysoki sędzie, wszystkie osoby z pierwszego rzędu były w Morton Club w momencie tragedii. Możemy potwierdzić wszystko, co zeznał Garçon i wszyscy pozostali świadkowie. Pragniemy skorzystać z tej sposobności i złożyć wyrazy najgłębszego współczucia sir Matthew Desmondowi. - Obrócił głowę i spojrzał na pobladłego Matthew. - Jak również wszystkim, którzy podobnie jak my darzyli sir Arthura wielkim szacunkiem.

Usiadł pośród chóru przytaknięć.

- Dziękuję panu - powiedział sędzia śledczy. - Na podstawie tego, co usłyszałem, mogę stwierdzić, że werdykt nie budzi wątpliwości. Sąd ustalił, że sir Arthur Desmond zmarł na skutek przedawkowania laudanum, które zażył sam w chwili roztargnienia. Niewykluczone, że pomylił laudanum z proszkiem na ból głowy bądź na niestrawność. Klasyfikuję ten zgon jako nieszczęśliwy wypadek.

Na sali zapanowała wrzawa. Reporterzy rzucili się do drzwi. W ławach dla publiczności toczyły się ożywione rozmowy. Spopieliały na twarzy Matthew otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć.

- Siedz cicho! - szepnął Pitt.

- To nie był nieszczęśliwy wypadek, tylko morderstwo z zimną krwią - wycedził Matthew przez zęby. - Czy ty wierzysz...

- Nie wierzę, ale przy tych dowodach, które przedstawiono sądowi, możemy mówić o szczęściu, że sędzia nie orzekł samobójstwa.

Z twarzy Matthew odpłynęły resztki krwi. Samobójstwo było nie tylko ciężkim grzechem, ale również przestępstwem, którego sprawca nie miał prawa do chrześcijańskiego pochówku.

Wyszli na ulicę.

- Jeszcze nigdy nie nosiłem w sobie takich uczuć - wydusił

Matthew po dłuższej chwili milczenia. - Nie sądziłem, że kogokolwiek można tak bardzo nienawidzić.

Vespasia spędziła popołudnie na zajęciu, któremu ostatnimi czasy oddawała się rzadziej niż dawniej. Za pięć trzecia posłała po powóz i włożyła koronkową żółtą suknię oraz modny kapelusz z zadartym rondem, ozdobiony białą kapuścianą różą. Uzbrojona w parasol z rączką z kości słoniowej, zeszła na dół i z pomocą służącego wsiadła do powozu.

Poleciła stangretowi, żeby najpierw zabrał ją do domu lady Brabazon przy Park Lane, gdzie zabawiła kwadrans, czyli akurat tyle, ile wypada, kiedy ktoś przychodzi z popołudniową wizytą. Następnie przyszła kolej na panią Kitchener przy Grosvenor Square. Vespasia zjawiła się tam parę minut przed wpół do czwartej, czyli zmieściła się w porze przeznaczony na ceremonialne odwiedziny. Od czwartej do piątej przychodziło się z mniej formalnymi wizytami, a od piątej do szóstej zajeżdżało do przyjaciół. Vespasia przestrzegąca tego konwenansu, ponieważ nie należał on do tych zasad *savoir vivre*, o które warto byłoby kruszyć kopie.

Skąd ta wzmożona aktywność towarzyska? Vespasia liczyła na to, że uda jej się uzyskać jakieś dodatkowe informacje na temat pracowników Ministerstwa Kolonii. Od pani Kitchener przeniosła się na Portman Square, a potem na George Street do domu pani Dolly Wentworth. Minęła już czwarta, a to oznaczało, że będzie można zostać dłużej niż sakramentalne piętnaście minut i napić się herbaty.

- Tak się cieszę z pani wizyty, lady Cumming-Gold - powiedziała Dolly Wentworth z uśmiechem.

Siedziały już u niej dwie panie, jedna starszka, druga o jakieś dwadzieścia pięć lat młodsza - sądząc po podobieństwie rysów, jej córka. Dolly Wentworth miała syna, na razie stanu kawalerskiego. Vespasia domyślała się celu wizyty obu pań.

Wkrótce się okazało, że intuicja jej nie zawiodła. Panie zostały jej przedstawione jako markiza Reginaldowa Saxby i panna Violet Saxby.

Pani Saxby wstała do wyjścia, było bowiem ogólnie przyjęte, że ustępuje się miejsca następnemu gościowi. Córka niechętnie poszła w jej ślady.

- Jaka szkoda, że George akurat jest w klubie.

- Będzie zdruzgotany, jak się dowie, że ominęła go wasza wizyta - odparła Dolly. - Po co mężczyźni tak często chodzą do klubu? Mam wrażenie, że niektórzy spędzają każde popołudnie albo w klubie, albo na krykiecie, albo na wyścigach.

- To jest rażąca niesprawiedliwość - oburzyła się Violet. -

Istnieją setki klubów dla mężczyzn, a dla kobiet może z pół tuzina.

- Powód jest najzupełniej oczywisty - zareplikowała jej matka.

- Mężczyźni spotykają się w klubach, żeby porozmawiać o polityce i sporcie czy trochę poplotkować. Tam koncentruje się ich życie towarzyskie.

- W takim razie dlaczego kobiety nie mają swoich klubów?

- Nie bądź śmieszna, dziecko - skarciła ją matka. - Kobiety mają od takich rzeczy buduary.

- Ale trochę klubów dla kobiet istnieje.

- Bo nie we wszystkich domach są buduary.

- Ja nie znam takiego domu.

- Oczywiście, że nie znasz. Kobieta, która nie ma swojego buduaru, nie bywa na salonach.

Panna Saxby zadowolona się tym zniecierpliwionym wyjaśnieniem.

- O rany - westchnęła Dolly, kiedy panie Saxby poszły sobie. -

Biednemu George'owi trochę doskwiera kawalerstwo.

- Pewnie z racji tego, że jest taki rozchwytywany - odparła

Vespasia z uśmiechem.

- Masz rację. Usiądź, proszę. Od wieków nie spotkałyśmy się w okolicznościach, w których można byłoby normalnie porozmawiać.
- Mniej się ostatnio udzielam - przyznała Vespasia. -
Aczkolwiek bardzo przyjemnie wspominam przyjęcie u księżnej Marlborough w tym tygodniu. Wiem, że tam byłaś, ale cię nie widziałam. Poznałam natomiast Susannah Chancellor. Ciekawa kobieta. Trochę podobna do Beatrice Darnay. Czy ona przypadkiem nie pochodzi z Darneyów z Worcestershire?
- Nie. Jest córką Williama Dowlinga od Coutts Bank.
- A! Nie mogę powiedzieć, że bym go znała.
- Nie masz obowiązku znać wszystkich bankierów. Od wielu lat nie żyje. Zostawił spory majątek, który odziedziczyły Susannah i Maude. Maude niedawno zmarła i jej część spadku przeszła na jej męża, wraz z większościowym udziałem w banku. Francis Standish. Słyszałaś o nim?
- Chyba go nawet kiedyś spotkałam. Dystyngowany mężczyzna, o ile dobrze pamiętam.
- Owszem. Bankierzy z reguły są bardzo pewni siebie. Jego matka była spokrewniona z Salisburyami, ale nie wiem dokładnie, w jaki sposób.
- Na przyjęciu u księżnej była też niejaka Christabel Thorne...
- Ach, moja droga! Ona się chyba zalicza do tych tak zwanych „nowych kobiet”. Skandaliczne, ale ciekawe.
- Dlaczego uważasz to za skandaliczne?
- A wyobrażasz sobie, że kobiety zaczynają prowadzić samodzielne życie, nie zważając na to, co się stanie z resztą społeczeństwa? Nie można żyć wyłącznie dla siebie. To zupełnie nieodpowiedzialne. Widziałaś tę okropną sztukę pana Ibsena? *Dom lalki* czy coś w tym rodzaju. Kobieta bez żadnego powodu odeszła od męża i dzieci.
- Ona uważała, że ma powód - Vespasia była za stara, żeby

powstrzymywać się przed wyrażaniem swoich poglądów. - Jej mąż był potwornie protekcyjny i traktował ją jak dziecko. Nie miała żadnego prawa do decydowania o sobie.

- Ależ większość mężczyzn taka jest, moja droga - odparła Dolly ze śmiechem. - Trzeba po prostu umieć sobie z tym radzić. Odrobina pochlebstwa, odrobina przymilania się i mnóstwo taktu, a za jego plecami można prawie wszystko. - Ona nie chciała podstępem walczyć o to, co według niej należało się z każdej kobiecie.

- Mówisz tak, jakbyś sama była „nową kobietą”!

- Gdzie tam, jestem bardzo starą kobietą. Ale co Christabel Thorne zrobiła takiego radykalnego? Bo chyba nie odeszła z domu.

- Dużo gorzej - stwierdziła Dolly bez cienia uśmiechu. - Założyła jakieś stowarzyszenie, które drukuje i rozprowadza materiały zachęcające kobiety do tego, aby się kształciły i podejmowały pracę w wolnych zawodach. Koniec świata! Kto zatrudni kobietę prawnika, architekta, sędziego czy lekarza? To do niczego nie prowadzi. Mężczyźni tego nie zaakceptują. Ale ona oczywiście nie da sobie nic powiedzieć.

- Coś niezwykłego - odparła Vespasia, starając się nie okazywać po sobie żadnych uczuć.

Na tym dyskusja się zakończyła, ponieważ przybył następny gość, któremu Vespasia ustąpiła miejsca.

Ostatnią osobą, którą odwiedziła, była Nobby Gunne.

Nobby siedziała w ogrodzie i z nieobecną miną patrzyła na rabatę irysów.

- Jak miło panią widzieć! - przywitała Vespasię. - Chyba już pora na herbatę. Napije się pani?

- Bardzo chętnie.

Poszły rozświetlonym trawnikiem, od czasu do czasu zahaczając spódnicami o dłuższe źdźbła, które ominęła kosa

ogrodnika. Trzmiel leniwie przelatywał z jednej róży na drugą.

- Nie ma nic piękniejszego niż angielski ogród w lecie -
powiedziała Nobby. - Mimo to coraz częściej myślę o Afryce.

- Ale chyba się pani tam nie wybiera? - zdziwiła się Vespasia,
bo nie było to przedsięwzięcie dla pięćdziesięcioletniej
kobiety.

- Tylko czasem w marzeniach - uśmiechnęła się Nobby. -

Wspomnienia bywają zwodnicze. Ale martwię się o Afrykę,
zwłaszcza po tej rozmowie u księżnej. W grę wchodzi ogromne
pieniądze, wielkie zyski z osadnictwa i handlu. Skończyły się
czasy odkrywców, pierwszych białych ludzi, który trafili do
jakiegoś zakątka Czarnego Lądu. Teraz mamy traktaty,
żołnierzy i licencje na wydobycie minerałów. Popłynęło już
wiele krwi. - Ze smutną miną spojrzała na pnący się po murku
wiciokrzew. - Nikt już nie mówi o misjonarzach. Od paru lat
nie słyszałam, żeby ktoś wspomniał o Moffacie albo
Livingstonie. Teraz został już tylko Stanley, Cecil Rhodes i
pieniądze.

Wiązy lśniły i szemrały na słońcu, a białe pnące róże
zaczynały rozchyłać kielichy. Wszystko takie angielskie! Afryka
z jej prażącym słońcem i pyłem zdawała się nierealną bajką.

- Czasy się zmieniają - powiedziała Vespasia pocieszającym
tonem, bo z twarzy Nobby przebijało głębokie zatroskanie. - Po
idealistach przychodzą realiści, praktycy, którzy chcą nabić
sobie kabzę. Zawsze tak było. Być może nie da się temu
zapobiec. - Zatrzymała się przed wielkim łubinem, który
zaczynał już różowieć. - Powinna się pani cieszyć, że miała pani
przywilej być jednym z uczestników epoki bohaterskiej.

- Gdyby to była wyłącznie kwestia mojego osobistego żalu, to
bym się tak bardzo nie przejmowała. Ale to jest naprawdę
ważne, pani Vespasio. Jeśli źle przeprowadzimy kolonizację
Afryki, jeśli zasiejemy wiatr, to przez wiele stuleci będziemy

zbierać burzę.

- Co pani konkretnie przewiduje?

- Jeśli zrealizowane zostaną plany Linusa Chancellora i związanych z nim ludzi, którzy inwestują gigantyczne pieniądze w kolonizację interioru... Mówię o Maszonalandzie, Matabelelandzie, wybrzeżach jeziora Niasa i terenach Afryki Równikowej. Chcą skolonizować te obszary, bo sądzą, że są tam ogromne złoża złota. A za nimi pójdą hordy ludzi zainteresowanych wyłącznie rabunkową eksploatacją surowców. - Przeleciał motyl i usiadł na kwiatku. - Znajdą się najróżniejszej maści spekulanci, oszuści i szarlatani.

Watażkowie z prywatnymi armiami będą przeciągali na swoją stronę kacyków. Już teraz Afryka jest trawiona wojnami plemiennymi, ale na razie krajowcy są uzbrojeni tylko w dzidy. Aż strach pomyśleć, co się stanie, kiedy jedni będą mieli broń palną, a inni nie. I nie wolno lekceważyć Niemców. Są silnie obecni w Zanzibarze i rwą się w głąb lądu. Już teraz zdarzają się makabryczne rzezie. A sądzą, że najgorsze dopiero przed nami. Arabscy właściciele niewolników będą bronili swoich interesów wszelkimi dostępnymi środkami. Raz już powstali przeciwko Niemcom.

- Ale rząd ma chyba świadomość tego wszystkiego? - spytała Vespasia powątpiewającym tonem.

- Nie jestem pewna, czy w to wierzą - odparła Nobby ze wzruszeniem ramion. - Z perspektywy angielskiej to wygląda zupełnie inaczej. Obco brzmiące nazwy w gazecie, relacje z drugiej ręki, wydarzenia w jakimś odległym kraju. To całkiem co innego, kiedy ktoś tam był, poznał ludzi, pokochał Czarny Ląd. Nie wszyscy Murzyni są szlachetnymi dzikusami, prostodusznymi istotami ze wzrokiem dziecka. Potrafią być takimi samymi podstępными wyzyskiwaczami i despotami jak biali. Sprzedadzą swoich wrogów w niewolę każdemu Arabowi,

który zechce ich kupić. Jest to tradycyjny sposób postępowania z jeńcami wojennymi. Uważam, że nie różnimy się od nich moralnością, tylko możliwościami. Wynaleźliśmy proch, umiemy wytapiać stal, jesteśmy lepiej zorganizowani.

Potrafimy uczynić więcej zła i więcej dobra. Obawiam się, że żądza zysku i pragnienie zbudowania imperium sprawią, że będziemy czynić głównie zło.

- Czy można temu jakoś zapobiec? - spytała Vespasia. - Albo przynajmniej ograniczyć?

Usiadły na białej ławce w cieniu cedru.

- Właśnie to mnie nurtuje. Na razie nie umiem się w tym wszystkim rozeznaczyć, ale jestem przekonana, że istnieje jakiś sposób. Rozmawiałam trochę ostatnio z panem Kreislerem.

Wrócił niedawno z Afryki i mam zaufanie do jego ocen. -

Delikatnie poczerwieniała, nie patrząc na Vespasię. - Poznał

Abushiriego, przywódcę buntu przeciwko Niemcom w Zanzibarze. Chodziło o bandę handlarzy niewolnikami i kością słoniową, którzy się zbuntowali, ponieważ czuli się ograniczani

w swoich działaniach. Ich rebelię brutalnie stłumiono. Nic

więcej nie wiem. Pan Kreisler wspomniał o tym tylko

mimochodem, ale jego relacje wzmogły mój niepokój.

Vespasia również była zatroskana, ale z innych powodów.

Wiedziała o utracie władzy przez Ottona von Bismarcka,

genialnego kanclerza, twórcy zjednoczonych Niemiec. Jego

nominalny zwierzchnik, stary kajzer, był wówczas chory i zmarł

niedługo potem. Głową młodego i wielkiego państwa był teraz

Wilhelm II, człowiek uparty i pewny siebie. Nie było komu

powściągać i miarkować niemieckich ambicji.

- Pamiętam pierwsze lata Livingstone'a w Afryce -

powiedziała Nobby ze spesjonym uśmiechem. - Wychodzę na

staruszkę, prawda? Ależ byliśmy wszyscy przejęci! Wtedy nie

mówiło się o złocie ani kości słoniowej. Ważne było odkrywanie

nowych ludów, wspaniałych krajobrazów czy ciekawych miejsc, takich jak Wodospady Wiktorii. - Przez ciemnozielone listowie cedru spojrzała na rozświetlone niebo. - Poznałam kiedyś człowieka, który kilka miesięcy wcześniej widział wodospady. Był gorący wieczór, stałam na zewnątrz. W Anglii nigdy nie odczuwa się upału tak bezpośrednio na skórze, jak parzącego oddechu. Płaskie korony akacji odcinały się od rozgwieżdżonego nieba. Czułam zapach kurzu i suchej trawy. Noc rozbrzmiewała odgłosami owadów. Od pobliskiego wodopoju dochodził ryk lwicy.

Było tak cicho, że miałam wrażenie, iż mogłabym wyciągnąć rękę i jej dotknąć. - Nobby była na krawędzi płaczu. Vespasia jej nie przerywała. - Przyszedł ten człowiek, biały podróżnik, który dotarł do naszego obozu chory na febrę. Ledwo trzymał się na nogach. Zostały z niego skóra i kości, ale twarz mu jaśniała, kiedy snuł swoją opowieść. Widział wodospady około trzech miesięcy wcześniej. Największa kaskada świata, mówił, jakby ocean spadał z podniebnych skał nieprzerwanym strumieniem, z rykiem skacząc po kamieniach w stronę dna, którego nie było widać z powodu kipiącej piany, przetykanej niezliczonymi tęczkami. Rzeka miała kilkanaście odnóg. Każda z nich rzucała się do tej kotliny porośniętej dżunglą...

Umilkła.

- Co się z nim stało?

Pośród gałęzi cedru nad ich głowami śpiewał ptak.

- Dwa lata później zmarł na febrę. Ale dzięki Bogu wodospady pozostaną na swoim miejscu do końca czasów.

Wstały i poszły po trawie w stronę domu.

- Herbata z pewnością jest już gotowa. Napije się pani?

- Tak, z miłą chęcią.

- Pan Kreisler polował z Selousem, wie pani?

- Z Selousem? A kto to jest Selous?

- Frederick Courtney Selous, znakomity myśliwy i zwiadowca. Pan Kreisler powiedział mi, że to pan Selous poprowadził kolumnę Cecila Rhodesa na północ, żeby skolonizować dorzecze Zambezi. - Twarz znowu jej pociemniała, a głos prawie niedostrzegalnie zmienił intonację, kiedy wymawiała nazwisko Kreislera. - Wiem, że pan kanclerz popiera Rhodesa. I oczywiście bank Francisa Standisha.

- Co budzi dezaprobatę pana Kreislera - podsumowała Vespasia.

Nobby spojrzała jej w oczy.

- Obawiam się, że ma rację - powiedziała. - Ten człowiek szczerze kocha Afrykę, nie ze względu na potencjalne zyski, tylko dla niej samej, ponieważ jest dzika i obca, piękna, straszna i bardzo, bardzo stara.

Nie było potrzeby dodawać, jak bardzo za to podziwia Petera Kreislera, bo świadczył o tym ton jej głosu i blask, który rozświetlał jej twarz.

Nazajutrz odbywał się kiermasz charytatywny, w którym Vespasia obiecała wziąć udział. Nie lubiła takich imprez i wolałaby przekazać pieniądze, ale wentę zorganizowała jej przyjaciółka Penelope Kennard. Vespasia uznała, że takie wyjście spodoba się Charlotte i posłała po nią powóz.

Po przybyciu na miejsce zdały sobie sprawę, że atmosfera jest zupełnie inna od tej, której oczekiwały, i że wcale nie będą się nudzić, a może nawet dowiedzą się czegoś ciekawego. Penelope nie poinformowała przyjaciółki, że jest to kiermasz tematyczny: każdy członek komitetu organizacyjnego przebrał się za postać ze sztuki Szekspira.

W bramie ogrodu powitał ich nader urodziwy Henryk V który przemówił tubalnym głosem. Chwilę później dopadł je zbójcecki Shylock i zażądał pieniędzy albo funta mięsa wykrojonego z ich ciał. Wpierw zdeprymowana, Vespasia szybko zorientowała się

w sytuacji i wręczyła mu obola za wstęp.

- Boże przenajświętszy, co nas jeszcze czeka? - wybąkała, kiedy znalazły się już poza zasięgiem słuchu odźwiernych. Skierowały się ku straganowi obsługiwanemu przez zachwycającą młodą kobietę, przebraną za Tytanię, Królową Wrózek ze *Snu nocy letniej*. Pokazywała znacznie więcej swojego ciała, niż gdyby włożyła najśmielszą suknię wieczorową. Barki, ramiona i talia były odsłonięte, a długi muślinowy zawój tylko w niewielkim stopniu zakrywał resztę ciała. Dwaj młodzi jegomości kłócili się o cenę lawendy, aby mieć pretekst do napawania się jej wdziękami. Inni klienci ze zniecierpliwieniem czekali na swoją kolej.

- Robi wrażenie! - powiedziała z podziwem Charlotte.

- O, tak! - zgodziła się z uśmiechem Vespasia. - Podczas poprzedniej wenty zorganizowanej przez Penelope wszyscy przebrali się za postacie z Dickensa. Wyszło to znacznie mniej zabawnie, bo moim zdaniem byli bardzo podobni do siebie. Spójrz, Kleopatra sprzedaje poduszeczki do szpilek. Charlotte pobiegła wzrokiem za spojrzeniem Vespasii i zobaczyła nadzwyczaj urodziwą młodą kobietę z ciemnymi włosami i oczami, greckim nosem i stanowczymi ustami, zdradzającymi silną osobowość, zarazem zdyscyplinowaną i nawykłą do władzy. W tym momencie proponowała wyszywaną i ozdobioną koronką poduszeczkę jegomościowi we fraku i prążkowanych spodniach, wyglądającemu jak bankier lub makler giełdowy.

Powolnym krokiem przemaszerował biskup w tradycyjnych podwiązkach, uśmiechając się i łaskawie kiwając głową na boki. Jego wzrok na chwilę spoczął na Kleopatrze. Biskup był już bliski decyzji o zakupie poduszeczki do szpilek, ale roztropność zwyciężyła i wciąż uśmiechnięty poszedł dalej w stronę Tytanii. Vespasia i Charlotte wędrowały między straganami, na

których młode kobiety w oryginalnych przebraniach sprzedawały słodkości, kwiaty, ozdoby, wstążki, ciastka i obrazki. Inne zapraszały do rozmaitych gier z nagrodami. Na budce udrapowanej muślinowatym materiałem z przypiętymi srebrnymi gwiazdkami można było przeczytać, że więdźmy z *Makbeta* za sześć pensów przepowiedzą przyszłość. W kolejce ustawiła się gromadka rozchichotanych dziewcząt, a nawet dwóch młodzieńców, którzy udawali, że są tam tylko dla towarzystwa, ale blask w ich oczach mówił co innego.

Zaraz za nimi Charlotte dostrzegła rosłą sylwetkę Eustace'a Marcha, który rozmawiał z barczystym mężczyzną z długimi siwymi włosami i stentorowym głosem. Obaj ryknęli serdecznym śmiechem, po czym Eustace pożegnał się z nim.

Na widok Charlotte zrobił spłoszoną minę, ale za późno było udawać, że jej nie zauważył. Uniósł czoło i podszedł do niej.

- Dzień dobry, pani Pitt. Jakże miło panią spotkać! Widzę, że przyszła pani wesprzeć szlachetny cel. Znakomicie! Zawahał się, nie mając pewności, czy uczynił już zadość wymogom *savoir vivre* i może się oddalić. - Piękny dzień. Przyjemnie być na świeżym powietrzu. Cudowny ogród, prawda?

- Rozkoszny - zgodziła się z nim Charlotte. - Bardzo miło ze strony pani Kennard, że udostępniła go na potrzeby kermaszu. Myślę, że będzie mnóstwo sprzątania po tych wszystkich ludziach.

Eustace skrzywił się nieznacznie, zbulwersowany, że Charlotte wspomina o rzeczach tak przyziemnych.

- Wszystko w dobrej sprawie, droga pani! Te drobne poświęcenia są konieczne, jeśli mamy się do czegoś przydać. Nic nie zrobi się samo! - dodał cały w uśmiechach.

- Naturalnie. Wyobrażam sobie, że zna pan tutaj dużo ludzi.

- Ja? Bynajmniej. Nie mam już tyle czasu, co dawniej na życie towarzyskie. Jest zbyt wiele ważnych rzeczy do zrobienia.

Przebierał już nogami, żeby odejść. Ubawiona Charlotte przygwoździła go wzrokiem.

- Bardzo mnie pan zainteresował, panie March...

Eustace sprawiał wrażenie przerażonego. To była ostatnia rzecz, której pragnął. W towarzystwie Charlotte zawsze czuł się nieswojo. Rozmowa rzadko przebiegała pożądanym przez niego torem.

- Moja droga, zapewniam panią... Ja...

- Niechże pan nie będzie taki skromny. Wiele myślałam o tym, co pan wczoraj powiedział: że trzeba połączyć siły, aby coś osiągnąć. Jestem pewna, że współpracując ze sobą, możemy zrobić o wiele więcej. Wiedza jest potęgą, prawda? Jak możemy być skuteczni, jeśli nie znamy rzeczywistych potrzeb najbiedniejszych? Możemy nawet uczynić więcej złego niż dobrego, nie sądzi pan?

- Tak, to możliwe - odparł niechętnie. - Pochopny sąd często jest błędny. Bardzo się cieszę, że pani to sobie uświadomiła. Zapewniam panią, że organizacja, do której należę, jest najzupełniej godna zaufania.

- I dyskretna - odparła bez śladu ironii na twarzy. - Z pewnością było dla pana szokujące, że sir Arthur Desmond mówił o niej przed śmiercią tyle złego.

Eustace pobladł, mocno zakłopotany.

- W rzeczy samej. Biedny człowiek, zniedołężniały umysłowo. Nadzwyczaj smutne. Alkohol... - Pokręcił głową. - Zawsze mówiłem, że we wszystkim należy zachować umiar. W zdrowym ciele zdrowy duch. Ja oczywiście nie uznaję laudanum ani innych świństw tego rodzaju. Świeże powietrze, zimna kąpiel, ćwiczenia fizyczne i czyste sumienie. Nie muszę uciekać się do proszków i mikstur, żeby spokojnie spać każdej nocy.

Groźny Ryszard III minął ich rakiem. Dwie kobiety parsknęły

śmiechem na jego widok. Pogroził im pięścią, a one przyjęły tę konwencję, udając, że się boją.

- Żeby mieć czyste sumienie, trzeba żyć cnotliwie i często się spowiadać albo być człowiekiem zupełnie bezdusznym - powiedziała Charlotte surowym tonem. Eustace zarumienił się głęboko i nic nie odpowiedział. - Niestety, nie znałam sir Arthura, ale słyszałam, że był wyjątkowo życzliwym i uczciwym człowiekiem. Może cierpiał bóle, które nie pozwalały mu spać, a może przygniatały go jakieś troski.

- Naturalnie, naturalnie... - wybąkał Eustace.

Charlotte wiedziała, że obudziła w nim bolesne wspomnienia i że nie jest z tego zadowolony. Ten człowiek nie miał prawa spać snem sprawiedliwych!

- Znał go pan? - naciskała.

- Desmonda? Spotkałem go parę razy. Nie mogę powiedzieć, żebym go znał.

Zadała sobie pytanie, czy Eustace i sir Arthur mogli należeć do tej samej loży tajnego stowarzyszenia. Nie miała pojęcia, ilu członków liczy jedna loża. Pitt chyba mówił, że siedmiu czy ośmiu, ale nie była pewna.

- Gdzie pan go spotkał? - spytała z niewinną miną. - Na salonach, na balach myśliwskich czy może w związku z jego pracą?

Jeszcze bardziej czerwony Eustace rzucił okiem przez ramię.

- Z jego pracą? - powtórzył zdeprimowany. - Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

To jej wystarczyło. Gdyby chodziło o stosunki towarzyskie, przyznałby się do tego bez śladu zażenowania. Ale Eustace March nie poruszał się w kręgach ziemiańskich, czyli w świecie, do którego z racji urodzenia należał Arthur Desmond.

- Chodziło mi o Ministerstwo Spraw Zagranicznych

- podjęła z uroczym uśmiechem. - Ale oczywiście wiedziałam,

że to mało prawdopodobne.

- Właśnie, właśnie... Wybacz pani, że ją przeproszę. Muszę się pokazać, kupić coś tu i tam, zachęcić innych swoim przykładem.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, oddalił się pospiesznie, skinieniem głowy pozdrawiając osoby, które znał lub pragnął znać.

Charlotte stała przez chwilę zamyślona, po czym udała się na poszukiwania Vespasii, która zostawiła ją jakiś czas temu, żeby porozmawiać ze znajomą.

Wróciła do miejsca, w którym Kleopatra sprzedawała poduszeczki do szpilek. Z ubawieniem obserwowała wahania starszej matrony i jej młodej towarzyszki, która szybkimi krokami zbliżała się do wieku niematrymonialnego (no, chyba że jest się dziedziczką wielkiej fortuny, bo wtedy można wyjść za mąż w dowolnym wieku).

Charlotte usłyszała, że panie zwracają się do Kleopatry per „panno Soames”. Czyżby to była Harriet Soames, narzeczona Matthew Desmonda? Zaczekała, aż się oddalą, i podeszła do straganu.

- Przepraszam panią...

Kleopatra spojrzała na nią przyjaźnie, ale bez zbytniego zainteresowania. Z bliska wyglądała jeszcze oryginalniej. Oczy ciemne, spojrzenie stanowcze, usta cienkie, twarz zdradzająca uduchowione wnętrze.

- Coś pani pokazać? Dla pani czy na prezent?

- Nie chcę nic kupić, tylko przypadkiem usłyszałam, jak zwracano się do pani z nazwiska. Czy mam przyjemność z panną Harriet Soames?

- Owszem - odparła zaskoczona. - Pani wybacz, ale nie przypominam sobie, żebyśmy się poznały.

Była to uprzejma odpowiedź dobrze wychowanej młodej

damy niezamierzającej po prostu nawiązywać znajomości z osobą, o której nic nie wie i której nie została przedstawiona.

- Nazywam się Charlotte Pitt. Mój mąż od małego przyjaźni się z sir Matthew Desmondem. Pozwoli pani, że pogratuluję jej zaręczyn i złożę kondolencje z powodu śmierci sir Arthura. Mój mąż bardzo głęboko to przeżył. Sir Arthur musiał być wyjątkowym człowiekiem.

Harriet Soames wyjaśniała na twarzy.

- Jakże pani miła! Tak, sir Arthur był jednym z najzyczliwszych ludzi, jakich w życiu znałam. Sądziłam, że będę się go bała, jak to zwykle bywa z przyszłymi teściami, ale już od pierwszego spotkania czułam się w jego towarzystwie najzupełniej swobodnie.

Jej twarz wyrażała zarazem radość i ból.

Charlotte jeszcze bardziej pożałowała, że nie miała okazji poznać sir Arthura. Bolesniej odczułaby jego śmierć, ale jej mąż miałby w niej towarzyszkę w żałobie.

- Sir Matthew odwiedził nas niedawno wieczorem - podjęła. - Nie znałam go wcześniej, ale natychmiast go polubiłam. Życzę wam obojgu wiele szczęścia.

- Dziękuję, to bardzo miło z pani strony.

Harriet zamierzała coś dodać, ale przeszkodziło jej w tym przybycie pewnej młodej kobiety. Osoba ta miała regularne i typowo angielskie rysy, miodowe włosy i naturalnie rumianą cerę. Z jej oczu przebijały inteligencja i poczucie humoru.

Sądząc, że rozmowa Charlotte i Harriet ma charakter czysto handlowy, Amanda Pennecuick bez wahania im przerwała, po czym równie szybko przeprosiła, kiedy została przedstawiona.

- Najmocniej przepraszam, pani Pitt. Ależ ze mnie grubianka!

Poza tym nie mam Harriet nic ważnego do powiedzenia.

- Ja również - wyznała Charlotte. - Chciałam się tylko przedstawić, bo mój mąż jest starym znajomym sir Matthew

Desmonda - dodała, zakładając, że Amanda wie o zaręczynach.

- Jestem zła jak osa - zwierzyła im się Amanda. - Gwendoline Otway znowu uprawia te swoje okropne wróżby astrologiczne, chociaż obiecała więcej tego nie robić. Czasem mam ochotę ją udusić! I przebrała się za Annę Boleyn.

- Z głową czy bez? - spytała Harriet.

- Z głową... Na razie - burknęła Amanda.

Harriet zmarszczyła brwi.

- Nie wiedziałam, że Anna Boleyn to postać szekspirowska...

- „Żegnajcie... Żegnajcie dni mojej chwały” - powiedział pięknie modulowany męski głos za plecami Amandy.

Odwróciły się i zobaczyły pospolitą, lecz inteligentną twarz Garstona Aylmera.

- Kardynał Wolsey w *Henryku VIII* - wyjaśnił, patrząc na Amandę.

- A, tak, naturalnie. Dzień dobry, panie Aylmer.

Starła się patrzeć na niego neutralnym wzrokiem, co przychodziło jej z trudem, ponieważ jej fizjonomia należała do tych, na których wypisane są wszystkie emocje.

- Dlaczego tak bardzo to panią gniewa, że Gwendoline Otway bawi się w astrologię? - spytała zaintrygowana Charlotte. - Czyż nie jest to nieszkodliwa rozrywka, która pozwoli zebrać trochę pieniędzy na szlachetny cel?

- Amanda jest przeciwniczką astrologii nawet jako zabawy - wyjaśniła Harriet.

- Gwiazdy nie mają w sobie nic magicznego - zripostowała szybko Amanda. - Przynajmniej nie w tym sensie. To, co mówią, jest dużo cudowniejsze niż te wszystkie idiotyzmy, związane z imionami antycznych bohaterów i wymyślonych zwierząt. Gdybyście mieli jakieś wyobrażenie o ich prawdziwym znaczeniu...

Urwała zdeprymowana zachwyconym spojrzeniem, które

utkwiał w niej Garston Aylmer.

- Pani wybaczy - zwróciła się do Charlotte - nie powinnam się unosić z takimi głupstwami. Gwendoline zabawia ludzi, którzy w przeciwnym razie nigdy nie spojrzeliby przez teleskop, nawet gdyby im go włożyć do ręki... - Zaśmiała się z zakłopotaniem. - Może lepiej kupię poduszeczkę do szpilek. Pokaż mi, proszę, tę z białą koronką.

Harriet podała jej rzeczoną poduszeczkę.

- Pozwoli pani zaprosić się na herbatę, panno Pennecuick? - spytał Aylmer. - I pani, pani Pitt?

Charlotte zdawała sobie sprawę, że powinna odrzucić tę propozycję. Nie знаła stanu uczuć Amandy, ale wiedziała, co czuje Aylmer, a bardzo go lubiła.

- Dziękuję, ale przyszedłam tutaj z ciotką i powinnam jej poszukać.

Amanda zawahała się, jakby rozważała złożoną jej propozycję, po czym ruszyła obok Aylmera, nie biorąc podanego jej ramienia. Nie byli dobraną parą: ona taka szczupła i wytworna, on niezdarny, niski i grubawy.

- Szkoda, że pani im nie towarzyszyła - mruknęła Harriet. - Biedna Amanda.

- Kiedy ja naprawdę przyszedłam tutaj z ciotką!

- Och, najmocniej panią przepraszam! Sądziłam, że pani...

Obie wybuchnęły śmiechem.

Kwadrans później Charlotte znalazła Vespasię i razem udały się do namiotu, w którym serwowano herbatę. Aylmer i Amanda Pennecuick właśnie wychodzili, pogrążeni w rozmowie.

- Zaskakująca para - skomentowała Vespasia.

Mała dziewczynka zaproponowała im kanapki i rozmaicie udekorowane ciasteczka w różnych kształtach. Dokonały wyboru i Vespasia naląła herbatę. Musiały chwilę zaczekać, aż

trochę ostygnie. Charlotte zauważyła przy sąsiednim stoliku Susannah Chancellor, częściowo zasłoniętą przez samowar i duży kwiat w donicy, opatrzoney etykietką z ceną. Charlotte i Vespasia wyraźnie słyszały jej głos, uprzejmy i zaciekawiony, ale podszyty nutką niepokoju.

- Sądzę, że wyciąga pan pochopne wnioski, nie znając wszystkich faktów, panie Kreisler. Te projekty są starannie przemyślane i skonsultowane ze specjalistami od Afryki.

- Takimi jak pan Rhodes? - odparł Kreisler tonem nieskrywanej dezaprobaty wobec Cecila Rhodesa i jego poczynąń.

- Między innymi, ale nie tylko. Pan MacKinnon...

- To uczciwy człowiek, ale jest tam dla zysku. Jego interesy, jego honor, jego polityczne przetrwanie zależą od powodzenia tego przedsięwzięcia.

- Pan Rhodes włożył w ten projekt wiele pieniędzy - zareplikowała Susannah. - Ani mój mąż, ani mój szwagier by go nie poparli, gdyby był zwykłym awanturnikiem, który osobiście w to nie zainwestował.

- Pan Rhodes jest awanturnikiem, który postawił na to całą swoją fortunę - odparł ze śmiechem Kreisler. - Jest pierwszej wody kolonizatorem.

- Można by pomyśleć, że jest pan przeciwnikiem kolonizacji, panie Kreisler. Dlaczego? Jeśli my tego nie zrobimy, wyręczą nas inni i stracimy Afrykę, być może na rzecz Niemców. Chyba pan sobie tego nie życzy? Ani kontynuacji handlu niewolnikami?

- Oczywiście, że nie, pani Chancellor, ale zmiany, które my ze sobą przynosimy, niekoniecznie doprowadzą do zniesienia niewolnictwa, mogą natomiast wywołać wojnę z Arabami, którzy są największymi handlarzami niewolników, jak również z Portugalczycami, Niemcami i sułtanem Zanzibaru. A przede

wszystkim w wyniku tych działań powstanie nasze imperium w Afryce, które prędzej czy później wchłonie Emina Paszę, Lobengulę,

Kabakę z Bugandy i wszystkich innych. Biali osadnicy ze strzelbami zniszczą stare zwyczaje i za pół wieku Afrykanie będą poddanymi na własnej ziemi...

- Przesadza pan! Afrykanów są miliony, a nas garstka... kilkaset osób.

- Dzisiaj tak, ale jutro, kiedy na szali będą złoto i ziemia? Kiedy skończą się wojny i nasi młodszy synowie bez ziemi i majątku zechcą poszukać tam szczęścia?

- Jest pan zbyt wielkim pesymistą, panie Kreisler. W Afryce kolonizacja będzie wyglądała tak samo jak w Indiach, ze stałą armią, strukturami administracyjnymi, policyjnymi, sądowymi i...Urwała.

- Naprawdę pani w to wierzy? - zapytał tak bardzo zniżonym głosem, że Charlotte musiała wytyęzać uszy, aby go usłyszeć.

- No... Sama nie wiem. To musi potrwać, ale kiedyś tak będzie.

- Cywilizacja indyjska jest o tysiące lat starsza od naszej. Czytali i pisali, budowali miasta, malowali wspaniałe obrazy i snuli wyrafinowane koncepcje filozoficzne, kiedy myśmy biegali z pomalowanymi twarzami odziani w zwierzęce skóry!

- To nie zmienia faktu, że skorzystali na prawodawstwie, które im przynieśliśmy. Rozstrzygnęliśmy ich wewnętrzne spory i zunifikowaliśmy kraj. Może jesteśmy kolonistami, ale 1 Kabaka z Bugandy - oficjalny tytuł władcy Królestwa Bugandy. Zawsze będą nam pokój. Tam samo będzie w Afryce.

Kreisler milczał.

Od momentu, gdy rozpoznały głos Susannah Chancellor, Charlotte i Vespasia nie odezwały się ani słowem. Wielokrotnie wymienili spojrzenia wyrażające to, co nie wymagało

komentarza.

- Znał pan sir Arthura Desmonda? - spytała Susannah po chwili milczenia.

- Nie. Czemu pani pyta?

- Z pewnością by się z panem zgodził. Sprawiał wrażenie głęboko zatroskanego losem Afryki.

- W takim razie chciałbym go poznać.

- Niestety to niemożliwe. Umarł w ubiegłym tygodniu.

Kreisler nic nie odpowiedział. Po chwili dołączyła do nich Christabel Thorne i rozmowa zeszła na tematy ogólne.

Vespasia dopiła herbatę.

- Człowiek pełen pasji, ten pan Kreisler - powiedziała. -

Interesujący, ale obawiam się, że niebezpieczny.

- Sądzi pani, że ma rację w kwestii Afryki?

- Nie wiem. Chyba tak, przynajmniej po części. Na pewno jest przekonany o słuszności swoich poglądów. Wolałabym, żeby Nobby nie była w niego taka zapatrzona. Chodźmy, moja droga. Spełniłyśmy nasz obowiązek.

Rozdział czwarty

Charlotte i Pitt przyjechali do Brackley na pogrzeb Arthura Desmonda. Gdy wysiedli z pociągu, powitało ich jasne słońce. Stacyjka miała tylko jeden stumetrowy peron. W połowie jego długości stał budynek z poczekalnią, kasą biletową i mieszkaniem zawiadowcy. Po obu stronach ciągnęły się pola zboża, a za nimi rosły wysokie drzewa obsypane młodymi listkami. W powietrzu unosił się zapach dzikich róż, które zaczynały rozchyłać już kwiaty w żywopłotach.

Pitt nie był w Brackley od piętnastu lat, ale miejscowość wydała mu się tak znajoma, jakby opuścił ją zaledwie wczoraj. Nic się nie zmieniło: kreska dachu stacji na tle nieba, przebieg torów skręcających w stronę Tolworth, wielkie węglarki. Zauważył nawet, że instynktownie ominął pęknięcie płyty

peronu.

Zawiadowca, który posiwił przez tych kilkanaście lat, miał czarną opaskę na ramieniu. Zamierzał już wygłosić jakieś rutynowe pozdrowienie, ale powstrzymał się i spojrzał uważniej na przybysza.

- Thomas? Pan jest mały Tom, prawda? Ależ oczywiście! Mówiłem staremu Abe'owi, że pan przyjedzie. Smutny dzień dla Brackley, bez dwóch zdań.

- Dzień dobry, panie Wilkie - odparł Pitt. - Rzeczywiście bardzo smutny dzień.

W Londynie był nadkomisarzem policji, ale tutaj - synem gajowego z dworu. Chciał wytłumaczyć, dlaczego tak długo nie przyjeżdżał, ale w tym dniu nikogo by to nie zainteresowało. W zrozpaczonych sercach nie było miejsca na takie błahostki. Pitt przedstawił Charlotte Wilkiemu, którego twarz pojaśniała, bo nie spodziewał się takiego gestu szacunku.

Byli już blisko drzwi, kiedy w budynku stacji pojawiły się trzy osoby, które przypuszczalnie podróżowały w bardziej oddalonym wagonie. Dżentelmeni w średnim wieku, sądząc po stroju - dobrze sytuowani. Pitt widział jednego z nich na rozprawie u sędziego śledczego. Ogarnęła go taka nienawiść, że znieruchomiał w drzwiach i Charlotte poszła dalej bez niego.

Najchętniej zbliżyłby się do tego człowieka i wygarnął mu prawdę w oczy. Pozwoliłoby mu to wyładować część gniewu i smutku. Jak ten osobnik śmiał publicznie wypowiadać takie straszne słowa na temat człowieka, który rzekomo był jego przyjacielem?

Pitt nie odezwał się ani słowem, żeby nie narobić wstydu zawiadowcy, jak również Charlotte, chociaż ona doskonale by go zrozumiała. Nałożyło się na to jednak poczucie winy, że przestał przyjeżdżać do miasteczka. Gdyby był lepiej poinformowany, mógłby dać wiarygodny odpór tym wszystkim

kalumniom.

- Thomas, kto to był?

Głos Charlotte wyrwał go z zamyślenia. Pitt dogonił żonę i ruszyli rozświetloną drogą, która prowadziła do położonej około kilometra dalej wioski.

- Przyszli na rozprawę u sędziego śledczego - wyjaśnił.

Nie dodał, w jakim charakterze, a ona nie pytała, bo ton jego głosu dostatecznie wszystko tłumaczył.

Po drodze nie zamienili ani słowa. Nie było słychać nic oprócz odgłosu ich kroków, szmeru wiatru w żywopłotach i drzewach i śpiewu ptaków. W oddali zabeczała owca, a jagnię odpowiedziało jej piskliwie; zaszczekał pies.

W wiosce również panowała niezwykła cisza. Sklepikarze i piekarz zamknęli interes, zaciągnęli żaluzje i ozdobili drzwi wieńcami lub czarnymi wstążkami. Piec w pustej kuźni był zimny. W drzwiach jednego z domów stało kilkuletnie dziecko i rozglądało się wokół siebie z poważną miną. Nikt nie bawił się na dworze. Nawet kaczki w stawie nie robiły hałasu.

Na końcu głównej ulicy stało kilku ubranych na czarno mieszkańców, którzy zobaczyli zbliżających się Pittów.

Natychmiast zauważyli czarną suknię Charlotte tudzież czarną opaskę i krawat jej męża.

- Mały Tom, prawda? - zagaił jeden z nich.

- Nie mów tak do niego, Zack! - szepnęła jego żona.

- Wyrósł na poważnego człowieka. Przepraszam, panie Thomasie, on nie chciał być nieuprzejmy.

Pitt przypominał sobie tego mężczyznę z przetykanymi siwizną czarnymi włosami i ogorzałą od słońca i wiatru twarzą.

- Nie ma za co, pani Burns, „mały Tom” mi nie przeszkadza.

Jak się pani miewa?

- Nie najgorzej. Mary i Lizzie wyszły za mąż i mają dzieci. Na pewno pan wie, że nasz Dick poszedł do wojska.

- Tak, słyszałem - odruchowo skłamał Pitt, nie chcąc zdradzać, do jakiego stopnia stracił kontakt z życiem wioski. - Piękny zawód - dodał.

Nie śmiał mówić nic więcej, bo mogło się okazać, że Dick jest kaleką albo nawet nie żyje.

- Cieszę się, że pan przyjechał na pogrzeb sir Arthura - chlupnął Zack. - Chyba czas już ruszać. Słyszycie, dzwon bije. Istotnie dał się słyszeć żałobny dźwięk dzwonu.

Trochę dalej ktoś zamknął drzwi i skierował kroki w ich stronę. Był to kowal, mężczyzna z potężnym torsem i pałakowatymi nogami. Zniszczona marynarka ledwo się na nim dopinała, ale czarna opaska była nowa, czysta i doskonale widoczna.

Pitt podał Charlotte ramię i powoli ruszyli w stronę kościoła, do którego mieli pół kilometra. Dołączyli do nich inni ludzie: chłopci i robotnicy rolni z okolicznych wiosek, sklepikarz i jego żona, piekarz i jego dwie siostry, pasamonik z synem i synową, bednarz, kołodziej, a nawet karczmarz, który zamknął już swój przybytek na ten dzień.

Przyjechał karawan, ciągnięty przez cztery kare konie, którym udekorowano łby i grzywy czarnymi piórami. Woźnica miał na sobie czarną pelerynę i cylinder. Koło karawanu maszerował Matthew, blady, z kapeluszem w dłoni i Harriet Soames u swego boku. Ciągnął za nimi kilkudziesięcioosobowy orszak żałobny: służba dworska, dzierżawcy dworskiej ziemi z rodzinami i okoliczni właściciele ziemscy.

Sznurem weszli do kościoła. Ci, dla których zabrakło miejsc siedzących, stali z tyłu z pochylonymi głowami.

Matthew zarezerwował miejsce w rodzinnej ławce dla Pitta i Charlotte, jakby Pitt był jego bratem. Nadkomisarza ogarnęło ogromne wzruszenie, połączone z wdzięcznością i poczuciem winy. Łzy napłynęły mu do oczu. Kiedy dzwon przestał bić i

pastor stanął przed ołtarzem, Pitt poczuł się tak, jakby utracił coś niezastąpionego.

Nabożeństwo było proste. Powtarzali znajomą liturgię, krzepiącą i poruszającą, przypominającą o tym, że życie szybko przemija.

Większość zgromadzonych przybyła do kościoła z własnej nieprzymuszonej woli. Na ziemian i panów ze stolicy Pitt nie zwracał uwagi. Liczyła się obecność mieszkańców miasteczka i chłopów.

Po nabożeństwie żałobnym skierowali się ku grobowcowi rodzinnemu Desmondów w głębi cmentarza, pod cisami.

Ponad sto osób w absolutnej ciszy stało w cieniu drzew. Słyszeć było tylko śpiew ptaków w koronach wiązów po drugiej stronie cmentarza.

Kiedy drzwi grobowca zamknęły się za trumną, przystąpiono do składania kondolencji.

Matthew stał w alejce plecami do głównej bramy. Słońce rozświetlało jego jasne włosy. Harriet Soames, poważna i smutna, trzymała dłoń na jego ramieniu.

- Staniesz przy nim? - spytała szeptem Charlotte.

- Nie. Sir Arthur był dla mnie jak ojciec, ale nie jestem jego synem. Ta chwila należy do Matthew. To byłoby nieprzyzwoite z mojej strony.

Zaczekał chwilę, obserwując Matthew, który z prostotą odpowiadał na wzruszone i nie zawsze składne kondolencje.

Harriet dziękowała za nie skinieniem głowy.

Pitt rozpoznał jednego z ziemian: był to Danforth, człowiek, który tak nieprzyjemnie zeznawał u sędziego śledczego. Na twarzy Matthew malowały się uczucia nieufności, zakłopotania, bólu i niechęci. Z miejsca, w którym stał Pitt, nie było słychać, co do siebie mówili. Wreszcie Danforth skinął głową i ruszył w stronę bramy.

W końcu przyszła kolej na dżentelmenów ze stolicy. Ich obecność wydawała się nie ma miejscu. Nie harmonizowali z rozległym krajobrazem pól i wysokich drzew, nie czuli rytmu pór roku i ciężkiej pracy na roli, nie wiedzieli, że człowiek może żyć w symbiozie ze zwierzętami. Byli lepiej ubrani, krócej ostrzyżeni, mieli buty na niższych obcasach. Z niepokojem patrzyli na drogę, wijącą się w stronę dworu, bo na co dzień takie odległości pokonywali powozami.

Rozmawianie z nimi przychodziło Matthew z najwyższym trudem, ale tylko Pitt, który znał go od dzieciństwa i wciąż widział w nim dawnego chłopca, zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy ostatni z nich złożył kondolencje, Pitt podszedł do przyjaciela. Razem udali się do dworu, Matthew i Pitt na czele, Charlotte i Harriet za nimi.

Pierwsze sto metrów pokonali w milczeniu. Charlotte miała wrażenie, że Harriet chce coś powiedzieć, ale nie umie znaleźć odpowiednich słów.

- Mieszkańcy złożyli mu wspaniały hołd, przychodząc w komplecie - powiedziała Charlotte.

Za krzyżówką skręcili w węższą drogę. Charlotte, która nigdy wcześniej tutaj nie była, nie wiedziała, ile mają do przejścia, ale po chwili zobaczyła oddalone o pół kilometra kamienne słupy bramy posiadłości.

- Sir Desmonda wszyscy kochali - odparła Harriet. - Był człowiekiem uroczym, lojalnym, szczerym, niezdolnym do hipokryzji...

Charlotte odniosła wrażenie, że Harriet chciała coś dodać, ale delikatność jej na to nie pozwoliła.

- Nie znałam go - powiedziała - ale mój mąż bardzo go kochał. Oczywiście dawno go nie widział, a ludzie się zmieniają...

- Och, do końca pozostał uczciwym i wielkodusznym

człowiekiem.

Charlotte spojrzała na nią. Harriet pokraśniała i odwróciła wzrok.

- Ale był roztargniony? - zasugerowała Charlotte.

- Sądzę, że tak. Matthew nie chce tego przyznać i ja go rozumiem. Potrafię wczuć się w jego sytuację.

Straciłam matkę w młodym wieku i ja również bardzo zżyłam się z ojcem. Ani Matthew, ani ja nie mamy rodzeństwa. Jest to jedna z rzeczy, które nas do siebie zbliżają: wiemy, co to znaczy samotność. Nie zniosłabym tego, gdyby ktoś źle mówił o moim ojcu...

Minęły bramę. Charlotte z zachwytem ujrzała przed sobą długą, wysadzaną wiązami aleję i dwór stojący na niewielkiej wyniosłości pół kilometra dalej. Po prawej długie trawniki schodziły nad rzekę. Po lewej rysowały się dachy wozowni i stajni. Budynek dworu odznaczał się prostotą i estetycznymi proporcjami, naturalnie wpisywał się w otoczenie.

Harriet, która z pewnością już tutaj bywała, nie okazała po sobie żadnej reakcji. W przyszłości miała zostać panią na tych włościach, ale w tej chwili jej myśli kierowały się ku innym sprawom.

- Budzi we mnie takie opiekuńcze odruchy, jakby był moim dzieckiem. Wiem, że to głupie, ale rozum i uczucia nie zawsze idą w parze. Wiem, co czuje Matthew.

Wielkie wiązy tworzyły łuk nad ich głowami, nakrapiając ziemię plamami cienia.

- Obawiam się, że Matthew napyta sobie biedy, próbując udowodnić, że sir Arthur został zamordowany - podjęła Harriet. - Nie chce uwierzyć, iż jego ojciec był do tego stopnia zaburzony, że uważał się za prześladowanego przez tajne stowarzyszenia i że mógł przez pomyłkę przedawkować lek nasenny przepisany mu przez lekarza. - Zatrzymała się i

spojrzała Charlotte prosto w oczy. - Jeśli nadal będzie zmierzał tą drogą, prędzej czy później stanie przed obliczem prawdy, ale wtedy jeszcze trudniej będzie mu ją zaakceptować. A przy okazji narobi sobie wrogów. Teraz ludzie mu współczują, ale to nie potrwa długo, jeśli nadal będzie rzucał oskarżenia. Czy mogłaby pani namówić męża, żeby z nim porozmawiał? Przekonał go, żeby przestał szukać nie wiadomo czego, co tylko przysporzy mu cierpienie i wrogów? Cierpliwość zamieni się w śmiech, a potem w gniew. To jest ostatnia rzecz, której życzyłyby sobie sir Arthur.

Charlotte nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sądziła, że Harriet nie wie o Wewnętrznym Kręgu i nawet sobie nie wyobraża, że takie stowarzyszenie mogłoby istnieć. Ona sama, gdyby usłyszała takie rzeczy od przygodnej osoby, uznałaby ją za miłośnika teorii spiskowych albo ofiarę manii prześladowczej. Wstrząsnęło nią natomiast przekonanie Harriet, że sir Arthur popadł w starcze zniedołężnienie i był odpowiedzialny za własną śmierć.

- Chodźmy - powiedziała, biorąc Harriet pod ramię.

- Będą się zastanawiali, co nas zatrzymało. Niech pani o tym nie mówi Matthew. Świadomość, że mu pani nie wierzy, byłaby dla niego zbyt bolesna.

Harriet przyspieszyła kroku. Nie chciała, żeby usłyszały je osoby idące za nimi i obawiała się, że Matthew zawróci, aby sprawdzić, co się z nimi dzieje.

- Tak, chyba ma pani rację. Ja sama zapewne potrzebowałabym sporo czasu, aby przyznać, że mój ojciec nie jest już takim samym człowiekiem, jak kiedyś, że nie jest już taki silny, taki... mądry. Mamy skłonność do idealizowania tych, których kochamy, a kiedy jesteśmy zmuszeni spojrzeć prawdzie w oczy, nienawidzimy ludzi, którzy nam tę prawdę pokazali. Nie zniosłabym tego, gdyby Matthew postrzegł mnie

w takim świetle. I chyba nie wypada mi prosić pani męża, aby powiedział Matthew to, czego on nie chce słyszeć.

- To nie miałyby sensu, ponieważ Thomas podziela pogląd Matthew.

- Że sir Arthur został zamordowany? - zdumiała się Harriet. -

Czy policjant uwierzyłby... Jest pani pewna?

- Tak. Widzi pani, istnieją organizacje...

- Och, wiem, że na świecie są przestępcy - zaprotestowała Harriet. - Nie jestem aż tak oderwana od rzeczywistości.

Charlotte przypomniała sobie, że zanim poznała Pitta, miała równie niewinny obraz życia. Nie wyobrażała sobie, że na świecie mogą istnieć nędza, analfabetyzm i niedożywienie, wywołujące takie choroby jak rachityzm, gruźlica i szkorbut. Sądziła, że przestępczość jest domeną ludzi brutalnych, kłamliwych i z natury złych. W tamtych czasach świat był dla niej czarno-biały. Nie powinna zatem wymagać od Harriet Soames, aby umiała rozpoznawać różne odcienie szarości. Tego może nauczyć tylko doświadczenie, o które w uprzywi- lejowanym świecie Harriet było trudno.

- Ale nie słyszeliście, co sir Arthur mówił! - gorączkowała się Harriet. - Gdybyście wiedzieli, kogo on oskarżał!

Charlotte starannie dobierała słowa.

- Jeśli te zarzuty okażą się bezpodstawne, Thomas powie o tym Matthew, choćby miało go to zranić. Ale najpierw sam je zweryfikuje. Wtedy Matthew nie będzie miał innego wyboru, jak tylko zaakceptować prawdę. A na razie lepiej będzie nic nie mówić, nie sądzi pani?

- Tak, ma pani rację - przyznała z ulgą Harriet.

Przybyły przed dwór, zostawiając za sobą wysadzaną więzami aleję. Z powozów stojących na żwirowym podjeździe wysiadały osoby zaproszone na stypę.

Pitt w ostatniej chwili znalazł okazję do porozmawiania z

Danforthem. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o zdarzeniu z psami. Sir Arthur zawsze kochał swoje zwierzęta. Gdyby beztrąsko potraktował sprawę znalezienia domów dla szceniąt swojej ulubionej suki, to by znaczyło, że zmienił się nie do poznania. Według Danfortha nie wywiązał się z obietnicy i sprzedał pieski komuś innemu.

Pitt znalazł Danfortha w holu, gotowego do wyjścia. Danforth czuł się zakłopotany, nie mając pewności, czy po zeznaniach złożonych przed sędzią śledczym jest mile widziany we dworze. Przez lata łączyły go z sir Arthurem dobrosąsiedzkie stosunki. Między dwoma majątkami nigdy nie było żadnych waśni. Pitt podszedł do niego z taką miną, jakby nadział się na niego przypadkowo.

- Dzień dobry, panie Danforth. Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu.

Danforth zmarszczył brwi, usiłując zlokalizować Pitta w pamięci.

- Eee, dzień dobry...

- Thomas Pitt - pomógł mu nadkomisarz.

- Pitt? A, tak, Pitt. Syn gajowego, jeśli dobrze pamiętam.

Z taką wyrazistością, jakby to było wczoraj, Pitt przypomniał sobie upokorzenie, strach i wstyd doznane w czasie, kiedy jego ojca oskarżono o kłusownictwo. Człowiek, który posłał go do więzienia, gdzie stary Pitt zmarł, należał do tej samej klasy społecznej co Danforth. Kłusownik jest wrogiem właściciela ziemskiego.

Na upokorzenie nałożyło się poczucie niższości. Absurd: był przecież teraz wysokim funkcjonariuszem policji. Zdarzało mu się aresztować ludzi możniejszych, bogatszych, mądrzejszych, lepiej urodzonych od Danfortha.

- Nadkomisarz Pitt, z Bow Street - powiedział chłodnym tonem.

Danforth wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Wielki Boże, przecież policja nie ma tutaj nic do szukania!
Ten człowiek zmarł na... Nie wysyła się nadkomisarza w sprawie... samobójstwa. Niczego nie udowodnicie. W każdym razie nie dzięki mnie!

Odzyskał zimną krew i spojrzał na Pitta butnym okiem.

- Przyjechałem złożyć hołd człowiekowi, którego kochałem i któremu wszystko zawdzięczam - wycedził Pitt. - Moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego z moją pracą.

- W takim razie po kiego diabła mi pan powiedział, że jest pan z policji? - ripostował Danforth rozzłoszczony faktem, że zrobił z siebie idiotę.

- Byłem na rozprawie u sędziego śledczego - odparł Pitt nie chcąc przyznać, jakie pobudki nim kierowały. Słyszałem, co pan powiedział na temat szczeniąt. Sir Arthur zawsze dbał o swoje psy.

- I o konie też - przyznał Danforth marszcząc czoło.

- Właśnie dlatego pomyślałem, że traci kontakt z rzeczywistością. Obiecał mi najlepsze szczenięta i nawet wybierał je razem ze mną, a potem sprzedał je Bridgesowi! Zrozumiałbym, gdyby po prostu zapomniał. Na starość każdemu to się zdarza. Ale on był święcie przekonany, że ja już ich nie chcę. To było do niego zupełnie niepodobne. Strasznie smutny koniec... Ale cieszę się, że przyjechał pan złożyć mu hołd, panie... nadkomisarzu.

- Do widzenia panu - pożegnał go Pitt, po czym skierował kroki do obitych sukniem drzwi, za którymi znajdowały się pomieszczenia służby. Znalazł się w kuchni, doskonale wiedząc, dokąd zmierza. Okryte boazerią ściany były mu tak doskonale znajome, że rozpoznawał każdy sęk, każde miejsce pociemniałe i wytarte od niezliczonych dotknięć dłoni, fraków lokajów i kamerdynerów, spódnic pokojówek, ochmistrzyń i kucharek.

Jako dzieci Pitt i Matthew zakradali się tutaj, aby wyprosić od kucharki mleko, ciasteczka i inne łakocie. Matthew drażnił się ze służbą, a raz wrzucił żabę do pokoju ochmistrzyni. Pani Thayer nie znosiła żab. Matthew i Pitt o mało nie umarli ze śmiechu, kiedy usłyszeli jej krzyk. Kara w postaci puddingu z tapioki przez tydzień była niczym w porównaniu z taką gratką. Zapach politur, ciężkich kotar i drewnianych podłóg był nieuchwytny, a jednak tak wyraźny, że Pitt nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył w lustrze patykowatego dwunastolatka z burzą włosów na głowie.

Kiedy wszedł do kuchni, kucharka, która miała na sobie czarną bombazynę włożoną na fartuch, obrzuciła go ostrym spojrzeniem. Pracowała we dworze dopiero od kilku lat i nie znała Pitta. Była zdenerwowana, bo wzięła udział w nabożeństwie żałobnym, a teraz musiała się spieszyć z przygotowaniem stypy.

- Zgubił się pan, sir? Sale bankietowe są po drugiej stronie.

Pokazała na drzwi, którymi wszedł.

- Dziękuję pani, ale ja szukam gajowego Sturgesa. Chciałbym z nim porozmawiać o psach sir Arthura.

- Nie wiem, czy to jest odpowiedni dzień...

- Jestem Thomas Pitt. Mieszkalem tutaj jako dziecko.

- A, mały Tom to pan! - powiedziała i natychmiast poczerwieniała. - Przepraszam, nie chciałam...

- Nie ma za co. Mimo wszystko chciałbym porozmawiać z panem Sturgesem. Sir Matthew polecił mi wyjaśnić pewną sprawę. Potrzebuję pomocy pana Sturgesa.

- Był tutaj pół godziny temu i poszedł do stajni. Pogrzeb nie pogrzeb, inwentarzem trzeba się zajmować. Powinien pan go tam znaleźć.

- Dziękuję pani.

Przeszedł przez kuchnię. Baterie miedzianych garnków i

patelni, wielki, czarny, zawsze gorący żeliwny piec... Nic się nie zmieniło. Kredensy pełne porcelany, zamknięte drzwi do spiżarni, równo ustawione beczułki z mąką, cukrem, płatkami owsianymi i soczewicą. Warzywa trzymano w pomywalni, a mięsa, drób i dziczyznę w piwnicy W głębi korytarza znajdowały się pralnia i spiżarnia.

Pitt wyszedł tylnymi drzwiami i bez zastanowienia skręcił w prawo. Trafiłby z zamkniętymi oczami.

Znalazł Sturgesa przed drzwiami owocarni, dobrze wietrzonego pomieszczenia, w którym jesienią układano na drewnianych półkach jabłka. Jeśli nie stykały się ze sobą, to nie psuły się nawet do późnej wiosny.

Sturges nie sprawiał wrażenia zaskoczonego jego widokiem.

- Dzień dobry, mały Tomie - powiedział, patrząc mu w oczy. - Cieszę się, że przyjechałeś na pogrzeb.

Potrzeba było wielu lat, aby ich stosunki się unormowały.

Sturges zastąpił ojca Pitta, czego ten z początku nie umiał mu wybaczyć. Pitt i jego matka musieli opuścić gajówkę, zostawiając meble i wszystkie inne rzeczy, do których się przyzwyczaili: stół kuchenny, kredens, fotel, cynową wannę.

Pitt miał swój pokój z małą lukarną wychodzącą na jabłoń.

Przeprowadzili się do służbówki we dworze, a to już nie było to samo. Cóż to jest izba czeladna, kiedy miało się osobny domek z własnym piecem kuchennym?

W głębi duszy mały Thomas wiedział jednak, że mieli szczęście, iż sir Arthur pozwolił im mieszkać we dworze, bo wierzył w niewinność ojca Pitta albo nie przywiązywał wagi do jego ewentualnej winy. Niewielu ludzi by tak postąpiło. W hrabstwie nie brakowało takich, którzy uważali, że sir Arthur popełnił głupstwo i mówili mu to w oczy. To jednak nie przeszkadzało Pittowi nienawidzić Sturgesa i jego żony za wprowadzenie się do przytulnej gajówki.

Sturges zaczął przemierzać pola i lasy, które do tej pory były domeną ojca Pitta. Kilka rzeczy zmienił i tego również młody Thomas nie mógł mu wybaczyć. Z czasem jednak zapomniał o urazach. Sturges był spokojnym i cierpliwym człowiekiem, który dobrze znał wiejskie obyczaje. W młodości jemu samemu zdarzało się kłusować. Wiedział, że tylko dzięki przychylności losu i pobłażliwości właściciela majątku nigdy nie został na tym schwytany. Nie wypowiadał się na temat winy bądź niewinności ojca Pitta, komentując tylko, że jeśli dał się złapać na gorącym uczynku, to jest skończonym osłem.

Kochał zwierzęta i pozwolił małemu Thomasowi, żeby mu pomagał. Z początku odnosili się do siebie nieufnie, ale w końcu przełamali lody, bo współpraca tego wymagała.

Wszystko się między nimi ułożyło pewnego ranka koło wpół do siódmej, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły zroszone pola. Była wiosna, polne kwiaty osaczały żywopłoty i drzewa, nowe liście okryły kasztanowce, a na trochę gnuśniej szych bukach i wiązach wykwitwały pąki. Znaleźli ranną sowę i Sturges zabrał ją do domu. Razem się nią opiekowali do momentu, gdy wyzdrowiała i odleciała. Latem kilka razy widzieli, jak pikuje w stodole, chwytając mysz w swoje szpony, niby duch przecina snop światła latarni i znika.

Od tego roku doskonale się ze sobą rozumieli.

W owocarni unosił się suchy i słodki, chociaż trochę stęchły zapach. Pitt pociągnął nosem, po czym odpowiedział

Sturgesowi:

- Tak, przyjechałem. Należało zrobić to wcześniej. Wyręczę cię, żebyś nie musiał mnie napominać.

- Skoro sam to wiesz... - Sturges nie odrywał od niego oczu. - Dobrze wyglądasz. Elegant z ciebie. Nadkomisarz, co? A więc wsadzasz ludzi do więzienia?

- Tylko zabójców i zdrajców. Chyba im się należy, prawda?

- Tak... Czyli powiodło ci się w życiu?

- Jak widzisz.

Sturges zagryzł wargę.

- Masz żonę czy jesteś za bardzo zajęty robieniem kariery, żeby iść w konkury?

- Mam żonę i dwójkę dzieci, syna i córkę - odparł Pitt z dumą w głosie.

Sturges usiłował patrzeć na Pitta z surową miną, ale nie umiał ukryć tego, jak bardzo się cieszy z jego widoku.

- Gdzie są? W Londynie?

- Charlotte przyjechała ze mną. Przedstawię ci ją.

- Jeśli chcesz.

Sturges bardzo chciał pokazać, że mu na tym nie zależy. Z obojętną miną przystąpił do zmiatania słomy - Ale czy mógłbyś mi najpierw wyjaśnić tę sprawę z Danforthem i psami?

- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia na ten temat, Tom.

Nigdy nie przepadałem za Danforthem, lecz o ile mi wiadomo, to uczciwy człowiek. I niegłupi.

- Przyszedł i wybrał dwa szczeniaki?

Sturges zamiótł słomę na kupkę.

- Tak jest. Dwa tygodnie później przysłał przez służącego wiadomość na piśmie, że już ich nie chce. A następne dwa tygodnie później przyszedł je odebrać i był wściekły jak diabli, że je sprzedaliśmy. Powiedziałbym mu parę słów do słuchu, ale sir Arthurowi by się to nie spodobało.

- Widziałeś ten papier czy tylko słyszałeś o nim od sir Arthura?

Gajowy porzucił słomę i spojrzał na Pitta.

- Jasne, że 'widziałem! Był zaadresowany do mnie, bo to ja zajmowałem się psami. Zresztą sir Arthur wyjechał wtedy do Londynu.

- Przedziwne - stwierdził Pitt z zamyśloną miną. - Ktoś tu uprawiał jakieś osobliwe gierki, i to raczej nie dla zabawy.

- Gierki? Myślisz, że tu nie chodziło o zniedołężnienie Danwortha?

- Niekoniecznie, chociaż tak to wygląda. Masz jeszcze ten list?

- A po cóż miałbym go trzymać?

- To byłby dowód, że to pan Danforth się mylił, a nie sir Arthur.

- Na co to udowadniać? - zdziwił się Sturges. - Nikt, kto zna sir Arthura, nie pomyślał, że to była jego wina.

Na przekór okolicznościom Pitt poczuł wielką ulgę i radość.

Sturges był człowiekiem lojalnym, ale organicznie niezdolnym do kłamstwa.

- A co wiesz o tej historii ze spłoszonym koniem?

- Nie za wiele - odrzekł Sturges z pełną powątpiewania miną i oparł się o półki z jabłkami. - Dlaczego o to pytasz, Tom? I kto ci o tym powiedział? Pan Matthew?

Na zewnątrz zarżał koń i Pitt rozpoznał znajomy stukot kopyt na brukowanym podwórzu stajni.

- Tak. Matthew uważa, że to nie był wypadek.

- Nie wypadek? - Sturges sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale niewykluczającego takiej możliwości.

- No, niby można powiedzieć, że to nie był wypadek. Ten głupiec pędził jak szalony przez środek wioski. Takim jak on nie powinno się pozwalać wsiadać na konia! Dla mnie wypadek to jest coś, czemu tylko Pan Bóg może zapobiec. Trzeba nie mieć ani krzty zdrowego rozsądku, żeby gnać przez wioskę na złamanie karku i wywijać batem na wszystkie strony. Bogu dzięki, że oprócz sir Arthura nikomu nic się nie stało. I jego biednego konia, pochlastanego w głowę i szyję. Rany mu się goiły kilka tygodni i do dzisiaj boi się bata. Pewnie do końca życia mu to nie minie.

- Kim był jeździec?

- Diabli wiedzą. Ani chybi jakiś idiota z drugiego końca kraju.

Nikt go tutaj nie znał. Inaczej nie uszłoby mu to płazem.

Słońce nagrzało wnętrze owocarni. Płowy pies myśliwski wsunął łeb w drzwi i zamerdał ogonem.

- Kto jeszcze to widział? - spytał Pitt.

Pies wszedł do środka i Sturges pogłaskał go odruchowo.

- O ile wiem, to nikt. Kołodziej widział tego typu, jak przejeżdżał, kowal też, ale nie widzieli, jak osmagał konia sir Arthura. Po co te wszystkie pytania? Myślisz, że to była wina sir Arthura? Że zajechał mu drogę?

- Nie. Podejrzewam, że to nie był wypadek w żadnym sensie. Że ten człowiek specjalnie wziął swojego rumaka do galopu, żeby zrzucić sir Arthura z konia.

- Dlaczego ktoś miałby to zrobić? - zapytał Sturges z osłupieniem i niedowierzaniem na twarzy. - To bez sensu. Sir Arthur nie miał wrogów.

- On sam tak uważał?

Sturges spojrział na niego z uwagą.

- Co ty mi próbujesz powiedzieć, Tom?

- Sir Arthur był zagrożeniem dla pewnej organizacji, do której należał, ponieważ dowiedział się o pewnych kompromitujących faktach na jej temat i głośno o tym mówił. Ten rzekomy wypadek miał być dla niego ostrzeżeniem, żeby milczał, tak jak ślubował.

Sturges mrużył oczy.

- A, ten Krąg, o którym tyle mówił... Ale oni mogli go zabić!

- Słyszałeś o Kręgu? - zdziwił się Pitt.

- Oczywiście. Niebezpieczne typy, z tego, co mówił. Z

Londynu... - zawahał się, patrząc na Pitta badawczym

wzrokiem. - Czy naprawdę myślisz to, co sędzę, że myślisz,

Tom?

- Powiedz mi, czy odniosłeś wrażenie, że miał w tym ostatnim okresie urojenia?

- Absolutnie nie! Może się złościł z powodu rzeczy, które jak mówił, miały się wydarzyć za granicą, ale był tak samo zdrowy na umyśle, jak ty i ja.

Szczerść jego głosu rozwiąła ostatnie wątpliwości Pitta.

Poczuł ogromną wdzięczność wobec gajowego.

- W takim razie powiem ci, co myślę: ten tak zwany „wypadek” to było ostrzeżenie, które sir Arthur zlekceważył, więc go zamordowali. Nie wiem dokładnie, jak to zrobili, ale nie spocznę, dopóki się nie dowiem.

Sturges pochylił się, żeby podrapać psa w głowę.

- Bardzo się cieszę, że mi to powiedziałaś, Tom. Nie jestem mściwym człowiekiem, ale uważam, że ci, którzy to zrobili, powinni zawisnąć na szubienicy. Całe Brackley będzie ci wdzięczne, jeśli do tego doprowadzisz.

Nie dodał tego, co miał wypisane na twarzy: mieszkańcy wioski wybaczą Pittowi, że przez piętnaście lat tam nie przyjeżdżał.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparł Pitt.

Nie chciał składać obietnicy, bo gdyby jej nie dotrzymał, po raz drugi dopuściłby się zdrady zaufania.

Sturges nie był dzieckiem, żeby mamić go słowami otuchy.

Zasługiwał na to, żeby znać prawdę.

- Dobra, jeśli ktokolwiek z nas mógłby ci jakoś pomóc, to wiesz, gdzie nas znaleźć. A teraz wracaj na stypę, bo będą cię szukali.

- Przyprawdżę Charlotte, żeby ci ją przedstawić.

Następnego dnia rano, gdy tylko Pitt zasiadł za swoim biurkiem przy Bow Street, do jego gabinetu wszedł inspektor Tellman, jak zawsze z kwaśną i naburmuszoną miną. Odnosił się do swojego nowego zwierzchnika z należnym respektem,

zarówno z konieczności służbowej, jak i w autentycznym uznaniu jego kompetencji, ale wciąż nie mógł przeboleć faktu, że to Pitt, oficer śledczy tak jak on, został mianowany nadkomisarzem po rezygnacji Micah Drummonda. Drummond był dżentelmenem, a Tellman uważał, że wyższe stanowiska powinni piastować wyłącznie dżentelmeni. Kompetencje nie miały tu nic do rzeczy. Awans człowieka z niższych warstw społecznych Tellman odebrał jako osobisty afront.

- Dzień dobry, panie Pitt - powiedział sucho. - Nie widziałem tu pana wczoraj, a jest sporo ważnych doniesień.

Można by sądzić, że czekał na Pitta przez całą noc.

- Dzień dobry, Tellman. Byłem na rodzinnym pogrzebie w Hampshire. Co pan dla mnie ma?

Tellman zagryzł wargę i nie podjął tematu pogrzebu.

Każdemu się zdarza stracić kogoś bliskiego.

- Ci pracownicy Ministerstwa Kolonii... Trudno się ich przeświecić, kiedy nie wiemy, czego szukamy. Wszyscy wyglądają na porządnych ludzi. Jakie przestępstwo mieliby popełnić?

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć - odparł lakonicznie Pitt.

Denerwowało go, że nie może więcej powiedzieć swemu podwładnemu. Instynkt mu podpowiadał, że może zaufać Tellmanowi, ale wolał nie ryzykować, bo wiedział, że macki Kręgu sięgają wszędzie.

- Szantaż? - zgadywał Tellman. - To niewiele wyjaśnia. Można kogoś szantażować w związku z wieloma różnymi sprawami.

Trzy najczęstsze to oszustwo, kradzież i romans z nieodpowiednią osobą. Chociaż jeśli w grę wchodzi dżentelmeni, to zwykłym ludziom takim jak my trudno jest ocenić, z kim powinni, a z kim nie powinni sypiać. Niektórzy z nich pożyczają sobie żony i kochanki jak dobre książki. I wszystko jest w porządku, byle cię nie przyłapali *in flagranti*.

Na przykład wszyscy wiedzą o łózkowych wyczynach księcia Walii, ale kogo to obchodzi?

Pitt nauczył się ignorować zgryźliwe komentarze Tellmana.

- Zwracajcie uwagę na długi i styl życia niewspółmierny do oficjalnych dochodów.

- Defraudacje? A cóż można zdefraudować w Ministerstwie Kolonii? - Tellman przybrał sarkastyczny ton. - „Przepraszam, panie krawiec, nie mogę w tym miesiącu zapłacić gotówką, ale tu pan ma dwie depesze z Afryki i jesteśmy kwita”. - Nagle jego twarz zmieniła swój wyraz, a w oczach rozbłysło podniecenie. - Psiakrew, już wiem! Wyciekają informacje i szukacie zdrajcy! Dlatego nic pan nie mówi...

- I dalej nic nie powiem - odparł Pitt, ukrywając zaskoczenie, jakie w nim wzbudziła przenikliwość Tellmana. - Niech pan zachowa swoje przypuszczenia dla siebie. Farnsworth byłby wściekły, gdyby wiedział, że wdajemy się w tego rodzaju spekulacje, a premier jeszcze bardziej.

- Premier wezwał pana do siebie? - spytał Tellman, któremu bardzo to zaimponowało.

- Nie, nigdy się z nim nie spotkałem. Na Downing Street byłem tylko w Ministerstwie Kolonii. Wciąż mi pan nie zdradził, czego się dowiedzieliście.

- Nie mamy niczego ciekawego. Jeremia Thorne: wzorowa postawa, absolutnie wierny żonie, która nie grzeszy urodą i angażuje się w prace jakiejś fundacji wspierającej edukację dla kobiet. Działalność wysoce kontrowersyjna, ale nie ma w niej niczego nielegalnego ani tajnego. Wręcz przeciwnie, małżonka pana Thorne'a rozgłasza o niej całemu światu. Gdyby ktoś próbował ją szantażować na tym tle, to jeszcze by mu podziękowała za rozgłos.

- Co jeszcze?

- Ian Hathaway, zacny jegomość, który prowadzi samotne,

spokojne życie, oddając się poważnym rozrywkom: dużo czyta, od czasu do czasu bywa w teatrze, a przy dobrej pogodzie chodzi na długie spacery. Tellman mówił monotonnym głosem, jakby te szczegóły były równie nudne jak sama osoba.

- Dużo znajomości, ale dosyć powierzchownych. Raz w tygodniu jada w swoim klubie. Wdowiec, dwóch dorosłych synów, także bardzo zacnych. Jeden pracuje w służbie kolonialnej, drugi jest duchownym. Pan Hathaway ma dobry gust, lubi rzeczy wysokiej jakości, ale niekoniecznie drogie. Wygląda na to, że pensja z naddatkiem wystarcza mu na jego potrzeby. Nikt nie powiedział o nim złego słowa.

- A Garston Aylmer? Też wzór cnót wszelakich?

- Nie do końca - odparł Tellman z błyskiem humoru w oku. - Brzydki jak noc, ale uwielbia kobiety. Typ czarusia, z tego co dotychczas słyszałem - nieskutecznego. Ale mam na niego oko. Wydaje więcej pieniędzy, niż ma prawo mieć.

- Czyli więcej niż zarabia w Ministerstwie Kolonii? - spytał zaintrygowany Pitt.

- Na to wygląda. Oczywiście może mieć oszczędności albo odziedziczony majątek. Jeszcze tego nie sprawdziliśmy.

- Jakaś konkretna pani?

- Panna Amanda Pennecuick, bardzo ładna młoda dama z dobrej rodziny.

- Odwzajemnia jego zainteresowanie?

- Na pierwszy rzut oka nie, ale jego to na razie nie zniechęciło. Jeśli pan podejrzewa, że ona próbuje uzyskać od niego informacje, to jest w tym bardzo wyrafinowana, bo zachowuje się tak, jakby bezskutecznie się przed nim opędzała.

- Może tylko udaje. Sprawdźcie ją. Ustalcie, jakich ma znajomych, innych wielbicieli, czy coś ją łączy...

Urwał. Czy powinien wspomnieć o Niemczech?

Tellman czekał. Był zbyt inteligentny, aby dać się oszukać.

Znał powody wahania Pitta i z jego oczu przebijała wyraźna pretensja.

- Z Afryką, Belgią i Niemcami - dokończył Pitt. - Dobra, więc kto nam jeszcze został? Peter Arundell i Robert Leicester.

- Same nudy. Arundell jest inteligentnym młodym człowiekiem z dobrej rodziny. Najstarszy syn odziedziczył tytuł, następny został oficerem wojska, trzeci, Peter, pracuje w Ministerstwie Kolonii, a najmłodszy objął rodzinną prebendę gdzieś w Wiltshire.

- Jakim człowiekiem jest Arundell?

- Mieszka w Belgravii, bywa na salonach, elegancko się ubiera, smacznie jada, ale często na cudzy koszt. Kawaler i bardzo pożądana partia. Wszystkie matki z córkami na wydaniu się za nim uganiają, poza tymi, które mierzą jeszcze wyżej. Na pewno dobrze się ożeni w ciągu kilku najbliższych lat

- prognozował Tellman z grymasem pogardy na twarzy. Nigdy nie przepuścił okazji do tego, żeby wyrazić swój negatywny pogląd na salonowe życie.

- A Leicester?

- Z grubsza to samo.

- W takim razie niech pan się zajmie Amandą Pennecuick. I Tellman...

- Tak jest?

- Niech pan będzie dyskretny.

Spojrzał na swojego podwładnego stanowczym wzrokiem. Ich systemy wartości różniły się od siebie. Wychowany na wsi Pitt odczuwał wrodzony szacunek do ziemiaństwa. Pochodzący z wielkiego miasta Tellman wyrastał pośród nędzy i nienawidził bogatych arystokratów. Większość z nich uważał za próżniaków, którzy niczego nie tworzą, tylko konsumują.

Jedyną rzeczą, która łączyła Pitta i Tellmana, była pasja, z jaką oddawali się swojej pracy.

- Tak jest, panie nadkomisarzu - powiedział Tellman z czymś zbliżonym do uśmiechu, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Niecałe pół godziny później Pitt otrzymał pilne wezwanie do nadinspektora Gilesa Farnswortha. Pitt wziął dorożkę, która wzdłuż brzegu Tamizy zawiozła go do Scotland Yardu.

- Czego się dowiedzieliście w Ministerstwie Kolonii? - zapytał Farnsworth, kiedy zamknęły się drzwi za funkcjonariuszem, który wprowadził Pitta.

Pitt nie miał ochoty się przyznawać, że wie bardzo niewiele.

- Na pierwszy rzut oka wszyscy prowadzą się nienagannie, może za wyjątkiem Garstona Aylmera. - Farnsworth z zainteresowaniem uniósł brew. - Odczuwa pociąg do niejkiej Amandy Pennequick, prawdopodobnie nieodwzajemniony. On jest mężczyzną wyjątkowo mało urodziwym, a panna Amanda piękną kobietą.

- Takie rzeczy niestety się zdarzają - odparł Farnsworth z wyraźnym rozczarowaniem. - Los bywa okrutny i każe brzydalowi zakochać się w skończonej piękności. To może doprowadzić do tragedii, ale nie jest przestępstwem.

- Wiele przestępstw ma swoje korzenie w tragedii - zripostował Pitt. - Ludzie różnie reagują, kiedy pragną czegoś nieosiągalnego.

- Wszystko można ukraść, pasztecik czy brylantowy naszyjnik, ale nie serce kobiety - powiedział Farnsworth ze zniecierpliwieniem. - Zresztą mówimy o człowieku, który nie zniżyłby się do kradzieży.

- Ukraść nie, ale kupić owszem... Aylmer nie byłby pierwszy.

- Na przykład sprzedając Niemcom informacje, żeby dawać jej prezenty? Dobrze, niech pan zbada sprawę pod tym kątem. Ale dyskretnie, Pitt. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Aylmer po prostu zakochał się w kobiecie, która nie jest mu przeznaczona.

- Rozważam również możliwość, że panna Pennecuick interesuje się Niemcami i wyciąga od niego informacje w zamian za przychylność. Mało prawdopodobne, ale na razie niczego lepszego nie mamy.

Farnsworth zagryzł wargę.

- Niech pan się dowie wszystkiego na jej temat, rodzina, koneksje...

- Tellman już się tym zajmuje.

- Nie, nie Tellman. Niech pan to weźmie na siebie. *A propos*, gdzie pan był wczoraj? Przez cały dzień nikt pana nie widział.

- W Hampshire, na rodzinnym pogrzebie.

- Sądziłem, że pańscy rodzice dawno zmarli.

- Istotnie. Byłem na pogrzebie człowieka, który traktował mnie jak syna.

Spojrzenie Farnswortha zhardziało.

- Tak? - Nie spytał, o kogo chodzi. - Czy to prawda, że był pan na rozprawie u sędziego śledczego, dotyczącej śmierci sir Arthura Desmonda?

- Tak.

- Po co? To nie jest sprawa dla policji. To tragiczne, że człowiek jego rangi skończył w ten sposób, ale choroba i starość nikogo nie oszczędzają. Niech pan to zostawi, Pitt, bo tylko pogorszy pan sprawę. - Pitt spojrzał na niego z wściekłością, którą Farnsworth odebrał jako niezrozumienie. - Im mniej się o tym mówi, tym mniej ludzie się dowiedzą - podjął zirytowany słabą lotnością umysłu podwładnego.

- Nie rozgrzebujmy tej historii, żeby jak najszybciej poszła w zapomnienie. Wtedy ludzie zapamiętają go jako człowieka, którym był dawniej, zanim ogarnęła go te obsesje.

- Obsesje?

- Tak, związane z Afryką. Ciągłe mówił o spiskach, knowaniach i diabli wiedzą czym. Uważał się za

prześladowanego. Przypadłość nader przykra, ale znana medycynie. Na litość boską, Pitt, jeśli pan miał choć trochę szacunku do niego, niech pan nie rozgrzebuje tej sprawy. Dla dobra jego rodziny niech spocznie razem z nim w grobie.

Pitt spojrział mu prosto w oczy.

Sir Matthew Desmond uważa, że jego ojciec nie był chory psychicznie, że nie zażyłby laudanum po południu, a już na pewno nie w takich ilościach, żeby się zabić.

- To normalne - Farnsworth zbył jego słowa machnięciem ręki. Zawsze trudno jest zaakceptować zaburzenia psychiczne u naszych bliskich. Ja też nie chciałbym tak myśleć o swoim ojcu. Współczuję mu, ale jego opinia nie ma nic wspólnego z faktami.

On może mieć rację - nie ustępował Pitt.

On nie ma racji, Pitt. Wiem o tej sprawie więcej niż pan.

Niech mi pan uwierzy. Często się z nim spotykałem i mogę panu powiedzieć, że z całą pewnością cierpiał na manię prześladowczą. Wszędzie widział spiski, nawet wśród swoich długoletnich znajomych. Darzyłem go ogromnym szacunkiem, ale to nie przesłania mi bolesnej prawdy. W imię przyjaźni niech mu pan nie zakłóca wiecznego odpoczynku. Im mniej będzie mowy o tym ostatnim okresie, tym lepiej sir Arthur zapisze się w ludzkiej pamięci.

Pittowi stanęła przed oczyma ogorzała twarz Sturgesa. A może lojalność wobec sir Arthura zmąciła gajowemu osąd? Może nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego pan stracił kontakt z rzeczywistością?

- Dobrze - podjął Farnsworth rzeczowym tonem - niech pan się zajmie sprawą wycieku informacji z Ministerstwa Kolonii. Niech się pan poświęci wyłącznie temu śledztwu aż do jego zakończenia. Zrozumiano?

- Tak jest, panie nadinspektorze - odparł Pitt, chociaż wcale

nie zamierzał rezygnować z rozwikłania zagadki śmierci
Arthura Desmonda.

Rozdział piąty

Thomas Pitt siedział naprzeciwko Matthew w Ministerstwie
Spraw Zagranicznych, w gabinecie z dębowymi meblami,
jasnozielonym dywanem i wielkimi oknami wychodzącymi na
St. James's Park.

- Te wycieki mogą przeszkodzić w podpisaniu traktatu z
Niemcami - stwierdził Matthew.

- Musisz powiedzieć mi coś więcej o tym traktacie. Bez tego
trudno mi będzie ustalić, przez czyje ręce przeszły te
informacje.

- To dosyć skomplikowane, ale spróbuję ci wyjaśnić...

Pitt czekał. Z ulicy dobiegło ich rżenie konia i okrzyk woźnicy.
Wpadające przez okna promienie słońca tworzyły na parkiecie
geometryczne wzory.

- Jednym z ważnych etapów było porozumienie podpisane
dwa lata temu z królem Lobengulą - zaczął Matthew. - We
wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku
poselstwo od Rhodesa, z niejakim Charlesem Ruddem na czele,
przyjechało do wioski króla w Bulawayo, w Matabelelandzie.
To jest plemię Ndebele. Rudd to ekspert od koncesji
górnich, ale nie ma pojęcia o afrykańskich obyczajach. Z
tego powodu zabrał ze sobą niejakiego Thompsona, który znał
jakiś język zrozumiały dla króla. Trzecim członkiem poselstwa
był Rochfort Maguire, prawnik z Ali Souls College w
Oksfordzie.

Pitt słuchał cierpliwie, ale nie sądził, żeby tego rodzaju
wiedza mogła mu się do czegoś przydać. Próbował sobie
wyobrazić sawannę i upał wyciskający siódme poty z tych
odważnych ludzi, których popchnęła do Afryki żądza zysku.

- Oczywiście byli też inni ludzie, którzy chcieli uzyskać

koncesje górnicze - podjął Matthew. - O mało ich nie straciliśmy.

- My?

- To znaczy Cecil Rhodes, który działa z upoważnienia rządu Jej Królewskiej Mości. W lutym tego samego roku podpisaliśmy z Lobengulą tak zwany traktat Moffata, przewidujący między innymi, że król nie może odstąpić żadnej części swoich terytoriów, cytuję, „bez uprzedniej wiedzy i zgody rządu brytyjskiego”.

- Mówiłeś, że o mało nie straciliśmy koncesji górniczych. Z powodu wycieku informacji do Niemców?

- Dziwna sprawa... Mam wrażenie, że Belgowie również wiedzieli o naszych porozumieniach. Cała Afryka środkowa i wschodnia mrowi się od awanturników, myśliwych, prospektorów górniczych i różnej maści pośredników...

- Matthew, bądźmy precyzyjni: jakie informacje z całą pewnością przedostały się do ambasady niemieckiej?

- naciskał Pitt. - Zapomnij o swoich podejrzeniach i wątpliwościach. Podaj mi konkretne fakty, które pozwolą mi ustalić, jaką drogą wyciekły te dane: w rozmowie, listem, telegramem, kto był adresatem i co z nimi dalej zrobił.

Matthew wskazał na stertę papierów.

- Mam tutaj dla ciebie kilka interesujących rzeczy. Są też inne sprawy, niezwiązane ze stosunkami dyplomatycznymi.

Pieniądze, zawsze pieniądze... Chodzi o bankierów, którzy zainwestowali istne fortuny we wspieranie przedsięwzięć Cecila Rhodesa, między innymi Francis Standish. W Afryce są ogromne złoża diamentów i złota. Skarby te należą do ludzi, którzy żyją w epoce kamienia łupanego, jeśli chodzi o uzbrojenie. Ludzi takich, jak Livingstone, nie interesowały te bogactwa. Chcieli zawieźć tym plemionom chrześcijaństwo, zachodnią medycynę i edukację, przezwyciężyć ciemnotę,

choroby i niewolnictwo. I przeszli do historii, nie zbijając fortuny. Nawet Stanley marzył tylko o sławie. Cecil Rhodes chce wszystkiego: ziemi, pieniędzy, władzy i jeszcze raz władzy. Na tym etapie rozwoju Afryki potrzebujemy takich ludzi jak on.

- Sposepniał. A w każdym razie tak nam się wydaje. Spierałem się o to z ojcem. On uważał, że rząd powinien mieć w tym większy udział i oficjalnie wysłać nasze wojska, nie zważając na to, co myśli kajzer czy Leopold. Ale oczywiście lord Salisbury nawet nie chciał o tym słyszeć. Gdyby to od niego zależało, Anglia umyłaby ręce od Afryki, lecz bieg historii na to nie pozwolił.

- Chcesz powiedzieć, że Anglia kolonizuje Afrykę rękami Cecila Rhodesa?

W gruncie rzeczy tak. Pieniądze idą również z instytucji finansowych w Londynie i w Edynburgu. I właśnie informacje o tych inwestycjach dotarły do ambasady niemieckiej.

- Rozumiem.

- To nie wszystko, Thomasie. Trzeba wziąć pod uwagę wiele innych czynników: sojusze, waśnie, dawne i nowe wojny. Nie zapominajmy u Burach i ich wojowniczym nowym przywódcy Paulu Krugerze. Trzeba też się zmierzyć z pokłosiem wojen zuluskich. Jest Emin Pasza w Afryce Równikowej, Belgowie w Kongo, sułtan Zanzibaru na wschodzie, a przede wszystkim Carl Peters i niemiecka Kompania Wschodnioafrykańska. - Ponownie wskazał na stos papierów. - Przeczytaj to, Thomasie. Nie możesz ich zabrać z ministerstwa, ale pomogą ci znaleźć to, czego szukasz.

- Dziękuję ci.

Pitt wyciągnął rękę po papiery, ale Matthew go powstrzymał.

- Thomasie...

- Tak?

- Co ze śledztwem w sprawie ojca? Powiedziałeś, że to będzie

dla ciebie priorytet. Im dłużej będziesz zwlekał, tym gorzej.

Ludzie zapominają albo zaczynają się bać, kiedy sobie uświadomią, z kim mają...

Nie martw się, śledztwo jest w toku. Rozmawiałem ze Sturgesem o tej historii ze szczeniętami. Gajowy jest przekonany, że to była wina Danfortha, który przysłał mu list z informacją, że już nie chce tych psów. A przynajmniej list doręczono Sturgesowi jako pochodzący od Danfortha. Sturges go widział, bo był zaadresowany do niego. Twój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

- To już jest coś - westchnął Matthew. - A spłoszony koń? To był wypadek czy ostrzeżenie?

- Jeszcze nie wiem. Według Sturgesa nie było żadnego naocznego świadka. Kołodziej i kowal widzieli jeźdźca, który galopował po gościńcu, nie panując nad koniem. Ale nawet spłoszony wierzchowiec nie wjedzie w innego konia! Sądzę, że to było naumyślne, ale nie mam na to dowodów. Jeździec był obcym człowiekiem.

Matthew zacisnął zęby.

- Podejrzewam, że tak samo będzie z incydem w metrze.

Też niczego nie udowodnimy. To są inteligentni ludzie...

Umieją tak to urządzić, że kiedy ofiara ich knowań zaczyna o nich opowiadać, wychodzi na obłąkańca albo opiumistę.

Ogarnia mnie znużenie i bezsilność. Moja nienawiść zaczyna się przeradzać w strach. Gdyby nie chodziło o ojca...

- W każdym razie nie rób niczego na własną rękę.

Matthew zrobił zaskoczoną, a potem ubawioną minę.

- Od piętnastu lat pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Thomasie, i umiem zachowywać się dyplomatycznie...

- Wybacz. Chciałem tylko powiedzieć, że dublując nasze działania, nie tylko tracilibyśmy czas, ale również

wzbudzalibyśmy podejrzenia.

- Przepraszam cię, Thomasie - odparł Matthew z uśmiechem ulgi. - Jestem przewrażliwiony. Tu masz dokumenty, przejrzyj je w sąsiednim pokoju.

Wysokie okno gabinetu też wychodziło na St. James's Park.

Pitt uważnie studiował *dossier* aż do południa, nie robiąc notatek, po czym odniósł dokumenty Matthew.

- Znalazłeś to, co się interesuje? - spytał Matthew.

- Na chwilę obecną tak.

- Zjedźmy razem lunch. Tuż za rogiem jest doskonały pub, a sto metrów dalej jeszcze lepszy.

- Chodźmy do jeszcze lepszego - zażartował Pitt.

Wyszli na ruchliwą ulicę. Mijali ich panowie we frakach i cylindrach oraz modne panie z parasolkami, uśmiechając się do znajomych. Po jezdni sunęły przeróżne powozy, dorożki, karety i landa, konie podzwaniały uprzężą.

- Uwielbiam to miasto w piękny majowy dzień - powiedział Matthew niemal przeproszającym tonem. - Wprost tętni życiem i entuzjazmem. Ale potrzebuję też Brackley, które daje mi poczucie spokoju i ciągłości. Nigdy bym się nie wyrzekł przenikliwego zimowego powietrza, trzaskania lodu pod stopami, letniego upału na skórze i zapachu siana...

Przechodząca piękna kobieta, odziana na różowo i szaro, uśmiechnęła się do Matthew, ale on tego nie zauważył.

- W mieście albo jest sucho, albo pada. Nie odczuwa się odwiecznego cyklu zmian w przyrodzie.

Dorożka przejechała tak blisko trotuaru, że gdyby Matthew nie uskoczył w ostatniej chwili, zostałby uderzony latarnią.

- Idiota! - mruknął pod nosem.

Zbliżali się do przejścia dla pieszych.

- Moją ulubioną porą roku zawsze była jesień - powiedział

Pitt. - Kocham złoty odbłask słońca na ścierniskach, stogi siana

na tle nieba, czerwone jagody w żywopłotach, zapach dymu drzewnego i gnijących liści, mieniające się kolory drzew. Jesień napawa mnie poczuciem spełnienia.

Zatrzymali się, żeby przepuścić strumień pojazdów przed przejściem na drugą stronę. Matthew rzucił przyjacielowi pełne czułości spojrzenie. W tym momencie obaj byli o dwadzieścia lat młodszy i spacerowali nie po Parliament Street, lecz po polach i lasach Brackley.

Nagle zza rogu wypadł powóz zaprzężony w cztery konie, zmierzając prosto na nich. Pitt odskoczył do tyłu i pociągnął za sobą Matthew, ale było już za późno: jego przyjaciel został uderzony przednim kołem i przewrócił się na jezdnię. Jego głowa wylądowała niespełna pół metra od krawężnika. Pitt, który również upadł, czym prędzej wstał i pobiegł wzrokiem w ślad za powozem, który zniknął już jednak za rogiem St.

Margaret Street.

Matthew leżał nieruchomo. Pitt podszedł do niego.

Bolała go noga, ale w tej chwili nie zwracał na to uwagi.

- Matthew! - krzyknął ze zgrozą.

Nie widział żadnej krwi i nic nie wskazywało na to, żeby Matthew coś sobie złamał lub skręcił, ale oczy miał zamknięte, a twarz białą jak płótno.

Jakaś kobieta podniosła dłoń do ust, aby stłumić szloch. Inna pani, starsza od tamtej, podeszła do nich.

- Mogę się na coś przydać? - spytała. - Mój mąż jest lekarzem i często mu pomagam.

Nie czekając na odpowiedź, uklękła przy Matthew, zdjęła rękawiczki i przyłożyła palec do tętnicy szyjnej. Pitt czekał z bijącym sercem.

- Puls jest mocny - uspokoiła go starsza pani z uśmiechem. -

Pański przyjaciel z pewnością jest boleśnie potłuczony i będzie go bolała głowa, ale zapewniam pana, że żyje. A panu

przydałoby się wypić coś mocniejszego. Zalecam też gorącą kąpiel i maść z arniki na nogę.

- Bardzo pani dziękuję - odparł Pitt.

- Pewnie pan nie wie, kim był woźnica - podjęła, nie wstając z klęczek. - Takich trzeba wsadzać do więzienia! Pański przyjaciel o mały włos nie rozbił sobie czaszki o krawężnik.

Zaczęli się wokół nich gromadzić przechodnie. Zwalisty mężczyzna z bujnymi faworytami przecisnął się przez tłum.

- Co tu się dzieje? Potrzebny lekarz? Ktoś wezwał policję?

- Tak, lekarz potrzebny. A policji nie musi pan wzywać. Ja jestem z policji.

Mężczyzna zdawał się w to wątpić, więc Pitt pokazał mu legitymację służbową. Zauważył przy okazji, że drży mu ręka. W tym momencie Matthew drgnął, wydał z siebie nieartykułowany jęk, otworzył oczy i natychmiast zamknął je z bólu.

- Przeklęty osioł! - wydusił.

- Proszę się nie ruszać, młody człowieku - zaleciła stanowczo starsza pani. - Posłaliśmy po lekarza. Niech pan nie próbuje wstawać, zanim doktor pana nie zbada.

Matthew znowu otworzył oczy i spojrzał na Pitta. Zamierzał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślił.

- Tak, myślę to samo, co ty - stwierdził Pitt w odpowiedzi na jego nieme pytanie.

Matthew westchnął głęboko.

- Nie należało się obrażać, kiedy mi powiedziałaś, żebym był ostrożny. Zareagowałem dziecinnie. Już widać, że miałaś rację. Staruszka zwróciła się do mężczyzny z faworytami.

- Lekarz został wezwany, prawda? - spytała tonem guwernantki ponaglącej kamerdynera.

- Tak, proszę pani - odparł urażonym tonem. I oddalił się - w przekonaniu Pitta - na poszukiwania lekarza.

- Jestem pewien, że z niewielką pomocą potrafiłbym wstać -

uznał Matthew. - Robię z siebie widowisko i tarasuję ruch.

Podniósł się z wysiłkiem. Natychmiast stracił równowagę, ale Pitt zdążył go przytrzymać.

- Lepiej pojedźmy dorożką do ciebie i tam wezwiemy twojego lekarza - zaproponował Pitt.

- Och, nie ma takiej potrzeby - przekonywał Matthew, chociaż ledwo trzymał się na nogach.

- Byłoby dalece nieroztropne, gdyby zlekceważył pan tę radę - skarciła go starszka surowym tonem.

Pitt poczuł się tak, jakby wrócił do szkoły. Matthew chyba też, bo nawet nie próbował kontrargumentować. Wylewnie podziękował starszej pani i wsiadł do zatrzymanej przez Pitta dorożki.

Pitt odwiózł przyjaciela do domu, kazał służbie wezwać lekarza i zaczął w salonie, aż doktor zbada Matthew.

- Paskudny wypadek - powiedział medyk pięćdziesiąt minut później. - Na szczęście jednak skończyło się to dla pana lekkim wstrząśnieniem mózgu i paroma nieprzyjemnymi potłuczeniami. Czy zgłosił pan tę sprawę na policję?

- Pan Pitt jest policjantem - odparł Matthew, wskazując na nadkomisarza, który stał w drzwiach. - Był wtedy ze mną. On również się przewrócił.

- Nic mi pan o tym nie powiedział, panie Pitt. Życzy pan sobie, żebym pana zbadał?

- Nie, dziękuję, panie doktorze. Nic mi się nie stało, parę siniaków i tyle.

- Zakładam, że poinformuje pan o wypadku swoich zwierzchników. Jechać w ten sposób, poturbować dwóch przechodniów i nawet się nie zatrzymać to jest przestępstwo!

- Ponieważ nie wiemy, do kogo należał powóz, nie możemy zbyt wiele zrobić - odrzekł Pitt.

Lekarz pokręcił głową.

- Szkoda. Tacy ludzie powinni zostać ukarani. Najchętniej kazałbym im do końca życia poruszać się pieszo. Ale cóż, nie wszystkie ludzkie pragnienia się spełniają - westchnął. - Niech pan odpocznie parę dni i da mi znać, gdyby ból głowy się nasilił, gdyby miał pan zaburzenia wzrokowe albo nudności - powiedział do Matthew. - Do widzenia, sir Matthew.

Pitt odprowadził go do wyjścia i wrócił do sypialni.

- Jeszcze raz ci dziękuję - powiedział Matthew z posępną miną. - Gdybyś mnie nie pociągnął, zginąłbym pod kołami. To było ostrzeżenie od Kręgu, jak tuszę?

- Zapomnij o tym na parę dni - poradził mu Pitt. - Odpocznij. Czeka nas brutalna walka.

- Na razie nie bardzo sobie wyobrażam, jak miałbym walczyć - skrzywił się Matthew. - Muszę poważnie przemyśleć sytuację.

*

Dochodziła czwarta, kiedy Pitt przekroczył próg Ministerstwa Kolonii i poprosił o widzenie z Linusem Chancellorem.

Recepcjonista odpowiedział mu, że minister z pewnością go przyjmie, ale trzeba będzie zaczekać.

Już po półgodzinie wprowadzono go do gabinetu Chancellora, który siedział za biurkiem wyraźnie zaniepokojony i zaintrygowany.

- Dzień dobry, Pitt. Przyszedł pan poinformować mnie o postępach śledztwa? Jeszcze za wcześnie, żeby wskazać podejrzanego? Widzę po panu, że tak... Ale czemu pan tak dziwnie siedzi? Jakaś kontuzja?

Pitt tak bardzo przejął się stanem zdrowia Matthew, że zapomniał o własnym bólu, który teraz ostro szarpał go za lewą nogę.

- W południe potrącił mnie powóz.

- Wielki Boże! - zawołał Chancellor z zatroskaną miną. - Ale

nie sądzi pan chyba, że ktoś celowo usiłował pana zabić? Z drugiej strony nie wiem, dlaczego tak mnie to dziwi. Człowiek gotów zdradzić swoją ojczyznę nie zawaha się przed próbą likwidacji osoby, która dąży do jego zdemaskowania. - Poruszył się w krześle widocznie zbulwersowany. - Przemoc fizyczna bardziej przemawia do wyobraźni niż zdrada stanu, która w swej istocie jest przecież czymś nieporównanie gorszym. - Zacisnął pięści i spojrzał na Pitta z gniewem i współczuciem. - Widział pana lekarz? Może nie powinien pan w ogóle chodzić! Ma pan pewność, że nie jest pan poważnie ranny?

- Tak, oglądał mnie lekarz - odparł Pitt, trochę naciągając prawdę. - Byłem ze znajomym, który doznał znacznie poważniejszych obrażeń niż ja. Ale dziękuję panu za troskę. A wracając do naszej sprawy, spotkałem się dzisiaj w Ministerstwie Spraw Zagranicznych z sir Matthew Desmondem. Pokazał mi oryginały dokumentów, których kopie trafiły do Niemców. Nie robiłem notatek, ale sądzę, że jestem w stanie podać panu z pamięci ich zasadniczą treść.

- Słucham pana - powiedział Chancellor, splatając dłonie. Pitt metodycznie przedstawił mu wszystkie szczegóły, które wyczytał kilka godzin wcześniej w ministerstwie. Kiedy skończył, Chancellor patrzył na niego zdeprymowany i zaniepokojony.

- Część tych informacji nie przechodziła przez mój urząd i nie znałem ich wcześniej - wyjaśnił.

- W takim razie nasz zdrajca ma współlnika, świadomego lub nie - podsumował Pitt. - To oczywiście może być jego słaba strona.

Chancellor natychmiast zrozumiał, co nadkomisarz chce przez to powiedzieć. Na jego twarzy pojawił się promyczek nadziei.

- Rzeczywiście! To daje panu punkt zaczepienia.

- Od czego według pana powinienem zacząć? Skąd mogą pochodzić informacje, które nie były panu znane? Jakie kategorie danych nie przechodzą przez pański urząd?

- Dotyczące aspektów czysto finansowych. Na przykład to, co pan mówił o pożyczkach i gwarancjach udzielonych MacKinnonowi i Rhodesowi czy o wsparciu londyńskiego City i bankierów z Edynburga. Takie szczegóły, jak daty, warunki i dokładne sumy, mogą pochodzić tylko z Ministerstwa Finansów. - Zagryzł wargę. - Paskudna sprawa, Pitt. A zatem w Ministerstwie Finansów też jest zdrajca! Będziemy panu bardzo wdzięczni, jeśli rozwikła pan tę sprawę dyskretnie. Z pewnością nie muszę panu mówić, jak bardzo zaszkodziłoby naszym interesom, nie tylko w Afryce, gdyby ta sprawa przedostała się do wiadomości publicznej.

- Postaram się być jak najbardziej dyskretny - obiecał Pitt, wstając z krzesła.

- Doskonale. I proszę mnie na bieżąco informować. Zawsze znajdę dla pana parę minut w ciągu dnia, a w razie konieczności wieczorem. Podejrzewam, że podobnie jak ja ma pan nienormowany czas pracy?

- Istotnie, sir. Będzie pan regularnie informowany. Do widzenia panu.

Pitt natychmiast udał się do Ministerstwa Finansów, ale była już piąta i człowiek, którego szukał, pan Ransley Soames, już wyszedł.

Zmęczony i obolały postanowił wrócić do domu. W dorożce zadał sobie pytanie, czy powinien zrelacjonować Charlotte szczegóły wypadku. Jego żona z pewnością od razu zauważy, że coś mu się stało, ale chyba lepiej będzie nie wspominać o tym, jak poważnych obrażeń doznał Matthew. To by ją jeszcze bardziej zmartwiło.

- Tak, ale co się dokładnie stało? - naciskała, kiedy w

ogólnych zarysach opowiedział jej o wypadku.

Usiedli w salonie z herbatą. Dzieci, które zjadły już kolację, były na górze. Mały Daniel, który miał pięć i pół roku, trochę umiał już czytać i zaczynał się uczyć tabliczki mnożenia. Teraz był dla niego czas zabawy, natomiast dwa lata od niego starsza Jemina odrabiała zadania. W tej właśnie chwili wkuwała poczet królów Anglii, od Edwarda Wyznawcy po królową Wiktorię. W ciągu kilku lat, jakie zostały jej do egzaminów, musiała zapamiętać nie tylko ich imiona w kolejności zasiadania na tronie, ale także daty urodzenia i śmierci oraz najważniejsze wydarzenia z okresu ich rządów.

- Powiedz mi, co się stało, Thomasie - powtórzyła Charlotte, świdrując go wzrokiem.

- W jakimś ekwipażu poniosło konie i ten otarł się o mnie, kiedy wyjechał z za rogu prawie w galopie. Przewróciłem się, ale to nic poważnego, tylko kilka siniaków. Miałem ci o tym w ogóle nie mówić, ale jeszcze byś sobie pomyślała, że w tak młodym wieku dopadła mnie podagra!

Charlotte nie zareagowała uśmiechem na ten żart.

- Źle wyglądasz, Thomasie. Powinieneś iść do lekarza, żeby sprawdzić...

- Nie ma takiej potrzeby.

- Uważam, że...

- Przecież ci mówię, że nie ma takiej potrzeby.

Charlotte zmarszczyła brwi. Pitt jeszcze nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób.

- Przepraszam cię - powiedział. - Lekarz już mnie badał. Kilka potłuczeń, ale w sumie więcej strachu i złości niż bólu.

- Nie mówisz mi wszystkiego. Dlaczego poszedłeś do lekarza?

Pitt skapitulował, za bardzo zmęczony, żeby kłamać.

- Był ze mną Matthew. Na kilka chwil stracił przytomność.

Lekarz przyszedł go zbadać u niego w domu. Ale bądź

spokojna, nic mu nie jest.

- Czy to był wypadek? - dociekała. - Myślisz, że Krąg chce się pozbyć również Matthew?

- Nie wiem, ale wątpię w to, bo moim zdaniem Matthew nie stanowi dla nich zagrożenia.

Spojrzała na niego z powątpiewającą miną, ale niczego już nie komentowała, tylko poszła napuścić mu gorącej wody do wanny i poszukać maści z arniki.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu. Co mogę dla pana zrobić?

Ransley Soames był przystojnym mężczyzną o regularnych rysach i gęstych, falujących blond włosach zaczesanych do tyłu. Kształt ust zdradzał pewien niedobór wewnętrznej dyscypliny, ale w tej chwili Soames poświęcał gościowi całą swoją uwagę.

- Dzień dobry, panie Soames - odparł Pitt, zamykając za sobą drzwi.

Soames siedział za pięknym rzeźbionym biurkiem, na którym stała czerwona skrzyneczka obwiązana wstążkami.[2](#)

- Przepraszam, że zabieram panu czas, ale na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych prowadzę dochodzenie na temat błędnego skierowania pewnych poufnych informacji.

Aby naprawić ten błąd, musimy zlokalizować źródło tych informacji i dowiedzieć się, kto miał do nich dostęp.

Soames zmarszczył brwi.

- Mówi pan jak Pytia, panie nadkomisarzu. O jakie informacje chodzi i pod jaki niewłaściwy adres trafiły?

- Informacje finansowe dotyczące Afryki, natomiast na drugą część pańskiego pytania wolałbym na tym etapie nie odpowiadać. Pan Linus Chancellor polecił mi zachować jak największą dyskrecję.

- Rozumiem - powiedział Soames, który sprawiał jednak wrażenie niezadowolonego, że objęto go tym zakazem. - Z kolei

pan powinien zrozumieć, panie nadkomisarzu, że potrzebuje zobaczyć pisemne potwierdzenie pańskich słów. Czysta formalność.

Pitt wyjął pełnomocnictwo kontrasygnowane przez ministra spraw zagranicznych. Soames rozpoznał charakter pisma lorda Salisbury i usiadł trochę bardziej wyprostowany. Pitt wyczuł u niego napięcie.

- Dobrze, panie nadkomisarzu. Czego dokładnie pragnie się pan dowiedzieć? Jak pan zapewne ma świadomość, przez moje biurko przechodzi sporo informacji finansowych. Całkiem niemało z nich dotyczy Afryki.

- Mnie interesuje między innymi finansowanie ekspedycji pana Rhodesa do kraju Matabele...

- A! Czyżby pan nie wiedział, że przedsięwzięcie to w większości finansuje sam pan Rhodes i jego Kompania Południowoafrykańska?

- Owszem, jest mi to wiadome, ale nie zawsze tak się sprawy 2 Pudełka obite czerwonym marokinem wędrowały między ministerstwami a Pałacem Buckingham i zawierały dokumenty informujące królową o sprawach kraju (przyp. tłum.).

miały. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby wtajemniczył mnie pan w historię finansowania tej ekspedycji.

- Boże święty! Jak daleko w przeszłość mam się cofnąć?

- Powiedzmy dziesięć lat.

- Co chce pan wiedzieć? Przedstawienie panu szczegółowego rysu historycznego zajęłoby mi cały dzień

- odparł Soames z irytacją w głosie.

- Potrzebuję tylko wiedzieć, kto miał dostęp do tych danych.

Soames z westchnieniem zagłębił się w fotelu.

- Czy jest pan na bieżąco z naszymi działaniami w Afryce?

- Nie, ale czy to jest niezbędne?

- Owszem, jeśli ma pan zrozumieć mechanizmy ich

finansowania.

- Zgoda, panie Soames, proszę mi zatem podać tylko nazwiska pańskich pracowników, którzy zajmowali się dorzeczem Zambezi i Afryką Równikową.

- Tylko te dwa regiony? To upraszcza sprawę. Oprócz mnie jest Thompson, Chetwynd, MacGregor, Cranbourne i Alderley. Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek z nich był tak... nieroztropny, aby przekazać te informacje w niepowołane ręce, ale oczywiście wszystko może się zdarzyć...

- Dziękuję panu.

- Co pan dalej zamierza?

- Prowadzić dochodzenie - odparł Pitt ogólnikowo, a już na swój prywatny użytek uściślił, że poleci Tellmanowi sprawdzić, czy któryś z tych panów zna pannę Amandę Pennecuick.

- Wyobrażam sobie, panie nadkomisarzu, że informacje te zostały sprzedane przez ludzi chciwych pieniędzy. Mam nadzieję, że ta afera nie zagraża naszym interesom w Afryce. Jest sprawą najwyższej wagi, abyśmy uzyskali kontrolę nad dorzeczem Zambezi i korytarzem od Kolonii Przyłądkowej po Kair. Jeśli ta strefa wpadnie w cudze ręce, skutki będą opłakane. Efekty pracy takich szlachetnych ludzi, jak Livingstone i Moffatt, zmiecie fala przemocy i barbarzyństwa. Afryka utonie we krwi. Cały kontynent może być stracony dla chrześcijaństwa.

Postawa Soamesa wzbudziła w Pittcie wielki szacunek. Nie było w niej oportunisty i żądzy zysku, której obawiał się sir Arthur. Ransley Soames najwyraźniej nie należał do Wewnętrznego Kręgu, co sprawiło Pittowi wielką ulgę, bo jego rozmówca miał przecież zostać teściem Matthew.

- Żałuję, że nie mogę pana w tej kwestii uspokoić, ale informacje te zostały przekazane ambasadzie niemieckiej.

Krew odpłynęła z twarzy przerażonego Soamesa.

- Jest pan pewien? Ale kto posunąłby się do czegoś takiego? Niemcy mogą wysłać z Zanzibaru swoje wojska! Mają tam żołnierzy, broń, kanonierki! Już wcześniej dochodziło w tym regionie do buntów i rozlewu krwi!

- Miejmy nadzieję, że to ich w najbliższym czasie powstrzyma od inwazji - powiedział Pitt, wstając. - Dziękuję za pomoc, panie Soames. Jeszcze jedno pytanie

- rzucił od drzwi. - Czy mówi coś panu nazwisko panny Amandy Pennecuick?

- Owszem, to przyjaciółka mojej córki - odparł zaskoczony Soames. - Skąd to pytanie? Co pana Pennecuick może mieć wspólnego z omawianymi przez nas zagadnieniami?

- Czy wedle pańskiej wiedzy panna Pennecuick zna kogoś z wymienionych przez pana dżentelmenów?

- Tak. Na pewno poznała u mnie w domu pana Alderleya, który jest pod wielkim wrażeniem tej wyjątkowo uroczej młodej damy. Ale co to ma wspólnego z informacjami finansowymi przekazanymi Niemcom?

- Być może nic - odparł Pitt. - Jeszcze raz dziękuję i do widzenia, panie Soames.

Ta niedziela była dla Nobby Gunne jednym z najszcześniejszych dni życia. Peter Kreisler zaprosił ją na przejażdżkę wynajętą łodzią po Tamizie. Mieli popłynąć do Greenwich, a wieczorem wrócić do Londynu powozem. Siedziała w łódce z twarzą wystawioną do słońca. Rześki wietrzyk niósł ze sobą rozmowy i śmiechy kobiet w muślinowych sukienkach i mężczyzn w samych koszulach. Podniecone dzieci wychylały się znad barierek statków wycieczkowych i mostów.

Cały Londyn udał się dzisiaj na wycieczkę - powiedziała radośnie, kiedy ich sternik zręcznie manewrował między zacumowaną barką i kutrem rybackim.

Zaokrętowali się koło Mostu Westminsterского w cieniu gmachów parlamentu, minęli Blackfriars i teraz na fali odpływu żeglowali w stronę mostu Southwark.

- Cóż może być przyjemniejszego w piękny majowy dzień? - powiedział z uśmiechem Kreisler. - Tylko najpobożniejsi siedzą w kościele...

Odgłos dzwonów odbijał się od powierzchni wody. W oddali rysowały się na tle nieba piękne dzwonnice kościołów, zaprojektowanych przez sir Christophera Wrena.

Pływanie po rzece nie kłóci się z pobożnością - stwierdziła filozoficznie. - A już na pewno korzystniej działa na nastrój! Kreisler nie krył ubawienia.

- Niech mnie pani nie próbuje przekonać, że jest pani konwencjonalną kobietą! Konwencjonalne kobiety nie płyną dłubankami w górę Konga!

Oczywiście, że nie! Wołą przejażdżki wodne w towarzystwie panów, którzy zabierają je do Richmond, Kew albo Greenwich...

- Wołałaby pani odwiedzić Kew Gardens? Słyszałem, że ogród botaniczny to jeden z cudów świata.

Wcale nie. Jestem nadzwyczaj zachwycona, że płyniemy do Greenwich. Poza tym jestem pewna, że zastalibyśmy w Kew połowę stolicy.

Kreisler rozsiadł się wygodnie na ławeczce i obserwował mrowie jednostek pływających, które manewrowały po wodzie, powozy i omnibusy na brzegach, stragany sprzedawców wody mentolowej, pasztecików, kanapek, małży, balonów, hula-hoop, fujarek, gwizdków i zabawek. Dziewczynka w falbaniastej sukience goniła za chłopcem w prążkowanym garniturku, a w ślad za nią podążał czarno-biały pies, który szczekał z podniecenia. Katarzyniarz grał znaną melodię. Pasażerowie statku wycieczkowego machali ludzom stojącym na brzegu.

Minęli Southwark Bridge, zostawiając po lewej stronie stare Swan Pier.

- Myśli pan, że Kongo stanie się kiedyś jednym z ważnych szlaków żeglugowych świata? - spytała Nobby zamyślonym tonem. - Dla mnie zawsze pozostanie wielką rzeką, po której ludzie płyną z wioski do wioski. - Delikatnie rozorała palcami powierzchnię wody. - Człowiek wydaje się śmiesznie mały wobec ogromu tropikalnej puszczy. My, Europejczycy, zapanowaliśmy nad naturą, przynajmniej z pozoru.

- Nigdy nie podbijemy Konga - stwierdził stanowczo Kreisler.

- Klimat nam na to nie pozwoli. To jest jedna z nielicznych rzeczy, których nie możemy poskromić ani podbić. Ale z pewnością pobudujemy tam miasta, a nasze parowce wywiozą stamtąd drewno, miedź i inne bogactwa naturalne. Już zbudowaliśmy linię kolejową. Spodziewam się, że kiedyś powstanie następna, z dorzecza Zambezi na Przylądek, żeby można było sprawniej wywozić złoto, kość słoniową *et caetera*.

- A panu ta perspektywa zupełnie się nie podoba - odparła poważnym tonem.

- Nie podobają mi się chciwość, wyzysk i dwulicowość, z jaką oszukujemy Afrykanów. Oszukali Lobengulę, króla plemienia Ndebele w Maszonalandzie. Ale to jest cwany lis, dostatecznie inteligentny, aby rozumieć, że jego kraj czeka tragiczny los.

Minęli London Bridge, niesieni przez odpływ. Dziewczyna w dużym kapeluszu z uśmiechem patrzyła na nich znad barierki. Nobby pomachała jej. Po lewej zostawili Custom House Quay, nabrzeże zdominowane przez twierdzę Tower of London, a po chwili minęli Traitors' Gate, bramę wodną, przez którą w dawnych czasach dostarczano osoby skazane na śmierć do twierdzy.

- Kiedy patrzę na Tower - powiedział Kreisler - myślę o Wilhelmie Zdobywcy, który zlecił jej budowę. Ciekawe, jakim

był człowiekiem... Podporządkował sobie Saksonów, wznosił fortece i osadzał w nich żołnierzy, którzy utrzymywali na podbitych ziemiach porządek i czerpali z nich zyski.

Nobby wiedziała, że jej towarzysz nie myśli o jedenastowiecznej inwazji na Anglię, lecz o podboju Afryki, o strzelbach i armatach wycelowanych w Zulusów i Ndebele uzbrojonych w asegame, o wojskach brytyjskich maszerujących przez sawanny, o Murzynach ciemnionych przez białych, tak jak kiedyś Normanowie ciemnili Saksonów. Tyle że Normanowie należeli do tej samej rasy, religii i cywilizacji, od ich ofiar różnił ich tylko język, którym się posługiwali.

Minęli St. Catherine's Dock i zmierzali ku Pool of London. Po obu stronach ciągnęły się doki, baseny portowe, przystanie rzeczne. Barki stały zacumowane bądź powoli sunęły w górę lub w dół rzeki. Statków wycieczkowych było teraz mniej.

Nobby i Kreisler znaleźli się w świecie handlu międzynarodowego.

Kreisler uśmiechnął się, jakby czytał jej w myślach.

- Jedwab z Chin, przyprawy z Birmy i Indii, drewno tekowe, kość słoniowa, jadeit... Niedługo przyjdzie kolej na złoto z królestwa Ndebele, mahoń i skóry z Afryki Równikowej, kość słoniową z Zanzibaru i minerały z Konga. W zamian zawieziemy do Afryki bawełnę z Manchesteru i uzbrojonych żołnierzy z połowy Europy.

Niektórzy wrócą do swoich krajów, niektórzy nie.

- Miał pan okazję poznać osobiście Lobengulę?

Wybuchnął śmiechem.

- Tak! Prawie dwumetrowy kolos, który waży ze sto kilo! Nie nosi niczego oprócz korony i przepaski biodrowej. Ndebele nie są budowniczymi, w przeciwieństwie do Szona, którzy wzniesli miasto Zimbabwe. Ndebele żyją z hodowli bydła i rabunku, a chaty budują ze słomy i suszonego łajna...

- Tak, widziałam takich wiele.

- Nie wątpię w to. Rzadko mam przyjemność porozmawiać z osobą, której nie muszę wszystkiego szczegółowo tłumaczyć! U Lobenguli obowiązuje bardzo oficjalna dworska etykieta. Wie pani, że chcąc spotkać się z królem, trzeba podejść do niego na czworakach i pozostać w tej pozycji przez całą audiencję? Męczące przeżycie, które nie zawsze przynosi oczekiwane korzyści! - Spoważniał. - Lobengula nie umie pisać ani czytać. Europejczycy go oszukali, mówiąc mu, że przywiozą do jego kraju nie więcej niż dziesięciu białych. A on im uwierzył! Obiecali mu również, że nie będą zakładali kopalń w pobliżu wiosek oraz że biali będą przestrzegali obowiązujących w królestwie Ndebele praw i postępowali jak lojalni poddani króla...

- A co mu zaoferowali?

- Sto funtów miesięcznie, tysiąc karabinów i amunicję do nich oraz kanonierkę pływającą po Zambezi.

Po lewej ręce zostawili Wapping Old Stairs. W basenach portowych roilo się od łodzi, barek, parowców, holowników i kutrów. Czy Kongo, z brzegami porośniętymi dżunglą, będzie w przyszłości przypominało Tamizę, czy po jej błotnistych wodach popłyną towary przeznaczone dla ludzi niewychylających nosa poza granice swego kraju czy nawet hrabstwa?

- Charles Rudd pognął na złamanie karku do Kimberley - podjął Kreisler - żeby przekazać dobrą wiadomość Rhodesowi, zanim Longebula się zorientował, że go okantowano. Ruddowi tak się spieszyło, że o mało nie umarł z pragnienia...

W jego głosie pobrzmiwała pogarda. Umilkł na dłuższą chwilę. Nobby miała wrażenie, że jest jedyną osobą, która go rozumie, ale nie śmiała wytrącać go z zamyślenia.

Wzdłuż brzegu ciągnęły się ogromne magazyny z

namalowanymi farbą nazwami przedsiębiorstw. Podążając za meandrami rzeki, dotarli do West India Docks, a przed sobą mieli Isle of Dogs. Przepływając obok słupów, do których niegdyś przywiązywano piratów, żeby utopił ich przyplływ morza, Nobby i Kreisler spojrzeli na siebie bez słowa.

Co za szczęście, nie musieć nic mówić! Nobby nie była przyzwyczajona do tego luksusu. Prawie wszyscy ludzie, których znała, uważali milczenie za uciążliwe. Czuliby się zobowiązani coś powiedzieć. Kreisler patrzył na nią od czasu do czasu i wiedział, że w dostatecznym stopniu zajmuje ją pieśczość wiatru na policzkach, zapach soli, odgłosy dolatujące z doków i poczucie, że te kilkanaście metrów wody odgradza ich od świata.

Na prawym brzegu wznosiło się Greenwich, z ceglanymi domami, parkiem i słynnym szpitalem królewskiej marynarki wojennej, perłą angielskiej architektury.

Zeszli na brzeg, pojechali kabrioletem do parku, a potem spacerowali ramię w ramię po trawie. Stanęli pod wielkimi drzewami, żeby posłuchać szelestu liści i podziwiać kwitnącą magnolię, której płatki w formie tulipana odcinały się niby biała piana od błękitnego nieba. Dzieci bawiły się hula-hoop, bączkami i latawcami. Bony w nienaganych uniformach maszerowały z uniesionymi wysoko głowami, pchając wózki dziecięce, a przyglądali im się żołnierze w szkarłatnych tunikach. Zakochani w różnym wieku spacerowali pod ramię. Roześmiane dziewczęta flirtowały z zalotnikami.

Nobby i Kreisler wypili herbatę, rozmawiając o błałych sprawach. O zachodzie słońca, kiedy powietrze trochę się ochłodziło, wsiedli do powozu, który miał ich zabrać z powrotem do centrum stolicy. Podczas długiej jazdy zamienili niewiele słów. Rzeka mieniła się morelowymi, bursztynowymi i turkusowymi refleksami, co przywodziło na myśl weneckie

laguny czy cieśninę Bosfor. Później barwy te przygasły, ustępując miejsca tonacjom srebrzystym. Na niebie rozbłysły gwiazdy, na południu, daleko od świateł miasta. Kiedy otulił ich chłód nocy, Nobby i Kreisler odrobinę się do siebie zbliżyli. Nie przypominała sobie równie pięknego dnia.

Rozdział szósty

Prawie cały poniedziałek Nobby spędziła we własnym ogrodzie. Ze wszystkich rzeczy, które lubiła w Anglii, na pierwszym miejscu stawiała ogrody. Nierzadko jednak tęskniła za afrykańskim słońcem, kiedy w szare styczniowe i lutowe dni, marznąca mżawka przenikała przez wszystkie szczeliny w mającym przed nią chronić ubraniu, włąziła za kołnierz i do cholewek butów, wślizgiwała się pod rękawiczki i mankiety...

Czy krawcy nie zdają sobie sprawy z tego, jaką gehennę przechodzi kobieta dźwigająca na sobie kilkadziesiąt łokci nawilgłego materiału?

A co powiedzieć o całych tygodniach, kiedy stolica jest spowita gęstą mgłą, która chwyta za gardło, tłumi dźwięki i zatrzymuje dym ze stu tysięcy kominów, okrywając miasto zimnym i mokrym całunem?

Już nie wspominając o tych smutnych dniach lata, kiedy człowiek wstaje z nadzieją na słońce, lecz widzi za oknem uporczywy deszcz pchany przez wiatr od morza, i dostaje gęsiej skórki.

Na szczęście trafiają się piękne słoneczne dni, kiedy można spacerować po lesie, podziwiając wiązy, topole, brzozy i buki. W Anglii wieś jest zawsze zielona. Słońce lata nie pali trawy, a zimowy chłód jej nie wymraża. Wszędzie rosną kwiaty. Nobby potrafiłaby wymienić ze sto gatunków, nie musząc zaglądać do leksykonu botanicznego. W tym momencie oglądała swój trawnik, który ciągnął się aż do cedru. Stary kamienny murek był porośnięty różami Alberta gotowymi w każdej chwili

ekspłodować koralowo-różowym kwieciem. Również ostróżki i piwonie miały wkrótce zakwitnąć, te pierwsze w różnych odcieniach koloru niebieskiego, te drugie na krwistoczerwono. Powietrze przesycił zapach lilii.

- Przepraszam, że przeszkadzam...

Głos pokojówki wyrwał ją z rozmarzenia.

- Tak, Martho?

- Pani Linusowa Chancellor chciałaby się z panią zobaczyć.

Mam powiedzieć, że ją pani przyjmie?

Nobby ukryła zaskoczenie. Po kiego diabła Susannah

Chancellor składa jej wizytę? Przecież ledwo się znali.

- Tak, oczywiście. Przeprowadź ją na taras.

Martha dygnęła i w pośpiechu udała się po gościa. Po kilku

chwilach Susannah Chancellor stanęła w drzwiach

balkonowych. Nobby ruszyła ku niej przez trawnik i pokonała

kamienne schodki prowadzące na taras.

Susannah była ubrana w piękną białą suknię przybraną

różową koronką. Parasol ozdobiony wstążką i pękiem róży

chronił ją od słońca.

- Dzień dobry, pani Chancellor. Bardzo się cieszę z pani wizyty.

- Dzień dobry, panno Gunne - odparła Susannah niepewnym tonem. Zatoczyła wzrokiem po ogrodzie, jakby tam kogoś szukała. - Czy nie przeszkodziłam pani... ?

- Nie, jestem sama. Rozkoszowałam się tym pięknym popołudniem. Jakie to szczęście mieć duży ogród!

- Zgadza się z panią - odparła Susannah, schodząc z tarasu.

- Pani ogród jest wyjątkowo piękny. Czy zechciałaby pani mnie po nim oprowadzić?

Spacerowały niespiesznie. Susannah często przystawała, żeby pozachwycać się jakimś kwiatem lub spytać o jego nazwę.

Przeszły obok ogrodnika, który pielął trawę koło wyżlinów i

szałwi.

- My mieszkamy blisko Westminsteru i mamy mały ogród - westchnęła Susannah. - Bardzo mi tego brakuje. Mamy rezydencję na wsi, ale nie możemy tam jeździć tak często, jak bym sobie tego życzyła. Obowiązki mojego męża na to nie pozwalają...

Słowa „mojego męża” wypowiedziała z dumą kobiety zakochanej, ale mimo to nerwowo bawiła się wstążkami parasola. Nagle zawróciła w stronę białej drewnianej ławki w cieniu wielkiego cedru.

- Z pewnością widziała pani w życiu wiele cudowności, panno Gunne - podjęła, nie patrząc na nią. - Czasem pani zazdroścę tych wojaży. Przyznaję jednak, że wygodne życie w Anglii bardziej mi odpowiada. Czy znudziłoby panią, gdyby mi pani trochę opowiedziała o swoich przygodach?

- Ależ skąd, jeśli sobie pani tego życzy. Nie prosi mnie pani z uprzejmości?

- Z uprzejmości? - zdumiała się Susannah.

- Wiele osób czuje się do tego zobowiązanych - wyjaśniła ubawiona Nobby.

- Źle mnie pani ocenia, panno Gunne. Afryka szczerze mnie fascynuje. Mój mąż jest bardzo zainteresowany tym, co się dzieje na tym kontynencie.

- Tak, słyszałam o tym - odparła Nobby powściągliwym tonem.

Miała świadomość, że Linus Chancellor popiera ekspedycje Cecila Rhodesa, a od spotkania z Peterem Kreislerem problem kolonizacji dorzecza Zambezi bardzo ją niepokoił.

- Dobrze zna pani Afrykę, jak sędzę - powiedziała Susannah, która zarejestrowała jej brak entuzjazmu.

- Powiedzmy, że dobrze znam niektóre regiony, ale Afryka jest kontynentem ogromnym i trudnym do ogarnięcia. Jeśli ten

temat panią interesuje, w Londynie są nieporównanie lepsi ode mnie znawcy zagadnienia. Na przykład pan Kreisler, którego zdaje się miała pani okazję poznać...

Czuła się niezręcznie, podając jego nazwisko, ale był pierwszą osobą, która przyszła jej do głowy w kontekście Afryki.

- Tak, znam go - odparła Susannah. - Ciekawy człowiek o zdecydowanych poglądach. Co pani o nim sądzi, panno Gunne? Mam nadzieję, że to nie jest niedyskretne pytanie. Nie znam osoby, której opinia na jego temat byłaby dla mnie bardziej miarodajna.

- Chyba mnie pani przecenia - powiedziała Nobby, czerwieniąc się z zakłopotania. - Ale spróbuję pani powiedzieć, co o nim myślę.

Susannah wyraźnie odetchnęła, tak jakby uzyskanie informacji o Peterze Kreislerze było zasadniczym celem jej wizyty.

- Dziękuję, panno Gunne. Już myślałam, że mi pani odmówi. Nerwowość rozmówczynie i ta niezręczna wymiana zdań zdeprymowała Nobby. W ogrodzie było tak cicho, że dało się słyszeć, jak wiatr porusza wysokimi gałęziami drzew. Pszczoła leniwie przelatywała z kwiatka na kwiatek. Nawet w cieniu cedru było bardzo ciepło. W powietrzu unosił się zapach lilii i głogu.

- Co konkretnie chciałaby pani wiedzieć? - spytała Nobby.

- Pan Kreisler ma bardzo złe zdanie o panu Rhodesie, nie jestem pewna dlaczego. Sądzi pani, że w grę wchodzi motyw osobiste?

Nobby wyczuła w jej głosie nutkę nadziei. Potrafiła to zrozumieć, bo Linus Chancellor darzył Rhodesa ogromnym zaufaniem. Ale co takiego powiedział jej Kreisler, że ogarnęły ją wątpliwości i przyszła zapytać o zdanie ją, a nie swojego męża? Rzecz niesłychana! Kobieta z definicji podziela poglądy

polityczne swego małżonka.

- Nie wiem, czy pan Kreisler spotkał Cecila Rhodesa - odparła Nobby, szukając słów, które oddawałyby znane jej fakty, a jednocześnie ukrywały jej awersję do polityki kolonizacyjnej Rhodesa. - Wiem natomiast, że tak samo jak ja kocha tajemniczość Afryki. Boimy się, że na skutek naszej obecności Czarny Ląd utraci część swojej duszy. Kiedy ktoś jako pierwszy odkrywa nieznaną, jest przejęty i poruszony, a jednocześnie zaniepokojony, że jego następcy mogą poczynać sobie mniej delikatnie. Być może te obawy są nieuzasadnione, ale pan Kreisler z całą pewnością nie podziela kolonizacyjnych marzeń pana Rhodesa.

Po twarzy jej rozmówczynie przemknął uśmiech.

- Wyraziła się pani nader oględnie, panno Gunne. Pan Kreisler uważa, że królestwo Ndebele zmierza ku zagładzie. Słyszałam niektóre jego argumenty w tej sprawie i chętnie bym poznała również pani opinię.

Nobby milczała zdeprymowana. Było to pytanie, na które nie umiała odpowiedzieć bez dłuższej refleksji. Musiała też ocenzurować swoje emocje przed podzieleniem się swoimi myślami z inną osobą, zwłaszcza małżonką ministra kolonii! Nie mogła zdradzić zaufania, którym obdarzył ją Kreisler. Oczywiście ani przez chwilę nie podejrzewała, że jej towarzyszy wyprawy po Tamizie wstydzi się swoich poglądów. Wręcz przeciwnie!

Miała jednak świadomość, że Susannah, która przyglądała się wielobarwnym łubinom, jest targana tak potężnymi wątpliwościami i lękami, że postanowiła otworzyć się przed nią. Czy lęki te wiążą się z jej ukochanym mężem, pieniędzmi zainwestowanymi przez jej teściową czy z czymś jeszcze innym?

- Wolałaby pani nie odpowiadać? - spytała po chwili

Susannah. - Czy mam przez to rozumieć, że podziela pani poglądy pana Kreislera i nie aprobuje opinii mojego męża? Czy też przeciwnie, wie pani o czymś, co dyskredytuje jego teorie, i nie chce pani o tym mówić?

- Nie - odparła stanowczo Nobby. - Kwestia jest zbyt poważna, abym pani odpowiedziała bez namysłu. Pan Kreisler rzeczywiście ma zdecydowane poglądy w sprawie, na której doskonale się zna. Podejrzewa, że tubylczy królowie zostali oszukani...

- To prawda - przerwała jej Susannah. - Nawet Linus tego nie neguje. Mówi jednak, że to wyjdzie Afryce na dobre. Za dziesięć lat cały kontynent będzie skolonizowany. Nie można cofnąć czasu i udawać, że nie odkryliśmy Afryki. Europa wie, że jest tam złoto, diamenty i kość słoniowa. Pytanie brzmi, kto na tym skorzysta: Wielka Brytania, Belgia czy Niemcy, a może kraje, które wciąż uprawiają niewolnictwo?

W takim razie co się pani nie podoba w poglądach pana Kreislera? Naturalnie w Anglii wszyscy sobie życzą, aby zrobili to Anglicy - z pobudek egoistycznych, ale także altruistycznych, sądzimy bowiem, że zrobimy to lepiej od innych, że zaszczepimy lepsze wartości i wprowadzimy lepszy ustrój od obecnego, który obejmuje wspomniane przez panią niewolnictwo.

Susannah spojrzała na nią zaniepokojona.

- Ponieważ Kreisler mówi, że uczynimy z Afrykanów poddanych na ich własnej ziemi. Popierając Rhodesa i pozwalając mu wziąć na siebie większość ryzyka, także finansowego, w gruncie rzeczy daliśmy mu *carte blanche*. Będzie władał połową Afryki, z naszym błogosławieństwem. Czy pani zdaniem to jest trafny obraz rzeczy?

- Tak sędzę - odparła Nobby ze smutnym uśmiechem. -

Doskonale podsumowała pani sytuację. - Susannah nerwowo

obracała w palcach uchwytem parasolki. - Bardzo podobnie wyrażał się sir Arthur Desmond. Zmarł dwa tygodnie temu. Człowiek wyjątkowej dobroci. Pracował kiedyś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Znała go pani?

- Nie, nie znałam go.

Susannah wciąż patrzyła na łąbin. Trzmiel przefruwał z jednego kwiatu na drugi. Drugim końcem trawnika przeszedł ogrodnik, popychając przed sobą taczki z zielskiem.

Słabo go znałam, ale smutno mi na myśl, że już nigdy go nie zobaczę - westchnęła Susannah. - Sir Desmond należał do tych ludzi, po rozmowie z którymi człowiekowi zawsze jest różniej na duszy. Nie z powodu jego wesołości, tylko dlatego, że wyrażał proste i zdrowe idee, podczas gdy naokoło wszyscy tylko krytykują, oceniają i wykpiwają bliźnich.

Z pani słów wynika, że to był wyjątkowy człowiek. Nie dziwi mnie, że odczuwa pani smutek, mimo że słabo go pani znała. Liczy się nie to, ile spędzamy z kimś czasu, lecz charakter znajomości. Są osoby, które znam od lat, a mimo to nie wiem, co w nich naprawdę siedzi. Z drugiej strony są ludzie, z którymi rozmawiałam tylko parę godzin, ale to, co usłyszałam, na zawsze we mnie pozostanie.

Kiedy wypowiadała te słowa, w jej głowie pojawiła się sylwetka Petera Kreislera, który obrócił twarz do słońca w piękne majowe popołudnie nad Tamizą.

- Jego śmierć była taka... nagła - powiedziała Susannah. -

Wszystko może się tak szybko zmienić, prawda?

- Istotnie - odparła Nobby i pomyślała, że dotyczy to nie tylko wydarzeń, ale również nastrojów.

Jeszcze wczoraj na horyzoncie życiowym małżonki Linusa Chancellora nie było ani jednej chmurki, a dzisiaj nie potrafiła opędzić się od wątpliwości, które zaszczeplił w niej Kreisler. Dylemat, który nią targał - być lojalną wobec koncepcji swego

męża czy też drążyć kwestie poruszone przez Kreislera - znalazł odzwierciedlenie w jej postawie: trzymała parasolkę jak narzędzie obrony.

Co właściwie powiedział jej Peter Kreisler, a przede wszystkim po co w ogóle podniósł ten temat? Nie był naiwny i na pewno nie mówił tego wszystkiego ot tak. Wiedział, że ma do czynienia z żoną członka rządu, który popiera Cecila Rhodesa. Wiedział również, że Susannah jest spokrewniona z Francisem Standishem i że odziedziczy część akcji jego banku, a tym samym napewno w jakimś stopniu zna szczegóły finansowania tych ekspedycji. Chciał wydobyć od niej informacje, czy też przeciwnie, za jej pośrednictwem przekazać dezinformacje - kłamstwa i półprawdy - do Ministerstwa Kolonii, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i samego premiera? Kreisler to niemieckie nazwisko. Czy na przekór swoim angielskim manierom jej niegdysiejszy rozmówca nie bronił cudzych interesów?

Może manipuluje nimi obiema? Ta myśl zaskakująco mocno ją zabolęła, jakby dźgnięto ją sztyletem. Znalazło to odbicie na jej twarzy, uważnie obserwowanej przez Susannah.

Zadzierzgnęła się między nimi nić porozumienia. Susannah odczuwała to samo gorzkie rozczarowanie. Nagle Nobby przysłała do głowy jeszcze boleśnieszka myśl: a może Susannah Chancellor również jest zakochana w Peterze Kreislerze?

„Również? Nie - pomyślała Nobby. - Nie jestem zakochana, tylko ten człowiek trochę mnie... pociąga. Ledwo go znam! Co nas ze sobą łączy? Czy wspólnie marzyliśmy w dzieciństwie o odkryciu nowego kontynentu i w wieku dorosłym zrealizowaliśmy to marzenie? Spędziliśmy razem piękne popołudnie, rozumiejąc się bez słów, ale czymże jest te kilka godzin wobec całego życia? To się nazywa oczarowanie, nie miłość. Miłość jest mniej efemeryczna, mniej magiczna”.

- Panno Gunne?

Nobby aż podskoczyła, wyrwana z zamyślenia.

- Tak?

- Sądzi pani, że pan Rhodes nas wykorzystuje? Że zbuduje w Afryce Środkowej własne imperium i pokaże nam figę? Byłoby go na to stać! Tamtejsze złoża złota i diamentów są niewyobrażalne.

- Nie mam pojęcia, ale to możliwe.

Nobby nie mogła udzielić innej odpowiedzi. Susannah nie zasługiwała na to, żeby ją okłamywać.

- Bardzo pani ostrożna, panno Gunne - stwierdziła z uśmiechem Susannah.

- Bo to poważny zarzut i nie mogę sobie pozwolić na niefrasobliwość. Ale historia uczy, że większość podbojów jest dziełem jednego człowieka. Weźmy choćby Clive'a w Indiach [h.3](#)

- Tak, ma pani rację. Mój Boże, jestem tutaj już prawie godzinę. Dziękuję pani za gościnność, panno Gunne.

Nie powiedziała jednak, że rozmowa z Nobby wiele jej wyjaśniła lub przyniosła ulgę. Gospodyni odprowadziła swego gościa do wyjścia.

Podczas londyńskiego sezonu, który trwał trzy miesiące - od maja do lipca - wieczór w teatrze lub operze był dla dam z dobrego towarzystwa najlepszym sposobem na odpoczynek po ciężkim dniu, w którego programie znajdowała się przejażdżka konna po Hyde Parku przed śniadaniem i pisaniem listów, zakupy, wizyta u krawca lub modystki, proszony lunch, popołudniowe wizyty, wyjścia na wystawy psów i do galerii sztuki, *garden party*, podwieczorki, bankiety, wieczory muzyczne, bale... W tych warunkach możliwość beczynnego posiedzenia sobie w jednym miejscu bez konieczności prowadzenia rozmowy - a nawet zdrzemnięcia się, jeśli komuś przyszła na to ochota - była luksusem nie do pogardzenia!

Lady Cumming-Gould już dawno zarzuciła tak wyczerpujący tryb życia i do teatru chodziła wyłącznie dla przyjemności. W maju 1890 roku można było obejrzeć na deskach St. James Theatre *Esther Sandraz* Sydneya Grundy'ego ze słynną Lillie 3 Baron Robert Clive de Plassey (1725-1774), angielski generał, założyciel imperium brytyjskiego w Indiach. Oskarżony o nadużycia władzy i łapownictwo, popełnił samobójstwo (przyp. tłum.).

Langtry, kochanką księcia Walii, w roli głównej. Vespasia nie miała jednak ochoty widzieć pani Langtry, ani na scenie, ani w żadnych innych okolicznościach. Na afiszu Savoyu widnieli *Gondolierzy* Gilberta i Sullivana, lecz starsza pani nie była w nastroju na operetkę. Miała wybór między Henrym Irvingiem w sztuce zatytułowanej *The Bells* i farsą sir Arthura Winga Pinero *The Cabinet Minister*. Z racji swojej krytycznej opinii na temat ministrów skłaniała się ku temu drugiemu rozwiązaniu.

Wystawiane przez kilka teatrów sztuki francuskie nie zapowiadały się zbyt interesująco, może poza *Jeanne d'Arc* z wielką Sarah Bernhardt w roli tytułowej.

Z oper grano *Carmen*, *Lohengrina* i *Fausta*. Vespasia kochała operę włoską, zwłaszcza Verdiego, nie przepadała natomiast za Wagnerem, bardzo ostatnio *en vogue*. Gdyby szedł *Simon Boccanegra* albo *Nabucco*, nie wahałaby się ani chwili.

W końcu zdecydowała się na klasykę osiemnastowiecznego angielskiego repertuaru, *She Stoops to Conquer* Olivera Goldsmitha (jak się później okazało, kilkoro jej znajomych dokonało tego samego wyboru). Zaprosiła Charlotte i Pitta - dla przyjemności - oraz Eustace'a Marcha - z poczucia obowiązku, ponieważ wyraził tak wielką ochotę obejrzenia tego spektaklu, że odmówić mu byłoby grubiaństwem. Eustace grał jej wprawdzie na nerwach, ale bądź co bądź był członkiem rodziny.

Thomas wymówił się w ostatniej chwili, ponieważ coś go

zatrzymało na Bow Street, a wejście do loży po rozpoczęciu spektaklu byłoby bardzo źle widziane.

- A, sir Henry Rattray! - entuzjasmował się Eustace na widok srebrzystowłosego jegomościa, który zasiadł w sąsiedniej loży. - Dżentelmen w każdym calu. Ucieleśnia rycerskie cnoty odwagi w niebezpieczeństwie, wspaniałomyślności wobec pokonanych wrogów, uczciwości, szczerości, czystości, galanterii, honoru i współczucia dla uciśnionych.

- Widać, że dobrze pan go zna - zdziwiła się Charlotte.

- Wiesz o nim więcej niż ja, skoro mówisz takie rzeczy - dodała Vespasia.

Eustace sentencjonalnie uniósł palec

- Trafiałś w dziesiątkę, mamó! Wiem o nim więcej niż inni.

Sir Henry czyni dobro dyskretnie, jak przystało na prawdziwego chrześcijanina.

- Istny sir Galahad - mruknęła Charlotte.

Wyraz zadowolenia na twarzy Eustace'a trochę ją przeraził. Zięć Vespasii był przekonany, że wszystko rozumie i że cały świat widzi rzeczywistość tak samo jak on. A do tego ten arturiański język! Czy członkowie Wewnętrznego Kręgu zasiadają przy okrągłym stole i zostawiają puste miejsce dla rycerza, który zabłąka się do nich podczas poszukiwań Świętego Graala?

- Otóż to! - stwierdził z entuzjazmem Eustace. - Znalazła pani doskonałe porównanie. Ojciec Galahada, Lancelot, był najlepszym przyjacielem króla Artura, jego prawą ręką i sojusznikiem.

- I człowiekiem, który go zdradził - uzupełniła Charlotte.

- Słucham? - odparł zdetonowany Eustace.

- Czyżby pan zapomniał o jego związku uczuciowym z Ginewrą? To był początek końca.

Tak, Eustace najwyraźniej zapomniał o tym epizodzie i

pożałował, że dał się wciągnąć w tę niefortunną analogię. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Charlotte zrobiło się go żal. Eustace był naiwny jak dziecko.

- Ale ideały Okrągłego Stołu były najwznioślejsze, a Galahad bezgrzeszny, bo inaczej nie zobaczyłby Świętego Graala - dodała tytułem pocieszenia. - W każdym z nas jest dobro i zło, każdy ma swoje słabości, ale większość z nas nie chce dostrzegać w podziwianych przez siebie ludziach negatywnych cech.

Zauważyła, że Eustace usiłuje zrozumieć rzeczywisty sens jej słów i po chwili daje za wygraną.

- Tak, tak, ma pani absolutną rację - powiedział, po czym zwrócił się do Vespasii, która przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Kim jest ta niezwykła kobieta obok lorda Riverdale? Nigdy nie widziałem takich dziwnych oczu.

Lady Cumming-Gould podążyła w ślad za jego spojrzeniem i zobaczyła Christabel Thorne, która z ożywieniem rozmawiała ze swoim mężem. Jeremiaś słuchał jej z zainteresowaniem, nie odrywając od niej oczu.

- To jest małżonka Jeremiaś Thorne'a z Ministerstwa Kolonii - wyjaśniła. - Spójrzcie, tam siedzi minister finansów Ransley Soames z córką Harriet.

Nagle publiczność ogarnęło wielkie zaaferowanie. Głowy się odwróciły i wszystkie rozmowy ucichły.

- Czy to nie jest książę Walii? - spytał Eustace podekscytowanym tonem.

Jako surowy moralista w przypadku każdej innej osoby jednoznacznie potępiłby tryb życia prezentowany przez księcia Walii, ale książąt nie ocenia się według tych samych kryteriów co zwykłych śmiertelników, a w każdym razie Eustace nigdy by sobie na to nie pozwolił.

- Nie - odparła sucho Vespasia.

Dla niej wszyscy ludzie zasługiwali na to, żeby ich oceniać jednakową miarą, a poza tym lubiła księżną Walii.

- To jest Linus Chancellor, minister kolonii, w towarzystwie swojej małżonki, Susannah, i jej szwagra pana Francisa Standisha.

Charlotte obserwowała przybyłych, którzy sadowili się w swojej łoży. Chancellor, troskliwy i szarmancki, poprawił jej szal, a ona podziękowała mu nieznacznym skinieniem głowy. Światła przygasły i rozległy się pierwsze dźwięki hymnu narodowego.

Podczas pierwszego antraktu, kiedy ucichły oklaski, Eustace zwrócił się do Charlotte.

- Jak się miewa pani rodzina? - zapytał, bardziej z grzeczności, niż z zainteresowania, jak również dla uniknięcia wszelkich aluzji do rycerzy Okrągłego Stołu i jakichkolwiek innych tajnych stowarzyszeń, dawnych i obecnych.

- Dziękuję, wszyscy zdrowi.

- Emily?

- Pojechała do Włoch na czas wakacji parlamentarnych.

- A pani matka?

- Również wojażuje - odparła Charlotte, nie precyzując, że Caroline jest w podróży poślubnej, bo nie zmieściłoby się to w pojęciach Eustace'a.

Zobaczyła uśmiezek na ustach Vespasii i odwróciła głowę, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Babcia zamieszkała u Emily w Ashworth House - dodała pośpiesznie.

- Rozumiem... - odrzekł Eustace, wyczuwając, że umknęło mu coś ważnego, ale nie śmiał drążyć sprawy. - Czy życzą sobie panie coś do picia? - spytał z galanterią.

Panie z chęcią przyjęły propozycję. Po jego odejściu wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a następnie

skierowały uwagę na łożę Chancellorów. Francisa Standisha już tam nie było, ale zastąpiła go inna osoba, którą widziały od tyłu. Bez wątpienia mężczyzna, wysoki, szczupły, mający w swojej postawie coś z wojskowego.

- Kreisler? - szepnęła Charlotte.

- Tak sędzę - odparła Vespasia.

Po chwili, kiedy mężczyzna obrócił głowę w stronę Susannah, ujrzały, że się nie pomyliły. Z ich łoży nie dało się słyszeć rozmowy, ale wyraz twarzy interlokutorów pozwalał na wyciągnięcie pewnych wniosków.

Kreisler odnosił się do Chancellora uprzejmie, ale wyczuwało się między nimi chłód, zapewne wynikający z różnic politycznych. Chancellor stał blisko żony, jakby chciał podkreślić, że Susannah podziela jego poglądy. Charlotte i Vespasia odniosły wrażenie, że Kreisler zwraca się bardziej do niej, niż do niego, ale Linus brał na siebie prawie cały ciężar rozmowy. Susannah kilka razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Chancellor zawsze ją uprzedzał.

Po powrocie Eustace'a Charlotte nieobecny tonem podziękowała mu za lemoniadę i do końca przerwy milczała zamyślona.

Podczas drugiego antraktu udały się do foyer rozprostować kości. Do Vespasii podeszła pewna markiza i zaczęły rozmawiać. Charlotte oddaliła się, aby poobserwować towarzystwo. Jej uwagę przyciągnęła Susannah i jej szwagier, z którym najwyraźniej się spierała. Jej butna mina wskazywała, że argumenty Francisa nie robią na niej wrażenia, on zaś miotał wściekłe spojrzenia w kierunku Petera Kreislera. W pewnym momencie próbował odciągnąć Susannah za ramię, ale ona uwolniła się zniecierpliwionym gestem. Wkrótce dołączył do nich Chancellor, który z czułym uśmiechem podał małżonce ramię i we trójkę powrócili do swojej łoży. Na twarzy

Susannah pozostał jednak posepny cień i ten obraz dręczył Charlotte aż do końca spektaklu.

Nazajutrz było wietrznie, ale słonecznie. Około godziny dziesiątej Vespasia kazała przygotować powóz i zabrać się do Hyde Parku. Nie musiała precyzować, że stangret ma się zatrzymać od strony Albert Memoriał. Tylko pomiędzy pomnikiem i Marble Arch można było spotkać osoby z towarzystwa, które wybrały się na poranny spacer.

Poprzedniego wieczoru w teatrze markiza powiedziała jej, że jeśli ktoś zna wszystkie wybitne osobistości ze świata kolonialnej Brytanii, to tylko Bertie Canning. A zatem był on osobą, z którą mogła porozmawiać o Peterze Kreislerze.

Vespasia wolała wysiąść z powozu, z którego łatwiej było przegapić Canninga. Powoli skierowała się w stronę ławek usytuowanych w północnej części Rotten Row, tej modniejszej, gdzie przechadzała się śmietanka towarzyska. Siedzenie w tym miejscu i obserwowanie ludzi należało do jej ulubionych rozrywek, ale tego dnia przyświecał jej określony cel.

Włożyła na siebie srebrnoszarą suknię z niebieskimi akcentami i kapelusz zgodny z wymogami najnowszej mody: podobny do czapki jeździeckiej, z lekko uniesionym rondem i przybrany jedwabiem. Z satysfakcją zauważyła, że przyciąga uwagę osób przejeżdżających otwartymi ekwipażami. Ludzie odwracali ku niej głowy, zadając sobie pytanie, kim ona jest i czy należy jej się ukłonić.

Ambasador hiszpański, któremu towarzyszyła małżonka, dotknął kapelusza i uśmiechnął się do niej, przekonany, że ją zna, a przynajmniej powinien. Ubawiona odwzajemniła uśmiech.

Patrzyła na małe tilbury, [4](#) eleganckie kabriolety, wielkie ekwipaże, wszystkie nienagannie utrzymane: skóra i mosiądz błyszczące, konie wypielęgowane, stangreci i służba w pełnej

liberii. Wielu dżentelmenów wolało samodzielnie powozić, żeby pokazać swoją znajomość sztuki posługiwania się „wstążkami”, jak familiarnie nazywano lejce. Vespasia знаła wielu spośród tych panów. Salonowe towarzystwo było na tyle nieliczne, że wszyscy prędzej czy później się spotykali. Zobaczyła bałkańskiego księcia, z którym trzydzieści lat wcześniej utrzymywała znacznie bardziej zażyłe stosunki. Napotkawszy wzrokiem jej spojrzenie, mężczyzna rozpoznał ją, zawahał się, a potem uśmiechnął. Aliści stanowcza dłoń uwieszona u jego ramienia księżnej nie zwolniła uścisku. Poszedł więc swoją drogą, zostawiając Vespasię rozmarzoną, uśmiechniętą do ich wspólnych wspomnień.

Upłynęły trzy kwadranse, zanim zobaczyła Bertiego Canninga, który spacerował leniwie - sam, ponieważ jego małżonka nie znośła chodzić i większość czasu spędzała pod dachem. Bertie natomiast wyznawał pogląd, że spacerowanie jest dobre dla zdrowia, a ponadto uwielbiał poczucie wolności, jakie dawały mu te poranne promenady. Nie zrezygnowałby z nich, nawet gdyby musiał poruszać się o dwóch laskach.

Na widok swojej starej przyjaciółki uśmiechnął się do niej zachwycony i skierował kroki ku jej ławce. Był przystojnym, serdecznym i czułym mężczyzną, w którym niegdyś się kochała.

- Dzień dobry, Bertie. Doskonale wyglądasz.

Dziesięć lat młodszy od niej, miał skłonność do tycia, a jego zawsze rumiana cera przybrała barwę bordoskiego wina.

- Najdroższa Vespasio! Jakże miło cię widzieć! Nie do wiary, jak mało się zmieniłaś! Twoje rówieśniczki z pewnością umierają z zazdrości. Nie ma gorszego afrontu dla pięknej kobiety niż inna piękna kobieta, z którą wiek obchodzi się łaskawiej.

- Zawsze miałeś talent do oryginalnych komplementów, Bertie - odparła i przesunęła się nieznacznie, zapraszając go,

4 Tilbury — lekki pojazd dwukołowy na dwie osoby
aby się do niej przysiadł.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o wspólnych znajomych.

Zachwycona Vespasia zobaczyła siebie w tym samym miejscu
trzydzieści lat wcześniej, kiedy nosiło się szersze suknie z
krynolinami, a po parku spacerowało mniej modnie odzianych
kobiet z półświatka. Panowała jednak ta sama radosna i
zaaferowana atmosfera: londyńska śmietanka towarzyska z
lubością przeglądała się w zwierciadle.

- Bertie...

- Tak, moja droga?

- Znasz wszystkich ludzi, którzy mają coś wspólnego z
Afryką...

- Raczej znałem. Teraz jeżdżą tam całe tłumy. Wszelkiej
maści awanturnicy, pozbawieni skrupułów. Wolę ich nie znać.
Ale skąd to pytanie? Chodzi ci o kogoś konkretnego?

- Tak, o Petera Kreislera.

- Kreisler... Kreisler... A, tak! Jego matka była Szkotką, z
Calderów z Aberdeen. Dziwna dziewczyna. Wyszła za Niemca i
przez jakiś czas mieszkała w jego kraju. Już nie żyje, panie
świeć nad jej duszą.

Vespasia zastanowiła się. W innych okolicznościach
niemieckie korzenie Kreislera nie miałyby znaczenia - czyż
rodzina królewska nie wywodziła się w połowie z Hanoweru?
Ale w świetle obecnych wydarzeń we Wschodniej Afryce
sprawy miały się zupełnie inaczej.

- Rozumiem. Czym zajmował się jego ojciec?

Minął ich popularny aktor, bardzo zaabsorbowany swoją
osobą. Vespasia pomyślała o Caroline, matce Charlotte, która
po śmierci pierwszego męża wyszła za aktora siedemnaście lat
młodsze od siebie, znacznie mniej przystojnego niż
wspomniany pozer, ale nieporównanie bardziej uroczonego.

- Nie mam pojęcia - przyznał Bertie - ale wiem, że był osobistym znajomym starego kanclerza.

- Przyjaciół Bismarcka! - zawołała coraz bardziej zaniepokojona Vespasia.

Bertie zerknął na nią spod oka.

- Dlaczego interesuje cię Kreisler? Nie możesz go znać, bo mieszka w Afryce. Chociaż niewykluczone, że wrócił po swoim sporze z Cecilem Rhodesem - między nami mówiąc, wszyscy się z nim kłócą - i z misjonarzami, którzy usiłowali ubrać Afrykanów w spodnie i zrobić z nich przykładowych chrześcijan...

- Nie zniosłabym tego, gdyby mi próbowano narzucić sposób ubierania się albo religię - stwierdziła Vespasia.

- W takim razie znalazłabyś wspólny język z Kreislerem! Pewien parlamentarzysta i autor wysokonakładowych książek minęli ich zatopieni w dyskusji.

- Imbecyl - mruknął Bertie. - Świat staje na głowie.

- Dlaczego?

- Polityk chce napisać książkę, a pisarz marzy o mandacie poselskim.

- Czytałeś jego ostatnią książkę?

- Nie, a co?

- Okropna. I byłoby z korzyścią dla świata, gdyby John Dacre rzucił parlament i chwycił za pióro. W sumie uważam to za doskonały pomysł, aby zamienili się rolami...

Bertie parsknął śmiechem, lecz po chwili spoważniał.

- Wróćmy do twojego Kreislera. Powadził się również z bankierem MacKinnonem w kwestii przyszłości Afryki Wschodniej. Jeśli nie wszedł jeszcze w spór ze Standishem, to zapewne ze względu na pokrewieństwo tego ostatniego z Linusem Chancellorem.

- Bertie zmarszczył brwi zamyślony. - To nie zmienia faktu, że Kreisler ma wiele racji. Cecil Rhodes nie jest osobą godną

zaufania. Aksamitny język i sztylet w zanadrzu. Za duża żądza władzy jak na mój gust.

I za bardzo mu się ze wszystkim spieszy. Znasz Arthura Desmonda? Mądry i przyzwoity człowiek. Jego śmierć głęboko mnie zasmuciła.

Vespasia poczuła chłód i miała ochotę trochę się przespacerować. Wstała. Bertie uczynił to samo i podał jej ramię.

- Co sądzisz o Kreislerze?

- Nie bardzo wiem, co ci odpowiedzieć. Jego cele i motywy nie są dla mnie jasne.

Vespasia skinęła głową.

Minęli się ze znanym portrecistą, który uchylił przed Vespasią kapelusza. W alejce poszła fama, że nadchodzi książę Walii z synem, diukiem Clarence. Do Bertiego podszedł starszy mężczyzna o ziemistej cerze. Bertie dokonał prezentacji. Po przybyśzu było widać, że gorąco pragnie porozmawiać z Canningiem, więc Vespasia postanowiła im nie przeszkadzać. Potrzebowała się zastanowić. Skąpe informacje na temat Petera Kreislera, które właśnie uzyskała, w najmniejszym stopniu jej nie uspokoiły.

Dlaczego ten człowiek tak wytrwale ugania się za Susannah Chancellor? Dlaczego z takim wigorem broni swego punktu widzenia? Chyba nie jest taki naiwny, aby sądzić, że wpłynie na ministra kolonii za pośrednictwem jego żony, skoro Chancellor publicznie wyraził poparcie dla Cecila Rhodesa. o co walczy Kreisler? O prawo Afryki do samostanowienia czy o interesy Niemiec? Próbuje wydobyć ze swoich rozmówców informacje czy przekazać swoją wersję faktów, aby sprowokować rząd do błędu? i dlaczego zaleca się do Nobby Gunne?

Vespasia byłaby znacznie bardziej nieszczęśliwa, gdyby w tym momencie znalazła się w teatrze rewiowym Lyric. Zobaczyłaby

Nobby i Kreislera, którzy śmiali się do rozpuku, z zapartym tchem oglądali zonglera, zachwycali się akrobatycznymi wyczynami kontorsjonisty i przytupywali w jednym rytmie z tancerkami.

Setnie się bawili. Od czasu do czasu wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, kiedy jakiś *bon mot* ich rozśmieszył lub zbulwersował. Dowcipy były złośliwe i rubaszne.

Gwoździem programu był występ irlandzkiej sopranistki, która zawładnęła publicznością, śpiewając *Silver Threads Among the Gold*, *Bedouin Love Song* i *The Lost Chord* Sullivana, a potem, przechodząc od śmiechu do łez, *Good-bye Tostiego*.

Buchnął aplauz, a kiedy opadła kurtyna, publiczność wstała z miejsc i udała się do wyjścia. Rozświetlona latarniami gazowymi ulica rozbrzmiewała stukotem końskich kopyt. Liczne dorożki stawały przed teatrem, żeby zabrać widzów do domu.

Nobby i Kreisler nie zamienili ani słowa. Między nimi wszystko zostało już powiedziane.

Rozdział siódmy

- Nic - powiedział Tellman, który przyszedł zdać raport na temat lana Hathaway. - A w każdym razie nic dla nas interesującego.

Typ

spokojnego,

rozsądnego

pięćdziesięciolatek, który dużo czyta. Ma swoje drobne dziwactwa i upodobania, ale najzupełniej normalny. Na przykład uwielbia drogie sery. Za kawałek sera potrafi zapłacić więcej niż ja za połeć wołowiny. Nie znosi ryb. Za nic w świecie nie zjadłby ryby.

Pitt zmarszczył brwi.

- To wszystko?

- Kupuje zwykle koszule i zajadle targuje się o cenę. Z początku miałem go za poczciwca, który zawsze siedzi cicho jak mysz pod miotłą, ale okazuje się, że pan Hathaway umie postawić na swoim. Zawsze bardzo spokojny, bardzo uprzejmy, nigdy nie podnosi głosu, ale wszyscy są mu posłuszni, nawet jego krawiec.

- Zajmuje ważne stanowisko w Ministerstwie Kolonii - zwrócił mu uwagę Pitt.

Tellman prychnął lekceważąco.

- Widziałem ważniejszych od niego, którzy pozwalali się pomiatać swojemu krawcowi. Nie, pan Hathaway ma twardszy charakter, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Pitt powstrzymał się od komentarza. Tego rodzaju oceny zawsze mają subiektywny charakter.

- Ale ma piękną kolekcję skarpet, nocnych koszul i jedwabnych krawatów - podjął Tellman.

- Rozrzutny?

- Nie, na pewno nie żyje ponad stan. Powiedziałbym nawet, że prowadzi się oszczędnie. Od czasu do czasu je obiad w klubie z przyjaciółmi albo gra wieczorem w golfa.

- A panie? - Mina Tellmana wystarczyła mu za odpowiedź. - Synowie? Ma jakieś rodzeństwo?

- Z tego, co wiem, synowie równie porządni jak on. Mieszkają za granicą. Rodzeństwa nie ma.

Pitt odchylił się w fotelu.

- Kim są ci przyjaciele, z którymi jada obiady? Mają coś wspólnego z Afryką, Niemcami lub finansami międzynarodowymi?

- Najprawdopodobniej nie.

- Jaka jest pańska osobista opinia na jego temat?

Tellman sprawiał wrażenie zaskoczonego. Nie spodziewał się takiego pytania.

- No... chciałbym móc powiedzieć, że to tajemniczy typ, który ma wiele do ukrycia, ale wygląda mi na pospolitego człowieka, który prowadzi monotonne życie. Nie widzę żadnego powodu, żeby miał sprzedawać informacje naszym wrogom.

Pitt potraktował tę opinię poważnie. Tellman był człowiekiem stronnictwym i pełnym uprzedzeń, ale rzadko się mylił, jeśli chodzi o ocenę, czy ktoś jest zdolny do popełnienia przestępstwa.

Mimo wszystko umówił się na spotkanie z Ianem Hathawayem, żeby wyrobić sobie osobisty pogląd.

Gabinet Hathawaya był mniejszy niż Chancellora czy Thorne'a, ale dostojnie i wygodnie urządzone. Na półkach stały książki oprawione w marokiny. Meble naznaczyła patyna czasu, skóra krzeseł błyszczała, dywan był odrobinę wytarty na odcinku od drzwi do biurka Hathawaya, gładko ogolonego, prawie całkowicie łysego mężczyzny z wydatnym nosem i inteligentnymi niebieskimi oczami.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu - powiedział dystyngowanym głosem. - Czym mogę panu służyć? Będzie pan łaskaw spocząć.

- Dzień dobry, panie Hathaway.

Pitt zajął miejsce naprzeciwko niego i postanowił od razu przejść do rzeczy, żeby niepotrzebnie nie zabierać czasu wysokiemu urzędnikowi państwowemu.

- Chodzi o tę niefortunną sprawę wycieku informacji...

Na twarzy Hathawaya nie drgnął ani jeden muskuł.

Wiele się nad tym zastanawiałem, panie nadkomisarzu, ale niestety bez efektu. Nie znam charakteru, wagi i adresata przekazanych dokumentów, ale to nie ma znaczenia, bo następnym razem może wyciec coś o zasadniczym znaczeniu

dla naszych żywotnych interesów. Widzi pan, me zawsze wiadomo, kto jest naszym prawdziwym wrogiem. Dzisiejszy przyjaciel jutro może nas zdradzić...

Pitt zadał sobie pytanie, o jakich wrogach mówi jego rozmówca. Pomyślał o sir Arthurze Desmondzie. Jakże byłby zdziwiony, gdyby usłyszał zeznania swoich „przyjaciół” na rozprawie dotyczącej jego śmierci!

- Domyślam się, że figuruję na liście podejrzanych - podjął Hathaway z cierpkim uśmiechem.

- Powiedzmy, że należy pan do grona osób mających dostęp do ważnych informacji - przyznał Pitt. - O ile mi wiadomo, jeden z pańskich synów mieszka w Afryce.

- Tak, mój syn Robert jest misjonarzem w Sudanie Nad jeziorem Niasa.

Pitt przestudiował atlas Afryki. Poza kilkoma wyjątkami wybrzeże było dosyć dokładnie zaznaczone, ale ogromne obszary w głębi lądu pozostawały niezbadane: na mapie widziało się tylko nieliczne szlaki przebiegające kontynent ze wschodu na zachód, gdzieś tam jezioro czy pasmo górskie. Liczne regiony nie miały określonych granic, żaden kartograf nigdy ich nie zmierzył, żaden europejski podróżnik nigdy się tam nie wyprawił. Pitt wiedział, że Jezioro leży niedaleko obszarów będących przedmiotem zainteresowania Cecila Rhodesa, tam, gdzie według legendy znajdowało się Zimbabwe, słynne miasto czarnego złota. Hathaway uważnie go obserwował.

- Tak, chodzi o region, który pana interesuje... Panie nadkomisarzu, przestańmy bawić się w podchody. Niech mnie pan skoryguje, jeśli się mylę, ale moim zdaniem prowadzone przez pana śledztwo dotyczy niemieckich zakusów na kraj ludów Maszona i Matabele. Negocjujemy traktat, który ma wytyczyć strefy wpływów. Dążymy do tego, aby wymienić

Helgoland za Zanzibar, obecnie znajdujący się w rękach Niemców. Dymisja Bismarcka zmieniła sytuację. Z Przylądka wyruszyła ekspedycja pana Rhodesa, który negocjuje z szefem Burów panem Krugerem. Byłoby z wielką szkodą dla rządu Jej Królewskiej Mości, gdyby kajzer poznał nasze plany.

Pitt milczał. W wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec gabinecie było wyjątkowo cicho.

Hathaway z uśmiechem oparł głowę o zagłówek krzesła.

- Mamy tutaj do czynienia ze zdradą stanu, panie nadkomisarzu - powiedział odrobinę bardziej emocjonalnym tonem. - Trzeba odłożyć na bok wszelkie względy osobiste i zjednoczyć wysiłki na rzecz zdemaskowania zdrajcy.

- Problem ze zdradą jest taki - odparł Pitt, starannie dobierając słowa - że kiedy wyjdzie na jaw, zabija zaufanie. Podejrzenie może zatem wyrządzić nie mniej szkód niż samo przestępstwo.

- Bardzo przenikliwa uwaga, panie nadkomisarzu. Sugeruje pan, że zdrada została jedynie upozorowana, abyśmy sami pokrzyżowali sobie szyki? Kto miałby tego dokonać?

Pitt pokręcił głową.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie powinniśmy demonizować sytuacji ani wykonywać za szpiega jego pracy, sięjąc bezpodstawne podejrzenia. Ci, którzy mają dostęp do informacji, są nieliczni. Należy ich zidentyfikować.

- Być może nieliczni, ale wysoko postawieni. Thorne, moja skromna osoba, Chancellor. Boże święty, jeśli zdradził sam minister, to gdzie my jesteśmy? Ale przynajmniej wiem, że to nie ja - dokończył z nutką humoru.

- Są inne osoby - zareplikował Pitt. - Na przykład Aylmer, Arundell i Leicester.

- Aylmer? A, tak, prawda, zapomniałem o nim. Człowiek względnie młody, ambitny. Jeszcze nie do końca spełnił

oczekiwania rodziny. To może być dla niego istotny bodziec...

Im więcej mam lat, tym bardziej jestem wdzięczny mojej matce, świętej kobiecie, że chciała dla swoich synów tylko jednego: żeby się szczęśliwie ożenili. Los zechciał sprawić, że zaspokoilem to jej pragnienie w młodym wieku— Uśmiechnął się do tego wspomnienia. - Mam świadomość, że przyszedł pan do mnie po to, aby dokonać oceny mojego charakteru, ale czy poza tym mogę się panu do czegoś przydać?

- Tak, panie Hathaway - odparł Pitt bez wahania. - Jak ustaliłem, wiele dokumentów trafia najpierw do pana, a dopiero później na biurko pana Chancellora.

- Owszem. Aha, domyślam się, co pan proponuje. Mógłbym przekazywać oryginały lordowi Salisbury'emu, natomiast w kopiach przeznaczonych dla Chancellora, Aylmera, Thorne'a, Arundella i Leicestera wprowadzać drobne zmiany, w każdej inne. Zgadłem? - Wysunął dolną wargę. - To wymaga namysłu, ale da się zrobić - dokończył ucieszony, że weźmie udział w tej grze.

- Im szybciej, tym lepiej.

- Naturalnie! - odrzekł Hathaway, który nagle zaczął kipieć energią. - Ale te korekty muszą być bardzo dyskretne. Nie mogą fałszować meritum sprawy. Będę pana na bieżąco informował, panie nadkomisarzu.

Pitt ponownie mu podziękował i wstał do wyjścia, wcale nieprzekonany, czy mądrze postąpił, ale nie widział innego sposobu na przyspieszenie sprawy. Jeszcze nie powiedział o swoim zamiarze Matthew Desmondowi ani Gilesowi Farnsworthowi.

- Co takiego? - przeraził się Farnsworth. - Rany boskie, Pitt, czy pan sobie wyobraża, co się może stać w wyniku tego... tej...

- Nie - odpalił Pitt. - Co się może stać?

Farnsworth spojrzał na niego wielkimi oczami.

- Ministrowie rządu Jej Królewskiej Mości otrzymają fałszywe informacje!
 - Nie, tylko Chancellor.
 - „Tylko” Chancellor? - Farnsworth poczerwieniał na twarzy.
 - Przecież on kieruje polityką kolonialną! Imperium Brytyjskie zajmuje jedną czwartą planety! Czy pan nie rozumie, co to oznacza? Jeśli Chancellor zostanie błędnie poinformowany, to mogą z tego wyniknąć diabli wiedzą jakie nieszczęścia!
 - Myli się pan. Zmiany będą dotyczyły nieistotnych szczegółów. Minister spraw zagranicznych otrzyma od Hathaway'a oryginały. Żadna decyzja nie zostanie podjęta bez udziału któregoś z nich.
 - Być może - odparł Farnsworth z powątpiewającą miną. - Mimo to wykazał się pan sporą dezynwolturą, Pitt. Należało się wcześniej ze mną skonsultować. Wątpię, by premier był zadowolony z pańskiej decyzji.
 - Jeśli nie przyspieszymy biegu wydarzeń, to nie złapiemy szpiega przed podpisaniem traktatu.
- Farnsworth zagryzł wargę i zmarszczył brwi.
- Tak, ale pańskie rozwiązanie mi się nie podoba. Wolałbym, żeby pan się posłużył klasycznymi metodami dochodzeniowymi. Ale nie jest jeszcze za późno, aby naprawił pan swój błąd.
 - Nie jest jeszcze za późno? Nie rozumiem.
 - W pojedynkę wstąpił pan w świat podejrzliwy i niechętnie ustosunkowany do policji. Intruz wśród dyplomatów, polityków, wysokich urzędników...
- Pitt milczał. Zaczynał rozumieć, do czego zmierza Farnsworth, który zniżył głos.
- Są ludzie, którzy mogliby panu pomóc, Pitt. Ludzie, którzy wiedzą więcej, niż pan potrafiłby się dowiedzieć przez rok śledztwa. Już to panu proponowałem, Pitt, i proponuję panu

ponownie...

Farnsworth naciskał go, żeby wstąpił do Wewnętrznego Kręgu, tak jak to uczynił wkrótce po objęciu przez Pitta stanowiska zwolnionego przez Drummonda. Pitt odmówił i miał nadzieję, że oferta nie zostanie ponowiona. Teraz skarcił się za naiwność.

Znowu muszę panu udzielić odmownej odpowiedzi. Z tych samych powodów. Cena pomocy jest zbyt wysoka

- Popełnia pan błąd, Pitt. Nikt nie zażąda od pana czegoś, czego człowiek rozumny i patriota nie zrobiłby z własnej woli.

Zamyka pan sobie drogę do awansu. Przy odpowiednim wsparciu mógłby pan zejść bardzo wysoko. Wszystkie drzwi stałyby przed panem otworem. I zasługuje pan na to!

Dlaczego pan nie widzi, że to jest najwłaściwsze rozwiązanie?

Farnsworth wbił w niego spojrzenie swoich niebieskich oczu i czekał na odpowiedź. Pitt nagle dostrzegł w tym wzroku siłę charakteru i inteligencję, o którą wcześniej nie podejrzewał swojego zwierzchnika. Do tej pory Farnsworth budził w nim lekką pogardę, wynikającą z faktu, że pełnioną funkcję zawdzięczał swojemu pochodzeniu, a nie kompetencjom. Jego brak zrozumienia pewnych problemów i charakterystyczny sposób mówienia brał za oznaki powolności umysłu. Teraz uświadomił sobie, że przyczyna była inna. Farnsworth należał do ludzi, którzy nie potrafili wczuć się w położenie osoby innej płci czy innej klasy społecznej. Brakowało mu wrażliwości i empatii, ale nie inteligencji.

- Faworyzujecie nieliczną grupę osób, która faworyzuje inną grupę i tak dalej - odparł ze szczerością, na jaką nigdy wcześniej sobie nie pozwolił wobec Farnswortha.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie.

Szanuję idealizm, Pitt, ale tylko w rozsądnych granicach powiedział Farnsworth zniecierpliwionym tonem.

- Kiedy zbyt daleko odejdzie od rzeczywistości, staje się wyłącznie balastem. Tak już jest świat urządzony. Jeśli pan tego nie wie, to zadaję sobie pytanie, jakim cudem zaszedł pan tak daleko. Na co dzień ma pan do czynienia z przestępcami, widzi pan to, co jest w człowieku najslabsze i najbrzydsze. Może dlatego jest pan ślepy na szlachetniejsze pobudki i odrzuca pan pomoc ludzi, z którymi mógłby pan coś zrobić dla dobra ludzkości?

Pitt najchętniej by mu odpowiedział, że pobudek, którymi kierują się członkowie Wewnętrznego Kręgu, nie uważa za szlachetne. Pierwotnie może takie były, ale już dawno wyparła je żądza władzy i osobistej chwały. Nie chciał jednak wchodzić w bezpośredni konflikt ze zwierzchnikiem.

- Nie kwestionuję szczytności ich ideałów - powiedział koncyliacyjnym tonem. - I nie wątpię, że wiele osób korzysta na ich działaniach...

Twarz Farnswortha pojaśniała. Chciał przerwać rozmówcy, ale zmusił się do wysłuchania jego wypowiedzi do końca.

- ... ale problem polega na tym, że sami uznają, co jest dla innych dobre, nie pytając ich o zdanie. To odbiera większości z nas prawo decydowania o samych sobie.

- Ależ ja panu proponuję wstąpienie do Kręgu, Pitt!

- A inni? Jaki mają wybór?

- Sugeruje pan, że w dostatecznym stopniu rozumieją zagadnienia polityczne i ekonomiczne, aby umieć zdecydować, co jest mądre, sprawiedliwe i korzystne dla kraju? To niemożliwe, żeby na serio pan coś takiego proponował. Gdyby każdy decydował za siebie, to byłaby anarchia.

- Jest zasadnicza różnica między władzą rządu, który działa jawnie i władzą tajnego stowarzyszenia. Rząd może być represyjny, skorumpowany, niekompetentny, ale przynajmniej wiemy, kto dzierży lejce władzy. Możemy ich w jakiś sposób

rozliczać, buntować się przeciwko nim.

- Wywrotowe słowa, mój drogi...

- Nie mam na myśli obalania rządu - bronił się Pitt, który nie chciał, żeby Farnsworth zepchnął go na radykalne pozycje. - Ale nie widzę nic złego w upadku rządu, który na to zasługuje.

Farnsworth uniósł brwi.

- Zasługuje w czyjej ocenie? Pańskiej?

- W ocenie większości mieszkańców danego kraju.

Sądzi pan, że są zorientowani, mądrzy, pełni dobrej woli, zdyscyplinowani, wykształceni...

- Nie, nie sędzę. Ale nigdy się tacy nie staną, jeśli rządzenie będzie miało charakter tajny. Uważam, że społeczeństwo w większości składa się z uczciwych ludzi, którzy mają prawo do tego, aby nikt zakulisowo nie manipulował ich losem.

- W gruncie rzeczy mamy te same cele, Pitt, różnimy się tylko w kwestii środków - stwierdził z uśmiechem Farnsworth. - Jest pan naiwnym idealistą, oderwanym od rzeczywistości ludzkiej natury, ekonomii i biznesu. Gdyby pan był politykiem, znakomicie sprawdzałby się pan podczas wieców wyborczych, szafując niewykonalnymi obietnicami, ale poniósłby pan klęskę po dojściu do władzy. Splótł dłonie i westchnął z rezygnacją.

- Może ma pan rację, że odrzuca pan moją ofertę. Brakuje panu odwagi i wizji, żeby być członkiem Wewnętrznego Kręgu. Do końca życia pozostanie pan synem gajowego.

Pitt nie miał pewności, czy powinien odebrać to jako obelgę.

Słowa były obraźliwe, ale ton wskazywał raczej na rozczarowanie niż pogardę.

Wstał.

Chyba ma pan rację - odparł, zaskakując samego siebie swoją wyrozumiałością. - Ale proszę nie zapominać, że misją gajowego jest chronić to, co go otacza... Czy nie o tym rozmawialiśmy?

Farnsworth sprawiał wrażenie zdeprymowanego. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale potem się rozmyślił.

- Do widzenia panu, sir - rzucił Pitt od drzwi.

Pitt skupił się na śledztwie w Ministerstwie Kolonii, ale sprawa śmierci Arthura Desmonda ciążyła mu i napełniała go głębokim smutkiem. Dla Matthew i dla niego samego należało za wszelką cenę rozwikłać tę zagadkę.

Na początek postanowił przesłuchać generała Anstruthera.

Znalazł go w czytelnicy jego klubu. Pitt nie był członkiem i nie miał wstępu do tego sanktuarium.

- Byłby pan łaskaw spytać generała Anstruthera, czy zechciałby mi poświęcić kilka chwil? - spytał woźnego, zirytowany faktem, że musi zebrać o spotkanie.

- Przekażę pańską prośbę, sir - odparł woźny z kamienną miną. - Kogo mam zaanonsować?

- Nadkomisarza Pitta z Bow Street.

Zostawiwszy Pitta w westybulu, udał się na piętro z wizytówką na srebrnej tacy.

Generał Anstruther po paru chwilach zszedł na dół, sztywny jak kij, z siwymi bokobrodami obramiającymi różowe policzki.

- Dzień dobru panu. Czym mogę służyć? Sprawa musi być pilna, skoro nachodzi mnie pan w klubie!

- Pilna nie, ale ważna, panie generale. Nie zakłócałbym panu spokoju, gdybym mógł uzyskać potrzebne mi informacje od kogoś innego.

- Pewnie, pewnie... O co chodzi, panie... nadkomisarzu? Ale chyba nie będziemy tutaj stali jak dwaj kamerdynerzy?

Chodźmy do pokoju gościnnego.

Zamaszystym gestem wskazał masywne dębowe drzwi do sali, w której stały wprawdzie wygodne fotele, ale wystrój był dosyć odstręczający. Być może miał przypominać wpuszczanym tam łaskawie cywilom o wojskowych parantelach

członków klubu. Anstruther wskazał Pittowi jeden z foteli, a sam usiadł naprzeciwko niego i założył nogę na nogę.

- Dobrze, panie nadkomisarzu, co panu leży na sercu?

- Sprawa śmierci sir Arthura Desmonda, panie generale -
odparł Pitt, starannie dobierając słowa. - Chciałbym poznać
wszystkie fakty, aby móc odrzucić pewne oskarżenia wysuwane
przeciwko niemu.

- Przez kogo? I jakiego rodzaju?

- Padły sugestie, że sir Arthur nie był w pełni władz
umysłowych. Pojawiły się również pogłoski, że jego śmierć była
efektem samobójstwa lub morderstwa.

Boże przenajświętszy - wykrzyknął przerażony Anstruther. -
Ależ to absolutnie skandaliczne! Kto ośmielił się powiedzieć
coś podobnego? Domagam się odpowiedzi, panie
nadkomisarzu!

- Na razie są to jedynie sugestie - skłamał Pitt - ale jak już
mówiłem, chciałbym mieć możliwość je odrzucić, gdyby nie
ucichły.

To niedorzeczne! Dlaczego ktoś miałby zamordować
Desmonda? Nigdy nie spotkałem porządniejszego człowieka!

- Tak, ale od kilku miesięcy mówiono, że nie jest już sobą -
odparł Pitt z udawaną pewnością siebie.

Miał obawy, że Anstruther poskarży się swoim znajomym i
wiadomość o ich spotkaniu dotrze do Farnswortha. Było już
jednak za późno na cofnięcie tych słów.

- No tak, rozumiem... - Chyba przypomniał sobie, co zeznał
przed sędzią śledczym. - To do pewnego stopnia prawda.

- To dla mnie bardzo istotne. Na ile dziwne było jego
zachowanie? Na rozprawie u sędziego śledczego był pan bardzo
dyskretny, jak przystało na dżentelmena, który publicznie
wypowiada się o swoim przyjacielu. Ale teraz, między nami...

- Cóż, nie bardzo wiem, co panu powiedzieć...

Zeznał pan, że sir Arthur miał zaniki pamięci i chwile zagubienia. Czy mógłby mi pan podać jakieś przykłady? Żebym to ja pamiętał! Człowiek woli zapomnieć o słabościach przyjaciół, panie kolego!

Naprawdę nic pan sobie nie przypomina?

- Powiedzmy, że chodzi o wrażenia, a nie o katalog konkretnych zdarzeń - kluczył Anstruther, najwyraźniej skonfundowany.

Pitt mógłby przysiąc, że jego rozmówca kłamie i że w rzeczywistości niczego takiego nie widział, powtarza tylko podszepty innych członków Wewnętrznego Kręgu.

- Kiedy po raz ostatni widział pan sir Arthura? - spytał przyjaznym tonem.

Nie było sensu robić sobie wroga z tego człowieka, bo wtedy nic by od niego nie wyciągnął.

Anstruther poróżwiał.

- Niech no pomyślę... Przypominam sobie, że jadłem z nim kolację około trzech tygodni przed jego śmiercią. Bardzo się zmienił. Bredził. Powtarzał wciąż te same głupstwa temat Afryki.

- Bredził? Chodzi panu o to, że jego słowa były niespójne i nielogiczne?

- To za dużo powiedziane. Mam na myśli to, że ciągle wracał do tego tematu, chociaż my przeszliśmy do czegoś innego.

- Czyli nudził?

- Można to tak nazwać. Rzucił mnóstwo bezpodstawnych oskarżeń wobec pewnych osób...

- Jest pan pewien, że bezpodstawnych?

- Ależ oczywiście! Mówił o spiskach, planach grabieży Afryki i różnych innych niedorzecznościach.

- Zapomniałem, że jest pan doskonale zorientowany w sprawach związanych z podbojem wojskowym Afryki, panie

generale - odparł Pitt, dbając o to, żeby Anstruther nie dosłuchał się w jego głosie sarkazmu.

Anstruther aż podskoczył.

- Słucham? Ja? Skąd panu to przyszło do głowy, panie nadkomisarzu?

- Właśnie pan powiedział, że wbrew stwierdzeniom sir Arthura nie było żadnego tajnego porozumienia dotyczącego finansowania kolonizacji. Wie pan równie dobrze jak ja, że ludzie, którzy zdobędą koncesje na wydobywanie minerałów, mogą zbić kolosalne fortuny.

Anstruther chciał temu ze złością zaprzeczyć, ale uzmysłowił sobie, że nie posiada żadnych kontrargumentów. Jego reakcja na oskarżenia sir Arthura była zatem czysto emocjonalna. Nie chciał wierzyć w spiski i intrygi, skomplikowana natura życia politycznego go przerastała nie dopuszczał do siebie myśli o korupcji, którą się brzydził.

- Tak samo jak pan mam nadzieję, że słowa sir Arthura były bezpodstawne - podjął Pitt - ale nie widzę powodu do uznania ich za objaw szaleństwa. Bogactwa naturalne Afryki przyciągają nie tylko ludzi uczciwych, ale również awanturników i złodziei. Do sir Arthura dotarły informacje o pewnych skandalach i obawiał się o przyszłość.

Anstruther wziął głęboki wdech. Jeszcze bardziej różowy niż przedtem, poczuł się wzięty w dwa ognie. Z jednej strony winien był lojalność członkom Wewnętrznego Kręgu.

Najwyraźniej uważał, podobnie jak Farnsworth że stowarzyszenie to składa się z inteligentnych i światłych ludzi, którzy chcą wspólnie działać dla dobra kraju. Z racji urodzenia, wychowania i wykonywanego zawodu Anstruther nie był człowiekiem, który sprzeniewierzyłby się obowiązkom wynikającym z lojalności. Całe życie spędzone w wojsku nauczyło go posłuszenie wykonywać rozkazy. Dezercja była dla

niego ciężką zbrodnią, największym grzechem, jaki człowiek może popełnić.

A przecież w tym momencie stanął przed obliczem prawdy, której nie mógł zanegować. Jego poczucie honoru i przyzwoitości znalazło się w konflikcie z przysięgą wierności, którą złożył tajnemu stowarzyszeniu.

Pitt czekał.

Na ulicy zatrzymała się dorożka. Wsiadł z niej mężczyzna w mundurze, zapłacił fiakrowi i ruszył w stronę wejścia do klubu. Czterokonny ekwipaż przejechał żwawym kłusem.

- To, co pan mówi, przypuszczalnie jest prawdą - przyznał niechętnie Anstruther. - Niedorzeczne były nie same oskarżenia o spisek, tylko to, przeciwko komu je kierował. To przekraczało granice rozsądku, panie nadkomisarzu. Chodziło o uczciwych, porządných ludzi, których znam od zawsze, ludzi, którzy służyli swojej ojczyźnie i królowej me domagając się za to szczególnego uznania ani korzyści „Ale mieli tajną i absolutną władzę, która jest najbardziej upajającym wynagrodzeniem”, pomyślał Pitt.

- Słowa sir Arthura z pewnością pana zbulwersowały, panie generale - odparł uprzejmie.

- Jeszcze jak! Lubiłem Desmonda. Porządny chłop. Strasznie smutne, że tak skończył. - Ucieszony, że rozstrzygnął swój dylemat, spojrzał Pittowi prosto w oczy i dodał: - Szczerze współczuję jego rodzinie. Niech pan będzie dyskretny. Ludzie nie muszą wiedzieć tego wszystkiego. Niech to pójdzie w niepamięć. Nikt nie wierzył w głupstwa, które on wygadywał. Pitt wstał.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić trochę czasu, panie generale. Doceniam pańską szczerść, sir.

Anstruther podniósł się z fotela i odprowadził Pitta do drzwi.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. Smutna historia. Do

widzenia, panie nadkomisarzu.

Pitt wyszedł na rozświetloną ulicę i maszerował z lżejszym sercem. Anstruther rozwiał jego obawy: sir Arthur nie był obłąkany, tylko stawiał nieprzyjemne tezy, które wielu osobom się nie podobały. Pitt nie miał jednak żadnych dowodów na potwierdzenie takiej wersji zdarzeń.

Jeszcze tego samego popołudnia udał się do lorda Williama Osborne'a, który przyjął go w swojej rezydencji w Chelsea, niedaleko Tamizy, przy spokojnej ulicy wysadzonej drzewami. Rozmawiali w bibliotece, sali z dębową boazerią i wspaniałym perskim dywanem w kolorze niebieskim. Osborne wybierał się gdzieś na wieczór i najście policjanta wyraźnie było mu nie na rękę.

- Nie wiem, co mogę dla pana zrobić, panie Pitt - powiedział, nie proponując mu nawet, żeby usiadł. - Wszystko, co wiem o tej sprawie, zeznałem przed sędzią śledczym. Żadnych innych informacji nie posiadam, a ponadto nie życzę sobie o tym więcej rozmawiać.

- Zeznał pan pod przysięgą, że sir Arthur wygłaszał ostatnio pewne irracjonalne opinie - nie ustępował Pitt, usiłując zachować spokój w obliczu tego zarozumiałego człowieka, który przypominał mu Eustace'a Marcha. - Mógłby pan sprecyzować, jakie to były opinie?

- Nie chcę ich powtarzać. Były niedorzeczne.

- To bardzo ważne, żebym je poznał.

- Dlaczego? Ten człowiek nie żyje.

- A ponieważ nie żyje, nie może odwołać swoich słów.

Wszystko wskazuje na to, że oczernił pewnych uczciwych i przyzwoitych dżentelmenów, którzy wolą zachować anonimowość. Pan wie, kogo mam na myśli... Pan Farnsworth - wypowiedział to nazwisko z naciskiem - wolałby, żeby z ich nazwiskami nie wiązano żadnych plotek...

Pozwolił wybrzmieć tym słowom. Osborne wbił w niego twarde spojrzenie swoich szarych oczu.

- Czemu od razu pan tego nie powiedział, panie nadkomisarzu? Po co to owijanie w bawełnę?

Osborne doskonale zrozumiał aluzję i uwierzył w kłamstwo Pitta. Sądził, że chodzi o kogoś z członków Wewnętrznego Kręgu.

- Jestem człowiekiem z natury ostrożnym - odparł Pitt. - To zwyczaj, który trudno w sobie wykorzenić.

- I bywa pożyteczny - przyznał Osborne. - Smutna historia. Ten biedny człowiek miotał oskarżeniami na lewo i prawo. Nic a nic nie znał się na polityce. Nie miał żadnej, jak by to powiedzieć, ogólnej wizji sytuacji. Porządny człowiek, ale zupełnie pozbawiony zmysłu praktycznego. Słowa pocziwego idioty mogą bardziej zaszkodzić niż banda złoczyńców, którzy wiedzą, do czego zmierzają.

Otaksował Pitta podejrzliwym wzrokiem: jego rozmówca nie spełniał kryteriów werbunku stosowanych przez władze Wewnętrznego Kręgu.

- Zgadza się z panem, sir - odparł Pitt. - Pocziwy idiota może być bardzo niebezpieczny, jeśli dać mu do ręki władzę. Często doprowadza innych do upadku, nawet jeśli nie leżało to w jego zamiarach...

Osborne sprawiał wrażenie zaskoczonego. Nie spodziewał się, że Pitt podzieli jego pogląd.

- Czego dokładnie chce się pan dowiedzieć? I kogo mogą oczernić słowa Desmonda?

- Wolałbym nie przytaczać nazwisk. Prawdę powiedziawszy, nie wszystkie znam. Nie wszystko mi powiedziano...

Osborne skinął głową.

- Sir Arthur utrzymywał, że niektórzy nasi znajomi w sekrecie gromadzą środki na sfinansowanie ekspedycji do Afryki

Środkowej, pragnąc zbić fortunę i objąć władzę w tym kraju po jego skolonizowaniu przez Wielką Brytanię. Według Desmonda

- ciągnął wściekłym tonem - osoby te zawarły ze sobą tajny pakt, aby zapewnić sobie monopol na afrykańskie bogactwa.

- Wysuwanie takich zarzutów było nader niepoważnie -

odparł Pitt, chociaż wiedział, że słowa sir Arthura najprawdopodobniej odpowiadają prawdzie. - Bez wątpienia stracił kontakt z rzeczywistością.

- W rzeczy samej. DUBY SMALONE. I jaka nieodpowiedzialność!

Ma pan świadomość, co by było, gdyby mu uwierzono?

- Raczej nie było takiego zagrożenia. Generalnie ludzie nie wierzą w to, w co nie chcą wierzyć.

Osborne zmarszczył brwi, jakby dopatrzył się w tych słowach sarkazmu, ale ze spojrzenia Pitta przebijała niewinna szczerość. Co osobliwe, nadkomisarz nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu swoich kłamstw.

Osborne przełknął ślinę.

- To wszystko, co miałem panu do powiedzenia, Pitt. Nic więcej nie wiem. Nie jestem specjalistą od Afryki.

- Bardzo mi pan pomógł, sir. Jeśli inni również zechcą ze mną współpracować, to przypuszczalnie uda mi się ustalić prawdę. Do widzenia, sir.

Osborne zaczerpnął tchu, jakby chciał coś dodać, ale potem się rozmyślił.

*

Zanim Pitt dotarł do Calverta, trzeciej z osób, które zeznawały przed sędzią śledczym, była już prawie noc. Calvert powtórzył tę samą historię, chaotyczną, złożoną z pogłosek i zasłyszanych oskarżeń wypowiedzianych z oburzeniem i nieznaną afrykańskich realiów, aczkolwiek stwierdził, że Wielka Brytania ma moralne prawo do Czarnego Lądu.

Wszyscy ci ludzie czuli się zatem zdradzeni przez jednego ze

swoich. Arthur Desmond mniej lub bardziej jednoznacznie zarzucił im korupcję, co położyło się cieniem na ich reputacji. Ludzie, którzy nigdy nie domyśliliby się istnienia Wewnętrznego Kręgu, teraz zaczęli zadawać sobie pytania na temat tego stowarzyszenia.

Po całym dniu pracy Pitt był zmęczony, bolały go nogi i plecy i paliło go w gardle. Czuł się taki zdezorientowany, że zapragnął porozmawiać z Micah Drummondem, chyba jedyną osobą, która mogła mu pomóc. Wydłużył krok. Decyzja zapadła: zobaczy się z nim natychmiast.

Farnsworth otwarcie zaproponował mu członkostwo w Kręgu. Stowarzyszenie nie było zatem zarezerwowane dla dżentelmenów. A skoro każdy może zostać członkiem, to również każdy może zostać egzekutorem, na przykład Garçon albo kierownik klubu. Bądź lekarz, którego wezwano.

Zza rogu wyjechała dorożka, ocierając się o trotuar. Pitt zmuszony był odstąpić na bok i wpadł na krępego mężczyznę, który nie patrzył, gdzie idzie.

- Mógłby pan trochę uważać! - złościł się tamten, gromiąc Pitta wzrokiem.

Dzierżył ciężką laskę i tak ją uchwycił, jakby miał zamiar posłużyć się nią w celach zaczepnych.

- Gdyby pan patrzył przed siebie, nie wpadłbym na pana - zripostował Pitt.

- Co takiego? Gbur jeden! - Mężczyzna groźnym gestem uniósł laskę. - Jak pan śmie tak do mnie mówić! Wezwę policję! I ostrzegam, że będę umiał posłużyć się laską, jeśli mnie pan do tego zmusi!

- Ja jestem policją. Jeśli pan podniesie na mnie ten patyk, aresztuję pana i oskarżę o napaść - oznajmił Pitt, po czym szybkim krokiem oddalił się od osłupiałego przechodnia.

Czy posunął się za daleko z Osborne'em? Jego rozmówca był

wysoko postawiony w hierarchii Kręgu i zapewne wiedział, kto jest jego członkiem, a kto nie. Podczas wcześniejszych śledztw Pitt zaprowadził kilku ważnych przedstawicieli tej organizacji przed oblicze sprawiedliwości. Naiwnością byłoby sądzić, że Krąg o nim zapomniał. Skoro zamordowali Arthura Desmonda, to dlaczego nie mieliby wyeliminować również i jego? Szybkie popchnięcie pod koła pojazdu. Tragiczny wypadek drogowy, taki jak kilka dni wcześniej z Matthew.

To absurdalne, skarcił się Pitt. Trzeba ściągnąć wodze wyobraźni. Wszędzie widział wrogów. Z trzech milionów mieszkańców Londynu trzy tysiące należały do Wewnętrznego Kręgu. Szkopuł w tym, że nie wiedział którzy.

W końcu postanowił wziąć dorożkę, podał fiakrowi adres Micah Drummonda, usiadł wygodnie i spróbował uporządkować myśli. Zapytał swojego poprzednika, czy zna liczbę członków tajnego stowarzyszenia. Pożałował, że nie poszedł do niego zaraz po powzięciu wiadomości o śmierci sir Arthura. Micah Drummond był członkiem Kręgu przez wiele lat, zanim zdał sobie sprawę ze swojej naiwności. Z pewnością mógł mu powiedzieć ciekawe rzeczy na temat sposobu funkcjonowania tej organizacji. Nawet gdyby mu nie zaproponował żadnych konkretnych rozwiązań, Pitt czułby się mniej samotny po rozmowie z nim.

Dorożka stanęła. Pitt zapłacił fiakrowi z uczuciem bliskim uniesienia. Potem zobaczył, że w domu nie palą się światła. Drummond i jego małżonka Eleanor mogli gdzieś wyjść na wieczór, ale wtedy służba zostawiłaby zapalone lampy na zewnątrz. To niemożliwe, żeby o tej porze już spali! A zatem jakiś dłuższy wyjazd. Ogarnęło go rozczarowanie.

- Nie był pan umówiony, sir? - zapytał fiakier, który zauważył, że światła są zgaszone. - Zawieść gdzieś pana?

Pitt skinął głową, podał swój adres i wsiadł z powrotem do

dorożki.

Następnego dnia rano Pitt nie poszedł na Bow Street, tylko udał się prosto do Morton Club na rozmowę z Horace'em Guylem, Garçonem, który zeznawał przed sędzią śledczym. Zjawił się zbyt wcześnie i klub był jeszcze zamknięty. Sprzątaczkę musiały wytrzepać dywany, odkurzyć meble i wypolerować mosiądz. Pitt skarcił się za bezmyślność. Wpuszczono go dopiero po godzinie, a potem musiał czekać kolejne trzydzieści minut, zanim Guylem uzyskał zgodę na przerwanie pracy.

- Tak, sir? - powiedział Garçon zaniepokojonym tonem.

Znajdowali się w małym pomieszczeniu przeznaczonym dla Garçonów.

Dzień dobry, panie Guylem. Czy zechciałby pan porozmawiać ze mną o dniu, w którym zmarł sir Arthur Desmond?

Guylem miał zmartwioną minę, ale nie z powodu nieczystego sumienia, uznał Pitt, tylko dlatego, że wspomnienie to nie było dla niego przyjemne.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć, sir - odparł, przestępując z nogi na nogę. - Wszystko, co wiedziałem, zeznałem sędziemu śledczemu.

Jeśli należy do Wewnętrznego Kręgu, to jest wytrawnym aktorem, pomyślał Pitt. A może egzekutor posłużył się nim jako nieświadomym narzędziem?

- Mówił pan o tym, o co był pan pytany, a ja mam kilka pytań, których sędzia panu nie zadał. Czy był pan jedynym Garçonem, który obsługiwał dżentelmenów tego dnia?

- Nie, sir. Zawsze jest nas dwóch albo trzech.

- Zawsze? A jeśli któryś z was zachoruje?

- Wtedy zatrudnia się dodatkowy personel. To się często zdarza. Tak było tego dnia. Ale to ja obsługiwałem pokój, w którym siedział sir Arthur.

- Jest pan pewien? Nikt inny tam nie chodził? Na przykład ktoś z dodatkowych?

Guyler wyczuł zainteresowanie, które przebijało z głosu policjanta.

- Nie mógłbym przysiąc, sir.

- Dlaczego?

- Nie widzę, co robią inni, kiedy realizuję zamówienie.

Panowie ciągle się przemieszczają, chodzą do toalety, do sali bilardowej, do czytelnicy, do saloniku...

- Sir Arthur gdzieś wychodził?

- Nie przypominam sobie, ale przysiąc nie mogę.

- Powiedział pan sędziemu śledczemu, że sir Arthur wypił tego dnia kilka kieliszków brandy...

- Tak, sir. Moim zdaniem pięć albo sześć. Ale to jest tylko przypuszczenie.

- Przypuszczenie? - zdziwił się Pitt. - Przecież zeznał pan...

- Tak, zeznałem, że wypił pięć albo sześć, bo do tego, co sam podałem, doliczyłem to, co powiedzieli mi ludzie...

- Ludzie? Jacy ludzie? Ile kieliszków podał pan osobiście, panie Guyler?

- Ja? Jeden. Jeden kieliszek późnym popołudniem. Chyba ostatni. Ale przysięgam, sir, że nie wlałem tam nic oprócz naszej najlepszej brandy!

- Ja tego nie kwestionuję, panie Guyler, bez obawy. A teraz proszę mi powiedzieć o tych czterech czy pięciu kieliszkach. Skoro pan ich nie podał, to co skłania pana do przekonania, że sir Arthur je wypił?

- No, na przykład sir James Duncansby mi powiedział, że sir Arthur życzy sobie brandy, więc nalałem, a on zaniósł...

- To jeden. A reszta?

- Pan William Rodway poprosił o drugi kieliszek, bo pierwszy zostawił sir Arthurowi.

- To dwa. Dalej?

- Pan Jenkinson powiedział, że postawi brandy sir Arthurowi i wzięł dwie, jedną dla siebie, jedną dla niego.

- Mamy trzy. Brakuje jeszcze jednej albo dwóch.

- Słabo sobie przypominam, sir - odparł Guyler z nieszczęśliwą miną. - Chyba słyszałem, jak generał Allsop powiedział, że sir Arthur zamówił jeden albo dwa kieliszki u któregoś z innych Garçonów.

Pittowi zrobiło się źlej na sercu. Horace Guyler podał sir Arthurowi tylko jeden kieliszek alkoholu! Wszystko inne to pogłoski. Te kieliszki przypuszczalnie w ogóle do niego nie dotarły!

Wniosek mógł być tylko jeden: zawiązano spisek i sir Arthur został zamordowany, tak jak sądził Matthew. Pitt pomyślał, że gdyby bywał w Brackley, być może sir Arthur zdradziłby się przed nim ze swoimi obawami. Pitt mógłby go ostrzec, doradzić mu coś i Arthur Desmond nadal by żył.

Pitt podziękował Guylerowi i wyszedł z klubu.

Doktor Murray nie był łatwym człowiekiem. Aby z nim porozmawiać, Pitt musiał się z nim umówić na płatną konsultację w jego gabinecie przy Wimpole Street. Murray nie był zachwycony, kiedy się zorientował, że cel wizyty nie ma charakteru medycznego. Gabinet był urządony luksusowo, ale dosyć ponuro. Grube zasłony tłumiły uliczne odgłosy. Pitt zadał sobie pytanie, co przyciągnęło Arthura Desmonda do tego człowieka i od jak dawna się u niego leczył.

Usadowiony za wielkim biurkiem Murray patrzył na niego nieufnie.

- Jakim prawem przychodzi pan do mnie wypytywać o śmierć jednego z moich pacjentów, która była wynikiem nieszczęśliwego wypadku? Sędzia śledczy zamknął sprawę. Nie widzę powodu, by do niej wracać.

Jeśli Murray należał do Kręgu, jak podejrzewał Pitt, to zastosowanie tego samego podstępu, co z Osborne'em, nie przyniosłoby skutku. Murray nie dałby się oszukać, bo prawdopodobnie stał znacznie wyżej w hierarchii stowarzyszenia i wiedział, że Pitt miał do czynienia z Wewnętrznym Kręgiem i ostatecznie odrzucił propozycję wstąpienia do niego. Czy Murray jest egzekutorem? Stanowczo odsunął od siebie tę myśl.

Chciał powiedzieć, że sędzia śledczy zrewidował swoje wnioski, ale w końcu się na to nie odważył. Sędzia również mógł być członkiem Kręgu. Dotyczyło to zresztą wszystkich, nawet ludzi z jego komisariatu, tylko Tellman pozostawał dla niego poza obszarem podejrzeń: był za bardzo zbuntowany przeciwko możnym, żeby służyć ich sprawie. Ale może Pitt się mylił.

- Jestem przyjacielem sir Matthew Desmonda - zaczął.

Przynajmniej w tym nie musiał kłamać. - Poprosił mnie o kontynuowanie śledztwa. W tej chwili jest niedysponowany, został ranny w wypadku drogowym.

- Tak mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Na szczęście nie, ale wyglądało to groźnie. Mógł nawet zginąć.

- Niestety takie rzeczy często się zdarzają.

Czy to była zawołowana groźba czy tylko zwykłe stwierdzenie faktu?

- Czego konkretnie chce się pan dowiedzieć, panie Pitt? - spytał Murray z dłońmi splecionymi na brzuchu.

- Skoro jest pan przyjacielem Matthew Desmonda, to niech pan go przekona, że śmierć jego ojca była dla niego wybawieniem, ponieważ w chwilach jasności umysłu bardzo cierpiał. Nie jest to przyjemna konstatacja, ale na dłuższą metę mniej szkodliwa niż walka z prawdą. - Na jego twarzy zaigrał

przelotny uśmiezek. - Ludzie dobrej woli, których jest wielu, chcą zachować sir Arthura w pamięci takim, jakim był jeszcze kilka miesięcy temu.

Czy „ludzie dobrej woli” to członkowie Wewnętrznego Kręgu i słowa Murraya należy potraktować jako ostrzeżenie? A może Pitt zaczyna popadać w manię prześladowczą i wszędzie dopatruje się spisków?

- Aby go przekonać, musiałbym dysponować dodatkowymi informacjami - odparł. - Na przykład, czy przepisywał pan wcześniej laudanum sir Arthurowi?

- Nie, to był pierwszy raz. Wyjaśniłem mu działanie tego leku i związane z nim zagrożenia. Powiedziałem mu, kiedy i jak ma go zażywać, określiłem dawkę wystarczającą do sprowadzenia spokojnego snu.

- Oczywiście, ale w jego stanie... Bo przecież znajdował się w stanie zaawansowanego zniedołężnienia umysłowego, prawda? Głosił irracjonalne i niespójne tezy...

- Nie w moim towarzystwie, ale słyszałem, że trawiły go dziwne obsesje. Tak, rozumiem, do czego pan zmierza, panie Pitt. Mógł zapomnieć o moich zaleceniach i zażyć śmiertelną dawkę sądząc, że bierze ilość potrzebną do wywołania popołudniowej drzemki. Nie wiemy, co się działo w głowie tego biednego człowieka.

- W jakiej postaci przepisał pan laudanum?

- W proszku. To najczęstszy sposób. Każda doza jest w osobnej papierowej torebeczce, a zatem pacjent nie może przedawkować, chyba że przez roztargnienie zażyje drugą porcję.

Pitt pomyślał, że do jednej z torebek Murray mógł wsypać więcej proszku.

- Kiedy sir Arthur zgłosił się do pana?

- Po raz pierwszy przyszedł do mnie jesienią tysiąc osiemset

osiemdziesiątego siódmego roku w związku z przekrwieniem płuc. Ale jeśli ma pan na myśli ostatnią wizytę, to... proszę chwilę zaczekać. - Przekartkował notatnik z kalendarzem wizyt.

- Dwudziestego siódmego kwietnia o szesnastej czterdzieści.

Przebywał u mnie około pół godziny. Muszę powiedzieć, że był mocno wzburzony. Usiłowałem go uspokoić, ale tego dnia przekraczało to moje możliwości. Pochlebiam sobie, że żaden z moich kolegów nie byłby w stanie mu pomóc.

- Czy pan sam przygotował laudanum, panie doktorze?

- Nie, nie trzymam u siebie leków, które przepisuję pacjentom. Dałem mu receptę, z którą, jak tu się, udał się do apteki. Zawsze polecam pana Porteousa z Jermyn Street. Znakomity farmaceuta, kompetentny i sumienny. Z powodów, które pan wymienił, zawsze dbam, żeby laudanum było precyzyjnie odmierzone i każda dawka osobno zapakowana. Sir Arthur często korzystał z usług pana Porteousa i był z nich zadowolony.

- Rozumiem. Bardzo panu dziękuję, panie doktorze. Pańska pomoc była dla mnie niezwykle cenna.

Z gabinetu Murraya udał się prosto na Jermyn Street.

- Sir Arthur Desmond? - powtórzył aptekarz, starszy pan, który sprawiał pocziwe wrażenie. - Przemięły człowiek.

Wiadomość o jego śmierci bardzo mnie zasmuciła. Czym mogę panu służyć, sir? Mam wszystko, czego może potrzebować ludzki organizm. Przychodzi pan od lekarza czy życzy pan sobie, abym coś panu doradził?

- Dziękuję, nie jestem chory - odparł z uśmiechem Pitt. -

Chciałbym się odwołać nie do pańskiej wiedzy farmaceutycznej, lecz do pańskiej pamięci. Kiedy po raz ostatni widział pan sir Arthura?

- Sir Arthura? Dlaczego zadaje mi pan to pytanie, młody człowieku? - dociekał pan Porteous z ciekawością, ale życzliwie.

- Nurtują mnie okoliczności jego śmierci - odparł Pitt nieco speszonym tonem.

- Mnie również. Gdyby jak zwykle przyszedł z receptą do mnie, otrzymałby laudanum w małych osobnych dawkach, jakie zawsze przygotowuję dla moich klientów i ta tragedia by się nie wydarzyła.

- Jak to, nie przyszedł do pana? - zdumiał się Pitt. - Jest pan pewien?

Aptekarz uniósł brwi.

- Oczywiście, że jestem pewien, młody człowieku. Tylko ja stoję za tym kontuarem, a sir Arthura ostatnio nie obsługiwałem. Nie widziałem go od zimy, bodajże od stycznia. Przeziębził się i dałem mu zioła do robienia naparów.

Rozmawialiśmy o psach. Bardzo dobrze to pamiętam.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie Porteous. Do widzenia panu.

- Do widzenia, młody człowieku. Na pana miejscu bym tak nie biegał. To źle robi na trawienie.

Powiedział to jednak do pleców Pitta, który po chwili zmierzał już w stronę Regent Street. Gdzie zatem sir Arthur zdobył laudanum? W innej aptece?

Może Matthew to wie. Nazwisko farmaceuty często jest wypisane na saszetkach. Pełni to funkcję reklamową, a ponadto pozwala ustalić osobę odpowiedzialną za wydanie leku. Pitt zatrzymał dorożkę i kazał się zawieść pod mieszkanie Matthew.

- Co się stało? - spytał Matthew, który siedział za biurkiem w małym pomieszczeniu, które służyło mu za jadalnię i gabinet. Nie przebrał się jeszcze ze szlafroka. Wciąż był blady i miał podsiniaczone oczy.

- Zle wyglądasz - powiedział Pitt zatroskanym tonem. - Może nie powinieneś jeszcze wstawać z łóżka?

- Trochę boli mnie głowa i nic więcej - odparł Matthew i

machnął bagatelizująco ręką. - Jakie masz nowiny?

- Stawianie twojemu ojcu zarzuty nieracjonalnych zachowań opierają się na pogłoskach lub wynikają z faktu, że głosił niewygodne dla innych poglądy na temat Afryki.

- Mówiłem ci! - triumfował Matthew. Po raz pierwszy od momentu, gdy przyszedł do domu Pitta z wiadomością o śmierci swego ojca, miał prawie szczęśliwą minę. - Wiedziałem, że ojciec nie był zramolały. Doskonale wiedział, co mówi. Czego się jeszcze dowiedziałeś? Ta historia z przedawkowaniem laudanum nie trzyma się kupy! Mam nadzieję, że zebrałeś już na to dowody. - Zreflektował się.

- Przepraszam cię, Thomasie, oczekuję od ciebie cudów.

Doskonale się spisałeś. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Wyobraź sobie, że Garçon, który zeznawał przed sędzią śledczym, osobiście podał twojemu ojcu tylko jeden kieliszek brandy...

Zrelacjonował mu opowieść Gulyera.

- Rozumiem - mruknął Matthew. - Rany boskie, to przerażające! Wewnętrzny Krąg jest wszędzie. Ale chyba nie wszyscy twoi rozmówcy do niego należą?

- Nie wiem - przyznał Pitt. - Sądzę, że w razie potrzeby wszystkich można szybko zmobilizować. A to była dla nich sytuacja awaryjna. W końcu sir Arthur złamał przysięgę milczenia i oskarżał ich o oszustwa, a nawet zdradę stanu. - Matthew przysłuchiwał się temu z zamyśloną miną. - Byłem u doktora Murraya. Twierdzi, że polecił twojemu ojcu, aby wykupił przepisane laudanum na Jermyn Street, ale tamtejszy aptekarz utrzymuje, że nie widział twojego ojca od kilku miesięcy. Masz jakiś pomysł, gdzie sir Arthur mógł zdobyć ten lek?

- Sądzisz, że jakiś aptekarz należący do Wewnętrznego Kręgu celowo zmienił dawkę? To przerażające, ale możliwe. Trzeba

znaleźć saszetki. Powinny być u ojca. Chodźmy ich poszukać.

Pitt wstał.

- Miał je tylko przez dwa albo trzy dni. Z wizytą u Murraya był dwudziestego siódmego kwietnia.

Matthew zmarszczył brwi.

- Dwudziestego siódmego? Jesteś pewien? Niestety, nic mi o tym nie mówił... Ale to niemożliwe, bo dwudziestego siódmego po południu pojechaliśmy do Brighton!

- O której godzinie?

- Koło wpół do trzeciej.

- A o której wróciliście?

- Nie wróciliśmy. Zjedliśmy tam kolację i wróciliśmy następnego dnia.

- Murray twierdzi, że przyjął twojego ojca dwudziestego siódmego o wpół do piątej. Jesteś pewien, że nie pojechaliście do Brighton dzień wcześniej albo później?

- Absolutnie pewien. Dwudziestego siódmego wypadają urodziny cioci Mary. Co roku obchodzimy je w Brighton.

- W takim razie Murray skłamał...

- Może pomylił datę.

- Nie. Na moich oczach sprawdził w notesie.

- Czyli skłamał - potwierdził Matthew posmutniałym tonem. - Skąd zatem się wzięło laudanum?

- Diabli wiedzą... Ktoś w klubie... ktoś, kto mu przyniósł niezamówioną brandy.

Matthew przełknął ślinę i nic nie powiedział.

Pitt znowu usiadł z bijącym sercem. Spojrzał na przyjaciela i odgadł, że obaj czują to samo.

Rozdział ósmy

Wrażenie głuchego łomotania w głowie wyrwało Pitta ze snu.

Otworzył oczy. Przez szparę między zasłonami wpadało słońce.

Charlotte spała zwinięta w kłębek, z rozpuszczonymi na noc

włosami, snującymi się po poduszce.

Głuche odgłosy nie ustawały. Na ulicy było cicho. Pitt przekręcił się na drugi bok i spojrzał na zegar, który stał na nocnym stoliku: za dziesięć piąta.

Łomotanie, coraz głośniejsze, dochodziło z parteru. Ktoś walił do drzwi. Pitt usiadł na skraju łóżka, przeczesał palcami włosy, włożył kamizelkę na nocną koszulę i podszedł do okna. Charlotte drgnęła, ale się nie obudziła.

Podniósł górną połówkę okna i wyjrzał na dwór. Łomot ustał. Jakiś człowiek cofnął się od drzwi wejściowych i zadarł głowę do góry. To był Tellman, bez melonika, rozchełstany i wyraźnie wzburzony.

Pitt dał mu znak, że schodzi na dół. Po cichu spuścił okno, na palcach przemierzył sypialnię, zszedł do westybulu i otworzył drzwi.

Tellman wyglądał okropnie. W porannym świetle sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wycieńczonego niż zwykle.

- Stało się coś strasznego - powiedział bez żadnych wstępów. - Musi się pan tym zająć. Jeszcze nikomu o tym nie mówiłem, ale pan Farnsworth wpadnie w roztrzęsienie, jak się dowie.

- Niech pan wejdzie - powiedział Pitt, odstępując do tyłu. - O co chodzi?

Tellman pozostał w progu. Był taki blady, jakby miał za chwilę zemdleć. Zaniepokoiło to Pitta, który nie wiedział, że jego podwładny jest taki wrażliwy.

- Pani Chancellor, sir... Właśnie znaleźliśmy jej ciało.

Pitt osłupiał.

- Jej ciało? - wydusił z najwyższym trudem.

- Tak, sir. Wyrzucone na brzeg Tamizy u stóp Tower.

- Samobójstwo?

Tellman zadrżał, mimo że dzień był ciepły.

- Nie, morderstwo. Udużono ją, a potem wrzucono do wody.

Na oko wczoraj wieczorem. Z potwierdzeniem trzeba będzie zaczekać na wyniki sekcji.

Pitta ogarnął smutek. Przypomniał sobie przyjęcie u księżnej Marlborough. Kobieta pełna życia, a jednocześnie taka krucha...

- Ale dlaczego? Kto życzyłby sobie śmierci takiej kobiety? To nie ma sensu!

- Ta historia z dokumentami wyciekającymi z Ministerstwa Kolonii... - zasugerował Tellman. - Może coś wiedziała...

Pitt uderzył pięścią we framugę drzwi i zaklął.

- Lepiej niech się pan ubierze, sir. Na razie nikt o tym nie wie, oprócz flisaków, którzy ją znaleźli i policjanta, który mi to zgłosił. Ale nie uda nam się długo zachować tego w tajemnicy. Wie pan, jak to jest, można sobie żądać dyskrecji, ale sprawa szybko się rozejdzie.

- Oni znają jej tożsamość?

- Tak, sir, dlatego mnie wezwali.

- Ale jak ją rozpoznali?

- Miała na szyi medalion z portretem swego męża. Konstabl natychmiast do mnie zadzwonił, bo wiedział, że sprawa jest delikatna.

- Rozumiem. Gdzie są teraz zwłoki?

- Na miejscu zdarzenia, sir. Kazałem je przykryć tam, gdzie je znaleziono.

- Zaraz przyjdę. Niech pan na mnie zaczeka.

Poszedł na górę, zdjął nocną koszulę i zgromadził ubranie.

Nie miał czasu się ogolić. Nalał zimnej wody do miednicy i ochlapał sobie twarz. Charlotte smacznie spała. Budzenie jej było okrucieństwem, ale musiał jej powiedzieć, dokąd idzie.

Delikatnie pogłaskał ją w nagie ramię. Otworzyła oczy, zobaczyła go ubranego i usiadła na łóżku.

- Co się stało?

- Na brzegu Tamizy znaleziono zwłoki Susannah Chancellor.

Muszę tam iść.

Patrzyła na niego zdezorientowanym wzrokiem.

- Odebrała sobie życie? Biedne stworzenie... Myślałam...

- Nie, zamordowano ją.

Zgroza mieszała się w jej oczach z ulgą.

- Dlaczego pomyślałaś, że popełniła samobójstwo?

- Nie wiem... Sprawiała wrażenie takiej zagubionej...

- Według Tellmana nie ma żadnych wątpliwości.

- W jaki sposób zginęła?

- Nie wiem - skłamał, głaskając ją w policzek.

- Thomasie! Tellman musiał ci to powiedzieć, skoro według niego „nie ma żadnych wątpliwości”.

- Udużono ją. Co za tragedia. Tellman czeka na mnie na dole.

Kilka minut później dwaj policjanci zatrzymali dorożkę.

Tellman polecił fiakrowi, by zawiózł ich pod Tower. Jazda z Bloomsbury była długa. Najpierw jechali na południe, potem skręcili na wschód w Oxford Street, potem w High Holborn i pół kilometra dalej w prawo, by zmierzać w stronę Tamizy wzdłuż St. Andrews Street, Shoe Lane i St. Bride's aż po Ludgate Circus.

Tellman milczał, patrząc prosto przed siebie. Nie należał do ludzi, którzy lubią dzielić się z innymi swoimi myślami. Pitt kilkakrotnie zamierzał coś do niego zagaić, ale nie umiał znaleźć pytań, które mógłby mu zadać. Tellman powiedział mu już wszystko, co wiedział. Poza tym Pitt nie miał pewności, czy chce poznać pogląd swego podwładnego na temat Susannah Chancellor, której inteligentna i wrażliwa twarz wyryła się w jego pamięci. Wiedział z doświadczenia, co zobaczy nad brzegiem Tamizy.

Skręcili w Ludgate Hill i objechali cmentarz św. Pawła w

cieniu potężnej katedry. Ciemna kopuła odcinała się od powoli jaśniejącego nieba, obsypanego strzępami chmur. Ulice były prawie puste. Na całej długości Canon Street minęli zaledwie kilka dorożek, dwa beczkowsy i szambowóz. Skręcili w East Cheap, a potem w Great Tower Street.

Tellman pochylił się i zastukał w dach kabiny, żeby zwrócić na siebie uwagę fiakra. - Niech pan skręci w Water Street i jedzie nią aż do Lower Thames Street!

- Tam nic nie ma prócz Queen's Stairs i Traitors' Bridge! - odparł dorożkarz. - Jak chcecie do Tower, to lepiej wam będzie wysiąść na Trinity Square.

- Niech pan nas zawiezie do Queen's Stairs i o nic nie pyta - polecił sucho Tellman.

Fiakier posłuchał, mrużąc coś pod nosem.

Koło Custom House byli już przechodnie. Dorożka skręciła w prawo i znalazła się przed olbrzymią średniowieczną twierdzą Tower, w której kiedyś odbywały się krwawe egzekucje.

Dwaj pasażerowie wysiedli na wysokości Queen's Stairs. Była za dwie szósta. Barki towarowe sunęły po gładkiej wodzie.

Wilgotne powietrze pachniało morską solą.

Tellman zaprowadził Pitta do schodów, u których stóp czekała niewielka łódź. Flisak spojrział na nich z kamienną miną i tak ustawił łódź, żeby mogli wsiąść.

Pitt rzucił Tellmanowi pytające spojrzenie.

- Traitors' Gate - wyjaśnił lakonicznie Tellman i usadowił się w łodzi.

Widać było po nim, że nie czuje się dobrze na wodzie. Pitt również wsiadł i podziękował flisakowi, kiedy oddalali się od brzegu.

- Znalaziono ją koło Traitors' Gate? - spytał.

- Przyływ ją tam wyrzucił - odparł Tellman.

Mieli do pokonania tylko kilkadziesiąt metrów.

Pitt z daleka zobaczył grupkę zgromadzonych tam ludzi: policjanta w mundurze, któremu najwyraźniej było zimno, strażnika z Tower w tradycyjnej szkarłatnej tunice i dwóch innych flisaków.

Pitt zeskoczył na brzeg, o mało nie zmoczywszy sobie butów na ścieżce holowniczej. Susannah Chancellor leżała tam, gdzie wyrzucił ją przypływ, z twarzą na kamiennym podłożu i stopami w wodzie. Biała dłoń wystawała z rękawa sukni. Spinki powypadały z włosów, które mierzwiły się wokół szyi niby wodorosty.

Konstabl, który pełnił straż przy zwłokach, rozpoznał Pitta i odstał o krok do tyłu.

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry - odparł Pitt, który nie przypominał sobie nazwiska funkcjonariusza. - Kiedy ją znaleziono?

- Koło wpół do czwartej. Przypływ zaczął się cofać koło trzeciej, według tego, co mówi ten pan - wskazał na jednego z flisaków. - Musiał być pierwszym, który płynął po tej stronie rzeki. Biedna kobieta... Uduszona, to pewne.

Konstabl wyglądał na dwadzieścia parę lat. Był blady i poruszony. Codziennie patrolował brzegi Tamizy i nie były to pierwsze zwłoki w jego karierze, ale nigdy wcześniej ofiara nie pochodziła z tak wysokich sfer.

Pitt uklęknął przy ciele. Istotnie zobaczył ślady palców na szyi, ale brak opuchlizny wskazywał, że zgon nastąpił na skutek przetrącenia kręgosłupa, a nie uduszenia. Był to drobny szczegół, ale dzięki temu, że twarz nie uległa zniekształceniu, śmierć Susannah była mniej makabryczna. I przypuszczalnie nastąpiła bardzo szybko.

- Nie tykaliśmy jej, sir - powiedział jeden z flisaków nerwowym tonem. - Znaczą... tylko trochę, żeby się upewnić, że nie żyje. Nie mogliśmy już nic dla niej zrobić.

- Dziękuję - powiedział Pitt nieobecny głosem, nie odrywając wzroku od zmarłej. - Według pana gdzie wrzucono ją do wody, skoro tutaj wypłynęła?

- To zależy, sir. Prądy są kapryśne, zwłaszcza jak rzeka dużo kręci. Topielcy najczęściej najpierw idą na dno, a potem wypływają mniej więcej w tym samym miejscu. Ale jak ją wrzucili przy zmianie pływów, to raczej w górze rzeki - znaczy, jeśli ją wrzucili z łodzi. Jak ją wrzucili z brzegu, to raczej przy przypiływie. Wszystko zależy od godziny i miejsca, gdzie wrzucili ją do wody.

- Czyli wszystko, co wiemy na pewno, to że po zmianie pływów była tutaj?

- Tak jest - potwierdził flisak. - Ciała zostają w wodzie dłużej albo krócej. Zależy, co przepływa i jaki długi kilwater zostawia. Zwłoki mogą o coś uderzyć, są też prądy i wiry. Lekarz pewnie może panu powiedzieć, ile czasu była w wodzie. Wtedy byśmy mniej więcej wiedzieli, gdzie ją wrzucili.

- Dziękuję panu - powiedział Pitt, po czym zwrócił się do Tellmana. - Wezwał pan furgon z prosektorium?

- Tak. Kazałem im czekać na Trinity Square, żeby na razie nie wiedzieli, o kogo chodzi. Wiadomość szybko by się rozeszła. Byłoby straszne dla męża i rodziny, gdyby się dowiedzieli z ulicznych pogłosek.

Pitt wyprostował się z westchnieniem. To na niego spadał obowiązek zawiadomienia ministra.

- Niech tu zejść i zawiozają ją do prosektorium. Muszę jak najszybciej złożyć raport Farnsworthowi.

Tellman po raz ostatni rzucił okiem na Susannah, po czym odwrócił się i wszedł do łodzi. Chwilę później Pitt ruszył po schodach do góry i wolnym krokiem skierował się ku Great Tower Hill. Dorożkę znalazł dopiero na East Cheap. Od północy niebo zaciągało się chmurami. Na ulicach było teraz

więcej ludzi. Młodociany sprzedawca gazet ogłaszał donośnym głosem, że rząd ma jakieś kłopoty. Krzykacz jadł śniadanie przy budce z pasztecikami i studiował wydarzenia dnia, żeby mieć materiał do rymowanych historii, które codziennie deklamował na ulicach. Dwaj mężczyźni wyszli ze sklepu, spierając się ze sobą. Szukali dorożki, ale Pitt ich uprzedził, ku ich niemałej irytacji.

- Berkeley Square - oznajmił fiakrowi.

Siedząc już na ławeczce, zastanowił się, co powie Linusowi Chancellorowi wiedząc, że nie istnieje dobry sposób przekazania takiej wiadomości. Obmyślał pytania, które mógłby zadać, ale potem powiedział sobie, że to nie ma sensu. Zobaczy reakcję ministra i wtedy oceni, czy jest on w stanie odpowiadać na pytania. Ludzie różnie reagują na osobiste tragedie. U niektórych wstrząs jest tak głęboki, że ich zachowanie na pozór nie ulega zmianie. Może upłynąć kilka dni, zanim ból znajdzie swój zewnętrzny wyraz. Inni natychmiast wpadają w histerię, szarpie nimi bezsilny gniew, nie umieją wypowiedzieć ani jednego spójnego zdania.

- Jaki numer, szefie? - zawołał fiakier przez kratkę.

- Chyba 17.

- Berkeley Square 17? Do pana Chancellora?

- Tak.

Dorożkarz chciał coś dorzucić, ale rozmyślił się i zamknął kratkę.

Po chwili Pitt wysiadł, zapłacił za kurs i stanął przed progiem, drżąc z zimna mimo porannego słońca. Minęła siódma. Ze wszystkich okazałych rezydencji przy Berkeley Square wychodziły pokojówki, żeby wytrzepać dywany. Pucybuci rozkładali swoje przyrządy, a doręczyciele prasy dawali gazety pokojówkom, żeby je wyprasowały, zanim zostaną wręczone panom domów do śniadania.

Pitt zadzwonił do drzwi. Prawie natychmiast otworzył mu lokaj, który sprawiał wrażenie zaskoczonego widokiem tak wczesnego gościa.

- Tak, sir? - powiedział uprzejmie.

- Dzień dobry. Nadkomisarz Pitt - przedstawił się, pokazując legitymację służbową. - Muszę się zobaczyć z panem Chancellorem w niecierpiącej zwłoki sprawie. Może mnie pan zaanonsować?

- Tak, sir. Będzie pan łaskaw zaczekać w salonie.

- Mam do przekazania bardzo przykrą wiadomość - dodał

Pitt. - Czy mógłby pan najpierw przysłać do mnie kamerdynera?

Lokaj pobladł.

- Tak, sir, jeśli uważa pan to za konieczne.

- Długo służy u pana Chancellora?

- Około piętnastu lat, sir.

Kamerdyner przyszedł po paru chwilach. Zamknął za sobą drzwi salonu i spojrzał na Pitta z zatroskaną miną.

- Jestem Richards, kamerdyner pana Chancellora, sir. Albert mi powiedział, że stało się coś złego. Czy ktoś z ministerstwa miał... wypadek?

- Nie, Richards, stało się coś znacznie gorszego. Pani Chancellor... nie żyje...

Kamerdyner zachwiał się na nogach. Pitt chwycił go za ramię i doprowadził do najbliższego krzesła.

- Przepraszam, sir - wykrztusił Richards. - Nie wiem, co mnie wzięło... Jest pan pewien, sir, że nie doszło do jakiejś... pomyłki?

Pitt nie odpowiedział na to pytanie.

- Byłoby wskazane, aby przebywał pan w pobliżu z kordialem dla pana Chancellora, kiedy przekażę mu wiadomość. I polecił nie wpuszczać gości, zanim pan minister nie dojdzie do siebie.

- Tak, sir. Naturalnie, sir.

Richards wstał i wciąż chwiejnym krokiem opuścił salon.

Linus Chancellor przyszedł po paru chwilach i z wyczekiwaniem spojrział Pittowi w oczy. Nadkomisarz uświadomił sobie, że gospodarz spodziewa się najświeższych wiadomości na temat śledztwa. W tej chwili Pitt mógłby przysiąc, że Chancellor jest w tej sprawie całkowicie czysty.

- Bardzo mi przykro, sir, ale mam panu do przekazania bardzo smutną wiadomość - powiedział, jeszcze zanim minister zdążył zamknąć drzwi.

- To bardzo miło, że pofatygował się pan do mnie osobiście. A więc o kogo chodzi? Kto jest zdrajcą? Aylmer?

- Nie, sir. Nie przyszedłem panu powiedzieć o śledztwie, tylko o pani Chancellor... Z najgłębszym smutkiem muszę pana poinformować, że pańska małżonka nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzył Chancellor takim tonem, jakby nie rozumiał znaczenia tych słów. - Ależ wczoraj wieczorem była najzupełniej zdrowa! Wyszła... - Wrócił do drzwi. - Richards? Kamerdyner pojawił się natychmiast, niosąc na tacy karafkę brandy i kieliszek. Był blady jak płótno.

Chancellor przenosił spojrzenie między Pittem i Richardsem.

- Widział pan dziś rano panią Chancellor, Richards?

Służący rzucił Pittowi pytające spojrzenie.

- Panie Chancellor, nie ma żadnych wątpliwości - powiedział Pitt. - Znalaziono ją koło Tower.

- Koło Tower?

Na twarzy Chancellora malowało się tak wielkie niedowierzanie, jakby miał za chwilę wybuchnąć śmiechem.

- Niech pan usiądzie, sir - zasugerował Pitt. - Może się panu zrobić słabo.

Kamerdyner podał swemu panu kieliszek brandy. Chancellor wypił duszkiem, po czym zakrztusił się potężnie i upłynęło

kilka chwil, zanim odzyskał mowę.

- Co się stało? - wybełkotał. - Skąd ona się wzięła przy Tower? Pojechała z wizytą do Christabel Thorne. Wiem, że Christabel jest ekscentryczką, ale Tower? W którym miejscu? Przecież o tej porze nie wpuszczono by jej do środka!

- Czy to możliwe, żeby we dwójkę wybrały się na przejażdżkę łodzią? - zapytał Pitt, aczkolwiek byłby to dziwny pomysł. Czy znajdą ciało Christabel na innym odcinku brzegu?

- Łódź zatонуła? - dociekał Chancellor z zamyśloną miną. - Czy pani Thorne tak panu powiedziała?

- Jeszcze nie przesłuchaliśmy pani Thorne. Nie wiedzieliśmy, że były razem. Niestety, to nie był wypadek, sir, tylko morderstwo. Mogę panu natomiast powiedzieć, że nie cierpiała długo.

Chancellor pobladł, a potem poczerwieniał. Z trudem łapał oddech. Kamerdyner nalał mu drugi kieliszek brandy.

Chancellor wypił alkohol i znowu pobladł.

- Gdzie... ją... znaleziono? - wydusił.

- Przy Traitors' Gate. Jest tam pochylnia...

- Tak, tak, znam tę bramę - przerwał mu Chancellor.

Zaczerpnął głęboko tchu. - Dziękuję, że osobiście mnie pan zawiadomił, panie nadkomisarzu. Z pewnością jest to dla pana jeden z najbardziej nieprzyjemnych obowiązków zawodowych. To pan poprowadzi śledztwo, jak sądzę? Jeśli pan pozwoli, chciałbym teraz zostać sam. Richards, proszę poinformować moje biuro, że nie będzie mnie dzisiaj w pracy.

Z domu ministra Pitt udał się pieszo do Jeremiah Thorne'a.

Przebiegł Berkeley Square, przeszedł do końca Mount Street i skręcił w stronę Upper Brook Street. Po dwudziestu minutach zadzwonił do drzwi. Serce mu waliło i miał sucho w ustach, jakby pokonał ten dystans biegiem.

Służący, który mu otworzył, obejrzał jego legitymację

służbową i poprosił go o zaczekanie w bibliotece. Pitt był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodził tam i z powrotem, nasłuchując odgłosu kroków.

Wreszcie w progu salonu pojawiła się Christabel Thorne w jasnoszarym szlafroku. Złość za tak wczesne najście mieszała się na jej twarzy z ciekawością.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu - powitała go chłodnym tonem. - Zaniepokoił pan mojego służącego swoją natarczywością. Mam nadzieję, że sprowadza pana jakąś ważną sprawą. Nie nachodzi się ludzi o takiej pogańskiej godzinie.

- To dla mnie ogromna ulga widzieć panią w dobrym zdrowiu, pani Thorne - odparł Pitt, puszczając mimo uszu jej obcesowość.

Obraz Susannah Chancellor wyciągniętej na brzegu Tamizy nie przestawał go prześladować. Powaga, która przebijała z twarzy policjanta, sprawiła, że gniew Christabel Thorne natychmiast się ulotnił.

- Co się stało, panie Pitt?

- Mam dla pani bardzo smutną wiadomość, pani Thorne.

Pani Susannah Chancellor zmarła dzisiaj w nocy. Jej mąż powiedział mi, że spędziła z nią pani wczorajszy wieczór, więc przyszedłem się upewnić...

- Susannah? Susannah nie żyje? - Odstąpiła o krok do tyłu, potem jeszcze jeden, aż w końcu trafiła na fotel i usiadła. -

Ale... jak to się stało? Skoro obawiał się pan o moje życie, to znaczy, że okoliczności były...

- Tak, pani Thorne, zamordowano ją.

- Jezus Maria!

Ukryła twarz w dłoniach i siedziała bez ruchu.

- Wezwać pokojówkę? - zaproponował Pitt.

- Słucham? A, nie, dziękuję. Moja biedna Susannah. Ale co się stało? Napad rabunkowy?

- Jeszcze tego nie wiemy. Rzeka wyrzuciła ciało na brzeg.

- Chce pan powiedzieć, że utonęła?

- Nie, ma przetrącony kark. Sądzę, że nie cierpiała. Bardzo przykro, że panią zadreżcam, pani Thorne, ale muszę panią zapytać, czy widziała ją pani wczoraj wieczorem, ponieważ uzyskałem informację, że wybierała się do pani.

- Nie byłyśmy umówione - zdziwiła się pani Thorne.

- Jeśli postanowiła mnie odwiedzić, to nie dotarła. Widać zaatakowano ją, zanim... - westchnęła i dodała ze smutnym uśmiechem: - O ile rzeczywiście zamierzała do mnie przyjść. Mogła zmienić plany. Ale to mało prawdopodobne, żeby chodziło o schadzki. Była za bardzo zakochana w swoim mężu.

- Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe?

Wstała, podeszła do okna i kontynuowała, stojąc plecami do Pitta:

- Nic nie jest niemożliwe, panie nadkomisarzu. Człowiek z wiekiem się o tym przekonuje. A pewne zachowania mogą zostać opacznie zinterpretowane.

- Mówi pani ogólnie, czy ma pani na myśli jakieś zachowania pani Chancellor?

- Sama nie wiem... Linus nie jest łatwym człowiekiem. Dowcipny, uroczy, przystojny, ambitny i niezwykle uzdolniony. Zawsze zadawałam sobie pytanie, czy kochają tak bardzo, jak ona jego. Oczywiście ludzie kochają się jednakowo tylko w bajkach. - Ton jej głosu sugerował, że jest jej obojętne, czy Pitt ją rozumie. - Nie wszyscy potrafią dawać innym tak dużo. Z reguły jedna ze stron musi zadowolić się tym, co ma, nie popadając w zgorzknienie. Dotyczy to żon ambitnych i wysoko postawionych mężczyzn. Susannah była dostatecznie inteligentna, aby to wiedzieć, a jednocześnie dostatecznie mądra, aby się nie buntować i nie stracić tego, co dawał jej Linus.

- Uważa pani za niemożliwe, by znalazła sobie przyjaciela, admiratora?

- Nie niemożliwe, ale mało prawdopodobne - powiedziała Christabel i nareszcie się odwróciła. - Bardzo lubiłam Susannah, panie Pitt. Była kobietą inteligentną, odważną i uczciwą. Uwielbiała swego męża, ale miała własne poglądy i nie pozwalała się zdominować. Była bardzo energiczna, lubiła się śmiać...

Jej oczy nabiegły łzami, których w sobie nie tłumiała.

Pitt uznał, że najlepiej będzie zostawić Christabel z jej smutkiem i wyszedł do holu. Zastał tam Jeremiah Thorne'a, który sprawiał wrażenie zaskoczonego i zaniepokojonego jego widokiem.

- Co pan tu robi, do wszystkich diabłów?

- Pani Chancellor została zamordowana - wyjaśnił Pitt bez żadnych wstępów. - Miałem powody sądzić, że pańska małżonka mogła również zostać napadnięta. Na szczęście moje obawy się nie potwierdziły, ale pani Thorne jest wstrząśnięta i potrzebuje wsparcia. Pan Chancellor nie przyjdzie dzisiaj do pracy.

Thorne wytrzeszczył oczy.

- Susannah? Jest pan pewien? Przepraszam za absurdalne pytanie, panie nadkomisarzu. Nie przychodziłby pan tutaj, gdyby pan nie był pewien. Ale co się stało, na litość boską? I dlaczego pan sądził, że Christabel też coś groziło?

- Według pana Chancellora jego małżonka wybierała się tutaj wczoraj wieczorem. Ale najwyraźniej nie dotarła.

- O ile mi wiadomo, nie byliśmy umówieni. Boże, to straszne! Biedna Susannah... Jedna z najwspanialszych kobiet, jakie znałem. Pełna pasji, serdeczności, odwagi. Przepraszam, panie Pitt, pójdę do Christabel. Były ze sobą bardzo zżyte. Proszę przyjść później, jeśli chce nas pan przesłuchać.

Pospieszył do biblioteki, zostawiając Pitta samego w holu. Było jeszcze za wcześnie na wyniki sekcji zwłok, które być może jeszcze nie dotarły do prosektorium. Przede wszystkim należało się dowiedzieć, o której godzinie Susannah wyszła z domu i czy kazała podstawić powóz, a jeśli tak, to gdzie stangret ją wysadził.

Pitt wrócił na Berkeley Square i zastukał do drzwi kuchennych pod numerem siedemnastym. Otworzył mu pucybut, blady i przestraszony.

- Dzisiaj nic nie kupujemy, sir. Niech pan przyjdzie innym razem.

- Nadkomisarz Pitt. Muszę porozmawiać ze służbą.

Na pewno wiesz, co się stało. Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił. Potrzebuję przesłuchać wszystkich.

- Kiedy ja nic nie wiem!

- Nie wiesz, o której godzinie pani Chancellor wyszła z domu wczoraj wieczorem?

- Kto to jest, Tommy? - zawołał jakiś głos za plecami chłopca.

- Policja, George.

W progu stanął mężczyzna z prawą ręką na temblaku i nieufną miną. Pitt pokazał mu legitymację służbową.

- Niech pan wejdzie - ustąpił niechętnie mężczyzna.

- Ale nie wiem, co moglibyśmy panu powiedzieć.

Pucybut odsunął się na bok, żeby wpuścić Pitta. W pomywalni drobna służąca z zaczerwienionymi oczami krzątała się pośród warzyw, garnków i rondli.

- Pan Richards jest zajęty - wyjaśnił mężczyzna, prowadząc Pitta przez kuchnię do pokoju kamerdynera. - Lokaje otwierają drzwi, bo pokojówki są za bardzo roztrzęsione.

- A pan jest kim?

- Stangretem. George Bragg.

- Kiedy to się panu stało? - zapytał Pitt, wskazując na prawe

ramię.

- Sparzyłem się wczoraj wieczorem. To się zagoi.

- Czyli nie zawiózł pan pani Chancellor do miasta?

- Nie, sir, wzięła dorożkę. Pan Chancellor poszedł z nią na postój, bo sam potrzebował powozu na późniejszą godzinę.

- Mają tylko jeden powóz? - zdziwił się Pitt.

Wiedział, że liczba ekwipaży jest wyznacznikiem pozycji społecznej. Niektórzy nawet się zadłużali, żeby móc utrzymać jak największy tabor.

- Och, nie, sir, ale pani Chancellor nie zapowiedziała wcześniej swojego wyjazdu i kareta nie była gotowa, a pan Chancellor potrzebował landa na później. Poza tym pani Chancellor nie jechała daleko. Gdyby to było za dnia, pewnie poszłaby na piechotę.

- Czyli wyszła po zmroku?

- Tak, sir, koło wpół do dziesiątej. Zanosiło się na deszcz. Lily widziała, jak wychodziła. Może panu podać dokładną godzinę, jak się trochę otrząśnie. Była bardzo przywiązana do pani Chancellor i strasznie to przeżywa.

- Byłby pan łaskaw jej poszukać?

George szybko wrócił w towarzystwie około osiemnastoletniej dziewczyny, która miała oczy spuchnięte od płaczu.

- Dzień dobry, Lily - powiedział łagodnie Pitt. - Niech pani siada, proszę.

Lily nie była przyzwyczajona do tego rodzaju próśb i nie zareagowała.

- Siadaj, Lily - powiedział stangret i delikatnie popchnął ją na krzesło.

- George mówi, że widziała pani wczoraj wieczorem, jak pani Chancellor wychodzi. Przypomina sobie pani dokładną godzinę?

Lily chlipnęła.

- Koło wpół do dziesiątej, sir, ale nie jestem pewna. Byłam na półpiętrze, właśnie skończyłam ścielić łóżka, i zobaczyłam, jak pani podchodzi do drzwi. Miała na sobie niebieską pelerynę, którą bardzo lubiła. Widziałam ją. Przysięgam, że to prawda. Znowu zaczęła płakać, cicho i z godnością.

- Zawsze ścieli pani łóżka koło wpół do dziesiątej?

- No... tak, sir...

- Dziękuję, Lily, nie będę pani już więcej dręczył. Aha, jeszcze jedno: czy widziała pani też, jak pan Chancellor wychodził?

- Nie, sir. Musiał już być na zewnątrz.

- Rozumiem. Dziękuję, Lily.

George pomógł jej wstać i odprowadził ją do drzwi.

- Czy chce pan przesłuchać jeszcze kogoś?

- Powiedział pan, że pan Chancellor wyszedł później.

Czy pan go gdzieś zawoził?

- Nie, sir. Akurat się sparzyłem. Pan Chancellor sam powoził landem, które było już zaprzężone. Pan Chancellor jest bardzo dobrym woźnicą.

- Wie pan, o której godzinie wrócił?

- Nie, sir. Ale z tych ministerialnych spotkań często wraca późno, zwłaszcza jak rząd ma problemy. A kiedy ich nie ma?

- Racja. Dziękuję, George, na razie nie mam dalszych pytań.

Chyba że zna pan jakiś szczegół, który mógłby mnie zainteresować.

- Nie, sir. Co za tragedia. Nie rozumiem, jak to się mogło stać

- dokończył stangret, kręcąc ze smutkiem głową.

Pitt opuścił dom ministra i skręcił w Bruton Street, pogrążony w myślach. Susannah powiedziała mężowi, że jedzie do Christabel Thorne, ale najwyraźniej nie miała takiego zamiaru, chyba że napadnięto ją gdzieś na krótkim odcinku między Berkeley Square a domem Thorne'ów.

Dlaczego skłamała? Dokąd pojechała i z kim? Wiedziała, że w

Ministerstwie Kolonii jest zdrajca? Podejrzewała kogoś? Czy to możliwe, że to ona przekazywała informacje, wykradzione od Chancellora? Czy minister przynosił do domu dokumenty i ona miała możliwość je przeczytać? Czy rozmawiał z nią o kwestiach politycznych i gospodarczych, zważywszy że pochodziła z bankierskiej rodziny? Czy poprzedniego wieczoru jechała do ambasady niemieckiej? W takim razie kto stanął jej na drodze? Kto na nią napadł między Berkeley Square i Upper Brook Street?

A może chodziło o rzecz bardziej banalną, a mianowicie o miłosną schadzkę? Christabel Thorne wątpiła w to, ale nie wykluczyła takiej możliwości. Czy Peter Kreisler był kochankiem Susannah?

Dlaczego fiaker nie zgłosił się na policję? Na pewno to zrobi, kiedy wiadomość o znalezieniu ciała rozejdzie się po stolicy. Za parę godzin ukazą się pierwsze popołudniówki.

Przez głowę Pitta przemknęła kolejna myśl: czy *Wewnętrzny Krąg* jest odpowiedzialny za śmierć Susannah? Zona ministra kolonii kilkakrotnie wyraziła swoją sympatię do sir Arthura Desmonda. Czyżby miała jakieś informacje na temat jego śmierci? Czy właśnie to tak jej ciążyło? Czy żywiła jakieś podejrzenia co do sprawcy? Ale o kogo mogło chodzić? O Chancellora? Pitt był gotów przysiąc, że minister nie należy do tajnego stowarzyszenia. Jeremia Thorne? Susannah była zażyłą przyjaciółką Christabel. Gdyby rzeczywiście nabrała takich podejrzeń, tłumaczyłoby to jej nie najlepszy stan ducha, bo znalazłaby się w ciężkiej rozterce: zachować milczenie, by chronić męża przyjaciółki, czy zadenuncjować go?

Czy Christabel coś wiedziała? Mówiła prawdę, twierdząc, że Susannah jej nie odwiedziła? Z pewnością nie uważała swego ukochanego męża za zdolnego do zamordowania jej przyjaciółki, żeby zapobiec zdemaskowaniu praktyk

Wewnętrznego Kręgu. Czy Jeremiaś jest ofiarą tego tajnego stowarzyszenia, nie ma odwagi zerwać złożonej w dobrej wierze przysięgi, ponieważ boi się stracić swoją pozycję społeczną, stanowisko albo... życie?

Na Oxford Street Pitt wziął dorożkę, żeby pojechać na Bow Street. Liczył, że zastanie tam już wstępny raport lekarza z prosektorium, a przynajmniej informację o szacunkowej godzinie śmierci. Poza tym musiał się zobaczyć z Farnsworthem.

Przez całą drogę zastanawiał się nad swoimi dalszymi posunięciami. Śledztwo w sprawie śmierci żony jednego z najbardziej lubianych ministrów nie zapowiadało się łatwo. Należało się liczyć ze wzburzonymi nastrojami społecznymi. Pitt byłby idealnym kozłem ofiarnym, na którego złożono by winę za lęki ludności. Skoro żona ministra może zostać zamordowana w luksusowej dzielnicy Mayfair, to czy ktokolwiek może czuć się bezpieczny na ulicach Londynu? Zanim Pitt wysiadł na Bow Street, o tragedii w rodzinie ministra można już było przeczytać w gazetach.

- Wydanie specjalne, wydanie specjalne! - krzyczał młody sprzedawca. - Żona ministra Linusa Chancellora znaleziona martwa u stóp Tower! Wydanie specjalne! A, pan Pitt? Kupi pan? Tu jest wszystko napisane!

- Nie, dziękuję - odparł nadkomisarz. - Wszystko już wiem. A reszta to kłamstwa.

Chłopiec parsknął śmiechem, a Pitt wszedł do budynku komisariatu. Na schodach spotkał Farnswortha.

- O, jest pan - powiedział Farnsworth. - Czekałem na pana. Straszna historia! Biedny Chancellor. Najlepszy minister kolonii, jakiego mieliśmy od lat, być może przyszedł premier, i takie nieszczęście go spotyka! Jakie są pierwsze wnioski? Zawrócił i udał się z Pittem do jego biura.

- Wyszła z domu wczoraj wieczorem o wpół do dziesiątej. Chancellor wsadził ją tylko do dorożki i wrócił do domu. Powiedziała, że jedzie w odwiedzinach do Christabel Thorne, która mieszka na Upper Brook Street, góra kwadrans drogi. Pani Thorne twierdzi jednak, że pani ministrowa do niej nie dotarła i że nie były umówione.

- To wszystko?

- Na razie tak. Aha, według pokojówki wyszła z domu w niebieskiej pelerynie, ale nie miała jej na sobie, kiedy ją znaleziono. Może wciąż jest w rzece. Jeśli wypłynie na brzeg, pomoże nam to w ustaleniu, gdzie wrzucono panią Chancellor do wody.

- To pewnie mogło być wszędzie, zależnie od pływów?

- Tak, ale według flisaków ciała wypływają na powierzchnię mniej więcej w tym samym miejscu, w którym wpadły do wody. Znajomość pory śmierci może nam pomóc.

- O której godzinie zmienił się kierunek pływów?

- Koło wpół do trzeciej.

- Co za tragedia! - westchnął Farnsworth. - Ma pan jakieś podejrzenia co do motywu? Czy została...

Poczerwieniał i nie odważył się wypowiedzieć tego słowa.

- Nie wiem - odparł Pitt, który gwałtu w ogóle nie brał pod uwagę. - Nie otrzymałem jeszcze raportu biegłego lekarza. Jest za wcześnie.

- Napad rabunkowy? - podjął Farnsworth pełen nadziei.

- Tego również nie wiemy. Miała na szyi medalion. Dzięki temu została rozpoznana. Nie spytałem Chancellora, czy miała na sobie jakąś inną cenną biżuterię.

- Biedny człowiek. Na pewno jest zdruzgotany. To straszne, Pitt. Z wielu powodów musimy szybko znaleźć sprawcę. Niech pan na razie zostawi śledztwo w Ministerstwie Kolonii Tellmanowi i skoncentruje się na tym. Nie pamiętam również

bulwersującej sprawy od czasu...

Urwał. Pitt wiedział, że jego zwierzchnikowi chodzi o morderstwa w Whitechapel z jesieni osiemdziesiątego ósmego.

- Chyba że są powiązane...

Farnsworth gwałtownie uniósł głowę.

- Słucham?

- Chyba że śmierć pani Chancellor i wycieki dokumentów z Ministerstwa Kolonii są ze sobą powiązane. Nie można tego wykluczyć. Mogła coś odkryć przez przypadek, nie będąc zamieszana w sprawę.

- Farnsworth odetchnął.

- Nie można również wykluczyć, że zamieszana była.

- Mam nadzieję, że jest pan dostatecznie rozsądny, aby nikomu tego nie powtarzać - wycedził powoli Farnsworth.

- Nawet najmniejszej aluzji, jasne? Ufam panu, Pitt. Nie zawsze aprobuję pańskie metody, ale wiem, że dorwał pan sprawców wielu ciężkich przestępstw. Niech pan całkowicie poświęci się temu śledztwu, dopóki nie znajdzie pan winnego. Zrozumiano?

W tym momencie zapukano do drzwi. Dyżurny wsunął głowę do środka.

- Jakaś pani do pana Pitta...

- Niech pan jej każe poczekać! - warknął Farnsworth. - Pan nadkomisarz jest zajęty.

- Znaczy... to jest wielka dama - wydukał funkcjonariusz. - Nie odważę się jej tak powiedzieć. Gdyby pan ją- Na litość boską, człowieku! - zdenerwował się Farnsworth. - Kobiety się pan boi?

- Ale, sir, ja...

- Dziękuję panu, mój drogi - rozległ się władczy głos za jego plecami. - Jeśli to jest biuro pana Pitta, to sama mu powiem, że tu jestem.

Drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich lady Cumming-Gold we wspaniałej żółtej jedwabnej sukni, przybranej koronką, i z naszyjnikiem z pereł. Zmierzyła Farnswortha lodowatym spojrzeniem.

- Nie mam zaszczytu znać pana, sir - powiedziała chłodnym tonem. - Jestem lady Vespasia Cumming-Gold.

Farnsworth przełknął ślinę i zakrztusił się. Vespasia czekała.

- Pozwól, że ci przedstawię nadinspektora Farnswortha - powiedział Pitt, z trudem ukrywając zaskoczenie i ubawienie.

- Jestem zachwycona, że mogę pana poznać, panie Farnsworth.

Vespasia minęła go dostojnym krokiem, usiadła naprzeciwko Pitta, oparła parasolkę o dywan i czekała, aż Farnsworth odzyska głos lub opuści pokój - a najlepiej jedno i drugie.

- Przyszłaś się ze mną zobaczyć, ciociu? - spytał Pitt.

- Oczywiście, Thomasie. Po jakiego diabła bym przychodziła, jeśli nie zobaczyć się z tobą? Nie bywam w komisariatach dla przyjemności.

- W czym mogę ci pomóc? - spytał Pitt, zajmując miejsce za pięknym dębowym biurkiem intarsjowanym skórą. Był bardzo dumny, że odziedziczył po Micah Drummondzie ten mebel.

- To ja przyszłam pomóc tobie, a w każdym razie mam dla ciebie informacje, które mogą ci się przydać.

Farnsworth, który wciąż kaszlał, zasłonił poczerwieniałą twarz chusteczką.

- Dotyczące jakiej sprawy? - dociękał Pitt.

- Na litość boską, Thomasie, pomóż temu człowiekowi, bo się udusi! Daj mu brandy albo przynajmniej wody!

- W szafie jest cydr... - wydukał Pitt.

Drummond miał w biurze brandy, ale Pitta nie było stać na tak drogi alkohol, za którym zresztą nie przepadał.

- Pozwoli... pani... że panią... opuszczę - zdołał wykrztusić

Farnsworth.

- Pozwolę, mój drogi - odparła Vespasia ze współczującym skinieniem głowy. - Przychodzę w sprawie morderstwa

Susannah Chancellor - podjęła po wyjściu Farnswortha. -

Domyślałam się, że wyłącznie to cię dzisiaj zaprzęta.

- Tak, ale nie sądziłem, że możesz tak szybko się o tym dowiedzieć!

- Wyobraź sobie, że widziałam ją przedwczoraj wieczorem.

Obserwowałam ją. Z wielkim zaangażowaniem rozmawiała z Peterem Kreislerem.

- Gdzie to było?

- U lady Rattray przy Eaton Square. Wydała wieczorek muzyczny. Przyszło około pięćdziesięciu osób.

- Czy mogłabyś mi opisać tę rozmowę możliwie jak najdokładniej?

Przez twarz starszej pani przeszedł cień dezaprobaty.

- Doceniam powagę sytuacji, Thomasie, i nie zamierzam nic koloryzować. Znajdowałam się kilka metrów od pani Chancellor. Udawałam, że słucham znajomej, która opowiadała mi o swoich problemach zdrowotnych. Cóż za brak dobrych manier! Kto ma ochotę dowiadywać się na przyjęciu o cudzych dolegliwościach? O czym to ja mówiłam? A, tak, obserwowałam Susannah Chancellor. Bardzo poważnie rozmawiała z osobą, której twarz była ukryta za palmą doniczkową. Czułam się zupełnie jak w dżungli. Tylko czekałam, kiedy spadną mi na szyję jakieś paskudne robale. Nie zazdrościłam kobietom z głębokimi dekoltami! Otóż pani Chancellor sprawiała na mnie wrażenie zatroskanej. Wyczuwałam, że zaraz pokłóci się ze swoim rozmówcą. Przesunęłam się, żeby sprawdzić, kto zacz. Kreisler, bo to był on, zdawał się stanowczo bronić swego stanowiska. Ona błagała go zdesperowana, ale bezskutecznie. Po mniej więcej kwadransie rozstali się. Kreisler wyglądał na

zadowolonego z siebie, jakby osiągnął swój cel. Susannah była smutna.

- Ale nie wiesz, jaki był temat ich rozmowy?

- Nie mam pojęcia i nie będę wdawała się w spekulacje.

- Później już jej nie widziałaś?

- Nie. Kreislera także.

Vespasia miała głęboko przygnębioną minę, co rzadko się u niej widywało.

- Co cię do tego stopnia turbuje? - zapytał Pitt bez ogródek.

- Obawiam się, że miłość pana Kreislera do Afryki dalece przeważa u niego nad wszystkimi innymi względami. A to może okazać się bardzo przykre dla mojej przyjaciółki Nobby Gunne.

Poznałam w życiu kilku mężczyzn, których zaangażowanie ideowe boleśnie odbijało się na ich otoczeniu, uważali bowiem, że ich szczytny ideał usprawiedliwia wszelkie zachowania. -

Westchnęła i upuściła parasolkę na podłogę. - Generalnie są to

energiczni ludzie, którzy pociągają kobiety swoją pasją i brawurą. Stwarzają również wrażenie, że tylko ich wybranka ich rozumie. Zawsze się jednak okazywało, że mają w sobie wielki chłód i skłonność do obsesji, która wszystko pochłaniała.

Boję się o Nobby, Thomasie. To wspaniała kobieta, do której od lat jestem bardzo przywiązana.

- Mam nadzieję, że twoje obawy są płonne - odparł po prostu

Pitt. - Ale dziękuję, że przyszedł mi o tym opowiedzieć.

Wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać, lecz Vespasia nie skorzystała. Z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową przeszła przez drzwi, które dla niej otworzył.

Odprowadził ją aż do powozu, który czekał na nią na ulicy.

- Z całą pewnością już nie żyła, zanim dotknęła wody -

oświadczył lekarz sądowy, człowiek o wydłużonej, solennej twarzy. - Morderca szybko załatwił sprawę. Uderzył dwa razy, ale bardzo mocno.

- Ależ nie widać śladów! - zaprotestował Pitt.

- Bo włosy je zasłaniają. Tuż za skronią. Ogłuszywszy ofiarę, sprawca dusił ją z taką siłą, że przetrącił jej kark. Śmierć nastąpiła natychmiast. Moim zdaniem ofiara straciła przytomność po pierwszym ciosie i nic nie czuła. Jeśli nie była to zbrodnia z premedytacją, agresor znajdował się w stanie tak wielkiego wzburzenia, że nie uświadamiał sobie, z jaką działa siłą. Ma pan do czynienia z bardzo niebezpiecznym osobnikiem, Pitt. Albo bezlitosny złodziej - nie musiał jej zabijać, żeby ją uciszyć - albo człowiek psychicznie chory - Czy była... napastowana?

- Chyba sam pan widzi! - zawołał lekarz, wskazując podbródkiem na przykryte prześcieradłem ciało. - A jeśli chce pan wiedzieć, czy ją zgwałcono, to niech pan nazywa rzeczy po imieniu, do diabła ciężkiego! Nie, nie została zgwałcona. Pitt odetchnął z ulgą.

- O której godzinie nastąpił zgon?

- Trudno powiedzieć - burknął lekarz sądowy. - Między ósmą wieczór a północą, dokładniej nie potrafię określić. Fakt, że zwłoki przebywały w wodzie, komplikuje sprawę, opóźniając *rigor mortis*. *A propos* komplikacji...

- Zmarszczył brwi i zrobił zdeprymowaną minę. - Znalazłem dziwne ślady wokół ramion, a dokładniej pod pachami i na szyi. Tak jakby była długo wleczona w wodzie. Być może suknia się o coś zaczepiła i zacisnęła wokół ramienia. o której godzinie ją znaleziono?

- Koło wpół do czwartej.

- A kiedy po raz ostatni widziano ją żywą?

- Wpół do dziesiątej.

- Czyli trafiłem. Życzę powodzenia, Pitt. Sprawca jest groźny. Piękna kobieta. Wielka szkoda. Nie czekając na odpowiedź, zajął się kolejnymi zwłokami.

- Potrafi pan ocenić, ile czasu spędziła w wodzie? - spytał Pitt.

- Wiem tyle samo co pan. Więcej niż pół godziny i mniej niż trzy. Przykro mi, że nie umiem być bardziej precyzyjny.

- Jak ją uduszono?

- Słucham? A, tak. Gołymi rękami, nie sznurkiem czy dratwą.

Jak już mówiłem, człowiek bardzo silny albo obłąkany. Nie zazdroszczę panu pracy, Pitt.

- A ja panu...

Lekarz parsknął śmiechem, który przypomniawszy szczeknięcie.

- Kiedy tu przychodzą, już nie cierpią. Koniec z przemocą i nienawiścią. Cisza i spokój. Reszta jest w rękach Boga, jeśli obchodzą go takie historie...

- Mnie obchodzą - wycedził Pitt - a Bóg jest chyba lepszy ode mnie, co?

Lekarz sądowy znowu się roześmiał, tym razem łagodniej, ale nic nie powiedział.

Pitt tymczasowo powierzył śledztwo w Ministerstwie Kolonii Tellmanowi, a sam z pomocą dwóch funkcjonariuszy znalazł i przesłuchał wszystkich potencjalnych świadków, pytając ich, jak spędzili czas pomiędzy wpół do dziesiątej a północą.

Linus Chancellor zeznał, że sam powoził landem, ponieważ stangret oparzył sobie rękę. Minister pojechał zawieźć ważne dossier Garstonowi Aylmerowi, którego nie było jednak w domu, więc Chancellor zostawił dokumenty lokajowi. Ten ostatni potwierdził, że minister zjawił się u nich trochę przed jedenastą.

Służący Chancellora nie słyszeli, jak wracał, ale otrzymali polecenie, żeby na niego nie czekać.

Pokojówka Susannah czekała natomiast na swoją panią, żeby pomóc jej się rozebrać i powiesić ubranie. Zasnęła na krześle koło wpół do czwartej i dopiero rano skonstatowała, że

Susannah nie wróciła. Służąca nie chciała powiedzieć, dlaczego

nie wszczęła w nocy alarmu. Pitt domyślał się powodu: sądziła, że jej pani jest na miłosnej schadzce i chociaż tego nie aprobowwała, względy lojalności nie pozwalały jej zadenuncjować pani ministrowej.

Następnie Pitt udał się do Petera Kreislera, ale poinformowano go, że pan domu wróci dopiero za parę godzin. Aylmer zeznał, że pojechał kabrioletem na Herne Hill, żeby poobserwować gwiazdy z dala od świateł miasta. Astronomia była jego konikiem. Nie spotkał nikogo znajomego, toteż nikt nie mógł potwierdzić jego wersji.

Jeremiah i Christabel Thorne spędzili wieczór u siebie.

Christabel wcześniej się położyła, a jej mąż do północy czytał dokumenty w swoim gabinecie. Służący to potwierdzili, dodali jednak, że gdyby któreś z państwa wyszło drzwiami balkonowymi z jadalni do ogrodu, żadne z nich by tego nie zauważyło, ponieważ po posprzątaniu ze stołu cały personel udał się do swoich pokojów. Pan Thorne powiedział, że sam zasunie story i sprawdzi, czy drzwi są pozamykane.

Ian Hathaway zjadł kolację w swoim klubie, z którego wyszedł o wpół do dwunastej, by wrócić prosto do domu. Ponieważ mieszkał sam i polecił służbie, żeby na niego nie czekała, również i on nie miał żelaznego alibi. Gdyby zechciał, mógł znowu wyjść niepostrzeżenie.

Francis Standish, szwagier Susannah, wyjaśnił, że był tego wieczoru w teatrze na spektaklu *Esther Sandraz*. Potrafił streścić intrygę, ale to nic nie znaczyło, ponieważ mógł osiąść tę wiedzę dzięki lekturze recenzji gazetowej.

Policja nie szczędziła starań, by znaleźć dorożkarza, który zabrał Susannah Chancellor z Berkeley Square. Fiakier był jedynym świadkiem, który widział ją po wpół do dziesiątej. Funkcjonariusz oddelegowany do tego zadania przez Pitta prowadził poszukiwania przez cały dzień, ale bez skutku.

Następnego dnia Pitt polecił zająć się tym Tellmanowi, ale on również nic nie wskórał.

- Może to nie była prawdziwa dorożka? - zasugerował Tellman, oderwany od śledztwa w Ministerstwie Kolonii. -

Może morderca przebrał się za fiakra?

Ta myśl przyszła już Pittowi do głowy.

- W takim razie niech się pan dowie, jak Chancellor zamówił pojazd. Jeśli tak było, zawęź to grono podejrzanych, ponieważ większość przesłuchanych pracowników Ministerstwa Kolonii ma alibi na wpół do dziesiątej.

- Naprawdę pan sądzi, że chodzi o jednego z nich? - prychnął Tellman. - Dlaczego mieliby zabić panią Chancellor?

- W tym cały szkopuł: trzeba znaleźć motyw.

- A czemu nie zwykły napad rabunkowy? Bailey przesłuchał pokojówkę. Brakuje dwóch pierścionków.

- A dlaczego nie zabrano medalionu? Czy pokojówka mówi, że Susannah miała te pierścionki na palcach, kiedy wychodziła? Zdarza się, że panie gubią biżuterię, zastawiają, sprzedają albo dają w prezencie.

- Nie wiem, czy Bailey ją o to zapytał. Każę mu do niej wrócić.

- Dobry pomysł. Ale niech pan nie zaprzestaje poszukiwań dorożkarza.

Pitt po raz drugi udał się do Petera Kreislera. Kamerdyner oznajmił, że kiedy jego pan dowiedział się o śmierci pani Chancellor, wzburzony wyszedł z domu nie mówiąc, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

Po południu Pitt nareszcie zastał Kreislera w domu.

Gospodarz wyglądał na niewyspanego, ale kipiał energią i nie dawał po sobie poznać, czy tragiczna wiadomość go zasmuciła.

Pitt oceniał jednak, że Kreisler należy do ludzi, którzy umieją ukrywać emocje, zarówno pozytywne, jak i negatywne.

- Proszę wejść, panie nadkomisarzu.

Kreisler zaprowadził go do gustownego salonu z błyszczącym parkietem. Na kominku stały piękne afrykańskie maski. Nie było skóry zebry na podłodze ani rogów antylopy na ścianie, tylko znakomity obraz przedstawiający geparda.

Gospodarz dał Pittowi znak, żeby usiadł.

- Dobson, mógłby nam pan przynieść coś do picia? - zwrócił się do kamerdynera. - Herbata, piwo, coś mocniejszego, panie nadkomisarzu?

- Jeśli ma pan cydr, to chętnie bym się napił.

- Doskonale. Prosimy o dwa kieliszki cydru, Dobson.

- Usiadł naprzeciwko gościa i pochylił się ku niemu. - Czy coś już pan wie? Ja ze swej strony studiowałem pływy, żeby spróbować określić, gdzie ją wrzucono. To może nam pomóc w ustaleniu, gdzie ją zabito, a tym samym dokąd się udała o wpół do dziesiątej wieczorem, kiedy jej mąż wsadził ją do dorożki na Berkeley Square. - Zacisnął pięści. - Jeśli pojechała w kierunku Upper Brook Street, to atak musiał nastąpić prawie natychmiast. Sądzi pan, że to miało być porwanie, ale sprawy wymknęły się spod kontroli?

Pitt musiał przyznać, że myśl ta, wcale niegłupia, nie przyszła mu do głowy.

- Dla okupu? - spytał, mając świadomość, że ton jego głosu zdradza zaskoczenie.

- Czemu nie? Chancellor ma władzę i pieniądze. Francis Standish, jej szwagier, również. Może chcieli coś wymusić na jednym z nich. Nieprzyjemna hipoteza, ale nie można jej wykluczyć.

- Rzeczywiście - przyznał niechętnie Pitt. - Ale nie bardzo sobie wyobrażam, na czym miałyby polegać to wymknięcie się spod kontroli. Nie zabito jej przez przypadek.

- Skąd pan to wie, panie nadkomisarzu?

- Wyniki sekcji zwłok na to wskazują - odparł Pitt, który nie

zamierzał ujawniać dalszych szczegółów, ponieważ Kreisler był jednym z głównych podejrzanych.

- Jest pan pewien? - naciskał Kreisler. - Kto skorzystałby na jej śmierci?

- Gdybym to wiedział, to może sprawca siedziałby już w areszcie. Sprawia pan wrażenie głęboko poruszonego tą tragedią. Czy znał pan Susannah Chancellor lepiej, niż sądziłem?

- Spotkałem ją kilka razy w życiu. Była uroczą, inteligentną, wrażliwą i prawą kobietą - odparł Kreisler napiętym głosem. - To jest wystarczający powód, abym głęboko przeżył jej śmierć i życzył sobie z całego serca, aby znaleziono sprawcę.

- Rozumiem, ale z reguły ludzie zostawiają dochodzenie właściwym organom...

- Ja nie zostawię! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby znaleźć winnego i ogłosić o tym całemu światu. I powiem panu szczerze, panie nadkomisarzu, że nie obchodzi mnie, czy się to panu podoba, czy nie.

Rozdział dziewiąty

Po męczącym fizycznie i psychicznie dniu Pitt pragnął tylko jednego: odpocząć, wyciągnąć nogi w salonie wychodzącym na ogród, otworzywszy drzwi balkonowe, żeby wpuścić do środka balsamiczne wiosenne powietrze. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy zapachy bijące od ziemi są tak silne, że człowiek zapomina o istnieniu wielkiego miasta za murami ogrodu.

Zaraz po wejściu do westybulu zdał sobie jednak sprawę, że jego marzenie się nie spełni. Charlotte wyszła z salonu z zatroskaną miną.

Co się stało? - spytał zaniepokojony.

Przyszedł Matthew - odparła ściszym głosem, bo drzwi za jej plecami były otwarte. - Chyba coś go trapi, ale nie chciał mi

nic powiedzieć.

- Zapytałaś go?

- Oczywiście, że nie, ale dałam mu do zrozumienia, że chętnie go wysłucham.

Uśmiechnął się, pogłaskał ją w policzek i wszedł do salonu.

Usadowiony w fotelu Matthew oglądał jabłoń, którą widać było przez drzwi balkonowe. Pitt wszedł bezszelestnie, ale Matthew musiał wyczuć jego obecność, bo raptownie odwrócił głowę. Błady, cienie pod oczami - wyglądał jak człowiek, który dopiero co wstał z łóżka po długiej chorobie.

- Co się stało? zapytał Pitt, zamknąwszy za sobą drzwi.

Matthew sprawiał wrażenie zaskoczonego tak gwałtownym wstępem.

- Nic. A przynajmniej nic nowego. Chciałem... Chciałem zapytać, czy dowiedziałaś się czegoś więcej w sprawie śmierci ojca.

Pitt poczuł się winny, mimo że brak postępów w tym śledztwie był jak najbardziej usprawiedliwiony.

- Niestety nie. Nakazano mi na razie zająć się wyłącznie śmiercią Susannah Chancellor i to...

- Rozumiem - przerwał mu Matthew. - Nie musisz się przede mną tłumaczyć, Thomasie, nie jestem dzieckiem.

Wstał z fotela wyszedł na taras. Pitt dołączył do niego. Razem poszli po trawie w kierunku jabłoni, ku ocienionej części ogrodu. Kamienie pokrywał aksamitny mech, a po ziemi pełzała roślina z żółtymi kwiatami w kształcie gwiazdek.

- Co się stało? - powtórzył Pitt. - Bardzo źle wyglądasz.

- Łupnąłem się w głowę. Przecież wiesz, byłeś przy tym.

- Chcesz powiedzieć, że ci się pogorszyło? Wezwałeś lekarza?

- Nie, czuję się lepiej. Ale poprawa następuje bardzo powoli.

Straszna historia z tą żoną Chancellora.

W cieniu drzewa trawa była gęsta i gąbczasta pod stopami.

Kwiaty jabłoni rozsiewały w powietrzu delikatny słodkawy aromat.

- Masz jakąś koncepcję? - spytał Matthew.

- Nie. Czemu pytasz? Wiesz coś na ten temat?

- Ja? - zdziwił się Matthew. - Nie. Potworny cios dla tego uzdolnionego człowieka, który zdawał się mieć wyjątkowo udane życie osobiste. Dla wielu polityków strata żony nie byłaby jakąś szczególną tragedią, ale on...

Pitt spojrzał na niego zaintrygowany tą oryginalną tezą.

Nabierał coraz większego przekonania, że jego przyjaciel myśli o czymś innym.

- Dobrze znasz Chancellora?

- Umiarkowanie. Wśród ludzi władzy należy do najbardziej otwartych. Sympatycznie się z nim rozmawia. Pochodzi z dosyć zwyczajnej rodziny, zdaje się, że o walijskich korzeniach, ale już jakiś czas temu osiedli na południowym wschodzie. - Spojrzał na Pitta z zaciekawioną i zmartwioną miną. - Czy to mogło być morderstwo na tle politycznym?

- Nie wiem. Na razie nie mam żadnego wyobrażenia.

- Żadnego?

- Co chodzi ci po głowie, że zadajesz mi pytanie?

- Przestań się ze mną bawić! - zezłościł się Matthew.

- Nie jestem jednym z twoich podejrzanych, do cholery!

Przepraszam - pokajał się natychmiast. - Już sam nie wiem, co mówię. Ani na chwilę nie przestaję myśleć o śmierci ojca.

Jestem przekonany, że zamordowali go ludzie z Wewnętrznego Kręgu, z dwóch powodów: żeby go uciszyć i żeby przestrzec innych. Lojalność może być rzeczą straszną, Thomasie. Ile lojalności można od kogoś wymagać? Nie jestem pewien, czy rozumiem znaczenie tego słowa. Gdyby ktoś mnie o to zapytał pół roku temu, uznałbym to pytanie za idiotyczne. Dzisiaj odpowiedź nie jest już dla mnie taka oczywista. - Spojrzał

Pittowi w oczy - A dla ciebie?

Pitt zastanowił się chwilę, ale mimo to odpowiedział bez przekonania:

- Sądzę, że lojalność oznacza dotrzymanie zobowiązań niezależnie od okoliczności.

- Właśnie. Ale kto decyduje o naturze tych zobowiązań? Co począć w sytuacji, kiedy ludzie uważają, że masz wobec nich zobowiązania, a ty się z tym nie zgadzasz?

- Pytasz o to w kontekście sir Arthura i Wewnętrznego Kręgu?

Matthew wzruszył ramionami w geście ogólnego potwierdzenia.

- Zdarza się, że uważamy coś za oczywiste i sądzymy, że inni podzielają nasz pogląd, ale tak nie jest. Nie możemy zajrzeć innym w duszę, nawet siebie do końca nie znamy, zanim nie zostaniemy poddani próbie. Sądzymy, że w sytuacji wyboru zachowamy się w określony sposób, ale kiedy przychodzi co do czego, postępujemy inaczej.

Pitt nie miał już żadnych wątpliwości, że Matthew przyszedł z jakąś konkretną ideą. Mówił z taką pasją, że nie mogło to być zwykłe filozofowanie.

- Chodzi ci o konflikt lojalności?

Matthew oddalił się od niego o kilka kroków. Pitt wiedział, że trafił w czuły punkt, ale że na razie nie otrzyma odpowiedzi.

W ogrodzie było cicho. Gdzieś za żywopłotem zaszczekał pies.

Kot o szylkretowej sierści przeszedł po murku i bezgłośnie zeskoczył do sadu.

- Niektórzy z tych ludzi na rozprawie - zaczął Matthew po długiej chwili milczenia - szczerze uważali, że ojciec zdradził ich zaufanie, zachował się nielojalnie w stosunku do ich tajnego stowarzyszenia, a w pewnym sensie także w stosunku do całej ich klasy społecznej. Jakaś osoba w Ministerstwie Kolonii

zdradza ojczyznę, ale ten człowiek tego tak nie postrzega. -
Zaczerpnął głęboko tchu, obserwując liście poruszane przez
wiatr. - Ojciec uważał, że gdyby milczał na temat poczynań
Kręgu, byłaby to zdrada ideałów, którymi się w życiu kierował,
nawet jeśli ich nie sformułował. Ja też nie lubię tego robić.
Uważasz, że to jest unikanie odpowiedzialności? Kiedy
dokładnie sformułujemy jakieś zasady i ślubujemy im
lojalność, częściowo wyrzekamy się naszej wolnej woli.
Rozumiesz mnie, Thomasie?

- Rzadko się od nas wymaga bezwarunkowego dotrzymy-
wania zobowiązań - odparł Pitt. - Ale Wewnętrzny Krąg każe
swoim członkom ślubować lojalność, nie precyzując z góry, co
będzie od nich wymagane.

- Ojciec nazywał to „rezygnacją z sumienia”.

- Sam odpowiedziałeś sobie na pytanie, które mi zadałeś. I
nie powinienesz aż tak bardzo przejmować się tym, jaka będzie
moja odpowiedź.

- Ależ nie przejmuję się aż tak bardzo! - wyznał Matthew z
szerokim uśmiechem.

- W takim razie co jeszcze cię dręczy?

Matthew westchnął i powoli ruszył wzdłuż ogrodowego muru.

- Ty i ja możemy o tym dyskutować spokojnie, ponieważ nie
ma między nami żadnej spornej kwestii. Ale co byś o mnie
pomyślał, gdybym popełnił czyn, który uznałbyś za zdradę
twojego zaufania? Czy nie znienawidziłbyś mnie za to?

- Czy to są teoretyczne spekulacje czy też masz jakieś
konkretne zmartwienie i nie możesz zdobyć się na odwagę,
żeby mi o nim powiedzieć?

Matthew odwrócił wzrok.

- Nie myślę o tobie, tylko o ojcu i jego przyjaciółach z
Wewnętrznego Kręgu. Bo niektórzy z nich byli jego
przyjaciółmi. Dlatego tak ciężko przeżywał całą tę sytuację.

Pitt skinął głową, ale wciąż miał wrażenie, że Matthew coś przed nim ukrywa. Wrócili do domu i nie podjęli już tego tematu. Charlotte zaproponowała Matthew, żeby został na kolację, on jednak nie przyjął zaproszenia i wyszedł z ponurą i niespokojną miną.

- Co u niego? - spytała Charlotte. - Wygląda na...

- ... zatroskanego - dokończył za nią Pitt. - Coś go dręczy, ale nie ma odwagi mi tego powiedzieć.

- Jak myślisz, o co może chodzić? - zaniepokoiła się.

- Nie wiem, chyba o coś związanego z lojalnością, sumieniem, wiernością wobec własnych ideałów...

Charlotte chciała coś odpowiedzieć, ale taktownie się od tego powstrzymała. Pitt prawie że parsknął śmiechem, takie to było do niej niepodobne!

- Sądzę, że to ma coś wspólnego z Wewnętrznym Kręgiem - podjął. - Ale dzisiaj wieczorem nie mam ochoty więcej o tym myśleć. Umieram z głodu! Co jest na kolację?

- To niewiele - powiedział Farnsworth, kiedy Pitt złożył mu raport. - Ten osobnik nie mógł zniknąć z powierzchni ziemi! - Mówił o dorożkarzu, który zabrał Susannah Chancellor z Berkeley Square. - Proszę mi przypomnieć, kogo pan oddelegował do tej sprawy?

Stał przy oknie swego gabinetu i patrzył na Embankment.

Pittowi kazał usiąść tuż po jego przyjściu, a sam zaraz wstał, bo dawało mu to psychologiczną przewagę.

- Tellmana - odparł Pitt. - Ja sam też trochę szukałem. Zdaję sobie sprawę, że znalezienie woźnicy może być przełomem w śledztwie, ale na razie nie natrafiliśmy na żaden ślad, co skłania mnie do...

- Sugeruje pan, że Chancellor skłamał? - przerwał mu Farnsworth. - Niech pan nie robi z siebie idioty!

Chyba nie jest pan aż tak bardzo oderwany od rzeczywistości,

aby wyobrażać sobie, że minister...

- Linus Chancellor wrócił do domu, wsadziwszy żonę do dorożki - wszedł mu w słowo Pitt. - Służba to potwierdziła. Ani przez moment nie żywiłem wobec niego żadnych podejrzeń. Chcę tylko ustalić, gdzie przebywały tego wieczoru wszystkie osoby związane z tą sprawą.

Farnsworth tego nie skomentował, więc Pitt mógł powrócić do przerwanego wątku.

- Skłania mnie to do przekonania, że dorożkarz, bądź też człowiek udający dorożkarza jest uwikłany w to zabójstwo.

- Skąd wziął pojazd? Chancellor mówi, że to była dorożka. Chyba odróżnia dorożkę od prywatnego powozu?

- Tellman to bada. Dorożka mogła być kradziona albo wynajęta. Tellman sprawdza wszystkie firmy.

- Doskonale. To może być ważne ogniwo.

- Kreisler sądzi, że to mogła być próba porwania, która źle się potoczyła.

Farnsworth sprawiał wrażenie zaskoczonego i zirytowanego.

- Co takiego? ! A któż to jest Kreisler? !

- Peter Kreisler, ekspert od spraw afrykańskich. Ta sprawa bardzo go interesuje. Do tego stopnia, że na własną rękę przeprowadził pewne czynności dochodzeniowe.

- Dlaczego? Znał panią Chancellor? - zapytał Farnsworth, siadając za biurkiem.

- Tak.

- W takim razie należy do grona podejrzanych! Mam nadzieję, że dokładnie go sprawdzacie.

- Oczywiście - odparł Pitt podniesionym głosem, mimo że starał się nie okazywać po sobie złości. - Mówi, że spędził ten wieczór w domu, ale nie potrafi tego udowodnić. Jego służący miał wychodne.

Farnsworth odetchnął.

- W takim razie być może mamy do czynienia z prostą sprawą! Żadnego porwania, żadnego tła politycznego, tylko zazdrosny zakochany mężczyzna, który został odtrącony - powiedział z satysfakcją, bo rzeczywiście byłoby to idealne rozwiązanie.

- Nie można tego wykluczyć - odparł Pitt. - Lady Cumming-Gold była świadkiem kłótni między Susannah Chancellor i Peterem Kreislerem w przeddzień zabójstwa. Ale to jeszcze nie dowodzi, że Kreisler ją udusił, bo go nie chciała.

- To niech pan szuka, mój drogi! Niech pan zajrzy w jego przeszłość, napisze do Afryki, jeśli trzeba. W jego życiu musiały być jakieś kobiety. Chcę wiedzieć wszystko o jego przyjaźniach, zażyłościach, wrogościach, długach, ambicjach... Wszystko! Nie pozwolę, żeby sprawa zabójstwa żony ministra pozostała nierozwiązana!

Pitt uznał się za odprawionego i wstał.

- Jakie są postępy śledztwa w Ministerstwie Kolonii? - podjął Farnsworth. - Lord Salisbury pytał mnie wczoraj, czy dowiedzieliśmy się czegoś ważnego - zrobił marsową minę. - Nie poinformowałem go o pańskich machinacjach z przekazywaniem urzędnikom państwowym fałszywych danych. Aż boję się myśleć, jak by zareagował! Tuszę, że ten fortel na razie nie dał żadnego rezultatu, bo inaczej by mi pan o tym powiedział.

- Jest jeszcze na to za wcześnie. Poza tym pod nieobecność Chancellora w Ministerstwie Kolonii jest spore zamieszanie.

- Jak pan sądzi, kiedy te pańskie sztuczki przyniosą owoce? - zapytał Farnsworth sarkastycznym tonem.

- Za trzy albo cztery dni.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. Osobiście uważam, że jest pan nadmiernym optymistą. A jeśli pański plan zawiedzie, co pan ma w rezerwie?

Pitt nie wybiegał myślami tak daleko, ponieważ miał na głowie zabójstwo Susannah Chancellor, no i oczywiście śmierć Arthura Desmonda.

- Jeszcze nie mam konkretnego pomysłu - przyznał.

- Naturalnie cały czas są prowadzone rutynowe czynności śledcze, zarówno w Ministerstwie Kolonii, jak i w Ministerstwie Finansów. Ustalenie powiązania między tymi dwoma urzędami z pewnością naprowadziłoby nas na ślad zdrajcy.

- Rozczarowuje mnie pan, Pitt. Co z panną Pennecuick? -

znowu wstał i podszedł do okna. - Dla mnie głównym podejrzanym nadal jest Aylmer.

Powiedział mi pan, że Aylmer nie ma alibi na ten wieczór.

Być może pani Chancellor odkryła, że to on jest zdrajcą, Aylmer w jakiś sposób się o tym dowiedział i ją zlikwidował. Czy on ma jakieś związki z Kreislerem?

- Nie wiem... - zaczął Pitt.

- To niech się pan dowie, człowieku! To mimo wszystko nie przekracza pańskich możliwości...

Pitt zrozumiał aluzję: gdyby wstąpił do Wewnętrznego Kręgu, miałby ułatwioną robotę dzięki rozległej sieci znajomości, zwłaszcza w policji. Wytrzymał spojrzenie zwierzchnika, aby dać mu do zrozumienia, że nie zmieni swej decyzji.

- Niech się pan do tego natychmiast zabierze - burknął

Farnsworth, obserwując refleksy światła na rzece.

- Jest inna możliwość - odparł Pitt.

- Jaka?

- Że pani Chancellor istotnie udała się do państwa Thorne.

Do tej pory nie znaleźliśmy peleryny, w której wyszła z domu.

- Jeśli tak było, to co może z tego wynikać?

- Że Thorne ją zabił, albo sam, albo z pomocą małżonki, w co trudniej mi uwierzyć. Pani Thorne zrobiła na mnie wrażenie autentycznie wstrząśniętej, kiedy dowiedziała się ode mnie o

śmierci pani Chancellor.

- Po kiego diabła Thorne miałby ją zabijać? Chyba nie sugeruje pan romansu? - ironizował Farnsworth.

- Nie.

Farnsworth nareszcie się odwrócił, by spojrzeć na Pitta.

- W takim razie co? Zdrajcą w Ministerstwie Kolonii jest Thorne?

- Niewykluczone. Ale jest jeszcze jedna hipoteza, która nie pozostaje bez związku...

- Co to znaczy: nie pozostaje bez związku? Niech pan przestanie owijać w bawełnę!

Pitt zazgrzytał zębami.

- Myślę, że śmierć Arthura Desmonda mogła się łączyć z jego poglądami na...

Nie dokończył. Farnsworth zwęził powieki i twarz mu pociemniała.

- Myślałem, że odłożyliśmy już tę historię *ad acta*. Arthur Desmond był dobrym człowiekiem, który pod koniec życia padł ofiarą starczego zniedołężnienia, objawiającego się między innymi chorobliwymi urojeniami. Najprawdopodobniej przez roztargnienie zażył zbyt wielką dawkę laudanum. Ale jest też inna możliwość. Uświadomiwszy sobie, że traci rozum i że utracił dobre imię, bezpodstawnie oczerniając swoich przyjaciół, w chwili jasności umysłu odebrał sobie życie. Byłoby to z jego strony bardzo honorowe rozwiązanie. - Na moment spotkał się spojrzeniem ze swoim podwładnym. - Tak, jestem pewien, że w ten sposób postąpiłby człowiek, którego pan znał i cenił. Byłby to akt wielkiej odwagi. Jeśli rzeczywiście darzył go pan szacunkiem, to niech pan przyjmie tę wersję i pozwoli sir Arthurowi odpoczywać w pokoju. Rozgrzebując tę sprawę, przysparza pan cierpienia jego bliskim i tumani pan im w głowach. Ostrzegam pana: popełnia pan poważny błąd. Czy

wyrażam się dostatecznie jasno?

- Najzupełniej - odparł Pitt, który wyczuwał determinację Farnswortha, ale nic sobie z niej nie robił. - Ale ciekawe byłoby wiedzieć, co o tym sądziła pani Chancellor.

- Na litość boską, chyba nie rozmawiał pan z nią o tych bzdurach!

- Nie rozmawiałem, ale wiem, że pani Chancellor znała sir Arthura, miała o nim jak najlepsze zdanie i wymieniała z nim poglądy na temat Afryki. Poinformowała mnie o tym lady Vespasia Cumming-Gold.

Farnsworth skrzywił się na sam dźwięk tego nazwiska. Nie zapomniał o swojej przygodzie w biurze Pitta.

- A skądże ona to wie, jeśli łaska? Należy do grona znajomych pani Chancellor? Ta kobieta wszędzie wtyka swój nos. Nie sądzę, żeby należało ją traktować zbyt poważnie.

Pozałował tych słów, jeszcze zanim skończył je wypowiadać. Zamiast odpowiedzieć w tym samym duchu, Pitt uśmiechnął się odrobinę protekcyjnie.

- Sugeruje pan - podjął Farnsworth agresywnym tonem - że pani Chancellor podejrzewała Thorne'a o zamordowanie Desmonda i Thorne postanowił ją uciszyć, bo rzeczywiście to zrobił? Nie sądzi pan, że prościej i łatwiej byłoby to po prostu zanegować?

W takim ujęciu pomysł rzeczywiście wydawał się absurdalny. Zadowolony z siebie Farnsworth znowu odwrócił się do okna.

- Znowu się na panu zawiodłem, Pitt. Sądziłem, że umie pan logicznie myśleć.

- To była pańska hipoteza, nie moja - bronił się Pitt.

- Ja sugeruję, że być może sir Arthur wiedział o wyciekach informacji z Ministerstwa Kolonii. Często bywał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie miał wielu znajomych. Może nie doceniał wagi tego, co wiedział. Jeśli

wspomniał o tym Susannah Chancellor, która jest doskonale zaznajomiona ze sprawami afrykańskimi, to z pewnością natychmiast uchwyciła wszystkie implikacje...

- Poskładała to wszystko razem i poszła z tym do Thorne'a? A jeśli to on jest zdrajcą... Tak, nie należy wykluczać takiej możliwości. Niech pan ją zbada, Pitt, ale dyskretnie! Żeby nie urazić Thorne'a, jeśli jest niewinny, i żeby go nie spłoszyć, jeśli jest winny - zaczerpnął głęboko tchu.

- Przepraszam pana, Pitt. Nie należało wyciągać pochopnych wniosków. Pańska hipoteza trzyma się kupy. Niech pan jak najszybciej przesłucha służbę pani Thorne.

I dalej szuka dorożkarza. Jeśli ją tam zawiózł, to nie ma się czego obawiać, ale będzie ważnym świadkiem w sądzie.

- Tak, sir. Taki właśnie miałem zamiar.

Służący Thorne'ów nie powiedzieli mu niczego interesującego. Nikt z nich nie widział ani nie słyszał Susannah Chancellor wieczorem w dniu jej śmierci. Czy mogła przyjść z wizytą niezauważona? Musiałaby wysiąść z dorożki trochę wcześniej, obejść dom wokół i wejść do gabinetu przez drzwi od ogrodu. Bardziej prawdopodobne, że ktoś wyszedł jej na spotkanie, zabrał ją na miejsce zbrodni, a potem wrócił do domu bocznym wejściem.

Kiedy Pitt patrzył na wstrząśniętą i zrozpaczoną Christabel Thorne, nie potrafił sobie wyobrazić, że miałyby wziąć udział w takiej podstępnej grze. Chyba że jej mąż przekonał ją, iż zniknięcie Susannah Chancellor jest konieczne z przyczyn politycznych albo po to, żeby on uniknął hańby i więzienia.

- Przykro mi, że nie mogę się panu bardziej przydać, panie nadkomisarzu - powiedziała. Znajdowali się właśnie w gabinecie, z którego można było wyjść bezpośrednio do ogrodu.

- Proszę mi wierzyć, że ciągle się zastanawiam, co mogłabym panu powiedzieć użytecznego. Był u mnie pan Kreisler i

zadawał mi te same pytania co pan, ale nie miałam dla niego żadnych istotnych informacji.

- Kreisler tu był? - spytał zaskoczony Pitt.

- Nie wiedział pan o tym? Bardzo mu zależy na dotarciu do prawdy. Przyznaję, że nie zauważyłam, że był aż tak bardzo zaprzyjaźniony z Susannah.

Na jej twarzy rysowały się zakłopotanie, zdziwienie i smutek.

Po co Kreisler tak usilnie poszukuje zabójcy Susannah? Chce pomścić jej śmierć? A może chce sprawdzić, ile wie policja, aby móc lepiej chronić siebie lub kogoś innego? Może chce podsunąć policji fałszywe tropy?

- Sądzę, że jest jeszcze wiele do sprawdzenia w tej sprawie.

Christabel spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Podejrzewa go pan, panie nadkomisarzu?

- Oczywiście, pani Thorne.

Nie starała się ukrywać rozbawienia.

- Nie zamierzam niczego dokładać do pańskich spekulacji.

Niech pan sobie imaginuje, co pan chce. Uwielbiam plotki, ale nie w ważnych sprawach.

- A pan Kreisler jest dla pani ważny?

Uniosła w zaskoczeniu brew.

- Ani trochę, ale oskarżenia o zabójstwo czy współudział w zabójstwie to nie jest błaha sprawa - posmutniała na twarzy. -

Bardzo lubiłam Susannah. Przyjaźń jest w życiu czymś niemal tak istotnym jak honor.

- A jeśli wchodzą ze sobą w konflikt, pani Thorne? - odparł jednakowo poważnym tonem.

- Wtedy mamy do czynienia z tragedią, panie nadkomisarzu - stwierdziła bez wahania. - Na szczęście nie znajduję się w tej sytuacji. Nie wiem o Susannah nic takiego, co mogłoby zbrukać jej honor. Ani o Linusie. Jest to człowiek silnych przekonań, który zawsze uczciwie i otwarcie mówi o swoich projektach i

środkach ich realizacji. I nigdy nie przejawiał zdrożnych skłonności do innej kobiety.

- A co myśli pani o Kreislerze? - podjął przerwany wątek.

- Jest człowiekiem, który lubi wszczynać konflikty - odparła po namyśle. - Sądziłam, że pociąga go panna Gunne, ale zalecał się również do Susannah, a przy całym jego zarozumiałstwie nie sądzę, żeby liczył tutaj na jakąś romantyczną przygodę.

Pitt nie miał takiego przekonania. Nawet kobieta kochająca swego męża może ulec pokusie, kiedy w grę wchodzi namiętność, samotność i potrzeby fizjologiczne. A Susannah niewątpliwie ukrywała przed Linusem cel swojej wyprawy.

- W takim razie o co mu chodziło? - spytał, obserwując wyraz jej twarzy, kiedy się zastanawiała.

Christabel najwyraźniej postanowiła jednak nie obnażać już przed nim swoich myśli.

- Niech pan sam tego dociecze, panie nadkomisarzu. To pański zawód. Powiedziałam panu wszystko, co może być dla pana przydatne.

W Ministerstwie Kolonii Pitt nie dowiedział się niczego więcej z ust Thorne'a. Garston Aylmer był bardziej wylewny.

- Coś makabrycznego - powiedział poruszony, usłyszawszy, że tym razem wizyta dotyczy zabójstwa Susannah. - W całym moim życiu żadna wiadomość tak mną nie wstrząsnęła. Dobrze ją znałem - kontynuował, obracając w palcach ołówek.

Niezwykle urocza i wyjątkowo prawa kobieta. Jej śmierć głęboko mnie zasmuciła, panie nadkomisarzu.

- Co pan wie na temat jej znajomości z panią Thorne?

- A, Christabel - odparł Aylmer z uśmiechem. - Rzadko się spotyka takie kobiety... I Bogu dzięki! Kilkadziesiąt takich i Londyn zostałyby całkowicie zrewolucjonizowany - wzruszył ciężkimi ramionami. - Nie, jestem niesprawiedliwy. Christabel jest czasami urocza i zawsze interesująca. Ale kobiety, które z

taką niepohamowaną energią niosą światu dobro, przerażają mnie. To tak, jakby człowiek znalazł się na drodze tornada.

- Tornada nie niosą ze sobą dobra, tylko zniszczenie - zauważył Pitt.

- Christabel też, jeśli chodzi o spokój ducha - wybronił się Aylmer. - Jej wola wyedukowania kobiet jest nadzwyczaj deprymująca. Wiele osób boi się Christabel. Gdyby pan ją znał, to by pan wiedział, że ona nie uznaje półśrodków.

- Co takiego pani Thorne chce zreformować?

- Prawie wszystko. Postawy, przekonania, rolę społeczną kobiet, a tym samym mężczyzn. Przede wszystkim dąży do poprawy położenia kobiet niezamężnych, których liczba, jak wiadomo, stale wzrasta. Brak męża oznacza dla nich brak środków do życia, szacunku społecznego i dzieci, które dawałyby im zajęcie.

- Co konkretnie proponuje pani Thorne?

- Zapewnić im wykształcenie. Żeby mogły uprawiać wolne zawody, być rzemieślnikami, specjalistkami, artystkami, naukowcami, czym tylko zechcą. Jeśli projekt Christabel się powiedzie, to następnym razem, kiedy zechce pan skorzystać z usług dentysty, hydraulika, bankiera lub architekta, może pan trafić na kobietę! I niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli kobietą okaże się lekarz albo ksiądz!

- Co za perspektywa - stwierdził Pitt neutralnym tonem.

- Prawda? Kobiety nie posiadają do tego kwalifikacji emocjonalnych, intelektualnych i fizycznych, ale nie należy również zapominać o kwestii, że tysiące mężczyzn straciłyby pracę. Jak powiadam, projekt jest rewolucyjny.

- Ludzie się na to zgodzą? - powątpiewał Pitt.

- Oczywiście, że nie, ale czy udało się panu kiedyś powstrzymać stanowczą kobietę?

Pitt pomyślał o Vespasii i przyznał Aylmerowi rację.

- Rozumiem.

- Wątpię - odparł Aylmer, kręcąc głową. - Żeby w pełni docenić grozę sytuacji, musiałby pan znać Christabel.

Niesłychanie odważna kobieta. Ani trochę nie boi się skandali.

- Czy pani Chancellor uczestniczyła w tej krucjacie?

- Rany boskie, cóż za myśl! Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, ale nie sądzę. Na szczęście Susannah była bardziej konwencjonalna. Poza sprawami rodzinnymi interesowały ją bankowość, inwestycje, polityka międzynarodowa... Jeśli wyznawała jakieś radykalne idee, to raczej w tej dziedzinie - zmarszczył brwi. - O ile dobrze sobie przypominam, to był główny przedmiot jej sporów z Kreislerem. Osobliwy człowiek.

Przyszedł tutaj i zadawał mi pytania na temat Susannah. I powiem panu, że był znacznie bardziej natarczywy niż pan!

- Wypytywał pana na okoliczność śmierci pani Chancellor?

- Tak. Sprawiał wrażenie głęboko poruszonego. Byłem w stanie mu powiedzieć tyle samo co panu, czyli prawie nic. Chciał również uzyskać informacje o Thorne'ach - prychnął zakłopotanym śmiechem. - Jak również o mnie. Albo żywi wobec mnie jakieś podejrzenia, albo chce systematycznie przesłuchać wszystkich.

Następnie Pitt udał się do lana Hathawaya, oficjalnie po to, by zapytać o postępy operacji z fałszywymi danymi w dokumentach, ale tak naprawdę chciał uzyskać dodatkowe informacje na temat związków Thorne'ów z Susannah i ewentualnie z Arthurem Desmondem.

- Jest pewna dziwna rzecz, panie nadkomisarzu.

Skontaktowałem się z panem dzisiaj po południu, gdyby pan nie przyszedł. Otóż z ambasady niemieckiej dotarł do nas dokument zawierający dane, które nie pokrywają się ani ze zmienionymi przeze mnie, ani z prawdziwymi, które przekazałem lordowi Salisbury.

- Nie rozumiem - odparł osłupiały Pitt.

- Ja też nie. Dlatego zwlekałem z wezwaniem pana, bo chciałem się upewnić, czy nie nastąpiło jakieś przekłamanie. Pomyślałem, że może ktoś źle przepisał liczby albo błędnie je zinterpretował. Nic takiego nie miało jednak miejsca.

Oczywiście nie zamierzam wyprowadzać ambasady niemieckiej z błędu. Pozwoliłem sobie poinformować o całej sprawie lorda Salisbury, musiałem się bowiem upewnić, czy dotarły do niego poprawne dane.

Pitt milczał, usiłując znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Nie udało się, panie nadkomisarzu - westchnął Hathaway. - Jestem gotów powtórzyć tę operację, jeśli uważa pan to za celowe.

Pitt był głęboko rozczarowany. Liczył na to, że zaproponowany przez niego podstęp przyniesie jakieś rezultaty. Drżał na myśl, że będzie musiał poinformować o tej porażce Farnswortha. Wyobrażał sobie pogardliwą reakcję zwierzchnika.

- A co do śmierci pani Chancellor - podjął Hathaway - obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Całkowicie bezsensowna tragedia.

Słowa te zastanowiły Pitta. Czyżby Hathaway rozróżniał między bezsensownymi i sensownymi tragediami?

- Czy pani Chancellor rozmawiała kiedyś z panem o sir Arthurze Desmondzie?

- Sir Arthurze Desmondzie?

- Tak. Dawny urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który zmarł niedawno w swoim klubie.

- A, tak, przypominam sobie. Smutna historia. Takie rzeczy się zdarzają. Niestety, nikomu z nas lat nie ubywa... Nie, nie pamiętam, by kiedykolwiek o nim wspominała. Dlaczego pan o

to pyta? Chyba jego śmierć nie ma związku z zabójstwem pani Chancellor? Byłem tego popołudnia w Morton Club, w saloniku, w towarzystwie znajomego... - westchnął z cicha. - Z tego, co przeczytałem w prasie, pani Chancellor została brutalnie zaatakowana, prawdopodobnie w dorożce, a następnie wrzucona do rzeki. Zgadza się?

- Tak. Ogniwem łączącym te dwie sprawy może być pan Kreisler, który - podobnie jak sir Arthur - był przeciwnikiem modelu kolonizacji forsowanego przez Cecila Rhodesa. Pan Kreisler...

Urwał, zauważywszy wyraźną zmianę wyrazu twarzy rozmówcy.

- Kreisler? Był u mnie pod pretekstem, że chce porozmawiać o eksploatacji kruszców. W rzeczywistości chodziło mu o panią Chancellor i jej poglądy. Wyjątkowo energiczny człowiek o silnych przekonaniach. Zakładam, że znajduje się w kręgu podejrzeń, panie nadkomisarzu? Nie chcę się mieszać do pańskiej pracy, ale osoba, która zadaje tak precyzyjne pytania, z pewnością nie interesuje się tym śledztwem z czystej ciekawości.

- Tak, panie Hathaway, nie wykluczam, że jest uwikłany. Pan Kreisler mógł się pokłócić z panią Chancellor na temat Afryki - a konkretnie poparcia męża pani Chancellor dla polityki kolonialnej Cecila Rhodesa - bądź na tle bardziej osobistym, a potem emocje mogły się wymknąć spod kontroli. Pan Kreisler sprawia wrażenie porywczego człowieka, który jest zdolny do aktów niepojętej agresji.

- Barbarzyńska cecha, niegodna istoty ludzkiej, a co dopiero cywilizowanego człowieka honoru! Mam nadzieję, że pańska hipoteza jest mylna, panie nadkomisarzu. Pan Kreisler ma liczne talenty godne lepszej sprawy.

Po paru minutach Pitt wstał do wyjścia, nie uzyskawszy

żadnych dodatkowych informacji ani o Susannah Chancellor, ani o fałszywych danych, które przysły z ambasady niemieckiej.

Wrócił do domu późno i zastał tam Matthew, który na niego czekał. Jasne włosy opadały mu chaotycznie na czoło, jakby bezwiednie przeczesywał je palcami. Charlotte zaproponowała, żeby dotrzymał jej towarzystwa w salonie, on jednak wolał przechadzać się po ogrodzie. Widząc, jaki jest podenerwowany, nie nalegała.

- Jest tutaj już prawie godzinę - powiedziała do Pitta, który z salonu obserwował przyjaciela przemierzającego trawnik.

- Powiedział ci, co się stało?

- Nie - odparła z zatroskaną miną.

Pogłaskał ją czule po dłoni i wyszedł do ogrodu. Trawa tłumiła odgłos jego kroków, toteż Matthew zdał sobie sprawę z obecności przyjaciela dopiero, kiedy ten był już prawie przy nim. Matthew odwrócił się na pięcie z przerażoną miną, ale szybko zapanował nad emocjami.

- Nie rób tego - powiedział Pitt.

- Czego?

- Nie udawaj, że nie stało się nic poważnego. Widzę po tobie, że jest inaczej.

- Widzisz... - westchnął głęboko i spytał: - Jeszcze nie wiesz, kto jest zdrajcą w Ministerstwie Kolonii?

- Nie.

- Część informacji pochodzi z... - zawahał się, jakby zamierzone słowa nie mogły mu przejść przez gardło - ... Ministerstwa Finansów - dokończył.

- Tak - potwierdził Pitt.

Matthew przyglądał się ukwieconej gałązce jabłoni, która spadła na trawę.

- Dwa dni temu Harriet powiedziała mi, że niechący

usłyszała fragment rozmowy telefonicznej swego ojca. Poszła do jego gabinetu, nie wiedząc, że ojciec jest w trakcie rozmowy. Dyskutował z kimś o finansowaniu przez rząd osadnictwa w dorzeczu Zambezi. Padły tam nazwiska Cecila Rhodesa, MacKinnona i Emina Paszy, kwestia bloku posiadłości od Kolonii Przylądkowej do Kairu i znaczenia bazy marynarki w Simonstown.

Na razie nie było w tym niczego bulwersującego. Soames miał prawo interesować się tymi zagadnieniami.

- Potem Soames dodał: „Po raz ostatni ci o tym mówię. Był tutaj ten policjant Pitt i boję się to ciągnąć. Przykro mi, ale będziesz musiał sobie radzić w oparciu o to, co już wiesz”. A potem odłożył słuchawkę.

A zatem zdrajcą w Ministerstwie Finansów był Ransley Soames! Jego córka - chyba nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tych rewelacji - zadenuncjowała go wobec Matthew, który po paru dniach rozterek przyszedł z tym do Pitta.

Wiedział, jakie mogą być konsekwencje tej wizyty, ale nie mógł postąpić inaczej.

Pitt bez słowa wyciągnął do niego rękę w geście podziwu dla uczciwości człowieka, któremu groziła utrata tego, co było mu najdroższe: miłości kobiety.

Rozdział dziesiąty

Pitt nie mógł zasnąć. Długo leżał bez ruchu, nie wiedząc, czy Charlotte śpi. Ostatecznie zdecydował, że tak, wstał i na palcach zszedł na dół.

W nikłym świetle księżyca zobaczył w ogrodzie ciemny gruby pień i białe kwiecie jabłoni. Po niebie ciągnęły strzępiaste chmury, zasłaniając część gwiazd. Inne błyszczały jak szpilki. W innych okolicznościach Pitt rozkoszowałby się pięknem wszechświata, ale niestety nazajutrz czekało go nieprzyjemne zadanie: konfrontacja z Ransleyem Soamesem. Nie miał innego

wyjścia. Znał od Matthew informacje przekazywane z Ministerstwa Finansów. Soames miał dostęp do tych danych. Inni urzędnicy wprowadzili też, ale Matthew powtórzył Pittowi słowo w słowo fragment podsłuchanej przez Harriet rozmowy telefonicznej jej ojca.

Następnego dnia wypadała sobota, co ucieszyło Pitta: będzie można zatrzymać Soamesa w domu, a nie w obecności kolegów z pracy.

Jak Harriet to przeżyje? Cóż, zawsze tak jest, że upadek jednej osoby łamie życie innym, żonie, dziecku, rodzicowi, przerażonym, zawiedzionym, osłupiałym, zdruzgotanym i zawstydzonym. Pitt nie mógł jednak zanadto ulegać litości, ponieważ nie mógłby wtedy wykonywać swoich obowiązków.

O dziewiątej rano stawił się przed domem Ransleya Soamesa. - Obawiam się, że sprawa jest pilna - wyjaśnił kamerdynerowi zaintrygowanemu tą poranną wizytą.

Zabrał ze sobą Tellmana, ale kazał mu czekać na zewnątrz, postanowiwszy go nie wzywać, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

- Sprawdzę, czy pan Soames może pana przyjąć - odparł kamerdyner.

Po niedługiej chwili wrócił i powiedział z kamienną miną:

- Pan będzie łaskaw pójść ze mną do gabinetu, pan Soames dołączy do pana za kilka minut.

Pomalowany na jasnozielono pokój był przeładowany obrazami i fotografiami. W normalnych okolicznościach Pitt przejrzałby zawartość biblioteki, żeby wyrobić sobie opinię na temat upodobań i zainteresowań gospodarza, ale teraz był zbyt zaabsorbowany zadaniem, które go czekało. Mimo to zauważył dwie książki o Afryce: powieść H. Ridera

Haggarda [da5](#) i zbiór listów pewnego misjonarza.

Po dziesięciu minutach wszedł Soames i zamknął za sobą

drzwi. Sprawiał wrażenie odrobinę zirytowanego, ale spokojnego.

- Czym mogę panu służyć, panie Pitt? - spytał cierpkim tonem. - Wyobrażam sobie, że sprawa jest pilna, bo inaczej nie przyszedłby pan do mnie w sobotę rano.

- Istotnie, panie Soames. Cel mojej wizyty nie jest przyjemny, więc przejdę od razu do rzeczy. Mam powody sądzić, że to pan przekazywał informacje finansowe urzędnikowi Ministerstwa Kolonii, który z kolei dostarczał je ambasadzie niemieckiej. Zrelacjonowano mi treść jednej z pańskich rozmów telefonicznych z tą osobą.

Zapadła głucha cisza. Krew napłynęła Soamesowi do twarzy, a potem uciekła. Otworzył usta, ale słowa zgasły mu na wargach. Wiedział, że winę ma wypisaną na twarzy i że wypieranie się nie ma sensu.

- To nie były... - bełkotał. - Pan nie rozumie...

- Rzeczywiście nie rozumiem.

Soames sprawiał wrażenie bliskiego omdlenia.

- To nie były prawdziwe dane! Chodziło o wprowadzenie Niemców w błąd!

Pitt chciał mu uwierzyć, ale uświadomił sobie, że nie jest to zbyt prawdopodobna wersja wydarzeń.

- W takim razie - odparł chłodnym tonem - proszę mi podać nazwiska członków rządu, którzy o tym wiedzą. Niestety dla pana nie ma wśród nich ministra spraw zagranicznych,

5 Henry Rider Haggard (1856-1925) wykorzystał swoje południowoafrykańskie doświadczenia do napisania powieści *Kopalnie króla Salomona*

ministra kolonii ani premiera.

- To było... to było inaczej - wydukał zrozpaczony Soames.

- A zatem proszę mi dokładnie wyjaśnić, jak było i kto jeszcze brał w tym udział. Przekazywanie tajemnic państwowych

osobie, o której wiadomo, że sprzeda je wrogom Anglii, jest zdradą stanu. Do ustalenia pozostaje tylko wynagrodzenie, które pan za to otrzymywał.

- Ależ ja nic nie otrzymywałem! - oburzył się Soames. - Wielki Boże, cóż za haniebne podejrzenie! Przekazywałem dane inteligentnemu człowiekowi, który fałszował je w ten sposób, żeby wprowadzały w błąd, ale były wiarygodne. Nie działaliśmy wbrew interesom Wielkiej Brytanii, wręcz przeciwnie, broniliśmy interesów korony w Afryce Środkowej i Wschodniej, jak również na Morzu Północnym. Jak sądzę, nie jest pan na bieżąco z negocjacjami...

- Helgoland - odparł lakonicznie Pitt.
Soames nie umiał ukryć zaskoczenia.

- Właśnie.

- Pan podawał temu człowiekowi prawdziwe informacje, a dopiero on je modyfikował?

- Tak.

- Skąd pan o tym wie?

- Mam na to jego słowo... - urwał. - Pan mi nie wierzy...

- Najkorzystniejsza dla pana interpretacja jest taka, że był pan naiwny - powiedział Pitt zrezygnowanym tonem. - O kogo chodzi?

- Nie mogę w to uwierzyć. On był taki...

- Wiarygodny - dokończył za niego Pitt. - Mimo to zaskakuje mnie, że dał się pan tak łatwo oszukać.

- Jego argumenty były logiczne i przekonujące. Niemcy nie są idiotami. Trzeba im było przekazywać informacje bliskie rzeczywistości, bo inaczej nasz plan by się nie powiódł.

- Mogę się z tym zgodzić. Potrafię również zrozumieć, że istniała potrzeba wprowadzania Niemców w błąd. Są bardzo zaangażowani w Afryce Wschodniej, dorzeczu Zambezi i Zanzibarze. Wiem również, że negocjujemy z nimi traktat. -

Soames pojaśniał na twarzy.

- Ale od tego typu gier są tajne służby...

- ... które ściśle współpracują z ministerstwami Spraw Zagranicznych i Kolonii! - wykrzyknął Soames z pałającym wzrokiem. - Sądzę, panie nadkomisarzu, że źle pan zinterpretował całą tę sprawę.

- Nie, panie Soames. Gdyby to zadanie zleciły panu służby, moje pytania by pana tak bardzo nie wzburzyły.

Soames nagle zerwał się z krzesła, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Mogę wszystko wyjaśnić!

Poprosił centralę o połączenie z domem lorda Salisbury, podając numer. Na drugim końcu linii słycać było trzaski. Soames zaczerpnął głęboko tchu, po czym najwyraźniej zrozumiał, że nic w ten sposób nie osiągnie, i odłożył słuchawkę.

Pitt powtórzył swoje pytanie:

- Komu przekazywał pan dane?

- Jeremia Thorne'owi - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Zanim Pitt zdążył zareagować czy nawet zastanowić się, czy to jest prawda, drzwi się otworzyły i weszła Harriet Soames. Zauważyła, że jej ojciec jest silnie wzburzony i rzuciła Pittowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Co się stało, papo? Panie Pitt, co pan tu robi o tej godzinie? Czy chodzi o śmierć pani Chancellor?

- Nie, panno Soames. Przepraszam panią, ale chyba byłoby lepiej, gdyby pozwoliła nam pani dokończyć tę rozmowę w cztery oczy. Pan Soames później wszystko pani przekaże, jeśli uzna to za stosowne.

Harriet podeszła do ojca wyraźnie przestraszona.

- Nie, nie wyjdę z tego pokoju, dopóki się nie dowiem, o co chodzi! Papo, co się stało?

- Moja droga, ja... - próbował jej wyjaśnić, ale brzemię prawdy było zbyt ciężkie. - Popełniłem straszny błąd. Byłem potwornie naiwny... Dałem się wykorzystać człowiekowi, w którego uczciwość nie miałem żadnych powodów wątpić. Jego argumenty były tak przekonujące...

- Kto cię wykorzystał? - spytała roztrzęsiona Harriet.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego pan Pitt jest tutaj? Dlaczego wezwałeś policję? Skoro ktoś cię okantował, to czy nie lepiej byłoby załatwić sprawę... prywatnie? Czy to były duże pieniądze?

Widząc, że Soames raczej nie poradzi sobie ze spójnym wyjaśnieniem córce sprawy, Pitt postanowił skrócić jego męki.

- Pani ojciec podawał informacje szpiegowi, sądząc, że ten człowiek wykorzysta je do realizacji angielskich interesów w Afryce, fałszując dane przed przekazaniem ich ambasadzie niemieckiej. Plan ten nie został zatwierdzony ani przez Ministerstwo Kolonii, ani przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wręcz przeciwnie, oba te urzędy zleciły mi przeprowadzenie śledztwa w sprawie tych wycieków.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Pan się myli! To jest oczywiste!

Odwróciła się do ojca i zobaczywszy jego zdruzgotaną minę, zrozumiała ze zgrozą, że w słowach Pitta musi być coś z prawdy.

- Niezależnie od tego, co się stało - powiedziała z furią do Pitta - to jeśli mój ojciec został oszukany, w jego postępowaniu nie było nic hańbiącego. Radzę panu uważać na to, co pan mówi.

Głos jej drżał. Podeszła do ojca, jakby chciała go bronić przed Pittem.

- Nie oskarżam nikogo o hańbiące postępowanie, panno Soames - odparł Pitt. - A w każdym razie nie pani ojca.

- W takim razie po co pan tu przyszedł? Powinien pan zająć się osobą, która go okłamywała i przekazywała informacje dalej.

- Nie znałem jej tożsamości, zanim pani ojciec mi tego nie powiedział.

Uniosła podbródek.

- W takim razie skąd pan może wiedzieć, że ten człowiek ma z nim cokolwiek wspólnego? Może się pan pomylił co do osoby? Przyszło to panu do głowy, panie nadkomisarzu?

- Przyszło, ale niestety...

- Niech pan to udowodni! - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Soames powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Nie nalegaj, Harriet. Pan nadkomisarz poznał treść mojej rozmowy, podczas której przekazywałem informacje. Nie wiem, jakim sposobem, ale przytoczył mi ją słowo po słowie.

Harriet osłupiała.

- Jakiej rozmowy? Z kim?

- Z tym człowiekiem z Ministerstwa Kolonii – odparł jej ojciec, nie wymieniając nazwiska Thorne a.

- Jakiej rozmowy? - powtórzyła zduszonym głosem.

- Kiedy to było?

- We środę popołudniu. Czemu pytasz? Jakże to w tej chwili ma znaczenie?

Harriet odwróciła się do Pitta z przerażonym i pełnym odrazy spojrzeniem.

- Matthew... - szepnęła. - Matthew panu powiedział, prawda? Pitt nie wiedział, jak zareagować. Nie mógł zaprzeczyć, ale też nie potrafił potwierdzić tego zarzutu. Nie miało również sensu sugerować, że Matthew nie zrozumiał znaczenia tej rozmowy i nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji jej ujawnienia.

- Nie neguje pan tego? - naciskała.

- Harriet... - zaczął Soames.

Odwróciła się do niego gwałtownie i wykrztusiła ściśniętym głosem:

- Papo, Matthew cię zdradził... i mnie też. Zdradził nas oboje dla swojego ukochanego ministerstwa. Dostanie awans, a ty będziesz miał złamane życie!

Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Pitt chciał bronić Matthew, ale mina Harriet powiedziała mu, że przedsięwzięcie to jest skazane na porażkę. Zresztą Matthew miał prawo sam zdecydować, w jaki sposób chce się bronić. Pitt spojrzał w pełne bólu, złości i rozpaczycy oczy młodej kobiety. Jej spojrzenie mówiło więcej, niż mogłyby wyrazić słowa: tak jak on chce bronić Matthew, tak ona będzie broniła swego ojca, kierując się instynktem nakazującym jej ratować słabszych i bardziej bezbronnych.

- To jest nikczemność - wydusiła.

- Przekazać wrogiemu krajowi tajemnicę państwową czy zadenuncjować zdrajcę, panno Soames? - spytał spokojnie Pitt.

Harriet zrobiła się blada jak płótno.

- To nie była... zdrada. Mój ojciec został oszukany! A Matthew nigdy nie odzyska mojego zaufania, słyszy pan?

Nigdy!

- Złożę dymisję - zadeklarował Soames.

- Tak, sir. A tymczasem poproszę pana, żeby przyjechał pan na komisariat przy Bow Street i złożył pisemne zeznanie.

- Tak, to chyba nieuniknione - stwierdził niechętnie Soames.

- Stawię się w poniedziałek.

- Nie, panie Soames, pojedzie pan natychmiast - oznajmił Pitt kategorycznym tonem.

Soames sprawiał wrażenie zaskoczonego. Harriet podeszła do ojca i chwyciła go pod ramię.

- Przecież papa już panu powiedział, że przyjedzie w poniedziałek! Odniosł pan swoje zwycięstwo. Czego pan jeszcze

chce? Złamał pan papie życie. Czy to panu nie wystarczy?

- Tu nie chodzi o moje osobiste zwycięstwo, panno Soames -
odparł cierpliwie Pitt. - Pani ojciec nie jest jedynym
urzędnikiem uwikłanym w tę sprawę. Są inne osoby, które
trzeba aresztować...

- To niech pan je aresztuje! Niech pan wykonuje swoje
obowiązki! Nic pana tutaj nie zatrzymuje.

- A jednak.

- Co takiego?

- Telefon.

- Telefon? - Harriet z obrzydzeniem spojrzała na aparat. -
Jeśli chce pan zadzwonić, to niech się pan nie krępuje.

- Mogą go państwo użyć do ostrzeżenia innych osób i kiedy
przyjadę je aresztować, już ich nie zastanę. Chyba państwo
rozumieją, że nie mogę czekać do poniedziałku.

Soames wyglądał na tak zrozpaczonego, że Pitt współczuł mu
prawie tak samo jak jego córce, chociaż gardził nim za jego
lekkomyślność i zarozumiałstwo. Za te dosyć powszednie
przywary Soamesowi przyszło zapłacić niepowszednią cenę.
Pitt otworzył drzwi.

- Jadę z nim! - oznajmiła butnie Harriet.

- Nie, proszę pani.

- Błagam cię, nie odbieraj mi resztek godności, moja droga -
powiedział Soames do córki. - Wolę zmierzyć się z tym sam.

Cofnęła się ze łzami w oczach. Pitt wyprowadził Soamesa,
zostawiając ją na progu, samą ze swoim gniewem i bólem.

Pitt przetransportował Soamesa na Bow Street i polecił
Tellmanowi, aby odebrał od niego pisemne zeznanie. Miał
wątpliwości, czy nie powinien był najpierw zabrać
podejrzanego do urzędów, które zleciły mu to delikatne
śledztwo. Nie mógł go jednak zawieźć do Matthew - inicjatora
dochodzenia - ze względu na stosunki łączące go z Soamesem,

ani do Linusa Chancellora, który kilka dni po tragicznej śmierci żony z pewnością nie byłby w stanie zająć się tą sprawą. Do innych urzędników Ministerstwa Kolonii Pitt nie miał całkowitego zaufania, a zresztą w sobotę mógłby nie zastać ich w pracy.

Do lorda Salisbury, a tym bardziej do premiera nie miał bezpośredniego dostępu. Postanowił aresztować Thorne'a, a następnie złożyć pełny raport Farnsworthowi.

Zabrał ze sobą dwóch funkcjonariuszy na wypadek, gdyby Thorne stawiał opór. Potrzebował ich również do przeszukania lokalu i zapobieżenia zniszczeniu dowodów, które byłyby potrzebne, gdyby sprawa trafiła do sądu. Nie można było jednak wykluczyć, że rząd wybierze jakieś dyskretniejsze rozwiązanie, aby nie ujawniać społeczeństwu swoich błędów i słabości.

Po przybyciu pod dom Thorne'ów postawił jednego z funkcjonariuszy przy tylnym wejściu, żeby uniemożliwić gospodarzowi ucieczkę. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje spanikowany człowiek.

Drzwi otworzył im lokaj, który był taki zatroskany i blady, jakby przeżył wstrząs.

- Tak, sir?

- Do pana Thorne'a.

- Przykro mi, sir, ale nie ma go w domu.

- Kiedy spodziewa się pan jego powrotu?

- Nie spodziewam się, sir - odparł lokaj, unikając wzroku Pitta.

- Jak to nie spodziewa się pan? Nie wie pan, o której godzinie wróci? Pani Thorne jest w domu?

- Nie, sir. Pan i pani Thorne wyjechali wczoraj do Portugalii i wedle mojej wiedzy nie wrócą do Anglii.

- Jak to nie wrócą? Nigdy?

- Nigdy, sir. Cała służba została zwolniona, poza mną i kamerdynerem. Mamy zaopiekować się domem, zanim plenipotent pana Thorne'a nie sprzeda go wraz z majątkiem ruchomym.

Pitt osłupiał. Thorne uciekł. A skoro zrobił to poprzedniego wieczoru, to nie stał za tym Soames.

Dziwne, że Thorne go nie ostrzegł.

- Kto był tutaj wczoraj? - zapytał ostrym tonem.

- Pan Aylmer, sir. Przyszedł koło czwartej, a pół godziny później niejaki pan Kreisler...

- Kreisler?

- Tak, sir. Spędził tutaj mniej więcej pół godziny.

Pitt zaklął pod nosem.

- Kiedy pan Thorne pana poinformował, że wyjeżdża do Portugalii? Kiedy zapadła decyzja?

- Nie wiem, sir, ale odjechał około godziny po spotkaniu z panem Kreislerem.

- Kiedy spakował bagaże i dał wymówienie personelowi?

- Zabrali ze sobą tylko dwie walizy. Spakowano je tuż po przybyciu pana Kreislera. W tym samym czasie pan Thorne wymówił nam pracę. Wszystko odbyło się bardzo szybko.

- Zwolnił was wczoraj wieczorem? Czyli reszta służących poszła na bruk?

Lokaj pokręcił głową.

- Jedna służąca pojechała na pogrzeb kogoś z rodziny. Druga odeszła dzisiaj rano. Pokojówka pani Thorne była na urlopie...

- Sam się zdziwił, kiedy wypowiedział te słowa, bo służący raczej nie dostają urlopów.

- A kucharka odchodzi dzisiaj po południu. Doskonale gotuje i łatwo znajdzie pracę. Lady Brompton z radością ją przyjmie, już od kilku lat ją kusiła.

Sąsiedzi potrzebują pucybuta, a dla pomywaczki znalazła miejsce pani Thorne.

Czyli wyjazd nie był aż tak nieplanowany! Państwo Thorne przygotowali się na taką ewentualność. Kreisler im tylko powiedział, że już nadszedł ten moment. Ale dlaczego? Udział Kreislera w tej aferze, jak również w sprawie śmierci Susannah Chancellor, stawał się coraz bardziej niejasny.

- Przepraszam, sir, ale pan jest nadkomisarz Pitt, prawda? - spytał lokaj.

- Tak.

- Pan Thorne zostawił dla pana list, na kominku w salonie. Proszę chwileczkę poczekać, już przynoszę.

- Niech się pan nie fatyguje, i tak muszę zrobić rewizję.

- Rewizję? Po co? Nie jestem pewien, czy mogę się na to zgodzić, chyba że...

Urwał, uświadomiwszy sobie, że jest tylko bezrobotnym lokajem, a jego rozmówca przedstawicielem władzy państwowej.

- Mądra decyzja - stwierdził Pitt, czytając mu w myślach.

Wezwał policjanta pełniącego straż przed wejściem.

- Idź po Hammonda i zacznijcie przeszukiwanie. Gdybyście mnie potrzebowali, jestem w saloniku.

Pokój był wygodnie i bezpretensjonalnie urządzone, ciemnozielone kotary kontrastowały z jasną tapetą. Obrazy wydały się Pittowi dziwnie rozmieszczone. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że kilka z nich zdjęto, przypuszczalnie te o największej wartości materialnej lub emocjonalnej. Meble były stare: mahoniowa biblioteka z popękkanymi szybkami, fotele nieco odrapane. Osłona kominka była wgnieciona, a ciemne kółeczko na dywanie znaczyło miejsce, gdzie spadła iskra.

Piękny bukiet tulipanów w wazonie ocieplał atmosferę w saloniku. Na fotelu spała para kilkutygodniowych kociąt, jedno rudo-białe, drugie czarne jak smoła.

Pitt natychmiast zauważył leżący na gzymsie kominka list. Na kopercie widniało jego nazwisko. Otworzył ją i zaczął czytać.

Drogi Panie Pitt!

Kiedy Pan czyta te słowa, Christabel i ja płyniemy przez Kanał La Manche w drodze do Portugalii. Czyli już Pan zrozumiał, że to ja przekazywałem informacje z Ministerstwa Kolonii i Ministerstwa Finansów do ambasady niemieckiej.

Nie zna Pan natomiast pobudek, które mną kierowały.

Przypuszczalnie nie zdaje Pan sobie również sprawy, że prawie wszystkie te dane były fałszywe. Na początku musiały być prawdziwe, ale kiedy już zdobyłem zaufanie wroga, fałszowałem je, żeby pokrzyżować niemiecką politykę kolonialną.

Sam nigdy nie byłem w Afryce, ale po latach pracy w Ministerstwie Kolonii dobrze znam tamtejsze sprawy. Z lektury listów i depech doskonale wiem, jakie bestialstwa są tam popełniane przez białego człowieka w imię cywilizacji. Nie mówię o sporadycznych morderstwach czy nawet rzeziach. Historia ludzkości zawsze w nie obfitowała i chyba nic tego nie zmieni. Murzyni są tak samo zdolni do popełniania tego rodzaju zbrodni. Mówię o pazerności i głupocie, grabieży i podboju, a nawet likwidacji całych narodów czy niszczeniu ich kultury i religii.

Nie żywię zbytnej nadziei, że Anglia będzie mądrym i sprawiedliwym kolizatorem, ale są wśród nas ludzie wyznający zasady, które każą im domagać się humanitarnego traktowania krajowców.

Z drugiej strony jeśli Niemcy zajmą Afrykę Wschodnią, Zanzibar i całe wybrzeże, a mieści się to w granicach ich możliwości, zwłaszcza wobec niezdecydowanej polityki kolonialnej naszego rządu, z pewnością wybuchnie wojna. Na zachodzie w konflikt włączą się Belgowie i bez wątpienia także pozostałości dawnych sułtanatów arabskich. Dawne walki plemienne, toczone przy użyciu włóczni i asegajów,

zamienią się w krwawą rzeź, kiedy Europa uczyni z Afryki pole do regulowania swoich starych porachunków.

Lepszym rozwiązaniem byłaby obecność jednego dominującego mocarstwa, które by zapobiegło takiemu rozwojowi wydarzeń. Z przyczyn moralnych i politycznych życzyłbym sobie, aby mocarstwem tym była Wielka Brytania. Kierując się tą filozofią, przekazywałem ambasadzie niemieckiej fałszywe dane dotyczące złóż mineralnych, endemicznych chorób, kosztów rozmaitych ekspedycji, poniesionych strat i reakcji finansujących je osób i instytucji. Sądzę, że teraz Pan rozumie mój zamysł.

Czy muszę panu tłumaczyć, dlaczego nie działałem oficjalnymi kanałami? Przede wszystkim z oczywistych względów zależało mi na utrzymaniu tego projektu w tajemnicy. Po drugie jestem przekonany, że Linus Chancellor nie wyraziłby zgody. Delikatnie sondowałem go na tę okoliczność i nie okazał entuzjazmu.

Jeśli chodzi o ministra spraw zagranicznych, to - jak panu wiadomo - jego stosunek do kwestii afrykańskiej jest nader ambiwalentny i nie można liczyć na to, że jego obecny ekspansywny nastrój długo się utrzyma.

Ransley Soames miał to nieszczęście, że jest człowiekiem niezwykle łatwowiernym, a przy tym nieznośnie próżnym. Niech pan nie będzie wobec niego zbyt surowy. Sam fakt, że zrobił z siebie durnia, będzie dla niego dostateczną karą. Do końca życia nie podniesie się po tym ciosie.

Nie mam pojęcia, kto i dlaczego zamordował Susannah. Gdybym ja to zrobił, nie tailbym tego przed Panem.

Niech Pan uważa na Wewnętrzny Krąg. Mają ogromną władzę i jeszcze większą żądzę władzy. Śmierć Arthura Desmonda jest tego dobitnym dowodem. Wiem, że nigdy Pan o tym nie zapomni. Desmond ujawnił ich tajemnice i zapłacił

za to życiem. Zbyt wiele wiem na temat Wewnętrznego Kręgu, abym uwierzył, że to nie było morderstwo. Sir Arthur wiedział, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Już wcześniej mu grożono, on jednak uznał, że gra jest warta świeczki.

Nigdy nie znałem lepszego człowieka i bardzo mi go brakuje. Nie wiem, kto podjął decyzję o jego usunięciu.

Dałem całej służbie wypowiedzenie, z miesięczną gażą i dobrymi referencjami. Mój plenipotent sprzeda dom i ruchomości, a pozyskane środki otrzyma fundacja Christabel. Ponieważ nie można zarzucić mojej żonie zdrady stanu, mam nadzieję, że nie stanie Pan temu na przeszkodzie.

Mam do Pana prywatną prośbę. Kocięta Christabel, Angus i Archie, siłą rzeczy musiały zostać. Nie sądzę, żeby lokaj albo kamerdyner mogli się nimi zaopiekować. Trzeba im znaleźć nowy dom. Czy byłby Pan tak dobry i zabrał je do siebie do czasu, gdy znajdzie się dla nich nowy opiekun? Archie to ten rudy, Angus zaś ten czarny.

Pozdrawiam Pana jako człowieka, który podobnie jak ja kieruje się w życiu zasadami

Jeremiah Thorne

Pitt długo stał jak skamieniały z listem w dłoni. Nagle wszystko nabrało sensu. Nie mógł całkowicie rozgrzeszyć Thorne'a, ale zgadzał się z jego diagnozą: Afryka zmierzała ku katastrofie.

Kolejna zagadka się wyjaśniła: depeche, o których modyfikację poprosił Hathawaya, zostały sfałszowane przez Thorne'a przed przekazaniem ich do ambasady niemieckiej. Przebiegł pokój spojrzeniem i zatrzymał wzrok na miedzianym zegarze, który stał na kominku, a potem na utrzymanych w ciemnej tonacji pejzażach holenderskich na ścianach. Archie, rudy kot, przeciągnął się, uniósł łapę z rozcapierzonymi pazurami, miauknął z zadowoleniem i zaczął

mruczeć.

Co ja, do licha, z tobą zrobię? - zapytał go Pitt, podziwiając jego trójkątną mordkę, niebieskozielone oczy i wielkie uszy.

Kocię patrzyło na niego z ciekawością i bez śladu strachu.

Pitt pociągnął za sznur dzwonka. Lokaj pojawił się natychmiast. Widać czekał w westybulu.

- Pan Thorne prosi mnie w swoim liście, żebym się zaopiekował kotami.

- O, bardzo się cieszę - odetchnął lokaj. - Bałem się, że będę musiał je uśpić. Słodkie stworzenia. Pójdę poszukać koszyka.

- Dziękuję.

Nie wiedząc, co zrobić z biednymi zwierzakami, Pitt zabrał je do siebie. Poza tym chciał zrelacjonować Charlotte historię Soamesa. Poprzedniego wieczoru nic jej nie powiedział, mając nadzieję, że zaszła jakaś pomyłka. Charlotte odgadła jednak, że wydarzyło się coś poważnego, ponieważ Matthew odmówił zjedzenia z nimi kolacji.

Pitt zaczął od pokazania małżonce kotów, które miauczały wściekle, żeby wypuścić je z koszyka.

- Prześliczne! - zawołała. - Och, Thomas, jakie słodkie! Gdzie je znalazłeś? Odkąd się tutaj przeprowadziliśmy, mówiłam sobie, że chciałabym mieć kota.

Zachwycona przyglądała się kociakom. Archie bawił się jej palcem, zaś Angus wbił w nią spojrzenie swoich okrągłych oczu.

- Trzeba im wymyślić imiona - powiedziała.

- Już je mają. Należały do Christabel Thorne.

Uniosła raptownie głowę.

- Należały? Dlaczego tak mówisz? Co się z nią stało? Mówiłeś, że wszystko z nią w porządku!

- I chyba nie minąłem się z prawdą. Zdrajcą w Ministerstwie Kolonii jest Jeremiah Thorne, aczkolwiek „zdrajca” to raczej

nieodpowiednie słowo.

- Jeremiah Thorne? - Zbulwersowana Charlotte zapomniała o kotach, mimo że Archie gryzł i lizał jej palec. - Aresztowałeś go? Pitt usiadł przy kuchennym stole.

- Nie. Wczoraj wieczorem oboje wyjechali do Portugalii.

Sądzę, że nieustanne pytania Kreislera ich uczujniły.

- Uciekli? Och, tak mi przykro...

- Nie masz powodu czuć się winna, że wiadomość ta sprawiła ci ulgę - odparł z uśmiechem Pitt. - Mnie też sprawiła, między innymi dlatego, że ich polubiłem.

- Ich ucieczka nie przysporzy ci kłopotów? - zaniepokoiła się.

- Być może tak. Farnsworth nie będzie zachwycony, ale może uświadomi sobie, że gdybyśmy ich złapali, mielibyśmy dylemat, co z nimi zrobić.

- Jak to co? Postawić przed sądem za zdradę stanu!

- I ujawnić nasze słabe punkty?

- A, rozumiem. To byłoby nierozsądne, skoro jesteśmy w trakcie negocjacji traktatowych. Wyszlibyśmy na niekompetentnych, prawda?

- Właśnie. A przekazywane przez niego dane były nieprawdziwe.

- Robił to celowo?

Usiadła naprzeciwko niego, pozwalając kotom rozpoznać teren, do czego przystąpiły z wielkim entuzjazmem.

- Tak, oczywiście. W gruncie rzeczy dobrze się stało, że uciekł do Portugalii. Poza tym, że zostawił koty i poprosił mnie o znalezienie dla nich dachu nad głową! Nazywają się Archie i Angus. Ten, który próbuje wleźć do słoja z mąką, to Archie. Charlotte przez chwilę poobserwowała usiłowania Archiego, po czym skierowała wzrok na Angusa, który patrzył na nią z ciekawością. Podszedł do niej, a potem odskoczył do tyłu z uniesionym ogonem.

- Pójdę dzisiaj do Matthew... - podjął Pitt.

Zastygła, a następnie spojrzała na niego, oczekując dalszego ciągu.

- Osobą, która dostarczała dane z Ministerstwa Finansów, był Ransley Soames. Matthew ostatnio się o tym dowiedział.

- Och, Thomas! To straszne. Biedna Harriet! Jak ona to znosi? Musiałeś go aresztować? Czy Matthew może być przy niej? Może nie powinieneś iść do niego... - chwyciła go za rękę.

- Moim zdaniem Matthew bardzo źle przyjmie wiadomość o aresztowaniu swego przyszłego teścia. Mam nadzieję, że z czasem zrozumie...

- Urwała, poznawszy po wyrazie twarzy męża, że coś jej umknęło. - O co chodzi?

- To Matthew mi o tym powiedział - wyjaśnił Pitt. - Harriet Soames zrelacjonowała mu treść rozmowy telefonicznej swego ojca, nie zdając sobie sprawy z jej znaczenia. Matthew poczuł się zobowiązany mi to przekazać. Harriet uważa, że Matthew zdradził ich oboje.

- To niesprawiedliwe! - zawołała Charlotte. Zamknęła oczy i pokręciła głową. - Rozumiem jej reakcję, ale to nie zmienia faktu, że jest niesprawiedliwa. Przecież Matthew nie mógł postąpić inaczej. Harriet nie może od niego oczekiwać, że Matthew sprzeniewierzy się swojemu powołaniu i zasadom, stając się współnikiem zdrady stanu!

- Zgadzasz się z tobą. W głębi duszy Harriet pewnie też to wie, ale nie może znieść tego, że jej ojciec okrył się hańbą. Nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, żeby uniknąć skandalu, ale sprawa się rozniesie.

- Co z nim będzie? Myślisz, że... odbierze sobie życie? - spytała szeptem.

- Nie można tego wykluczyć, ale mam nadzieję, że nie.

- Biedna Harriet... Jeszcze wczoraj miała wszystko, co jest

potrzebne do szczęścia. Dzisiaj nie ma nic, nie ma narzeczonego, nie ma ojca, nie ma nadziei, jej pozycja społeczna legła w gruzach. Coś potwornego. Nie sądzę, żeby umiała wybaczyć Matthew. Ta rana nigdy się nie zagoi. Co za tragedia! Tak, idź do Matthew, on cię teraz bardzo potrzebuje. Pitt udał się do gabinetu Matthew, który siedział blady i zmizerowany, sprawiał wrażenie niezdolnego do wykonywania swoich obowiązków. Przychodząc do Pitta zdawał sobie sprawę, że Harriet może go odtrącić, ale kurczowo trzymał się nadziei, że może tak się nie stanie, że zrozpaczona Harriet poszuka u niego oparcia psychicznego.

Zaczął o tym opowiadać Pittowi, ale szybko sobie uświadomił, że wszelkie wyjaśnienia są zbędne. Siedzieli razem i rozmawiali o przeszłości, o tych szczęśliwych czasach, które z taką przyjemnością wspominali. Potem Pitt pożegnał się z Matthew, który wrócił do swoich dokumentów, listów i rozmów telefonicznych.

Pitt wziął dorożkę, by pojechać do biura Farnswortha.

- Soames?! - zawołał Farnsworth wściekły i zbulwersowany. - Co za osioł! Jak mógł uwierzyć w taką piramidalną bzdurę? Skończony kretyn! Nawet dziecko nie przyjęłoby takiego wyjaśnienia.

- Być może, ale dziecko nie miałoby subtelności...

- Subtelności! - skrzywił się Farnsworth z niesmakiem. -

Soames jest mniej więcej tak subtelny, jak mój czternastoletni pucybut, który nie dałby się nabrać na takie plewy.

- Soames dał się oszukać osobie, która mówiła mu o realnej groźbie konfliktu między państwami europejskimi w Afryce, o potrzebie zapobieżenia mu ze względów moralnych, jak i z myślą o przyszłości nas wszystkich.

- Zamierza go pan usprawiedliwiać? Traci pan czas, mój drogi. Dobrze, jakie przewiduje pan dalsze kroki? Gdzie on jest?

U mnie na komisariacie. Zajmą się nim jego koledzy. Ta sprawa już do mnie nie należy.

- Koledzy? Kogo pan ma na myśli? Ministerstwo Finansów?

- Wszystkie zainteresowane ministerstwa. To one zdecydują, co trzeba dalej zrobić.

Farnsworth westchnął.

- Jak znam życie, to nic nie zrobią - powiedział z goryczą. - Nie będą chcieli się przyznać do takiej niekompetencji. Wciąż mi pan nie powiedział, komu Soames przekazywał dane. Kto jest tym altruistycznym zdrajcą?

- Thorne.

Farnsworth wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Jeremia Thorne... Ja stawiałem na Aylmera. Wiedziałem, że to nie Hathaway, mimo że zgodził się na ten pana obłąkany plan, z którego nic nie wynikło...

- Pośrednio wynikło.

- Nie rozumiem.

- Liczby, które wróciły do nas z ambasady niemieckiej, były różne od podanych przez Hathawaya, co potwierdza słowa Soamesa na temat Thorne'a, który cały czas prowadził działania dezinformacyjne.

- Może, ale chcę zobaczyć dowody, zanim w to uwierzę.

Thorne też jest na Bow Street?

- Nie, przypuszczalnie dotarł już do Lizbony.

- Do Lizbony?

- Wczoraj wieczorem wyjechał z Londynu.

- Ostrzeżony przez Soamesa?

- Nie, raczej przez Kreislera... - Farnsworth zaklął pod nosem.

- ... ale prawdopodobnie niechący. Kreisler przede wszystkim chciał się dowiedzieć, kto zabił Susannah Chancellor.

- Chociaż sam należy do grona głównych podejrzanych! Dobrze,

przynajmniej wyjaśnił pan sprawę zdrady stanu - w stopniu niezbyt zadowolającym, ale lepszy rydz niż nic. Przyznaję, że byłaby wielka chryja, gdyby aresztował pan Thorne'a. - Westchnął i podszedł do biurka. - Teraz wróci pan do śledztwa w sprawie zabójstwa pani Chancellor. Trzeba jak najszybciej znaleźć winnego, bo rząd nas rozszarpie, już nie mówiąc o prasie.

Ma pan jakieś informacje o woźnicy? Wie pan, w którym miejscu wrzucono zwłoki do rzeki? Znalazł pan pelerynę? Zna pan miejsce zbrodni? Moim zdaniem Thorne ją zlikwidował, bo odkryła jego tajemnicę.

- Powiedział, że nic nie wie na temat tego zabójstwa.

- Powiedział? Przecież właśnie pan mówił, że wczoraj wieczorem uciekł do Portugalii, a pan był u niego dopiero dzisiaj rano!

- Zostawił mi list.

- Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć!

Pitt podał mu list, który Farnsworth uważnie przeczytał.

- Koty! - prychnął po skończonej lekturze. - Wierzy mu pan, że nic nie wie o śmierci pani Chancellor?

- Tak.

Farnsworth zagryzł wargę.

- Ja też się ku temu skłaniam. Niech pan skieruje uwagę na Kreislera. Wiele spraw związanych z tym osobnikiem jest dla mnie niejasnych. Narobił sobie wrogów. Niech pan spróbuje ustalić, co o nim myślano w Afryce. Nikt tak naprawdę nie wie, po której stronie on gra. - Pogroził Pittowi palcem. - I niech pan zapomni o związkach tej sprawy ze śmiercią Arthura Desmonda. To idiotyczne. Z oczywistych względów trudno jest panu zaakceptować fakt, że był zniedołężniały umysłowo, ale to jest niezaprzeczalne. Przykro mi, ale fakty mówią same za siebie: dał się poczęstować brandy połowie klubu, a kiedy już był mocno pijany, przedawkował laudanum, prawdopodobnie

przez przypadek, chyba że chciał odebrać sobie życie z obawy, że całkiem straci rozum i zacznie szafować oskarżeniami i oszczerstwami, których nie będzie mógł sobie wybaczyć. Pitt zastygł. Farnsworth powiedział: „dał się poczęstować brandy”. Skąd wiedział, że sir Arthur sam nie zamówił wszystkich kieliszków? Była na to tylko jedna odpowiedź: Farnsworth wiedział, co się naprawdę wydarzyło tego popołudnia w Morton Club. Ten szczegół nie pojawił się na rozprawie u sędziego śledczego. Wręcz przeciwnie, zeznano, że sir Arthur sam zamówił wszystkie kieliszki.

Pitt chciał zapytać Farnswortha, czy rozmawiał z Garçonem Guylarem, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że jeśli tak nie było, to oznacza, że Farnsworth należy do tej samej loży Wewnętrznego Kręgu, która zleciła zabójstwo sir Arthura.

- O co chodzi? - zapytał Farnsworth, który zauważył, że Pitt jest czymś zbulwersowany.

- Naprawdę pan sądzi, że to mogło być samobójstwo? -

wybrnął Pitt. - Że sir Arthur wolał śmierć od hańby?

- Woli pan taką hipotezę?

- „Wolę” to nie jest właściwe słowo, ale taka wersja jest łatwiejsza do pogodzenia ze znanymi nam faktami.

- Jakimi faktami?

- To, że zażył laudanum po południu w swoim klubie, już samo w sobie jest dziwne. Musiałby być głęboko niepoczytalny, żeby zrobić to niechcący. Samobójstwo byłoby bardziej zrozumiałe. Nie chciałby tego robić u siebie w domu. - Miał świadomość, że mówi za dużo. Kręciło mu się w głowie.

Wiedział, że musi uważać. - W domu znaleźliby go służący i byłoby to dla nich straszne przeżycie. Może uświadomił sobie, jak nikczemne jest jego postępowanie i postanowił położyć temu kres.

- Zgadza się z panem - odparł Farnsworth, który wyraźnie

odetchnął. - Tak, Pitt, ma pan rację. Dobrze, nie mówmy już o tym. Niech pan wróci do sprawy pani Chancellor. To jest pana absolutny priorytet, rozumie pan?

- Oczywiście, sir.

Pitt wstał. Nogi miał jak z waty. Znieruchomiał na kilka chwil, żeby nie stracić równowagi. Wyszedł z gabinetu, zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół, przytrzymując się poręczy.

Rozdział jedenasty

Nobby Gunne była głęboko wstrząśnięta śmiercią Susannah Chancellor, tym bardziej, że dręczyły ją obawy, iż Peter Kreisler jest współnikiem lub nawet sprawcą tej zbrodni.

Od trzech dni nie miała od niego żadnej wiadomości, co tylko wzmagало jej niepokój. Bardzo chciała się z nim spotkać.

Spojrzałaby mu w oczy i zobaczyłaby, że jest zdrowy na umyśle i jej obawy nie znajdują żadnego uzasadnienia. Porozmawialiby o tej śmierci, która tak bardzo zasmuciła ich oboje. Może nawet Kreisler przedstawiłby jej niepodważalne alibi.

On jednak ograniczył się do krótkiego liściku, w którym napisał, że jest głęboko poruszony i nie spocznie, dopóki nie wyjaśni tej sprawy.

Pewnego pogodnego popołudnia, kiedy zrywała w ogrodzie pierwsze rozkwitłe róże, złożył jej wizytę.

Peter Kreisler zmierzał ku niej po trawie, niezaanonsowany - postanowiła rozmówić się później na ten temat z pokojówką.

Na razie cieszyła się z jego widoku, chociaż jednocześnie strach chwycił ją za gardło i przyspieszył puls.

Kreisler nie spytał jej o zdrowie ani nie wygłosił żadnych refleksji na temat cudownej pogody. Stał przed Nobby i spojrzał jej prosto w oczy. W jego wzroku malowało się wzburzenie, ale również radość z tego spotkania.

- Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi - przywitał się i

wyciągnął do niej rękę.

Poczuła ciepło jego palców na swoich. Zapomniała o swoich niedorzecznych lękach. Ten człowiek nie był przestępcą. Jeśli brał udział w tej sprawie, to na pewno przedstawi jej jakieś przekonujące wyjaśnienie.

- Jak się czujesz? Wyglądasz na zmęczonego.

Puścił jej rękę i zaczęli spacerować po ogrodzie.

- Od dnia śmierci pani Chancellor mało spałem - wyjaśnił.

- Nie wiedziałam, że była ci aż tak droga... - mruknęła, karcąc się za to w duchu. - Niezwykle urocza kobieta, taka pełna życia. Nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma na świecie. Żałuję, że nie zdążyłam poznać jej lepiej.

- Lubiłem ją - odparł, przyglądając się strzelistym łodygom ostróżek. - Miała w sobie wyjątkową uczciwość. Ale nie to nie pozwala mi zasnąć od kilku dni - dodał, odwracając się ku niej ze zmarszczonym czołem.

- Nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem... Dlaczego śmierć Susannah tak cię poruszyła, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie? Nie sądzę, żeby chodziło o współczucie dla jej męża, bo odnoszę wrażenie, że za nim nie przepadasz.

- To prawda - przyznał. - Ale zaznaczam, że nie mam nic przeciwko niemu jako człowiekowi. Wręcz odwrotnie, podziwiam go za energię, inteligencję, talent i siłę woli. Ale nie muszę ci mówić, że mam całkowicie odmienne poglądy na temat kolonizacji Afryki.

- To nie tłumaczy, dlaczego tak bardzo to przeżywasz.

- Pokłóciłem się z nią w przeddzień jej śmierci.

Nobby była zaskoczona. Znała Kreislera jako człowieka z gruntu racjonalnego, którego by nie podejrzewała o takie zabobonne myślenie. Oczywiście ludzie miewają sprzeczne cechy charakteru, ale mimo to nie wierzyła własnym uszom.

- Wątpię, żebyś powiedział coś aż tak nieprzyjemnego, żeby

odczuwać wyrzuty sumienia z powodu różnicy poglądów na temat kolonizacji dorzecza Zambezi...

- Na litość boską, nie o to chodzi! Swojego stanowiska będę bronił nawet przed samym Bogiem! Pokłóciłem się z nią przy ludziach i jestem przekonany, że nadkomisarz Pitt o tym wie. Przyszedł do mnie. Był grzeczny, ale nie mam wątpliwości, że mnie podejrzewa. Wiele osób bardzo by się ucieszyło, gdyby mnie oskarżono o to zabójstwo... - Urwał na widok jej spanikowanej miny. - Daj spokój, Nobby, nie udawaj, że nie rozumiesz. Im szybciej zagadka zostanie rozwiązana, tym krócej prasa będzie gnębiła policję i grzebała w prywatnym życiu Susannah, które, jestem o tym przekonany, było absolutnie nienaganne. Mogłoby jednak wyjść na jaw, że przestawała z ludźmi wątpliwego autoramentu...

- O kim mówisz? Nie nadążam za tobą.

- Na przykład ze mną! Nasz spór dotyczył spraw ideowych, nie osobistych, ale pogrążone w żałobie bądź złośliwe osoby, które nie słyszały naszych słów, mogą go po fakcie zinterpretować jako bardziej... intymny. - Spojrzał na nią z tak czułym ubawieniem, że serce zabiło jej żywiej.

- Nigdy nie zdarzyło ci się powiedzieć lub zrobić czegoś, za co się potem wstydziałaś? Jakieś małostkowe słowo albo pochopny gest, którego później żałowałaś?

- Oczywiście, że tak.

Ruszyli w stronę kamiennego murku porośniętego pnącymi różami.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

- Na temat śmierci Susannah? Niezbyt wiele. Z tego, co wiem, zaatakowano ją, kiedy jechała sama dorożką, późnym wieczorem. Powiedziała, że wybiera się do Thorne'ów, lecz o ile wiadomo, nie dotarła tam. Chyba że Thorne'owie kłamią.

- Dlaczego mieliby źle jej życzyć?

- Przypuszczalnie ma to związek ze śmiercią sir Arthura Desmonda, tak przynajmniej dał mi do zrozumienia Pitt. Według mnie to nie ma sensu.

Przystanęli. Ptaszek sfrunął z drzewa na alejkę i przyglądał się im ciekawie.

- Nie masz pewności, czy to nie ja zrobiłem, prawda?

- powiedział w końcu Kreisler ściśniętym głosem. - Myślisz, że mógłbym zamordować tę cudowną kobietę?

Tylko dlatego, że...

Urwał i krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie - wydusiła z najwyższym trudem. - Jeśli... to zrobiłeś, to nie z powodu różnic poglądów na kolonizację Afryki. To byłoby absurdalne. Jeśli to zrobiłeś, to dlatego, że posiadała akcje jednego z największych banków w kraju i miała wpływ na decyzje swojego szwagra Francisa Standisha. I dlatego, że podzielała poglądy swego męża, które były sprzeczne z twoimi.

Rysy Kreislera ściągnął ból.

- W jaki sposób zabicie Susannah przysłużyłoby się moim interesom?

Odwróciła wzrok.

- Nie mówię, że ją zabiłeś, ale policja może cię o to podejrzewać. Boję się o ciebie. Nie zapominaj, że rozgniewałeś się na nią przy świadkach.

- Gdybym zabijał każdego, kto mnie rozgniewał, moje życie byłoby usłane trupami, moja droga Nobby... - Położył jej rękę na ramieniu. Przez muślin sukienki poczuła ciepło jego skóry. - Znasz Afrykę nie gorzej ode mnie. Ludzie muszą tam czasem użyć przemocy, aby przeżyć w obliczu nieznanymi niebezpieczeństw. Jedynym prawem, jakie tam obowiązuje, jest zasada przetrwania. Nie myśl jednak, że zapomniałem o prawach naszego kraju albo że nie odróżniam dobra od zła. Nie zabija się kogoś tylko dlatego, że stanął ci na drodze albo nie

podziela twoich poglądów. Tak, pokłóciłem się z Susannah, ale nie życzyłem jej źle. Krzywdzisz mnie, jeśli mi nie wierzysz. Sprawiasz mi ból. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć? Czy nie rozumiemy się bez słów?

- Tak - odparła prosto z serca. - Oczywiście.

Zadała sobie pytanie, czy powinna go przeprosić, ale on nie dał jej na to czasu.

- Dobrze. Nie mówmy o tym więcej. Dobrze zrobiłaś, że mi powiedziałaś, co myślisz. Nie powinno być między nami niedomówień. Nie musimy ukrywać naszych prawdziwych myśli i uczuć za zasłoną fałszywej uprzejmości.

Po tych słowach pochylił się i delikatnie ją pocałował, co ją zaskoczyło i napełniło szczęściem.

Pitt powoli pogryzał tost z marmoladą, a Charlotte sporządzała listę zakupów.

Poprzedniego dnia pracował prawie do północy, więc byłby usprawiedliwiony, gdyby tego ranka spóźnił się trochę na Bow Street. Dzieci poszły do szkoły, Gracie krzątała się na piętrze. Sprzątaczką szorowała schody za domem, a potem miała przystąpić do czernienia pieca - Gracie z rozkoszą scedowała na nią tę robotę.

- Czy dzisiaj znowu wrócisz późno? - spytała Charlotte.

- Wątpię - odrzekł z pełnymi ustami. - Chociaż nadal nie znaleźliśmy powożącego dorożką.

- W takim razie brał w tym udział. Gdyby był niewinny, sam zgłosiłby się na policję. Jak zamierzasz go wytropić?

Dokończył tosta i dopił herbatę.

- Przesłuchując wszystkich stołecznych fiaków. To zajmie trochę czasu! Ale może szczęście się do nas uśmiechnie i ktoś na niego doniesie. Nadal jednak nie wiemy, gdzie wrzucono panią Chancellor do wody, powyżej czy poniżej Traitors' Gate. Wydaje się, że na jakimś odcinku była wleczona. Jej ubranie o

coś zaczepiło. Przepraszam - dodał pospiesznie na widok skrzywionej miny Charlotte.

- Znaleźliście pelerynę?

- Jeszcze nie.

- Thomasie... Czy w tym miejscu często wypływają zwłoki?

- Nie, a co?

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Czy jest możliwe, że umieszczono ją tam celowo, w ramach symbolicznego sygnału?

- Przy Traitors' Gate? Przyznam, że o tym nie pomyślałem - odparł zdeprymowany. - Moim zdaniem zabójca liczył na to, że zwłoki w ogóle nie wypłyną. Połączone działanie pływów i wirów wyrzuciło je na brzeg.

- A jeśli to było zamierzone? - nie ustępowała.

- Przenoszenie zwłok wiązałoby się ze znacznym ryzykiem. Po co miano by to robić?

- Nie wiem... Może Susannah kogoś zdradziła...

- Ale kogo? Na pewno nie męża. Zawsze była wobec niego lojalna. Sama mi to powiedziałaś.

- Tak, to prawda. Nie myślałam o zdradzie małżeńskiej, tylko o jakimś zdarzeniu związanym z Wewnętrznym Kręgiem.

- Kobiety nie należą do tajnych stowarzyszeń i dam sobie głowę uciąć, że Chancellor nie jest w Kręgu.

- A jeśli odkryła, że jej szwagier Francis Standish był zamieszany w zabójstwo sir Arthura? Susannah bardzo lubiła sir Arthura. Nie milczałaby, nawet po to, żeby chronić członka rodziny. Może właśnie to tak ją dręczyło...

- Rodzinna lojalność... zdrada... Czemu nie?

Pomyślał o Harriet Soames, która tak zajadle broniła swego ojca, chociaż wiedziała, że jest winny. Odsunął krzesło i pocałował Charlotte w policzek.

- Zastanowię się nad tym wszystkim. Chyba już pora

zapomnieć o woźnicy i skoncentrować się na znalezieniu świadka, który widział, jak wrzucano ją do wody.

- Co nowego? - spytał Pitt, kiedy Tellman przyszedł do jego biura złożyć raport.

-

Żadnych postępów - westchnął funkcjonariusz sfrustrowanym tonem. - Nikt nie widział tej przeklętej dorożki, ani na Berkeley Square, ani na Mount Street, ani gdzie indziej. A w każdym razie nikt nie chce nam o tym powiedzieć. Sam pan wie, ile w Londynie jest dorożek. Pani Chancellor mogła się znajdować w dowolnej z nich!

- Oparł się o bibliotekę. - Dwie przejeżdżały tamtędy o interesującej nas porze, jedną niejaki pan Garney jechał na kolację do matki - służba to potwierdziła - w drugiej byli porucznik Salsby i pani Latten, także w drodze na kolację, przynajmniej według ich własnych słów.

- A co, nie wierzy im pan?

- Jasne, że nie! Na pierwszy rzut oka widać, że to nie jest para, która jechała do restauracji!

- Dobrze, co jeszcze?

Tellman wzruszył ramionami.

Ciągle szukamy miejsca, w którym wrzucono zwłoki do wody. Ja stawiam na Limehouse. Bardziej dyskretne miejsce niż w górze rzeki. To musiało być koło jedenastej, czyli cztery godziny przed znalezieniem ciała. Nawet gdybyśmy wiedzieli, czy niósł ją odpływ, czy przypływ, to i tak niewiele by nam to dało, bo i tak mielibyśmy kawał nabrzeża do sprawdzenia, z dziesiątkami przystani, schodów i uliczek. I me ma co liczyć na zeznania ludzi, którzy włóczą się tam po nocach. Jak ktoś odważy się współpracować z policją, koledzy poderzną mu gardło.

- Nie wątpię. Nic więcej?

Nic. Może pan by więcej wskórał, bo mnie tam wszyscy znają.

Pracowałem kiedyś w tamtym rewirze.

Wyjaśnienia Tellmana nie zadowoliły Pitta. W ocenie policji rzecznej jeśli zwłoki wrzucono do wody w ciągu godziny od śmierci, która według lekarza sądowego nastąpiła najpóźniej o wpół do dwunastej, przyływ mógł je przynieść najdalej od Limehouse, a z większym prawdopodobieństwem od Wapping. Tellman rozmawiał z szefostwem posterunku w tym rewirze. Byli jednoznaczni: ich patrole znają każdy łokieć nabrzeża i można ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że na podlegającym im odcinku żadna kobieta odpowiadająca rysopisowi Susannah Chancellor nie została wrzucona do wody. Pitt był skłonny im uwierzyć: w porcie londyńskim nawet o północy mrowi się od robotników i dokerów. Po co morderca miałby tak ryzykować?

W tym kontekście powracała jednak kwestia motywu: dlaczego zabito Susannah Chancellor? Czy było to nieudane porwanie, jak zasugerował Kreisler? Czy żonę ministra kolonii uprowadzono dla okupu?

Tellman był w Limehouse już wielokrotnie, sprawdził nabrzeże aż po Rotherhithe, bez żadnych wyników. Nie można było wykluczyć, że ktoś przewiózł zwłoki małą łódką, zacumowaną u stóp którychś z setek schodów prowadzących do wody.

- Co dalej? - spytał Tellman. - Mam sprawdzić Surrey Docks?
- Nie, to nie ma sensu - odparł Pitt, rozmyślając o hipotezie, którą podsunęła mu Charlotte. - Niech pan lepiej sprawdzi szwagra pani Chancellor.

Tellman uniósł brwi.

- Standisha? Po kiego diabła miałby ją zabijać? Jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, mordercą jest Kreisler.

- Pozostaje w gronie podejrzanych, ale niech pan zacznie od Standisha.

- Tak jest, sir. A pan co będzie w tym czasie robił?
 - Sprawdzę odcinek powyżej Tower, między Westminsterem a Southwark.
 - Myśli pan, że morderca zaczekał z wrzuceniem zwłok do wody na zmianę kierunku pływów? Po co miałyby tak ryzykować?
 - Bliżej północy mniej mu groziło, że ktoś go zobaczy.
 - Przez całą noc nad rzeką chodzą ludzie. Moim zdaniem starały się jej pozbyć jak najszybciej. Im wcześniej, tym dorożka mniej rzucałyby się w oczy.
- Po krótkich wahaniach Pitt postanowił podzielić się z podwładnym hipotezą Charlotte.
- A jeśli zabójca chciał, żeby zwłoki wyrzuciło na wysokości Traitors' Gate?
 - Kolejne ostrzeżenie dla tych, co zamierzają zdradzić Wewnętrzny Krąg? - powiedział Tellman z błyskiem w oku. - Ale skąd mógł mieć pewność, że ciało wypłynie dokładnie tam? Nie, musiałyby je tam przetransportować, najprawdopodobniej łódką. Tylko szalencie zносиłyby zwłoki po Queen's Steps.
 - W takim razie nie mógł odbić od północnego brzegu w górę rzeki - głośno rozmyślał Pitt. - Custom House Quay... targ rybny Billingsgate... na pewno by go zauważono.
 - Południowy brzeg! - zapalił się Tellman. - Horsley Down! Dokoła żywej duszy! Gość pakuje zwłoki na łódkę, przewozi na drugą stronę i zostawia tam, gdzie je znaleźliśmy.
 - Dobra, jadę tam - zdecydował natychmiast Pitt, podnosząc się z krzesła.
- Tellman zrobił powątpiewającą minę.
- Wydaje mi się strasznie skomplikowane, by nie rzecz ryzykowne, zadawać sobie tyle trudu tylko po to, żeby zwłoki znalaziono u stóp Tower.
 - Warto sprawdzić ten trop - odparł niezrażony Pitt.

- Lekarz sądowy powiedział, że ciało było wleczone i ubranie o coś się zaczepiło. Morderca nie mógł wyrzucić go na brzeg bezpośrednio z łódki.

- Może ciągnął je za łódką, aby stworzyć wrażenie, że przebywały w wodzie.

Tellman syknął przez zęby.

- Jeśli to prawda, to rzeczywiście mamy do czynienia z psychicznie chorym człowiekiem!

Pitt wziął dorożkę i kazał się wieźć na południe, potem na wschód, potem na drugą stronę London Bridge i znowu na wschód, w Tooley Street.

- Czego pan dokładnie szuka? - spytał zaintrygowany fiakier.

- Mogę pana wozić nawet przez cały dzień, byle pan zapłacił, ale chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

- Szukam miejsca, w którym ktoś mógłby przez nikogo niezauważony zaczekać na zmianę pływów, a potem przewieźć zwłoki łódką na drugi brzeg i położyć na pochylni Traitors' Gate.

Dorożkarz zaklął pod nosem.

- Ależ pan ma paskudną wyobraźnię, szefie! - mruknął, rozglądając się nerwowo wokół siebie.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa pani Chancellor - wyjaśnił Pitt ze smutnym uśmiechem, pokazując legitymację służbową.

- A, prawda. Co za tragedia! Ale to, co pan powiedział, nie trzyma się kupy. Dlaczego jej po prostu nie wrzucił do wody? I dlaczego czekał na zmianę pływów? Ja na jego miejscu wywaliłbym ciało do wody i zmykał, aż by się za mną kurzyło. Patrzy na to, że szaleńca pan szuka.

- Może człowieka oszalałego z nienawiści, ale czy szaleńca - nie jestem pewien.

- W takim razie zszedł po Horsley Down Steps, przewiózł

zwłoki na drugą stronę i wrócił na wysokości Little Bridge, podczas przypływu, żeby wiosłować z prądem, a nie pod prąd - stwierdził dorożkarz z przekonaniem.

- Gdyby to zrobił podczas przypływu, to groziłoby mu, że woda porwie zwłoki i zanieśie gdzie indziej.

- Punkt dla pana. Ale na jego miejscu bym zaryzykował.

- Dobra, sprawdzę, czy ktoś widział tej nocy powóz przy Horsley Down Steps i Little Bridge.

- To co, jedziemy tam, szefie? Ostrzegam, że to długo potrwa.

- Niech się pan nie przejmuję, zabiorę pana na obiad. Zna pan jakiś dobry pub w tamtej okolicy?

Dorożkarz wyjaśniał na twarzy.

- Pewnie, że znam, szefie! Jest „Black Buli” od strony London Bridge i „Triple Plea” przy Queen Elizabeth Street. A w Bermondsey, za linią kolejową - pokazał ręką - jest tyle pubów, ile dusza zapagnie.

- Wypróbujemy „Triple Plea” - obiecał Pitt. Ale najpierw kierunek Horsley Down Steps.

Żwawym kłusem ruszyli w głąb Tooley Street, która potem przeszła w Queen Elizabeth Street. Skręcili w Potters Fields. Po prawej stronie znajdował się budynek, który przypominał szkołę. Sto metrów dalej uliczka docierała do dróżki, która biegła wzdłuż brzegu i nawet o takiej godzinie nikogo tam nie było. W końcu dorożka zatrzymała się przy Horsley Down Steps.

Dwaj mężczyźni stali i ospałym wzrokiem patrzyli na przepływające łodzie. Pitt wysiadł z dorożki i podszedł do nich. Postanowił nie ujawniać swojej tożsamości. Jego słynna niedbałość w kwestii stroju tym razem dobrze mu się przysłużyła.

- Gdzie tu mogę dostać łódź? - spytał bez ogródek.

- Jaką łódź? - odparł jeden z mężczyzn, wyjmując z ust

glinianą faję.

- Małą, tylko żeby przepłynąć na drugi brzeg.
- Nie łatwiej na piechotę? London Bridge jest parę kroków stąd.

Jego kompan parsknął śmiechem.

- Boję się spotkać ludzi, których wolałbym unikać - wyjaśnił Pitt. - Mam coś do przewiezienia.
- A... Może mógłbym panu wynająć łódkę...
- Często pan to robi? - spytał Pitt z niedbałą miną.
- A co panu do tego?
- Nic, po prostu pytam - powiedział Pitt i zaczął się odwracać.
- To co, chce pan tę łódkę?
- Na pewno zna pan pływy...
- Pewnie! Mieszkam tutaj od urodzenia!
- Kiedy jest najlepsza pora, żeby przepłynąć do Tower?
- Rany! Chce pan ukraść klejnoty koronne?

Jego kolega znowu ryknął śmiechem.

- Mam coś do przewiezienia stąd tam.
- Dobra, najlepiej jest to zrobić przy stojącej wodzie, żeby nie musieć walczyć z prądem.
- A prąd jest tutaj mocny?
- Co za pytanie! Pewnie, że mocny! Nie wie pan, co to są pływy? Klepki pan pogubił?
- Gdybym zjawił się tutaj za wcześnie, gdzie mógłbym zaczekać? - spytał Pitt, puszczając obelgę mimo uszu.
- Jeśli pan nie chce, żeby ktoś pana zobaczył, to na pewno nie tutaj.
- Kto mógłby mnie zobaczyć?
- Choćby ja!
- Stojąca woda jest o północy - zauważył Pitt.
- Nie musi mi pan tego mówić. Często tutaj przychodzę o tej porze. Trochę dalej zaczynają się doki.

Zawsze można coś chapnąć.

- W środku nocy?

- Żarty pan sobie stroi? Słuchaj pan, szefie, jeśli pan chce przewieźć pod Tower coś trefnego, to nie jest dobre miejsce.

Lepiej ruszyć trochę wyżej, spod Little Bridge. Tam jest spokojniej i zawsze stoi jakaś łódka, którą można pożyczyć bez pytania, byle pan odwiózł z powrotem. Nie ma problemu.

Dziwne, że pan nie zauważył, jak pan jechał od London Bridge. To jest pół kilometra stąd.

- Dziękuję za radę! - powiedział Pitt i wyjął z kieszeni szylinga. - Macie, wypijcie obaj po piwie za moje zdrowie.

- Dzięki, szefie - powiedział mężczyzna, chowając szylinga. - Co za wariat - mruknął, kiedy Pitt znalazł się już poza zasięgiem głosu.

- Kierunek Little Bridge Stairs! - zawołał Pitt, wsiadając do dorożki.

- Już się robi, szefie!

Wrócili do Tooley Street, po czym skręcili ku rzece w Mili Lane, ślepą uliczkę. Na tym odcinku nie było nadbrzeżnej dróżki. Pitt wysiadł. Woźnica podrapał się w nos i spojrzał na swego klienta wyczekująco. Pitt popatrzył wokół siebie, a potem na ziemię. Nie było powodu, żeby ktokolwiek tędy chodził, chyba że chciałby zejść po Little Stairs do wody. Powóz mógł tutaj długo stać niezauważony.

- Kto używa tych schodów? - spytał Pitt.

- A skąd ja mam to wiedzieć? To nie mój rewir, szefie!

- Przepraszam. Chodźmy coś przekąsić w najbliższym pubie. Tam zasięgniemy języka.

- Dobry pomysł. Widziałem jeden tuż za rogiem, nazywa się „Three Ferrets”. W środku było dużo ludzi.

Po zjedzeniu flaczków i puddingu z rodzynkami zakrapianego cydrem wrócili do Little Bridge Stairs. Ilość zdobytych

informacji przekroczyła najśmielsze marzenia Pitta.

Potwierdzono, że ze schodów mało kto korzysta. Niejaki Frederick Lee przechodził tamtędy trochę przed północą odnośnego dnia i widział stojący tam powóz, z zaciągniętymi zasłonami. Woźnica palił cygaro. Ponad godzinę później, w drodze powrotnej, Frederick Lee znowu ujrzał powóz, co go zaskoczyło, ale to nie był jego interes, a poza tym woźnica wyglądał na człowieka słusznej postury.

Pitt wylewnie mu podziękował i postawił mu cydr.

Po powrocie na Mili Lane Pitt długo szukał śladów powozu, ale brukowana kamieniami nawierzchnia nic mu nie powiedziała. A przecież nie było w ostatnich dniach żadnej wielkiej ulewy. Nagle zauważył niedopałek cygara, a potem drugi, dwadzieścia metrów od wody. Podniósł je i przyjrzał im się uważnie. Od spalonej strony listki zaczynały się rozsypywać. Trącił je delikatnie i podsunął sobie pod nos: tytoń aromatyczny, z pewnością drogi, nie na kieszeń dorożkarza czy flisaka. Obejrzał drugi koniec: ucięty równo, za pomocą obcinaczki. Pitt zauważył również ślady krzywych zębów, jakby ktoś mocno je zacisnął na cygarze w chwili napięcia nerwowego.

Zawinął cygara w chusteczkę, schował do kieszeni i kontynuował wizję lokalną. Nie znalazłszy niczego ciekawego, wrócił do dorożki.

- Ma pan coś, szefie? - spytał zaintrygowany woźnica.

- Chyba tak.

- Ale co?

- Dwa niedopałki wysokiej jakości cygar.

Woźnica westchnął przeciągle.

- W powozie trup, a on sobie siedzi i czeka, aż będzie mógł przewieźć zwłoki na drugą stronę. Dużo zimnej krwi, co?

- Wątpię. Myślę, że raczej działał pod wpływem gwałtownych

emocji. Niech pan mnie zawiezie do Belgravii. Ebury Street.

- Belgravia! Myśli pan, że ten typ mieszka w Belgravii?

- Tak myślę. Ruszamy!

Jazda była długa, także z powodu tłoku na ulicach, Pitt miał więc sporo czasu do namysłu. Skoro morderca Susannah uważał ją za zdrajczynię i poczuł się zobowiązany ją zlikwidować, to musiał być osobą, której była winna lojalność, czyli członkiem rodziny. A zatem Francis Standish lub jej mąż. Czyżby uwierzyła Arthurowi Desmondowi i Peterowi Kreislerowi? Zakwestionowała wsparcie finansowe szwagra dla Cecila Rhodesa? Jeśli Standish należy do Wewnętrznego Kręgu, to może on był egzekutorem i Susannah się tego domyśliła? Czy dlatego poniosła śmierć, że wolała być wierna zasadom moralnym niż rodzinie i interesom swojej klasy społecznej?

Wszystko zaczynało się układać w sensowną całość. Standish mógł ją spotkać na Mount Street. Susannah spodziewałaby się kłótni, może próśb, ale na pewno nie przemocy z jego strony. Gdyby zaprosił ją, żeby wsiadła do jego powozu, nie miałyby żadnego powodu, by odmawiać.

Do tego miejsca wszystko się zgadzało, poza jednym szczegółem: gdzie jest peleryna? Morderca wrzucił ją do wody? Była zbyt lekka, żeby utonęła. W takim razie dlaczego nie znaleziono jej gdzieś na brzegu? Może zaplątała się w śrubę jakiegoś statku?

Chyba że morderca nie chciał wyrzucać peleryny, bo nosiła na sobie jakieś ślady, które mogłyby wskazać sprawcę.

Nie próbowano stwarzać pozorów, że śmierć była wynikiem samobójstwa lub wypadku. Metoda, którą się posłużono, była tak widoczna, jakby sprawca celowo chciał zwrócić na nią uwagę.

Mimo ciepłej pogody Pitt zadrżał na całym ciele. Wszędzie

wokół siebie dostrzegał obecność Wewnętrznego Kręgu, który nie tylko groził ludziom ruiną finansową, ale również był zdolny do zabijania.

- Ebury Street, szefie! - zawołał woźnica. - Który numer pan chce?

- Dwanaście.

- To jesteśmy na miejscu. Mam czekać?

- Nie, dziękuję. To może chwilę potrwać.

Uregulował rachunek - była to pokaźna sumka - i podziękował dorożkarzowi za współpracę. Woźnica przeliczył pieniądze przed schowaniem ich do kieszeni.

- Wie pan, mogę zaczekać... Chętnie bym się dowiedział, jak się skończy ta historia. Potem pana odwiozę na mój koszt, zgoda?

- Jak pan chce - uśmiechnął się Pitt i ruszył po schodach.

Otworzył mu lokaj w liberii.

- Tak, sir?

- Nadkomisarz Pitt z Bow Street. Czy zastałem pana Standisha?

- Tak, sir, ale ma gościa. Jeśli będzie pan łaskaw chwileczkę zaczekać, to sprawdzę, czy pana przyjmie.

Zaprowadził Pitta do gabinetu. Standish najwyraźniej przyjmował swego gościa w salonie.

Gabinet był urządzone w drewnie orzechowca, z czerwonym tureckim dywanem i czerwonymi kotarami. Na biurku leżały pióra, noże do papieru, pieczętki i kałamarze. Papiery były porozkładane, tak jakby Standish, zaskoczony niespodziewaną wizytą, nie zdążył ich uporządkować.

W rogu biurka stała duża jaspisowa popielniczka z niedopałkiem cygara. Pitt wziął go do ręki i podsunął sobie pod nos. Ani zapach, ani faktura tytoniu nie przypominały tych z Little Bridge Stairs. Cygaro zostało obcięte nożem, a ślady

zębów były równe.

Pociągnął za sznurek dzwonka. Przyszedł lokaj, który sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego, że wzywa go zwykły policjant.

- Czy pan Standish posiada również cygara innej marki? - spytał Pitt, pokazując mu niedopałek.

Lokaj starał się ukryć niesmak, jaki wzbudził w nim ten brak dobrych manier.

- Tak, sir. Trzyma je dla gości. Mogę panu przynieść.

- Jeśli byłby pan tak miły.

Lokaj krytycznie uniósł brew, wyciągnął jedną z szuflad biurka, wziął stamtąd cygarniczkę i podał Pittowi. Cygara były cieńsze i ciemniejsze od tego z popielniczki i miały bezbarwny zapach.

- Dziękuję panu - powiedział, odkładając cygaro do pudełka. - Czy panu Standishowi zdarza się samemu powozić ekwipażem? Lokaj jeszcze wyżej uniósł brwi.

- Nie, sir. Cierpi na reumatyzm, toteż byłoby to niebezpieczne.

- Jakie są objawy tego schorzenia?

- Pan Standish z pewnością odpowie panu na to pytanie lepiej ode mnie. Jeśli będzie pan łaskaw trochę zaczekać...

- Proszę mi powiedzieć, jakie są symptomy - nalegał. - Jeśli dowiem się tego od pana, to być może nie będę musiał nękać pana Standisha.

- Jeśli życzy pan sobie obszerniejszych informacji, to powinien pan skonsultować się z lekarzem..

- Mnie interesuje konkretny przypadek pana Standisha! - zirytował się Pitt. - Powie mi pan, czy nie?

Lokaj odstąpił o krok i spojrzał na Pitta trochę wystraszony.

- No więc reumatyzm objawia się nagłym bólem i utratą władzy w palcach.

- Co może spowodować na przykład wypadnięcie lejc z rąk?
- Właśnie, sir. I dlatego pan Standish nie powozi.
- Dziękuję panu. Teraz już nie muszę zabierać mu czasu. Jeśli czuje się pan zobowiązany powiadomić go o mojej wizycie, to niech mu pan przekaze, że był pan w stanie odpowiedzieć na moje pytania. Nie ma powodu do niepokoju.

A zatem Standish wypadł z grona podejrzanych. Dorożkarz był zaskoczony, że Pitt tak szybko wrócił. Niczego nie wyjaśniając, nadkomisarz podał mu adres Kreislera.

Lokaj poinformował Pitta, że jego pana nie ma w domu.

- Pali cygara? - spytał Pitt bez ogródek.

- Słucham?

Pitt powtórzył pytanie. Lokaj zeszywniał.

- Nie, sir, nie pali. Nie znosi zapachu tytoniu.

- Jest pan pewien?

- Naturalnie, sir. Służę u niego od wielu lat, tutaj i w Afryce.

- Dziękuję, to wszystko, co chciałem wiedzieć. Do widzenia.

Lokal mruknął pod nosem jakieś niepochlebne słowa na temat braku wychowania niektórych gości.

Zbliżał się wieczór. Pitt wsiadł do dorożki i kazał woźnicy jechać na Berkeley Square. Tym razem mieli krótką drogę do pokonania. Pitt intensywnie myślał. Miał jeszcze jeden szczegół do sprawdzenia i gdyby wynik tej weryfikacji okazał się zgodny z jego oczekiwaniami, to pozostałaby tylko jedna logiczna konkluzja. Najtragiczniejsza z możliwych. Pitt obawiał się nawet, że nie będzie w stanie dokończyć śledztwa.

- Który numer, szefie? - zapytał woźnica przez kratkę.

- Niech się pan zatrzyma przy pierwszym włączu do kanalizacji.

- Chyba się przesłyszałem. Mówił pan coś o włączu do kanalizacji?

- W rzeczy samej. Niech pan stanie przy pierwszym, który

pan zobaczy.

Dorożka zatrzymała się po kilkudziesięciu metrach.

- Teraz naprawdę chcę, żeby pan na mnie zaczekał. To może potrwać dłuższą chwilę.

- Nie odjechałbym, nawet gdyby mi pan za to zapłacił! To jest najlepszy kurs w moim życiu! Mając taką historię do opowiadania, będę przez rok za darmo jadał obiady!

Chwileczkę, szefie, potrzebne panu jakieś światło.

Zsiadł z kozła, odczepił jedną z latarni, zapalił i dał Pittowi.

Pitt podziękował, zdjął pokrywę wjazdu i ostrożnie zszedł na dół po drabinie. Światło dzienne wkrótce stało się tylko małą, okrągłą dziurą nad jego głową. Pobłogosławił woźnicę za jego zmysł praktyczny.

Rozpoczął powolny marsz ceglanym tunelem, od którego odchodziły inne korytarze, prowadzące do studzienek.

Cuchnącym ściekami powietrzem trudno się oddychało.

- Toshi!6 - zawołał.

Jego okrzyk rozbrzmiewał z wielokrotnionym echem. Kiedy zanikł, Pitt znowu słyszał tylko szum wody i niekiedy pisk szczurów. Po kilkunastu metrach znowu zawołał, a przy dużej studziennie krzyknął po raz trzeci.

- No?

Głos rozległ się tak blisko, że Pitt aż podskoczył. Ujrzał mężczyznę w rybaczkach, który wyszedł z bocznego korytarza. Miał usmarowaną brudem twarz i zlepione na czole włosy.

- To jest pana rewir? - spytał Pitt, pokazując za siebie.

- A czyj ma być? Przecież nie szukam tutaj źródeł Nilu! Jeśli szukasz pan swojego rewiru, to od tego wara. Nie jest na sprzedaż.

- Policja - przedstawił się lakonicznie Pitt. - Bow Street.

- Czyli też poza rewirem - zażartował mężczyzna. - Czego pan tutaj chce?

- Szukam niebieskiej damskiej peleryny, być może wrzuconej do kanału tydzień temu.

W nikłym świetle latarni Pitt zobaczył, że mężczyzna łypnął na niego nieufnie, ale bez śladu zaskoczenia. Pittowi zaparło dech: a zatem jego hipoteza była słuszna.

- Po co ona panu? Co z tego będę miał?

- Zarzut ukrywania dowodu przestępstwa, jeśli pan skłamię.

Gdzie ona jest?

Mężczyzna wziął głęboki wdech, patrzył na Pitta przez dłuższą chwilę i w końcu doszedł do wniosku, że nie ma sensu się zapierać.

- Była w dobrym stanie, nawet się nie zamoczyła. Dałem ją mojej starej.

- Niech pan ją przyniesie na Bow Street. Może pan ją odzyska po procesie. Ale ważniejsze jest dla mnie pana zeznanie. Gdzie i kiedy pan ją znalazł?

- We wtorek rano. Wisiała na szczeblu drabiny pod Berkeley 6 Tak nazywano ludzi, którzy szukali w kanalizacji odpadów Square. Ktoś ją wrzucił i nawet nie sprawdził, czy spadła na sam dół. Nie rozumiem, po kiego diabła to zrobił.

- Niech pan nie zapomni ją przynieść na Bow Street.

Za ukrywanie dowodu przestępstwa grozi więzienie. A jak pan wykaże dobrą wolę, może się to panu sownie opłacić.

Mężczyzna splunął i mruknął coś niezrozumiałego.

Pitt wrócił po swoich śladach, wszedł na drabinę i znowu znalazł się w świetle dziennym.

- No i? - spytał woźnica z ciekawością w oczach.

- Niech pan na mnie zaczeka pod czternastką - powiedział Pitt, odwieszając latarnię na miejsce.

Wytarł twarz chusteczką, wydłużonym krokiem pomaszerował pod dom Chancellora i zapukał do drzwi. Lokaj otworzył mu i zmarszczył czoło, od stroju gościa bił bowiem

nieprzyjemny zapach.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu. Pan Chancellor właśnie wrócił z ministerstwa. Zaanonsuję pana. Mam nadzieję, że przynosi pan dobre nowiny?

- Rzeczywiście posiadam pewne informacje - odparł wymijająco Pitt. - Muszę porozmawiać z panem Chancellorem, ale najpierw chciałbym zamienić parę słów z pokojówką - bodajże Lily - która widziała, jak pani Chancellor wychodziła.

- Naturalnie, sir. Czy wezwać również Richardsa, kamerdynera?

- Dziękuję, proszę się nie fatygować.

- Tak jest, sir. W takim razie idę po Lily.

- Przepraszam pana... - zawołał za nim Pitt. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się stało z ramieniem pana Bragga?

- Sparzył się, sir.

- To wiem, ale jak to się dokładnie stało? Był pan przy tym?

- Nie, sir, ale zaraz przyszedłem. Wszyscy pomagaliśmy w zakładaniu opatrunku.

- Rozlał coś gorącego?

- Nie on, tylko pan Chancellor, sir. Według kucharki panu ministrowi wysliznął się kubek z kakao. Gorące mleko powoduje straszne oparzenia. Biedny George okropnie cierpiał.

- Gdzie to się stało?

- W salonie. Pan Chancellor kazał George'owi zaprząć powóz i osobiście przyjść go zawiadomić, kiedy będzie gotowy. Chciał się czegoś dowiedzieć na temat koni. Trzymał kubek kakao...

- Dziwne, żeby przy takiej pogodzie pić kakao...

- To prawda, sir. Ja wolałbym lemoniadę.

- Czy pan Chancellor lubi kakao?

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale tego wieczoru na pewno pił.

Gdyby pan widział tego nieszczęśnika George'a... Pan Chancellor chyba się pośliznął i George się oparzył. Pan

Chancellor zadzwonił i zaraz przyszedł Richards. A potem wszyscy zbiegliśmy się do kuchni pomóc George'owi zdjąć koszulę. Kucharka i ochmistrzyni się pokłóciły: jedna mówiła, żeby dać na oparzenie masło, a druga mąkę! Pokojówki wrzeszczały, a pan Richards mówił, żeby wezwać lekarza. Posługaczki z kuchni już się położyły na górze i nic nie słyszały, nikt nawet nie pomyślał, żeby kazać im posprzątać. Do tego wszystkiego pan Chancellor gdzieś się wybierał...

- I skończyło się na tym, że sam powoził?

- Tak, sir.

- O której godzinie wrócił?

Nie wiem, sir. Na pewno późno. Myśmy poszli spać trochę przed północą. Biedny George cierpiał męki i pani jeszcze nie wróciła...

- Gdzie w tym czasie była Lily?

- W kuchni z nami. Potem pan Chancellor wysłał ją na piętro, żeby potargała stare prześcieradło na bandażę. Mam ją przyprowadzić?

- Tak, bardzo proszę.

Czekając, Pitt uważnie oglądał westybul, schody, półpiętro i wielki żyrandol pod sufitem.

Lily weszła przez duże pikowane drzwi. Nadal sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

- Pan... pan chciał się ze mną zobaczyć? - dukała. - Ja nic nie wiem, przysięgam. Nie wiem, dokąd pani pojechała. Ona mi nigdy nic nie mówiła. Nawet nie wiedziałam, że wychodzi!

Wierzę pani, Lily - odparł Pitt łagodnym tonem. - Chcę tylko, żeby postarała się pani jak najlepiej wszystko sobie przypomnieć. Pamięta pani, gdzie była, kiedy widziała, jak ona wychodzi?

- Właśnie pościeliłam na piętrze łóżka, zesłam na półpiętro i spojrzałam na dół...

- Dlaczego spojrzała pani na dół?
- Bo zobaczyłam, że ktoś idzie w stronę drzwi...
- Co dokładnie pani zobaczyła?
- Jak już mówiłam, sir, pani Chancellor szła w stronę drzwi...
- Powiedziała coś do pani?
- Nie, sir, wychodziła...
- Nie powiedziała pani dobranoc ani tego, o której wróci i czy ma pani na nią czekać?
- Nie, sir. Nie widziała mnie, bo się nie odwróciła.
- Ale wiedziała pani, że to ona?
- Jasne! Miała na sobie swoją piękną pelerynę z niebieskiego aksamitu, wyszywaną białym jedwabiem. To jest najpiękniejsza peleryna... - Urwała z oczami pełnymi łez i chlipnęła. - Nie znaleźliście jej, sir?
- Znaleźliśmy...
- Tak? Gdzie?

Pitt uznał, że nie ma sensu sprawiać jej bólu. Kochała swoją panią, z którą dzieliła codzienne zażyłości. Po co jej mówić, że peleryna trafiła do kloaki?

- Wolałbym na razie pani tego nie mówić, Lily. Czyli zobaczyła pani plecy pani Chancellor, która szła w stronę drzwi. Może mi pani opisać jej suknię?
 - Nie, sir. Peleryna sięgała prawie do samej ziemi.
 - A głowę zasłaniał kaptur?
 - Jeśli chce mi pan powiedzieć, sir, że to nie była ona... Pani Chancellor była bardzo wysoka. No i w domu nie było innej pani. Pan Chancellor nie uganiał się za innymi kobietami. Bardzo ją kochał...
- Lily sprawiała wrażenie głęboko zakłopotanej. Pewnie myślała o Peterze Kreislerze i związku, który mógł go łączyć z panią Chancellor.
- Dziękuję pani, Lily, to wszystko.

Niedługo po jej odejściu pojawił się lokaj.

- Pan Chancellor prosi pana do swego gabinetu, sir.

Otworzył duże dębowe drzwi i pierwszy wszedł na korytarz, który prowadził do innego skrzydła domu. Pod drzwiami gabinetu zapukał i odstąpił na bok, żeby przepuścić Pitta.

Pokój dalece różnił się od tego, w którym Chancellor przyjął go poprzednim razem: zasłony jasnożółte i beżowe, meble z ciemnego drewna. Książki zasłaniały trzy ściany. Spojrzenie Pitta natychmiast zatrzymało się na humidorze, który stał na mahoniowym biurku, zajmującym środek pomieszczenia.

- Co nowego, Pitt? - spytał Chancellor, który mimo podkrążonych oczu i zmęczonych rysów twarzy wyglądał na całkowicie opanowanego. Łypnął na zabrudzone ubranie Pitta, ale powstrzymał się od komentarzy. - Wyobrażam sobie, że zostały już tylko praktyczne sprawy do uregulowania. Thorne uciekł, co w gruncie rzeczy nie jest takie złe. Oszczędzi rządowi konieczności podejmowania decyzji w jego sprawie. Mam nadzieję, że nikt inny nie jest uwikłany, to znaczy poza Soamesem - dodał z nikłym uśmiechem.

- Nie, nikt - odparł Pitt niezadowolony, że musi się bawić w kotka i myszkę, ale nie miał innego wyboru.

- W takim razie o co chodzi, panie nadkomisarzu? Przyznam, że nie jestem w nastroju na pogawędki. Poproszę pana o zwięzłość. Czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty?

- Panie Chancellor, mam nowe wiadomości związane ze śmiercią pańskiej małżonki.

Ministrowi nie drgnęła powieka.

- Tak? - rzucił odrobinę bardziej rozdrażnionym tonem.

Pitt zaczerpnął głęboko tchu. Jego własny głos wydawał mu się dziwnie nienaturalny, tykanie zegara, stojącego na jednonożnym stoliczku, zdawało się wypełniać cały pokój.

Grube kotary tłumili dźwięki z zewnątrz.

- Zwłoki nie zostały wrzucone do Tamizy i nie wypłynęły przypadkowo przy Traitors' Gate. - Chancellor nie odrywał wzroku od policjanta. - Zabito ją parę godzin przed północą, a następnie przewieziono ekwipażem w miejsce, które nazywa się Little Bridge Stairs, kawałek na południe od London Bridge. - Chancellor zacisnął dłoń w pięść. - Morderca czekał w powozie do wpół do trzeciej, czyli do pory zmiany kierunku pływów. Następnie włożył ciało do małej łódki, zacumowanej u stóp schodów. - Chancellor słuchał go z kamienną miną. - Kawałek od brzegu przerzucił ciało przez rufę, przywiązując je sznurkiem, który przechodził pod pachami. Chciał w ten sposób stworzyć wrażenie, że zwłoki długo przebywały w wodzie. Na drugim brzegu położył je na pochylni przy Traitors Gate, bo chciał, żeby właśnie tam je znaleziono.

- Skąd pan to wszystko wie? Macie go?

- Tak - odparł Pitt znużonym głosem. - Jego powóz był widziany przy Little Bridge Stairs. Morderca wypalił co najmniej dwa cygara - ciągnął Pitt, zerkając na humidor oddalony o kilka centymetrów od zaciśniętej pięści Chancellora. - Cygara o charakterystycznym zapachu, kwaśnawym i ostrym...

Chancellor zakrztusił się.

- I pan... sam to wszystko odkrył?

- Nie bez trudności.

- Zabito ją w dorożce? Rzeczywiście jechała do Christabel Thorne?

- Nie. I nie było żadnej dorożki. Zabito ją w tym domu.

Chancellor stęzał na twarzy. Kilkakrotnie otworzył i zamknął pięść, nie dotykając humidora.

- Pokojówka widziała ją, jak wychodziła - oponował, przełknąwszy ślinę.

- Nie, sir. Widziała pana, ubranego w pelerynę małżonki.

Pani Chancellor była tego samego wzrostu, co pan. Poszedł pan do najbliższego wjazdu do kanalizacji i wrzucił tam pelerynę. Potem wrócił pan do domu i powiedział służbie, że pani Chancellor odjechała dorożką. Kazał pan zaprząć powóz i zamówił pan kubek kakao do salonu. Tam oparzył pan woźnicę w ramię. Kiedy wszyscy byli nim zajęci, zniósł pan zwłoki pani Chancellor na dół i włożył do powozu. Pojechał pan w stronę London Bridge, przekroczył rzekę i zatrzymał się przy Little Bridge Stairs. Jak już wcześniej mówiłem, tam pan czekał na zmianę kierunku pływów i przewiózł ciało pod Traitors' Gate. Zrobił pan to przy najwyższym poziomie wody, żeby nie porwała zwłok.

Pitt wziął do ręki humidor, otworzył, wyjął jedno cygaro i podsunął sobie pod nos.

Nagle minister całkowicie stracił panowanie nad sobą. Jego rysy wykrzywił barbarzyński grymas. Cienka powłoka dobrych manier pękła. Policzki były białe, a oczy pałały nienawiścią. - Zdradziła mnie - wydusił chrapliwym głosem. - Kochałem ją bezgranicznie. Byliśmy dla siebie wszystkim. Susannah była dla mnie kimś więcej niż żoną, była towarzyszką wszystkich moich marzeń. Brała udział we wszystkim, co robiłem, podzielała moje poglądy... a potem mnie zdradziła! To jest najcięższy grzech, Pitt, zdradzić miłość, zdradzić zaufanie. Odsunęła się ode mnie, już mi nie wierzyła, a wszystko po kilku historycznych rozmowach z Arthurem Desmondem... Zaczęła kwestionować moje poglądy! A potem napatoczył się Kreisler i chłonęła wszystko, co on jej mówił!

Jego zaprawiony wściekłością głos zbliżał się do granicy pisku. Pitt podszedł o krok bliżej, ale Chancellor go zignorował.

- Wszystko jej powiedziałem, wszystko jej wyjaśniłem! - krzyknął, zrywając się na nogi. - A ona uwierzyła temu awanturnikowi! Zasiał w niej ziarno wątpliwości i straciła do

mnie zaufanie. Powiedziała mi, że zabroni Standishowi dalszego finansowania ekspedycji Rhodesa. Samo to nie miałyby wielkiego znaczenia... - zaśmiał się histerycznie.

- Gdyby ludzie się dowiedzieli, że moja żona już mnie nie popiera... Ta perspektywa była dla mnie nie do zniesienia. Dziesiątki, co mówię, setki ludzi by się ode mnie odwróciły! Zakwestionowano by naszą politykę kolonialną. Salisbury tylko czeka na pretekst. Wyszedłbym na kompletnego idiotę, ja, Linus Chancellor, zdradzony przez żonę! - Opadł z powrotem na krzesło i wyciągnął szufladę biurka. - Nie sądziłem, że odkryje pan prawdę. Cenił pan Susannah, lubił pan ją. Zostawiłem ją przy Traitors' Gate, bo zasłużyła sobie na to, żeby tam skończyć!

- Linusie Chancellor, w imieniu prawa...

W tym momencie Chancellor wyjął rękę z szuflady. Trzymał w niej czarny pistolecik. Przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust. Huk przypominał trzaśnięcie z bata. Krew rozprysnęła się po całym pokoju.

Zdjęty zgrozą Pitt znieruchomiał. Ściany zaczęły wirować wokół niego. Od obrzydliwego zapachu, który wypełnił gabinet, zrobiło mu się niedobrze.

Usłyszał odgłos kroków na korytarzu. Ktoś ze służby otworzył drzwi. Rozległ się krzyk. Pitt potknął się o krzesło i na chwiejnych nogach wyszedł z pokoju. Kiedy polecił, żeby wezwano pomoc, jego głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego.

Rozdział dwunasty

Nobby Gunne złożyła Charlotte wizytę, kiedy dowiedziała się z prasy o tragicznym końcu Linusa Chancellora. Gazety ujawniły, że minister kolonii odebrał sobie życie w obecności funkcjonariusza policji. Żadne eufemistyczne wyjaśnienie nie zadowoliłoby nawet najbardziej naiwnej osoby: policjant

musiał przynieść ministrowi jakąś potworną nowinę.

Może śmierć żony miała swoje korzenie w wydarzeniu, które podważyło w Chancellorze zaufanie do małżonki? Ale w takim wypadku dałby sobie czas do namysłu i nawet jeśli doszedłby do wniosku, że jedynym wyjściem jest samobójstwo, nie zrobiłby tego w czyjejs obecności. Skoro Linus Chancellor odebrał sobie życie przy nadkomisarzu policji, to wniosek nasuwał się sam: miał zostać aresztowany pod zarzutem zabójstwa żony.

- Ale dlaczego, dlaczego on ją zabił? - powtarzała zrozpaczona Nobby. - Co takiego zrobiła, że nie mógł jej wybaczyć? Kochał ją, jestem tego pewna. Czy... w jej życiu był inny mężczyzna? Charlotte wiedziała, czego obawia się Nobby. Bardzo chciałyby udzielić odpowiedzi, która nie sprawiłaby jej bólu, ale kłamanie nie miałyby sensu.

- Nie, me było innego mężczyzny. Ja też sądzę, że się kochali, każde na swój sposób. Ale proszę usiąść, nie musimy rozmawiać o tej tragedii na stojąco.

Nobby niechętnie usiadła na skraju fotela. Charlotte zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Pani wie, co się stało, prawda? - naciskała Nobby.

- Pan nadkomisarz na pewno pani powiedział. Pamiętam, że wtajemniczał panią w przebieg śledztw.

- Tak, powiedział mi.

- W takim razie błagam panią, niech mi pani powie, dlaczego Linus Chancellor zabił Susannah.

Charlotte pomyślała, że prawda, nawet jeśli inna od tej, której Nobby najbardziej się obawiała, będzie dla niej równie trudna do zniesienia.

- Bo uważał, że go zdradziła. Nie, nie z innym mężczyzną - a w każdym razie nie w zwykłym sensie tego słowa. Przeszła na stronę innego mężczyzny w sporze polityczno-ideowym.

Chancellor nie mógł znieść myśli o tym, że jej zmiana afiliacji miałyby się przedostać do wiadomości publicznej. A to było nieuchronne. Susannah, która zawsze podziwiała i wspierała swego męża, postanowiła wstrzymać finansowanie afrykańskich ekspedycji w takim zakresie, w jakim miała wpływ na rodzinny bank. Cały Londyn by o tym mówił.

- Ale przecież... miała prawo do innego spojrzenia... - zaczęła Nobby, ale szybko urwała, bo uświadomiła sobie, że Susannah, jak każda żona, powinna być stuprocentowo wierna swemu mężowi, czyli także podzielać jego poglądy w tak różnorodnych dziedzinach, jak filozofia, polityka czy finanse. Uchodziło za normalne, że kobiety nie głosują w wyborach, ponieważ są „naturalnie” reprezentowane przez swoich mężów. Nikt tego nie kwestionował, nawet w domowym zaciszu. Publiczne podważanie poglądów męża oznaczało złamanie niepisanych zobowiązań matrymonialnych.

- To była dla niej sprawa sumienia - dodała Charlotte. - Nie chciała być niełojalna, ale uważała, że nie ma innego wyboru. Pamiętam, że próbowała kiedyś się z nim spierać, ale on po prostu jej nie usłyszał, bo było dla niego niewyobrażalne, żeby jego żona się z nim nie zgadzała. Diabli wiedzą, ile razy usiłowała z nim o tym porozmawiać!

Nobby podniosła się z fotela.

- Tak, to prawda, ona nie robiła niczego w złej intencji. Dziękuję, że mnie pani przyjęła, pani Pitt. Pozwoli pani, że panią opuszczę... Mam przed sobą jeszcze jedną wizytę... Charlotte chciała ją zapytać, czy dobrze się czuje, ale przecież i tak nie miała lekarstwa na rany duszy. Pożegnała ją i patrzyła, jak Nobby niepewnym krokiem wychodzi z pokoju.

Nobby wróciła do domu głęboko poruszona. Coś jej mówiło, żeby natychmiast pojechać do Kreislera z nadzieją, że usłyszy od niego jakieś inne wyjaśnienie, ale zdrowy rozsądek jej

podpowiadał, że byłoby to absurdalne. Nie jedzie się do mężczyzny z takimi oto czterema informacjami: Kocham cię, złamałeś mi serce, straciłam złudzenia i nigdy ci nie wybaczę twojego postępowania.

Pod wieczór przyszła pokojówka z wiadomością, że zjawił się pan Kreisler i pragnie ją zobaczyć.

W pierwszej chwili Nobby chciała go przyjąć w salonie - ogród był za bardzo przesycony tak bliskimi, a jednocześnie bolesnymi wspomnieniami intymnych chwil - ale pokój ten, podobnie jak wszystkie inne, nagle wydał się jej zbyt mały i zbyt duszny.

- Przyjmę go w ogrodzie - odparła i wymknęła się jak złodziejka.

Dołączył do niej blisko murku oplecionego kwitnącymi różami.

- Na pewno słyszałaś o śmierci Chancellora - powiedział bez żadnych wstępów. - Huczy o tym w całym Londynie.

Chciałbym, żeby to oznaczało chwilę wytchnienia dla Afryki, ale ta tragedia nie wstrzyma podpisania traktatu.

Podejrzewam, że Rhodes dotarł już do kraju Maszona.

Stała profilem do niego, patrząc na trawę.

- Dlatego to zrobiłeś?

- Co zrobiłem? - odparł zdeprimowany.

- Doprowadziłeś Susannah do tego, że coś w niej pękło - stwierdziła Nobby, zaskoczona własną stanowczością.

Kreisler osłupiał i milczał przez dłuższą chwilę.

- To nieprawda! - zareplikował w końcu. - Ja po prostu... broniłem swojego stanowiska!

- W rzeczy samej. Bezlitośnie ją naciskałeś, piętnowałeś poglądy i działania jej męża, malowałeś obraz pazerności i zniszczenia, mówiłeś o zagładzie całej rasy...

- Przecież wiesz, że taka jest prawda! Tak właśnie będzie! Kto

wie lepiej od ciebie, co się stanie z Maszona i Matabele, kiedy Rhodes skolonizuje ich kraj? Żaden biały nie będzie przestrzegał praw Lobenguli. To byłoby śmieszne, gdyby nie było tragiczne.

- Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, ale nie o to chodzi.

- Moim zdaniem właśnie o to chodzi!

Nareszcie odwróciła się do niego.

- Nie kwestionuję twoich poglądów, Peter. Masz prawo myśleć, co tylko chcesz. Kwestionuję natomiast twoje metody. Zaatakowałeś Chancellora w jego najsłabszym punkcie.

- Oczywiście! - odparł zaskoczony. - A co miałem zrobić, rzucić mu rękawicę? Wyzwać go do sportowej walki na równych warunkach? To nie jest gra, w której można zyskać lub stracić kilka żetonów. Porażka oznacza śmierć, nędzę i zniszczenie.

- A zniszczenie Susannah? Czyjej śmierć jest dopuszczalną ceną zwycięstwa?

- Na litość boską, Nobby! Przecież nie wiedziałem, że on ją zabije! Chyba znasz mnie dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że sobie tego nie ukartowałem.

- Sądzę, że było ci wszystko jedno - odparła spokojnym tonem.

Kreisler pobladł.

- To nieprawda! Nie życzyłem sobie, żeby to się tak potoczyło! Nie miałem innego wyboru.

- Nie musiałeś doprowadzać jej do tego, żeby musiała wybierać między miłością do męża a własnym sumieniem.

- Czy nie uważasz, że stawka jest trochę większa?

- Kolonizacja Afryki kontra rozterki moralne i śmierć jednej kobiety?

- Niech będzie. Dziesięć milionów istnień ludzkich naprzeciwko jednego.

- Dlaczego akurat takie liczby? A może pół miliona kontra tysiąc?
- Nie opowiadaj głupstw.
- A kiedy liczby się zrównają, Peter? Kiedy gra przestaje być warta świeczki? A przede wszystkim kto o tym decyduje? I kto liczy?
- Przestań, Nobby! Jesteś śmieszna!

Kreisler był wściekły. Nie odczuwał potrzeby bronić się ani usprawiedliwiać.

- Mówimy o jednej osobie i całej rasie. Nie ma tu nic do liczenia. Pragniesz dla Afryki tego samego co ja. Dlaczego się kłócimy?

Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale Nobby się cofnęła.

- Nic nie rozumiesz... - westchnęła ze smutkiem. - Nie mogę znieść tego, że dla ciebie cel uświęca środki.

- Kocham cię, Nobby...

- Ja też cię kocham, Peter...

Znowu postąpił krok w jej stronę, a ona ponownie się odsunęła.

- ... ale to, co ty uważasz za dopuszczalne, dla mnie jest niedopuszczalne. Nie jestem gotowa przeskoczyć przepaści, która nas od siebie dzieli.

- Czy nie wystarczy to, że się kochamy? - powiedział ze ściągniętymi rysami twarzy.

- Nie, nie wystarczy - odparła Nobby z gorzką ironią. -

Liczyłeś na to, że sumienie i honor Susannah przeważą nad jej miłością do Chancellora i nie przeliczyłeś się. Czemu ode mnie tego nie oczekujesz?

- Oczekuję, tylko że...

Prychnęła sarkastycznym śmiechem.

- Tylko że podobnie jak Linusowi Chancellorowi nie przeszło ci przez głowę, że mogłabym się z tobą nie zgodzić. Pęka mi z

tego powodu serce, ale niestety nie zgadzam się z tobą.

Kreisler poznał po jej oczach, że dalsza walka nie ma sensu.

Zrezygnowany zagryzł wargę.

- Nie spodziewałem się, że przyjdzie mi zapłacić taką cenę - mruknął. - To mnie boli, Nobby.

Nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Widzieć go upokorzonego - to była ostatnia rzecz, której się spodziewała. Odwróciła się w stronę róż, a potem jabłoni, żeby nie widzieć łez, które płynęły po jego twarzy.

- Żegnaj, Nobby - powiedziała zduszonym głosem.

Usłyszała za plecami odgłos oddalających się kroków, dyskretnych i cichych.

Charlotte bez przerwy myślała o Matthew Desmondzie, o strasznej samotności, która z pewnością go zżerała. Harriet Soames nie wybaczyła mu, że przekazał policji treść podsłuchanej przez nią rozmowy telefonicznej. Nie chciała nawet przyjąć go u siebie i dać mu szansy na wytłumaczenie się. Przekonana o jego niewybaczalnej zdradzie, zamknęła się w sobie ze swoim wstydem i gniewem.

Charlotte nie miała najmniejszych wątpliwości, że decyzja Matthew była słuszna. Gdyby z miłości do narzeczonej postanowił milczeć, miałby poczucie, że zaprzedał duszę, toteż łącząca ich więź tak czy tak by się rozpadła.

Przy każdej czynności - czy zagniatała ciasto na chleb, porządkowała pościel czy przyszywała urwane guziki u koszul Pitta - myślała o Matthew. Nawet widok baraszkujących w kuchni kociąt wywoływał tylko przelotny uśmiech na jej twarzy. Po wyjściu Nobby postanowiła, że pójdzie odwiedzić Harriet. Raczej nie mogło to pogorszyć sytuacji. Harriet również zasługiwała na to, żeby poznać prawdę. Jej szczęście zależało od decyzji, którą musiała podjąć: zrozumieć i wybaczyć czy tkwić w gniewie i oburzeniu, skazując się na samotność i

zgorzknienie?

Charlotte włożyła zieloną suknię i pojechała dorożką najpierw do Matthew, którego adres znalazła na biurku Pitta. Kazała fiakrowi poczekać.

Matthew był zaskoczony jej widokiem, ale przyjął ją ciepło. Wtajemniczyła go w swój plan i poprosiła, by pojechał z nią pod dom Harriet.

- Zaczekasz na ulicy - sprecyzowała na widok jego przerażonej miny.

Matthew odmówił, uznawszy to przedsięwzięcie za z góry skazane na porażkę.

- Jeśli jej nie przekonam, to nie dowie się, że tam byłeś - nalegała Charlotte.

- Nie uda ci się. Harriet nigdy mi nie wybaczy.

- Czy źle postąpiłeś?

- Nie wiem...

- Nieprawda, doskonale wiesz, że nie mogłeś postąpić inaczej! Jaki miałeś wybór? Chronić Soamesa, żeby nie odtrąciła cię narzeczona? Straciłbyś szacunek do siebie. Czy mógłbyś dalej kochać Harriet, gdybyś musiał zapłacić taką cenę za jej uczucie?

- Nie...

- Więc jedź ze mną! A może uważasz, że Harriet jest zbyt głupia i nie rozumie? - ironizowała.

Uśmiechnął się półgębkiem i włożył marynarkę.

Kiedy dorożka zatrzymała się przed domem Harriet, Matthew został w kabinie. Charlotte delikatnie ścisnęła go za rękę, wysiadła, wyszła po schodkach i zapukała. Otworzyła jej pokojówka, której Charlotte powiedziała, że ma ważną wiadomość dla panny Soames.

Służąca wróciła dopiero po kilku minutach i oznajmiła, że jej pani źle się czuje i że tego dnia nie

będzie przyjmowała żadnych wizyt.

- Jeśli chce pani napisać bilecik...

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Charlotte z cierpkim uśmiechem. - Sprawa jest osobista i bardzo delikatna.

Pozwolę sobie przyjechać ponownie, kiedy panna Soames poczuje się lepiej. Nie chcę jej tego przekazywać za czyimś pośrednictwem. Byłaby pani łaskawa ją o tym poinformować? Panna Soames jest odważną kobietą i na pewno nie będzie wечно ukrywała się przed światem.

O ile mi wiadomo, nie zrobiła niczego, za co musiałaby się wstydzić.

- Ale... ja nie mogę jej tego powiedzieć! - wybełkotała pobladła służąca.

- Oczywiście, że nie, tylko powtórzyć w moim imieniu. Jeśli jej los leży pani na sercu, a na pewno tak jest, to powinna pani jej życzyć, żeby stawiała światu czoło. Zobacz pani, że ludzie będą ją za to podziwiali. Ludzie oceniają nas tak samo, jak my się oceniamy. Jeśli my się szanujemy, oni również nas szanują. Trzeba chodzić z wysoko podniesionym czołem i patrzeć ludziom prosto w oczy, a uznają nas za niewinnych jak nowo narodzone jagnię! Niech pani idzie i jej to powie.

- Tak jest, madame.

Pokojówka oddaliła się pospiesznie, stukając obcasami o parkiet.

Charlotte odetchnęła, dumna ze swojej przemowy, godnej cioci Vespasii.

Chwile oczekiwania w rozświetlonym westybulu niemiłosiernie jej się dłużyły. W końcu pokojówka wróciła z zaróżowionymi policzkami.

- Panna Soames powiedziała, że panią przyjmie. Pani pozwoli za mną.

Zaprowadziła ją do buduaru w tylnej części domu. Harriet

leżała na obitym złotym aksamitem szezlongu, w popołudniowej sukni z białego muślinu i z rozpuszczonymi ciemnymi włosami. Podniosła oczy na Charlotte, poprosiła ją, żeby usiadła, i gestem dłoni odprawiła pokojówkę, nie zamawiając żadnego poczęstunku.

- Szczerść wiadomości, którą mi pani przekazała, graniczyła z bezczelnością, pani Pitt. Dziwię się, że pozwoliła sobie pani nalegać na zobaczenie się ze mną. Ledwo się znamy. Kilka spotkań nie daje pani prawa do ingerowania w moje prywatne życie, grożenia, że będzie mnie pani nachodziła i nazwała mnie tchórzem. Co takiego ważnego ma mi pani do powiedzenia, żeby usprawiedliwiało pani zachowanie?

Charlotte starannie przygotowała swoją wypowiedź, ale na placu boju zadanie okazało się znacznie trudniejsze, niż sądziła.

- Stoi pani przed niezwykle ważnym wyborem - zaczęła łagodnym głosem. - Wyborem, który przesądzi o reszcie pani życia...

- Nie mam żadnego wyboru - zripostowała Harriet. -

Matthew Desmond pozbawił mnie jakiegokolwiek wyboru.

Pozostała mi tylko jedna droga... Ale pani to nie dotyczy, pani Pitt. Nie mam pretensji do pani męża. W końcu jest policjantem i wykonywał tylko swoje obowiązki. Ale niech pani ode mnie nie wymaga, żebym darzyła go sympatią. I panią też, bo jest pani jego żoną. Mówię bez ogródek, bo najwyraźniej tego sobie pani życzy.

- Temat jest zbyt poważny, żebyśmy nie rozmawiały ze sobą całkowicie szczerze - przyznała Charlotte i postanowiła zmienić taktykę. - Panno Soames, jeśli sądzi pani, że apróbuję działania mojego męża tylko dlatego, że jestem jego żoną, to się pani myli. Pewne rzeczy musimy przemyśleć sobie same, nie zważając na to, co sądzą nasi ojcowie, mężowie, politycy i duchowni. Nasza dusza odpowiada tylko przed Bogiem, a jeśli

pani w niego nie wierzy, to przed historią, życiem i nami samymi. Jeśli zobaczymy światełko prawdy, nie wolno nam go zignorować, nawet jeśli wiązałoby się to z przykrymi konsekwencjami dla innych.

- Doprawdy, pani Pitt...

- Moje słowa wydają się pani zbyt radykalne?

- Nie, nie. Chcę powiedzieć... Ja...

Harriet urwała, nie wiedząc, do czego zmierza jej rozmówczynie.

- W szkole uczyli nas wiersza Lovelace'a *Do Lucasty*, wyjeżdżając na wojnę. Jeden z wersetów brzmi: *Nie mógłbym tak bardzo Cię kochać, moja droga, gdybym bardziej nie kochał honoru*. Ja i moje siostry śmiałyśmy się z tego. Mówiłyśmy: „Co to za dziwne imię - Honorou? Chyba francuskie”. Dzisiaj zaczynam rozumieć sens tego wiersza. - Harriet zmarszczyła brwi, słuchając uważnie. - Im odważniejsza, wrażliwsza i uczciwsza jest dana osoba, tym głębsza jest jej miłość.

Harriet nie odrywała od niej spojrzenia.

- Co pani chce mi powiedzieć, pani Pitt?

- Czy człowiek, który postępuje zgodnie ze swoim sumieniem tylko wtedy, kiedy wie, że nie będzie go to nic kosztowało, budziłby pani szacunek?

- Oczywiście, że nie! Każdy jest do tego zdolny. Większość ludzi tak postępuje. Czyn, który nic nie kosztuje, nie zasługuje na miano szlachetnego i honorowego.

- Jednak nie postępuje pani zgodnie z tą dewizą, panno Soames - stwierdziła ze smutkiem Charlotte.

- Nie... rozumiem pani - powiedziała Harriet, której wahanie dowodziło, że jest inaczej.

- Czy chciałaby pani, żeby Matthew świadomie postąpił źle ze względu na panią? Czy zasłużyłby tym sobie na pani szacunek? Czy człowiek zdolny zdradzić swój kraj i zaufanie swoich

kolegów ze względu na panią nie posunąłby się do tego samego, aby uniknąć samotności i cierpienia? Czy nie kłamałby, aby nie narażać się na pani gniew?

- Niech pani przestanie! - zawołała Harriet, wykręcając palce dłoni. - Już rozumiem, do czego pani zmierza. Pani zdaniem nie powinnam mieć do Matthew pretensji o to, że zrobił coś, co uważał za słuszne.

- A pani nie uważa, że to było słuszne?

Harriet długo milczała i w końcu odpowiedziała krótko „było”, po raz pierwszy przyznając, że jej ojciec zbłądził.

Wyznanie to przyniosło jej ulgę.

- Tak, ma pani rację - podjęła. - Myśli pani, że... Matthew wybaczy mi mój pochopny osąd i gniew?

- Proszę zapytać jego samego - uśmiechnęła się Charlotte.

- Ale... ale... - dukała Harriet.

- Czeka na zewnątrz. Powiedzieć mu, żeby przyszedł?

Harriet potwierdziła zduszonym głosem.

Matthew siedział zgarbiony w dorożce, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach domu.

- Harriet prosi, żeby pan przyszedł - powiedziała do niego Charlotte. - Uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Moim zdaniem im mniej mowy o tym, tym większe szanse na to, że rany się zagoją.

- Tak, tak, oczywiście... - odparł ze ściśniętym gardłem. - Z całego serca pani dziękuję.

A potem różnym krokiem skierował się w stronę domu i nawet nie zapukał ani nie zadzwonił do drzwi.

Charlotte cofnęła się trochę chodnikiem i bezwstydnie zajrzała przez okno. Zobaczyła dwie sylwetki, które po krótkiej chwili zbliżyły się do siebie i utworzyły jedną całość.

Wróciła do Bloomsbury z lekkim sercem, zachwycona, że misja zakończyła się powodzeniem. Ale pozostała jeszcze jedna

zagadka, na której rozwiązanie Charlotte coraz mniej liczyła: śmierć Arthura Desmonda. Zabójstwo Susannah dotknęło ją o tyle mocniej, że osobiście знаła ofiarę. Pitt o wiele bardziej przeżywał śmierć sir Arthura i chociaż o tym nie mówił, wiedziała, że dręczą go wyrzuty sumienia, bo przez lata nie odwiedzał człowieka, którego uważał za swojego przybranego ojca.

Skonstruowała pewien plan, który wymagał jednak pomocy osoby, mającej wstęp do Morton Club, a jednocześnie w żaden sposób niezwiązanej z policją. I oczywiście gotowej wziąć udział w tej grze. Znała jednego potencjalnego kandydata, Eustace'a Marcha, aczkolwiek miała poważne wątpliwości, czy spełnia on ten ostatni warunek. Postanowiła do niego napisać.

Drogi Panie March!

Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale potrzebuję Pańskiej pomocy w niezwykle ważnej sprawie.

Nie znam innej osoby, do której mogłabym się zwrócić.

Znając pański altruizm, energię, odwagę i dyskrecję, myślę, że nie znalazłabym nikogo odpowiedniejszego. Zadanie to wymaga również przenikliwości, znajomości ludzkich charakterów, lotnego umysłu i charyzmy, a zatem cech, które niewątpliwie Pan posiada.

Jeśli po takich argumentach Eustace nie połknie haczyka...

Miała tylko nadzieję, że nie przesadziła. W Pitcie taki list wzbudziłby podejrzenia, ale w odróżnieniu od Eustace'a jej mąż miał poczucie humoru.

Jeśli zgodzi się Pan przyjąć mnie dzisiaj wieczorem, szczegółowo przedstawię Panu sytuację. Wspólnymi siłami możemy rozwiązać ten delikatny problem w imię sprawiedliwości i honoru. Jeśli zechce Pan oddać mi tę przysługę, proszę do mnie zatelefonować pod powyższy numer, żebyśmy mogli dokładniej się umówić.

Kreślę się z nadzieją i serdecznościami,

Charlotte Pitt

Zapieczętowała i ofrankowała kopertę, po czym wysłała Gracie na pocztę.

Eustace otrzymał list po południu i natychmiast zadzwonił, by z entuzjazmem i powagą oznajmić, że przyjmuje jej propozycję.

- Cóż to za problem panią nurtuje, moja droga? - spytał, kiedy wprowadzono Charlotte do jego salonu przy Cardington Crescent.

Stał przy kominku, w którym nie rozpalono, bo wieczór był ciepły (nawyk związany z przywilejem pana domu, który zimą grzał się przy ogniu).

Charlotte usiadła we wskazanym przez gospodarza fotelu, usiłując nie myśleć o dramacie, który rozegrał się w tym domu trzy lata wcześniej.

- Chodzi o tragiczną śmierć, której przyczyn policja z różnych powodów nie potrafi ustalić - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Thomas dużo wie o tej sprawie, ale nie umie jej rozwiązać, ponieważ nie ma dostępu do miejsca zdarzenia.

Oczywiście mógłby tam pójść oficjalnie, jako policjant, ale wtedy ludzie by się pilnowali i obserwowanie ich nic by nie przyniosło. - Uśmiechnęła się nieznacznie. Poza tym niektórzy z nich otworzą się tylko przed dżentelmenem obdarzonym pewnym... wrodzonym autorytetem, o ile mnie pan rozumie.

- Oczywiście, moja droga. To wielka niedogodność, kiedy ktoś... Ugryzł się w język, uświadomiwszy sobie, że wspominając o pochodzeniu społecznym Pitta, popełniłby *faux pas*. - ... uprawia taki trudny zawód. Ludzie natychmiast zakładają maski. Proszę mi powiedzieć, do jakiego to przybytku pani zdaniem mam wstęp?

- Do Morton Club. O ile dobrze sobie przypominam, mówił

pan kiedyś w mojej obecności, że jest pan jego członkiem. Zresztą z pewnością byłby pan tam mile widziany nawet jako gość. Nikt by nie zakwestionował pańskiej obecności. Nie znam innej osoby... Och, nie wiem, jak to sformułować, żeby nie uznał pan tego za fałszywe pochlebstwo.

- Proszę, niech pani będzie ze mną szczerą. Jeśli sprawa jest tak poważna, jak pani sugeruje, to przecież nie będę pani krytykował za ewentualną niezręczność sformułowań.

- Dziękuję za wyrozumiałość, panie March. Ta sprawa wymaga osoby, która sprawiedliwość i odwagę stawia wyżej niż wygodę i konwenanse. Niestety, takich ludzi jest mniej, niż byśmy sobie życzyli.

- Smutna, ale prawdziwa refleksja o naszej epoce. Co konkretnie miałbym zrobić?

- Dowiedzieć się, co się działo w Morton Club w dniu śmierci sir Arthura Desmonda.

- Ależ z tego, co słyszałem, to był wypadek albo samobójstwo! Odebranie sobie życia nie jest rzeczą godną chrześcijanina ani dżentelmena. Może miał długi albo dopuścił się jakiegoś hańbiącego czynu...

- Nie, nie, panie March, pan się myli. Sir Arthur z całą pewnością został zamordowany, z powodów, które zaraz panu przedstawię. - Pochyliła się i zaczęła konfidencjonalnym tonem: - Jego śmierć nie pozostaje bez związku z zabójstwem pani Chancellor. Pewni wysocy urzędnicy Ministerstwa Kolonii są w to zamieszani. Nie jestem uprawniona do podania ich nazwisk. W każdym razie chodzi o interesy Anglii w Afryce. - Oślupiały Eustace wytrzeszczył oczy. - Sir Arthura zabito, ponieważ ujawnił pewne haniebne działania pewnych wysoko postawionych osób.

- Wielkie nieba, Charlotte, pani chyba żartuje! Jest pani pewna, moja droga, że się pani nie myli? Moim zdaniem...

- Panią Chancellor znaleziono uduszoną, a teraz pan Chancellor odebrał sobie życie. Czego jeszcze panu potrzeba, aby uznać, że sprawa jest poważna?

- Rozumiem, rozumiem, ale nie widzę związku...

- Afryka, panie March, Afryka. Pomoże mi pan?

Wahał się tylko przez chwilę. Jak mógłby zmarnować taką okazję do odegrania wielkiej roli w tej historii, a może nawet małej roli w Historii?

- Oczywiście - odparł z entuzjazmem. - Kiedy zaczynamy?

- Jutro w porze obiadowej? Rzecz jasna, ja nie mogę wejść do klubu...

- Boże przenajświętszy, nie!

Kobieta w klubie, cóż za świętokradztwo!

- Będę zatem zmuszona poczekać na ulicy - powiedziała Charlotte, z trudem ukrywając irytację.

Dlaczego idea kobiety przychodzącej do klubu budzi w panach takie przerażenie? Czyżby siedzieli przy stolikach nago? Ubawiona tą myślą zdusiła w sobie śmiech. Eustace zaniepokoił się na widok jej miny.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani...

- Nie, oczywiście, że nie. Obiecuję poczekać na zewnątrz.

Proszę pamiętać, że Thomas dostał awans i w moim interesie jest nie robić niczego, co mogłoby go skompromitować.

Argument cokolwiek naciągany, ale Eustace jej uwierzył.

- Oczywiście, oczywiście. Przepraszam za moje podejrzenia.

Proszę mi powiedzieć, jakie informacje pragnie pani uzyskać.

- Przede wszystkim chciałabym ustalić, kto tam był tego popołudnia, gdzie panowie siedzieli czy stali, czym się zajmowali...

- To wydaje się proste. Thomas mógł się tego dowiedzieć od Garçonów.

- Nie, Garçonni są tacy zapracowani, że nie mają czasu

rozglądać się wokół siebie. Zresztą ci panowie niechętnie rozmawiają z policją, bo czują się zobowiązani zachować dyskrecję.

- Rozumiem... - mruknął.

- Panie March, pan to wszystko opowie mnie, a nie policji - uspokajała na widok jego zmartwionej miny Powinna wspomnieć, że Farnsworth jest przeciwny temu śledztwu? Nie, to byłoby zbyt wielkie ryzyko. Eustace czuł respekt dla wszelkiej władzy. Poza tym mógł należeć do tej samej łoży Wewnętrznego Kręgu.

- Ma pani rację - odparł Eustace. - Dobrze, zaczniemy jutro, powiedzmy o jedenastej przed Morton Club, tak?

Charlotte wstała.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna, panie March.

Pozwoliłam sobie spisać krótką charakterystykę głównych podejrzanych - dodała, wręczając mu kartkę papieru. - Sadzę, że się to panu przyda. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga, nie ma za co. Już nie mogę się doczekać jutrzejszego dnia!

Eustace był znacznie mniej pewny siebie o jedenastej dziesięć następnego dnia, kiedy wchodził do głównego salonu Morton Club. Poszukał wzrokiem miejsca do siedzenia, zadając sobie pytanie, w jaki sposób przystąpić do dzieła. Prośba Charlotte nagle wydała mu się w potwornie złym guście. Dżentelmen nie wtyka nosa w sprawy innego dżentelmena! Po prostu nie uchodzi. Podważa to samą ideę klubu dla dżentelmenów, prywatnego miejsca spotkań ludzi, którzy umieją się zachować. Usiadł na krześle, na którym według Charlotte sir Arthur spędził swoje ostatnie popołudnie. Czuł się jak idiota i spąsowiał, chociaż inni członkowie klubu nie zwracali na niego uwagi, zgodnie ze zwyczajem obowiązującym w takich przybytkach. Po co on się wplątał w tę aferę? Należało

uprzejmie, lecz stanowczo odmówić.

Niestety, teraz było już za późno. Dał Charlotte słowo! Nie nadawał się na błędnego rycerza - zresztą Charlotte nie odpowiadała jego wyobrażeniom niewiasty w potrzebie. Była na to zbyt inteligentna i złośliwa.

- Dzień dobry, sir. Podać coś panu? - spytał dyskretny głos z boku.

Eustace szarpnął się zaskoczony, uniósł głowę i zobaczył Garçona.

- A, tak, chętnie, mała whisky dobrze by mi zrobiła... i...

- Tak, sir?

- Przepraszam, ale zapomniałem, jak pan się nazywa.

- Guyler, sir.

- Właśnie, Guyler. Ja...

Czuł się potwornie zakłopotany, ale nie mógł powiedzieć Charlotte, że zrejterował! Przyznać się kobiecie do tchórzostwa

- cóż to byłoby za wstyd!

- Tak, sir? - powtórzył cierpliwie Guyler.

Eustace zaczerpnął głęboko tchu.

- Kiedy ostatni raz tutaj byłem, ostatniego dnia kwietnia, rozmawiałem z pewnym panem, który dużo podróżował, zwłaszcza po Afryce. Wszystko wiedział na temat ekspedycji, kolonizacji... Niestety, nie pamiętam jego nazwiska. Zresztą nie jestem pewien, czy mi je podał...

- Rozumiem, sir. Chciałby pan się dowiedzieć, kto to był?

- Tak.

- A gdzie pan siedział, sir? I mógłby mi pan opisać tego pana?

Stary, młody, brunet, blondyn, chudy, gruby?

Eustace usiłował sobie przypomnieć listę głównych podejrzanych, którą wręczyła mu Charlotte.

- Rzeczony dżentelmen był prawie łysy, miał wydatny nos i niebieskie oczy...

- Znał Afrykę, mówi pan?

- Tak. Wie pan, o kogo mi chodzi?

- Jeśli to było w czytelni, mogło chodzić o pana Hathawaya.

- Tak, chyba rzeczywiście siedziałem wtedy w czytelni. Czy on przyszedł do klubu tego dnia?

- Tak, sir, ale nie został długo. Źle się poczuł. Poszedł do toalety, a potem udał się do domu, chyba już nie wrócił do czytelni. W każdym razie w tym salonie w ogóle nie był. Czy długo pan rozmawiał z tym dżentelmenem?

- Dosyć długo.

Eustace March nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu skłamał. Od małego wpajano mu, że ma zawsze mówić prawdę, nawet najbardziej przykrą. Zmyślanie tych wszystkich historii miało więc dla niego rozkoszny smak owocu zakazanego!

- Przypomniałem sobie, że był też inny dżentelmen, który dużo wiedział o Afryce. Właśnie wrócił z podróży. Mocno opalony, blondyn, wysoki, szczupły, o sposobie bycia wojskowego. Nazwisko niemieckie albo holenderskie, w każdym razie obco brzmiące. Ale był Anglikiem.

- To mógł być pan Kreisler. Zjawił się tego dnia w klubie. Zapamiętałem to dlatego, że w tym dniu zmarł sir Arthur Desmond, na tym samym krześle, na którym pan teraz siedzi. Strasznie smutny dzień...

- Strasznie smutny. Ma pan rację, chodzi o Kreislera. Czy on widział sir Arthura?

- Nie, sir. Sir Arthur przebywał tylko w tym salonie, a pan Kreisler, o ile sobie przypominam, nie wychodził z czytelni. Zresztą wpadł tylko na krótko. Zjadł z kimś obiad i zaraz potem wyszedł.

- Jest pan pewien, że nie był na tej sali?

- Jestem absolutnie pewien, sir - odparł Guyler kategori-
cznym tonem. - Pan Hathaway też nie, więc nie może chodzić o

żadnego z tych panów. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

- Nie składajmy jeszcze broni! Były też inne osoby, przede wszystkim pewien wyjątkowo odczytany dżentelmen, niski, przysadzisty, z potrójnym podbródkiem... Eustace z zakłopotaniem przytaczał rysopis podany mu przez Charlotte. Sam nie posłużyłby się takimi słowami. ... okrągłe oczy, grube palce, gęste włosy i... piękny głos - dokończył spłoszonym głosem.

- To mi wygląda na pana Aylmera, sir. On na pewno dużo wie o Afryce. Pracuje w Ministerstwie Kolonii.

- Tak, chyba o niego chodzi!

- Zjawił się tutaj tego dnia... - powiedział po namyśle Guyler...

- ale chyba na chwilę.

- O której godzinie?

- Koło południa. To nie mógł być on?

Eustace zapalił się do tej gry. Był dosyć zadowolony z siebie.

Zgromadził już dużo informacji. Pogratulował sobie wrodzonego talentu detektywistycznego.

- Jeszcze kogoś sobie przypominam... Wysoki, dystyngowany, falujące ciemne włosy lekko przyprószone siwizną...

- Przykro mi, sir, ale ten opis pasuje do wielu członków naszego klubu.

- Nazywał się... - Eustace zmarszczył czoło, udając, że grzebie w pamięci. Kłamanie to grzech, ale zmyślanie to przednia zabawa. - Jego nazwisko miało coś wspólnego z pieniędzmi, może z pozycją społeczną...

Guyler miał zdezorientowaną minę.

- Stanowisko... Stanie...

- Standish! - zakrzyknął triumfalnie Guyler.

Kilku dżentelmenów, którzy podrzemywali w swoich fotelach, poderwało się i zgromiło go wzrokiem. Guyler poczerwieniał.

- Zdumiewające! - zachwycił się Eustace. - Ależ z pana łebski człowiek!

Pochlebstwo również jest grzechem, ale jakże użytecznym!
Generalnie ludzie lubią, żeby im schlebiać. Zwłaszcza kobiety,
które biorą twoje słowa za dobrą monetę i gotowe są zrobić dla
ciebie wszystko.

- Pan Standish był tutaj tego dnia - powiedział Guyler, który
znowu poróżwiał, tym razem z zadowolenia. - Od tego czasu
go nie widziałem. Natomiast jeśli chce pan porozmawiać z
panem Hathawayem, to jest dzisiaj w klubie. Czasem
przychodzi na obiad.

- ... chwileczkę - grał na zwłokę zaskoczony Eustace. - Zanim
oderwiemy pana Hathaway'a od posiłku, proszę mi powiedzieć,
czy widział pan tego dnia pana Standisha w tym pokoju? -
Guyler zawahał się. - Wiem, że to jest trudne pytanie, bo od tej
pory upłynęło już tyle czasu. Za dużo od pana wymagam.

- Ależ nie, sir. Zapamiętywanie twarzy członków należy do
moich obowiązków. A tego dnia nigdy nie zapomnę, bo to ja
znalazłem sir Arthura martwego. To było straszne.

- Nie wątpię. Ależ to musiał być dla pana wstrząs! Podziwiam
pana, że tak szybko odzyskał pan równowagę psychiczną.

- Dziękuję, sir - odparł Guyler, z dumą prostując ramiona.

- Wróćmy do Standisha... Przypomina pan sobie, czy był na
tej sali?

- Wydaje mi się, że rozegrał partię bilarda z panem Rowntree

- odparł Guyler po namyśle.

- O jakiej porze?

- Pod wieczór. Pan Standish minął się w drzwiach z lekarzem,
który przyjechał do sir Arthura.

- Czyli do tego pokoju nie wchodził? - spytał rozczerwony
Eustace.

- Nie, sir - potwierdził Guyler. - Pozwolę sobie wyrazić
przypuszczenie, że rozmawiał pan z panem Hathawayem w
czytelni, która jest urządzona dosyć podobnie do tego pokoju.

Eustace udawał, że się zastanawia.

- To możliwe... W każdym razie serdecznie dziękuję panu za pomoc, panie Guylar.

Pogrzebał w kieszeni i dał Garçonowi koronę.

- A pańska whisky, sir? Zaraz przynoszę.

Eustace nie miał innego wyboru, jak tylko poczekać na whisky i wypić ją bez niestosownego pośpiechu, bo inaczej zwróciłby na siebie uwagę jako człowiek pozbawiony dobrych manier. Z drugiej strony nie mógł się już doczekać chwili, kiedy pochwali się Charlotte zdobytym w tak krótkim czasie bogactwem informacji. Był dumny, że wykonał zadanie, nie wzbudziwszy najmniejszych podejrzeń.

Dopił whisky, wstał i wyszedł nonszalanckim krokiem.

Charlotte czekała na schodach, w słońcu.

- I co? - spytała, jeszcze zanim do niej dotarł. - Dowiedział się pan czegoś?

- Dowiedziałem się bardzo wiele...

Wsunął jej dłoń pod ramię, żeby wyglądali jak szacowne małżeństwo, które wybrało się na spacer. Eustace nie chciał robić z siebie widowiska: był członkiem Morton Club i zamierzał nadal tam przychodzić.

- I co? - powtórzyła, zatrzymując się.

- Chodźmy, moja droga - bąknął kącikiem ust. - Nie zwracajmy na siebie uwagi.

- No i? - szepnęła Charlotte, ponownie ruszywszy z miejsca.

- Pan Standish był obecny tego dnia o interesującej nas porze, ale według Garçona, pana Guylara, na pewno nie wchodził do pokoju, w którym siedział sir Arthur.

- Na pewno chodzi o Standisha?

- Tak. Kreisler również tam był, podobnie jak Aylmer, ale obaj wyszli wcześniej. Z kolei Hathaway przebywał w innym pomieszczeniu. Podobno źle się poczuł i poszedł do toalety, a

następnie kazał wezwać dorożkę, do której dopomóżono mu wsiąść. Nie wchodził do sali, w której siedział sir Arthur.

Przykro mi, ale obawiam się, że żaden z pani podejrzanych nie jest winny

- Ktoś musi być winny! - zaprotestowała.

- W gronie tych czterech osób nie należy go szukać. Kto jeszcze przychodzi pani do głowy?

Charlotte znieruchomiała, zmuszając Eustace'a, żeby również się zatrzymał. Jakaś pani w średnim wieku, idąca pod ramię ze starszym mężczyzną, rzuciła im pełne dezaprobaty spojrzenie, podejrzewając kłótnię małżeńską. Porządna małżonka nie powinna robić mężowi sceny w miejscu publicznym!

- Proszę iść - syknął Eustace. - Zachowuje się pani skandalicznie. Ludzie na nas patrzą.

Charlotte połknęła ripostę, którą miała już na języku, i znowu ruszyła.

- Przepraszam. Trzeba wrócić do klubu i dokładniej się rozpytać.

- Przecież pani mówiłem, że żaden z tych czterech panów nie zbliżał się do sir Arthura! Nie mogli wsypać mu laudanum do brandy, ponieważ nie znajdowali się w tym samym pomieszczeniu.

- A skąd się wzięła brandy? Może mu ją podali za czyimś pośrednictwem?

- A trucizna? Jak ją wsypali? Trudno to zrobić, kiedy szklanka stoi na tacy Garçona. Żaden Garçon by do tego nie dopuścił, a jeśli nawet, to zapamiętałby to i złożył takiej treści zeznanie na rozprawie. Poza tym skąd by wiedzieli, że szklanka jest przeznaczona dla Arthura Desmonda? - uniósł podbródek. -

Pani rozumowaniu brakuje logiki, moja droga. Niestety, jest to przypadłość często spotykana u kobiet. Nie ma pani zmysłu praktycznego.

Charlotte spuściła wzrok, żeby nie zauważył jej złości.

- Nie poradziłabym sobie bez pańskiej pomocy, panie Eustace. Jeśli któryś ze świadków skłamał, na pewno pan to wykryje. Wróci pan tam, prawda? Nie możemy pozwolić, żeby niesprawiedliwość zatriumfowała.

- Nie bardzo widzę, czego jeszcze mógłbym się dowiedzieć.

- Co się dokładnie stało. Będę panu niezmiernie wdzięczna - powiedziała z drżeniem w głosie, jakby była głęboko wzruszona.

Eustace był zadowolony, że taka ładna kobieta poczuwa się do długu wdzięczności wobec niego. Nareszcie będzie mógł spojrzeć jej w oczy bez tego okropnego zakłopotania, które teraz go zżera. Okropne wspomnienie tej sceny, kiedy znalazł ją schowaną pod łóżkiem, nareszcie zatrze się w pamięci!

- Dobrze, skoro sądzi pani, że to może coś dać...

- Ależ oczywiście! - zapewniła go, po czym zatrzymała się i odwróciła. - Jestem panu głęboko zobowiązana.

- Do pani usług, madame - powiedział zarożumiałym tonem.

Po powrocie do Morton Club Eustace'a znowu ogarnęły wątpliwości. Był przekonany, że niczego nowego się nie dowie. Kiedy podszedł do niego Guylar, poczuł się jak skończony idiota.

- Tak, sir?

- Pan wybaczy, obawiam się, że jestem strasznie uciążliwy...

- Ależ skąd, sir. Co mogę dla pana zrobić?

- Czy jest możliwe, że pan Standish mimo wszystko tutaj wchodził tego popołudnia?

- Mogę zasięgnąć języka, sir, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Panowie raczej nie odchodzą od stołu, kiedy grają w bilard. To byłoby nie *comme il faut*, gdyby ktoś kazał przeciwnikowi czekać.

- Tak, tak, wiem! Proszę się nie fatygować. Nie chciałbym,

aby pan Standish pomyślał, że uważam go za człowieka niekulturalnego. Gdzie to ja byłem? A, tak. Pan... Hathaway. Mówił pan, że źle się poczuł. O której godzinie to było, bo nie przypominam sobie takiego zdarzenia.

- Ja za to doskonale to pamiętam. Pan wybaczy, sir, ale czy na pewno nie pomylił pan daty? Może był pan tutaj dzień wcześniej lub później? To by wiele tłumaczyło.

- Nie, nie, na pewno się nie pomyliłem. Tak samo jak pan zapamiętałem ten dzień z powodu śmierci sir Arthura. Czyli mówi pan, że... pan Hathaway... ?

- Poczuję się trochę dziwnie i poszedł do toalety. Został tam dłuższą chwilę, ale nie poprawiło mu się, toteż postanowił wrócić do domu i zadzwonił po pomoc. Jeden z Garçonów się nim zajął. Pan Hathaway kazał mu wezwać dorożkę i zaprowadzić się do niej. Pan Hathaway na pewno nie wrócił już do klubu.

- Rozumiem. To nie pan był tym Garçonem?

- Nie, sir. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, kto do niego poszedł. Zobaczyłem kątem oka jednego z kolegów, ale nie rozpoznałem go. Może to był Jones. Jego najbardziej przypominał: korpulentny i łysawy. Tak, myślę, że to był Jones.

- Dziękuję panu, Guyler, dziękuję panu - powiedział Eustace, który chciał już zakończyć tę rozmowę.

Niech Charlotte wyciągnie z tego wnioski - jeśli to jest w ogóle możliwe. A teraz trzeba stąd jak najprędzej uciekać...

- Pan Hathaway jest tutaj, sir. Jeśli pan sobie życzy, to pana do niego zaprowadzę.

- Nie, nie, dziękuję! Jeśli pan pozwoli, to chyba sam pójdę do toalety. Jeszcze raz panu dziękuję.

- Nie ma za co, sir - odparł Guyler i wrócił do swoich zajęć. Eustace czmychnął do toalety. Było to ładnie urządzone pomieszczenie, w którym dżentelmeni mogli znaleźć wszelkie

niezbędne wygody: umywalki, ciepłą wodę, czyste ręczniki, lustra, brzytwy, różne mydła do golenia, brylantynę do włosów oraz ekwipunek do pastowania butów.

Eustace usiadł na jednej z drewnianych ławek, podobnych do kościelnych. Był tutaj wcześniej tylko parę razy, ale miejsce wydawało mu się znajome. To tutaj siedział Ian Hathaway, kiedy źle się poczuł.

Eustace rozejrzał się wokół siebie. Koło drzwi wisiał sznurek dzwonka. Eustace wstał i pociągnął za niego. Prawie natychmiast w progu stanął starszy człowiek w liberii.

- Czym mogę służyć, sir?

- Pan jest Garçonem? - spytał zdeprimowany Eustace. - Ma pan inny uniform.

- Nie jestem Garçonem. Do moich obowiązków należy obsługa toalety. Jeśli pan sobie życzy, mogę wezwać Garçona, ale może jednak mógłbym się do czegoś przydać... Moi koledzy zajmują się dżentelmenami w innych pomieszczeniach.

- Ten dzwonek nie dzwoni u Garçonów? - dociekał zdezorientowany Eustace.

- Nie, sir, w moim kantorku. Mogę zapytać, co się stało, sir?

- Nic, wszystko jest w najlepszym porządku. - Zamyślił się. - Znajomy mi powiedział, że źle się poczuł, przebywając w toalecie, i wezwał Garçona, któremu kazał sprowadzić taksówkę.

- To niemożliwe, sir. Ten dzwonek nie dzwoni u Garçonów, wyłącznie u mnie.

- A zatem kłamał! - zakrzyknął triumfalnie Eustace.

Służący spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Czy nie osądza go pan zbyt surowo, sir? Może po prostu się pomylił.

- To był Hathaway - powiedział Eustace po krótkiej chwili wahania. - Chodzi o dzień śmierci sir Arthura. Wezwał pan dla

niego dorożkę?

- Tak, sir. Jeden z tymczasowo zatrudnionych Garçonów mi powiedział, że pan Hathaway źle się poczuł. Teraz sobie myślę - dodał kręcąc głową - że nie mam pojęcia, skąd on wiedział, że pan Hathaway tutaj był.

- Dziękuję, dziękuję! Jestem panu niezmiernie wdzięczny! Proszę, to dla pana.

Pogrzebał w kieszeni i w przypiływie hojności dał staruszkowi szylinga.

- Dziękuję panu, sir. - Służący pospiesznie schował szylinga, z obawy, że Eustace się rozmyśli. - Gdybym mógł jeszcze się do czegoś przydać, to zawsze służę pomocą.

- Tak, tak, oczywiście.

Charlotte spacerowała tam i z powrotem zniecierpliwiona.

Kiedy Eustace wyszedł z klubu, natychmiast zauważyła jego triumfalną minę i pospieszyła ku niemu.

- Czego się pan dowiedział?

Eustace zapomniał o lekceważeniu, z którym zwyczajowo zwracał się do kobiet i dał upust swemu entuzjazmowi.

- Czegoś nadzwyczajnego! Kiedy pociągnąć za sznurek w toalecie, dzwonek nie dzwoni u Garçonów!

- Tak? A czemu to jest takie ważne?

Wziął ją pod ramię.

- Nie rozumie pani? Hathaway twierdzi, że kiedy znajdował się w toalecie, wezwał Garçona, żeby sprowadził mu dorożkę.

Tak powiedział mi Gulyer, który widział oddalającego się Garçona. Ale to jest niemożliwe, bo sznurek nie jest połączony z kantorkiem Garçonów! Według służącego, któremu podlega toaleta, jeden z Garçonów mu powiedział, że Hathaway źle się poczuł i potrzebuje dorożkę. Hathaway skłamał. - Nie zdając sobie z tego sprawy, potrząsnął ją za ramię. - Nadal pani nie rozumie? Według Guylera Hathaway powiedział, że nie wrócił

do głównego salonu, ale musiał wrócić, skoro wezwał Garçona, żeby sprowadził mu dorożkę! - Nagle urwał, wyraźnie mniej pewny siebie. - W gruncie rzeczy nie jestem pewien, czego to dowodzi...

- Pozwoli pan, że się zastanowię. I proszę mnie tak mocno nie ścisnąć za ramię. Boli.

- Och, przepraszam... - spłoszył i puścił ją.

- Garçon, mówi pan...

- Tymczasowy, z tych zatrudnianych w sytuacji, gdy któryś z regularnych pracowników zachoruje albo z innych powodów nie może przyjść.

- Był taki tego dnia?

- Tak mi powiedział Guyler.

- Jak wyglądał?

- Korpulentny i łysawy, tylko tyle wiem od Guylera.

- Hathaway! - zawołała.

Jakiś przechodzień spojrział na nią z dezaprobatą i przyspieszył kroku. Teraz to ona ścisnęła Eustace'a za ramię.

- Hathaway! A jeśli to on był tymczasowym Garçonem?

Zbrodnia doskonała! Przebrany za Garçona staje się niewidzialny! Jako Hathaway idzie do toalety, mówiąc, że źle się poczuł. Tam wkłada strój Garçona, idzie do kantorka, bierze tacę z brandy, wsypuje do szklanki laudanum i zanoszi alkohol sir Arthurowi, mówiąc mu, że ktoś mu go postawił. Potem mówi, że pan Hathaway źle się poczuł w toalecie i zadzwonił po pomoc, z czego wynika, że Hathaway przez cały ten czas przebywał w toalecie. Wraca, by ponownie się przebrać, po czym wzywa służącego, żeby mu pomógł wsiąść do dorożki. Czyli pokazał się świadkom, ale zarazem był dla nich niewidzialny przez dostatecznie długi czas, aby wsypać sir Arthurowi do brandy śmiertelną dawkę laudanum. Wujku Eustace, jest pan genialny! Rozwikłał pan zagadkę!

Eustace poczerwieniał z radości.

- Dziękuję, dziękuję, moja droga. - Uśmiech satysfakcji zaraz jednak znikł z jego twarzy. - Ale dlaczego pan Hathaway, wysoki urzędnik Ministerstwa Kolonii, miałby otruć sir Arthura Desmonda, niegdyś wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

- Och, to bardzo proste, niestety. To on jest egzekutorem Wewnętrznego Kręgu...

Eustace osłupiał.

- Co takiego? O czym pani mówi, moja droga?

- Hathaway jest egzekutorem Wewnętrznego Kręgu - powtórzyła. - A przynajmniej jednym z egzekutorów.

Wyznaczono go do pozbycia się sir Arthura, ponieważ...

- Niedorzeczność! - zaprotestował Eustace. - Wewnętrzny Krąg, którego nazwy nie powinna pani znać, jest stowarzyszeniem dżentelmenów, którzy działają dla dobra wspólnego, broniąc takich wartości, jak honor, praworządność...

- Dyrdymały! - przerwała mu z pasją. - Takie rzeczy słyszą nowi członkowie i zapewne gorąco w to wierzą. Pan wierzy, Micah Drummond też wierzył, dopóki nie spadły mu łuski z oczu. Ale prawdziwym celem tego stowarzyszenia jest władza i obrona własnych interesów.

- Moja droga Charlotte...

Nie pozwoliła sobie przerwać.

- Sir Arthur przed śmiercią zarzucał tej organizacji...

- Ale co on wiedział? Mógł tylko spekulować!

- Przecież był członkiem!

- Sir Arthur? !

- Tak. Odkrył, że Wewnętrzny Krąg chce wykorzystać kolonizację Afryki do zdobycia ogromnego bogactwa. Chciał poinformować o tym opinię publiczną, więc go zabili. Tak

Wewnętrzny Krąg karze tych członków, którzy złamią ślubowanie. Nie wiedział pan o tym?

Eustace przypomniał sobie o złożonej przez siebie przysiędze wierności. Wtedy uznał to za dobrą zabawę. Miał wrażenie, że uczestniczy we wspaniałej przygodzie pasowania na rycerza. A jeśli rzeczywiście Krąg ma być dla niego ważniejszy od matki, ojca, żony, brata i dziecka? A jeśli rzeczywiście wyrzekł się prawa do podejmowania decyzji, pod karą śmierci?

Charlotte zobaczyła w jego oczach strach i ogarnęła ją złość zmieszana ze współczuciem.

- Liczą na pana dyskrecję - podjęła łagodniejszym tonem. -

Liczą na to, że dotrzyma pan zobowiązań, mając świadomość, że w przeciwnym razie mogliby pana skompromitować i okryć hańbą. - Pogarda i złość znowu zwyciężyły. - I oczywiście liczą na pański strach...

- Ja się nie boję! - zawołał z furią Eustace.

Zawrócił na pięcie i pomaszerował w stronę Morton Club.

Potraktowali go jak idiotę i nadużyli jego zaufania udając, że bronią wartości, które były mu drogie. Nie potrafił tego znieść.

Wbiegł na schody, pchnął drzwi, przeszedł przez hol, nie odezawszy się do portiera, wkroczył do salonu i zwrócił się do pierwszego Garçon, którego spotkał na swojej drodze.

- Gdzie jest Hathaway? tylko bez wykrętów, wiem, że gdzieś tu siedzi! Gdzie on jest?

- Sir, ja myślę...

- Żadne ja myślę! Gdzie on jest? - powtórzył Eustace, świdrując go wzrokiem.

Widząc, że jego rozmówca znajduje się na skraju apopleksji, Garçon uznał, że ostrożność jest matką odwagi.

- W sali niebieskiej, sir.

Eustace podziękował mu i żołnierskim krokiem wrócił do holu.

- Sala niebieska? - spytał Garçon, który wyłonił się z kantorka z tacą nad głową.

- Na prawo, sir - odparł zaskoczony Garçon.

- Dziękuję.

Eustace kilkoma krokami dotarł do drzwi i otworzył je na oścież. Sala niebieska kiedyś może zasługiwała na swoją nazwę, ale od tego czasu wyblakła. Tapeta zszarzała, a ciężkie kotary były niebieskie tylko w fałdach, do których nie docierało słońce. Z upływem lat spłowiał również dywan, którego różowe, szare i zielone odcienie już się od siebie nie różniły. Ściany zdobiły portrety wybitnych członków klubu, w tym siedemnasto- i osiemnastowiecznych.

Eustace nigdy nie był w tym pomieszczeniu, zarezerwowanym dla zasłużonych członków klubu. Miał nadzieję, że kiedyś dołączy do tego ekskluzywnego grona. Hathaway siedział w wielkim skórzanym fotelu i czytał „Timesa”.

Eustace był za bardzo wściekły, żeby się zastanawiać nad niestosownością swego zachowania. Nie zamierzał im pozwolić, aby się zasłaniali konwenansami, obowiązującymi w klubie dla dżentelmenów. Stanął przed Hathawayem, wyrwał mu gazetę z rąk i rzucił na podłogę.

Podniosły się wszystkie głowy. Generał z długimi bokobrodami stęknął z oburzenia, bankier głośno odchrząknął, członek Izby Lordów, który rzadko tutaj bywał, odłożył szklankę, a biskup upuścił cygaro.

Zaskoczony do cna Hathaway podniósł wzrok na Eustace'a.

- lanie Hathaway, jako obywatel Zjednoczonego Królestwa areztuję pana! - oznajmił stanowczym tonem.

- Ależ drogi panie... - zaczął bankier.

- Ktoś pana okradł, przyjacielu? - spytał życzliwie biskup. - Kieszonkowiec? Rzezimieszek?

- Mimo wszystko to przesada: wyrwać komuś gazetę

- ocenił lord pełnym dezaprobaty tonem.

Hathaway, całkowicie opanowany, ani drgnął.

- Co też pana tak wzburzyło, panie kolego?

W innych okolicznościach Eustace nie zwróciłby uwagi na stalowe spojrzenie, którym przeszył go rozmówca. Oburzenie wyostrzyło mu zmysły.

- Tak, okradziono mnie! - powiedział z mocą. - Odebrano mi zaufanie, wiarę w ludzi, których podziwiałem i ceniłem, ba, na których się wzorowałem!

Pan zniszczył we mnie to zaufanie, panie Hathaway.

- Za bardzo się pan emocjonuje, dobrodzieju - zaprotestował bankier. - Niech pan siada i uspokoi się, z pewnością doszło do jakiegoś nieporozumienia...

- Jak można wszczynać taki rwetes! - warknął generał, potrząsając gniewnie gazetą.

- Panie kolego, odrobina zimnej wody na twarz i zaraz zrobi się panu lepiej - doradzał bankier, podchodząc do Eustace'a.

- Nic mi nie jest - wycedził tenże. - Jeśli pan się ośmieli podnieść na mnie rękę, to przysięgam na Boga, że łupnę panem o podłogę! Ten człowiek - powiedział, patrząc na Hathawaya - popełnił morderstwo. Z premedytacją i zimną krwią otruł innego człowieka. - Tym razem nikt mu nie przerywał.

Hathaway czekał spokojnie, uśmiechając się ironicznie kącikiem ust. - Wsypał truciznę do jego brandy, w tym klubie...

- Rany boskie, to niemożliwe, przecież... - bredził biskup, ale umilkł zgromiony spojrzeniem przez Eustace'a.

- Pan jest egzekutorem! - powiedział Eustace do Hathawaya.

- Wiem, jak pan to zrobił. Poszedł pan do toalety, przebrał się za Garçona, wrócił do salonu, podał sir Arthurowi zatrutą brandy, ponownie poszedł pan do toalety...

Urwał. Hathaway, trupio blady, nie był już taki pewny siebie.

Pilnie strzeżona tajemnica przestała być tajemnicą. Eustace zobaczył w jego oczach strach, ale także nienawiść.

Maska spadła.

- Aresztuję pana za otrucie sir Arthura Desmonda...

- Zupełny nonsens - orzekł spokojnie lord. - Jest pan pijany, sir. Arthur Desmond, Panie, świeć nad jego duszą, odebrał sobie życie. Zapomnimy o pańskim haniebnym zachowaniu, March, jeśli natychmiast wycofa pan swoje oskarżenia i zrzeknie się członkostwa w naszej organizacji.

Eustace odwrócił się ku niemu i zrozumiał, że ma do czynienia z członkiem Wewnętrznego Kręgu.

- Skoro tego pan pragnie, sir, to jest pan tak samo winny, jak Hathaway. Nadużył pan swojej władzy, sir, i sprzeniewierzył się najlepszym angielskim wartościom, zawiódł pan ludzi, którzy panu ufali i w imieniu których pełni pan swój urząd.

Hathaway wstał i próbował przejść koło Eustace'a. Lord chciał odciągnąć Eustace'a na bok, ale ten wymierzył mu celny cios prosto w szczękę. Lord poleciał na jeden z foteli.

Przechodząc koło Eustace'a Hathaway kopnął go w łydkę. Mimo bólu Eustace rzucił się na niego i obalił go na ziemię. Gdyby zobaczył go jakiś trener rugby, tej nowej dyscypliny sportowej, natychmiast wzięłby go do swojej drużyny! Obaj z hukiem runęli na podłogę, przewracając stolik, z którego pospadały filiżanki i spodeczki.

Drzwi się otworzyły i oczom zbulwersowanego Garçona ukazał się niecodzienny widok: lord wyciągnięty jak długi na fotelu, a Eustace i Hathaway biją się na podłodze, stękając i dysząc. Garçon nigdy nie widział podobnej sceny i nie miał pojęcia, co powinien zrobić.

Generał wykrzykiwał rozkazy, na które nikt nie zwracał uwagi. Biskup mruczał coś o pokoju i mądrości, ale również go nie słuchano.

W holu sędzia Trybunału Królewskiego zapytał, co oznaczają te hałasy z piekła rodem, ale nikt nie umiał mu tego wyjaśnić. Posłano po kierownika, jak również po lekarza, sądzono bowiem, że jeden z dżentelmenów miał atak apopleksji. Członek ligi abstynenckiej wygłaszał monolog, a jeden z Garçonów wznosił modły.

- Policja, wezwij policję, idioto! - krzyknął Eustace do Garçona. - Bow Street, nadkomisarz Pitt.

Po tych słowach uderzył Hathaway w szczękę. Lewą stopą zahaczył o stół, strącając na podłogę karafkę brandy i kilka szklanek. Hathaway stracił przytomność.

- Idź po policję! - powtórzył Eustace i dla wszelkiej pewności usiadł okrakiem na klatce piersiowej adwersarza.

Garçon wykonał polecenie, które uważał za słuszne.

Niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie ulegało wątpliwości, że policja powinna przywrócić porządek w lokalu.

Wychodząc z sali, stanął przed obliczem największego afrontu z możliwych: w drzwiach znajdowała się kobieta, młoda kobieta o kasztanowych włosach i smukłej talii, z ubawioną miną obserwująca spektakl, który rozgrywał się w środku.

- Madame! - wykrzyknął zdjęty zgrozą biskup. - To jest klub dla dżentelmenów! Nie ma pani prawa tutaj wchodzić! Bardzo panią proszę, niech pani zachowa się przyzwoicie i opuści ten lokal.

Charlotte ogarnęła wzrokiem pobojuwisko: stłuczona porcelana i kryształ, rozlana kawa i brandy, połamane meble, przewrócony fotel, skrzywiony kołnierzyk i coraz większy siniec na twarzy lorda, wreszcie Eustace siedzący okrakiem na wciąż nieprzytomnym Hathawayu.

- Zawsze się zastanawiałam, co panowie robią w swoich klubach - powiedziała, z najwyższym trudem tłumiąc w sobie

śmiech - a teraz już wiem. Coś niezwykłego!

Biskup wypowiedział słowa, których przyzwoitość nie pozwala przytoczyć.

Eustace promieniał. Odniósł podwójne zwycięstwo, w wymiarze fizycznym i moralnym.

- Czy ktoś wezwał policję? - spytał, po kolei przyglądając się wszystkim osobom.

- Tak, sir - odparł jeden z Garçonów. - Mamy telefon. Ktoś z Bow Street jest już w drodze.

Charlotte poproszono, aby wyszła z sali niebieskiej i zaczekała w holu. Eustace nie chciał puścić Hathawaya, kiedy ten odzyskał przytomność, chociaż nie protestował i nie próbował się bronić.

Pierwszą osobą, którą Pitt zobaczył w klubie, była Charlotte, która powiedziała mu, że Eustace rozwiązał zagadkę. Dodała skromnie, że trochę mu w tym pomogła. Wyjaśniła również, że Eustace dokonał obywatelskiego zatrzymania.

Po kilku minutach skuty kajdankami Hathaway jechał dorożką na komisariat przy Bow Street. Eustace przyjmował gratulacje od kolegów, a Charlotte odesłano dorożką do domu, na przekór jej protestom.

Po drodze na komisariat Hathaway zachowywał się spokojnie. Z jego twarzy emanowała jakaś dziwna siła. Na pewno się bał, ale nie przejawiał żadnych oznak słabości. Nic w jego postawie nie pozwalało oczekiwać, że złamie przysięgę złożoną Wewnętrznemu Kręgowi.

Ręka, która wsypała laudanum do brandy sir Artura, była ręką Hathawaya, ale decyzja o egzekucji z pewnością zapadła na wyższym szczeblu hierarchii. Hathaway tylko wykonał wyrok. Pitt chciał poznać tożsamość osoby, która ten wyrok wydała. Tylko jej aresztowanie mogło usatysfakcjonować Matthew, jak również uwolnić Pitta od poczucia winy.

Wiedział, kim jest ta osoba, lecz jaką wartość ma pewność bez dowodów?

Rzucił okiem na swego nieruchomego więźnia, który spojrzał na niego ironicznie. Pitt zrozumiał, że nawet w obliczu śmierci Hathaway pozostanie lojalny wobec Wewnętrznego Kręgu.

Pitt zadrżał na myśl o potędze przysięgi, składanej przez członków tajnego stowarzyszenia. Wiedział, że Hathaway nie powie ani jednego słowa, które mogłoby doprowadzić policję do innego członka organizacji. Może wierzy, że jakiś sędzia należący do Kręgu pomoże mu uniknąć stryczka?

Pitt poprzysiągł sobie, że nie pozwoli na taką niesprawiedliwość ze względu na pamięć o Arthurze Desmondzie. Znowu spojrzał na Hathawaya, który nie odwrócił wzroku. W kąciку jego ust zaigrał uśmieszek. Nie zamienili ani słowa.

W tym momencie Pitt wiedział, co musi zrobić.

Po przybyciu na Bow Street uregulował rachunek i wszedł na komisariat, prowadząc skutego kajdankami Hathawaya.

Dyżurny sierżant zerwał się i stanął na baczność.

- Czy pan Farnsworth już przyszedł? - spytał Pitt.

Tak, sir, dziesięć minut temu. Przekazałem mu informację, że pojechał pan aresztować mordercę sir Arthura Desmonda. Natychmiast się zjawił. Pan Tellman też jest, w swoim biurze.

- Pan Farnsworth czeka u mnie?

- Tak, sir.

- Dziękuję.

Pitt wchodził na górę ze ściśniętym gardłem, popychając przed sobą Hathawaya. Otworzył drzwi swojego biura.

Farnsworth, który stał przy oknie, odwrócił się, zobaczył Hathawaya i pobladł.

- Dzień dobry, sir - powiedział Pitt takim tonem, jakby nie

zauważył przerażonej reakcji swego zwierzchnika. - Mamy człowieka, który zamordował sir Arthura Desmonda.

Farnsworth uniósł brew.

- Jest pan tego pewny?

- Absolutnie pewny. Dokładnie wiemy, jak to zrobił i mamy świadków. Wystarczy zestawić wszystko w jedną całość. Bardzo inteligentny plan. - Pitt pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. - Obserwacja dzwonka w toalecie Morton Club pozwoliła go rozgryźć.

Farnsworth podszedł do Pitta, wziął go pod ramię i pociągnął w stronę wyjścia.

- Musimy porozmawiać w cztery oczy. Niech pan kogoś wezwie, żeby pilnował aresztanta.

- Tak, sir, zawołam Tellmana. Chodźmy do jego biura.

- Jest pan pewien, że aresztował pan rzeczywistego sprawcę?

- zapytał Farnsworth, jak tylko Pitt zamknął za sobą drzwi sąsiedniego pomieszczenia. - Hathaway to wysoki urzędnik Ministerstwa Kolonii, człowiek szanowany. Jego ojciec jest duchownym, jeden z synów również. Dlaczego miałby chcieć się pozbyć Desmonda? Znał go tylko z widzenia jako członka klubu. Może trafnie rozpracował pan metodę, ale źle wytypował sprawcę?

- Nie, sir. Motyw zbrodni nie był osobisty. Wystarczało, że Hathaway znał sir Arthura z widzenia.

- Co u diabła...

Farnsworth nie dokończył zdania.

- To bardzo proste - odparł Pitt niewinnym tonem, nie chcąc wzbudzać w zwierzchniku jakichkolwiek podejrzeń. - Sir Arthura zabito, ponieważ nie dotrzymał przysięgi złożonej Wewnętrznemu Kręgowi. Egzekucję zlecono Hathaway'owi. Zadanie wykonał precyzyjnie i z zimną krwią.

- Wewnętrzny Krąg nie morduje ludzi! Jeśli Hathaway

rzeczywiście go zabił, to musiał się kierować innymi pobudkami.

- Nie, sir. Jak pan sam zauważył, nie znał sir Arthura osobiście. To była egzekucja i jesteśmy w stanie to udowodnić.

- Wahał się tylko przez chwilę. „Boże, spraw, żebym mógł zaufać Tellmanowi!” Pitt miał nadzieję, że jeśli ktoś w policji nie należy do Wewnętrznego Kręgu, to osobą tą jest właśnie Tellman. - Wszystko to zostanie ujawnione na procesie.

- Jeśli ta organizacja odpowiada pańskim wyobrażeniom o niej, to Hathaway umrze, nie pisnąwszy ani słowa - powiedział Farnsworth kpiącym tonem.

- Ma pan rację, aleja nie oczekuję od Hathawaya przyznania się do winy. Zawisnie na stryczku, nie zdradziwszy współników zbrodni. Ale każdy, kto czyta gazety, wie, o kogo chodzi.

Udowodnimy to wszystko w sądzie.

- Rozumiem... - Farnsworth zaczerpnął głęboko tchu.

- Chciałbym chwilę porozmawiać z Hathawayem w cztery oczy, jeśli to panu nie przeszkadza. - Jego wypowiedź miała formę uprzejmej prośby, ale w rzeczywistości była rozkazem. - Pan rozumie, że jest to dla mnie... bulwersujące i trudne do uwierzenia.

- Tak, sir, oczywiście. Ja i tak muszę wrócić do Morton Club, żeby zweryfikować zeznania Garçona.

- Słusznie.

Farnsworth przeszedł do biura Pitta. Po chwili wyłonił się stamtąd Tellman i spojrzał na Pitta pytającym wzrokiem. Pitt przyłożył palec do ust, hałaśliwie zszedł kilkanaście stopni w dół, wrócił na palcach i stanął obok podwładnego.

Czekali pięć minut, które wydawały im się wiecznością.

Potem dobiegł ich cichy pomruk głosów, a następnie głucho łupnięcie.

Pitt przyskoczył do drzwi i otworzył je na oścież. Tellman

deptał mu po piętach.

Farnsworth prawie siedział okrakiem na zwłokach Hathawaya. Z piersi ofiary sterczał nóż do papieru z biurka Pitta. Dłonie Farnswortha były zaciśnięte wokół rękojeści. Tellman wydał z siebie zduszony okrzyk.

Farnsworth podniósł na nich zaskoczone, a potem strwożone spojrzenie.

- Wziął... nóż do papieru... Próbowałem go powstrzymać...

- Zamordował go pan! - powiedział Tellman ze zdumieniem i wściekłością.

- Gilesie Farnsworth - powiedział Pitt z satysfakcją, którą rzadko odczuwał w takich sytuacjach - aresztuję pana pod zarzutem zabójstwa Iana Hathawaya. Winny jestem panu pouczenie, że wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu w sądzie. A ja zadbam o to, żeby pan dożył procesu, ze względu na pamięć o Arthurze Desmondzie.



fol. Diane Hinds

Anne Perry – autorka bestsellerów z listy „New York Times”, mieszka w Portmahomack w Szkocji. Stworzyła cykl wiktoriańskich powieści kryminalnych, których bohaterami są Thomas i Charlotte Pittowie. Pozostałe tytuły z serii to m.in. *Death in Devil's Acre* (1985), *Ashworth Hall* (1997) czy *Buckingham Palace Gardens* (2008). Pierwsza powieść z serii, *The Cater Street Hangman* (1979), zaadaptowana została na potrzeby telewizji i miała milionową widownię. Anne Perry jest też autorką innego, równie życzliwie przyjętego przez krytyków cyklu o Williamie i Hester Monkach. W 2009 roku w Polsce ukazała się *Świąteczna podróż*, której bohaterką jest Vespasia Cumming-Gould, postać pojawiająca się w *Bramie zdrajców*.

20, 94



„Wyprawa przez bogate salony i niebezpieczne zaułki wiktoriańskiej Anglii rozgrywa się w powieściowym świecie rzuconym na bogate tło historyczne. Ta opowieść o zbrodni, korupcji i dążeniu do sprawiedliwości jest równie złożona, jak barwne postacie, które ją zaludniają”.

Mystery News

„Pierwszorządne... Sagę o Charlotte i Thomasie zawsze znakomicie się czyta”.

Mostly Murder

„Z charakterystycznym wyczuciem ducha epoki pani Perry przedstawia zażartą wiktoriańską debatę na temat kolonizacji Afryki, jak również pierwsze kroki asertywnej i pewnej siebie istoty zwanej »nową kobietą«, czyli wiktoriańskiej emancypantki”.

The New York Times Book Review





Planom brytyjskiej ekspansji w Afryce Równikowej zagraża sprawa najcięższej wagi – zdrada. Ktoś kradnie poufne państwowe informacje i przekazuje je w ręce Niemców. Do sprawy oddelegowany zostaje nadkomisarz Thomas Pitt, któremu pomaga żona Charlotte. Równolegle ze śledztwem dotyczącym szpiegostwa, Pitt docieka prawdy o śmierci ojca przyjaciela z dzieciństwa. Nadkomisarz wierzy, że obie sprawy są ze sobą ściśle związane, a za intrygą stoi tajemniczy Krąg.

Gdy nieopodal Tower na powierzchni wód Tamizy wypływają zwłoki, zszokowany Londyn domaga się wskazania winnych. Thomas i Charlotte Pittowie stają przed nie lada wyzwaniem – muszą rozwikłać dwa zabójstwa oraz uratować honor Wielkiej Brytanii.

„Wpisując się w tradycję Margaret Millar i Ruth Rendell, największą i najsmakowitszą sensacją Perry zostawia sobie na ostatnie akapity”.

Los Angeles Times

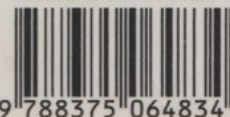
Patroni medialni:



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO
www.zysk.com.pl

Cena 29 zł 90 gr

ISBN 978-83-7506-483-4



9 788375 064834

lesiojot

Table of Contents

[dy1](#)

[i.2](#)

[h.3](#)

[.4](#)

[da5](#)

[!6](#)